



Egz. archiwalny IBL

LISTY Z PODRÓŻY.

Syrene - Helene,
Młodość - piosenki
Kochający ja ojcowski appetitem
Stary przyjaciel.

1878. Rurenia 2. 2.
Warszawa.

Autoryzacja

LISTY Z PODRÓŻY

WYDZIAŁ HISTORII I SPOŁECZNOŚCI

WARSZAWA

LISTY Z PODRÓŻY

Wydawnictwo
Książki
Wydawnictwo
Wydawnictwo
Wydawnictwo

LİSTY Z PODRÓŻY

ANTONIEGO EDWARDA

ODYŃCA.

(Z NEAPOLU DO GENEWY).

TOM IV.

WARSZAWA.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1878.

*Дозволено Цензурою
Варшава 18 Мая 1877 г.*

DRUK J. BERGERA
w Warszawie, ulica Elektoralna Nr. 14.

LISTY Z PODRÓŻY.

(SERYA TRZECIA I CZWARTA).



I.

Do Juljana Korsaka.

Neapol, 9-go Maja 1830 r.

O! czarodziejski grodzie Partenopy!
Kto nie drgnie w sercu wieszczemi pochopy,
Widząc te niebios lazurowe stopy,
To zwierciadlane morze u twój stopy,
Te napowietrzne gwiazd, nie iskier snopy,
Koronę góry—gdzie Wulkan z Cyklopy
Kują pioruny, i smolne ukropy
Warzą na ognia Sodomskie potopy;
I ten kraj-ogród, ten Eden Europy,
Gdzie gryząc lauru liść, jak antylopy,
Lada muł gotów, za Pegazem w tropy,
Piąć się na „skałę pięknej Kaliopy,”
Myśląc, że rymów zebrawszy pół kopy,
Ma już hymn godny grodu Partenopy!

Ja tego wcale nie myślę, a więc i ten muł nie sto-
suje się do mnie. Ja tylko chciałem koniecznie, nie
Listy Odyńca. Tom IV.

mogąc na seryo, choć żartem, ale przecież zacząć nie prozą ten pierwszy mój list z Neapolu, który tak poetyczne sprawił na mnie wrażenie, jak gdyby naprzykład nasz parafialny młodzieńczyk, wprost z bryczki wszedł nagle na teatr i ujrzał prima-ballerinę w gazach, w kwiatach, w podskokach, i to w świetle ogniów bengalskich i na tle dekoracyi, wyobrażającej ogród Armidy. Bez żartu, coś nakształt tego było ze mną, gdy drzemiącego w najlepsze w kabryolecie, konduktor zbudził mię nagle szturchnięciem, mówiąc: „*Ecco Napoli!*” — Otworzyłem oczy, i widzę — księżyc w pełni na niebie, (ale jakim niebie!) świeci nad morzem, (ale jakim morzem!) — uładowanóm jak szymba zwierciadła, mieniącém się jak w tęcze opalu, a rozciągającém się w przestrzeń bez końca! A nad niem w amfiteatr, w półkole, na tle massy i ciemnej zieloności drzew, bielejące w świetle księżyca: domy, gmachy, kościoły, wieże, skupione lub rozsiane od góry do dołu! A dalej, w mgłę błękitnawej, w bok morza, pasmo gór, i na ich czele mroczny, groźny, odosobniony, pod baldachinem z dymu, zaczerwienionego od spodu jakby łuną pożaru — Wezuwiusz!

Ani chcę, ani śmiem nawet wspominać o prozaicznych szczegółach przyjazdu, i owszem, żeby tego uniknąć, wracam myślą wstecz do Albano, gdzie ostatni nasz nocleg z Adolfem i ze Stefanem, był istotnie jak epilogiem poetyckich sensacyj w Rzymie. Przyjechaliśmy o samym zachodzie słońca, który był prześliczny, i trzebaż, że nam dano przypadkiem w oberży te same właśnie pokoje, które zajmowali państwo

Ankwiczowie, gdyśmy ostatni raz byli tu z nimi. Adamowi więc oddaliśmy salonik, w którym mieszkały panienki, a sami we trzech w jednym pokoju, przypominaliśmy sobie różne wesołe noclegi w ciasnych, ale gościnnych domach naszych na wsi. Aura przytém była tak miła, księżyc świecił tak pięknie, że po długiej przechadzce po gajach, wróciwszy na herbatę do domu, wynieśliśmy precz lampę, i przy otwartych oknach, przy świetle tylko księżyca, przegawędziliśmy prawie noc całą. Śpiew kilku słowików w ogrodzie i skrzek żab gdzieś w oddaleniu, jeszcze nam bardziej przypominały *caram patriam*, a wydeklamowana przeze mnie strofka znanéj piosnki:

Xiężycu, co się po ścianie
Suwasz przed memi oczyma,
Próżno zwiedzasz to mieszkanie,
Mego kochania tu nie ma!

posłużyła jakby za epigraf rozmowie, która była wciąż o kochanych — o kochanych ludziach i rzeczach. Myśl o jutrzejszém rozstaniu była jakby kamertonem nastroju. Adolf biédny omal nie płakał, że chciał jechać z nami, ale rzeczywiście nie może. Ale ten dziwak Garczyński! mógłby, chciałby, jak mówi, i nie chce. Powiada, iżby to było nazbyt wielką rozkoszą dla niego, i że właśnie dla tego pozwolić jéj sobie nie może; bo on nie dla rozkoszy tutaj, ale dla pracy przyjechał. A niech go wszystkie Anioły z taką jakąś cnotą nieludzką! Ja aż skakałem ze złości, dysputując o tém. Adolf na to nie miał pojęcia; Adam milczał,

ale się niecierpliwił widocznie; aż nakoniec zerwawszy się z kanapy, gdzie leżał, wydmuchnął z ogniem niedopaloną fajkę i odezwał się dość opryskliwie: „Dość już tego! każdy ma swoje zdanie, i niech robi jak mu się zdaje!”— Zamilkliśmy, ale Garczyński wzdychał tak rozpaczliwie, jak niewinnie potępiona ofiara, że mi się żal go zrobiło, a nakoniec śmiech pusty ogarnął. Nie zagniewał się o to, ale został przy swoim; i my też, dawszy mu pokój, resztę już nocy do świtu przegawędziliśmy wesoło.

Nazajutrz ledwośmy wstali i wypili kawę, echo trąbki pocztarskiej oznajmiło przybycie dyliżansu, którym przyjechał Niegolewski. Jest to zwyczajna wettura (kareta) na sześć osób, zaprzężona czterema końmi w leju. Pocztylion powozi z konia. Za miejsce od osoby z Rzymu do Neapolu płaci się skudów 10. Nasze miejsca w kabryolecie.

A teraz, dla ciekawości twojej geograficznej, masz tutaj, na wzór memnonicznej tabelki Jaźwińskiego, wierną kopię notatek podróżnych, na stacyach lub w drodze ołówkiem w dzienniczku pisanych, które niechaj ci służą ku zabawie, jak składane panorama za złoty.

Dnia 7 Maja, Piątek, godz 9 rano, Albano.

„Bywaj mi zdrowy Edzio kochany!”

Adolf.

„Kochaj mię, bo ja cię kocham.”

Stefan.

(Tak się zaczyna dzienniczek).

Genzano. Mila tylko nasza od Albano, a jechaliśmy blisko dwóch godzin, chociaż piętego konia przyprzężono w Albano. Góry i góry — ale za toż widoki! Z początku nic nie widzimy. Adam nawet ociera oczy. Od *Aricii* droga prześliczna. Wegetacja drzew pełna i bujna. Patrząc z góry, wierzchołki ich w dolinach zdają się tworzyć jakąś nadziemską, zieloną powierzchnię. Droga ocieniona wiązami. Na pochyłościach gór mniejsze krzewy. Zieloność posiana gęsto jakimiś żółtymi kwiatami. Morze kończy horyzont i błyszczy od słońca.

Velletri. Dwie mile nasze od Genzano. Kraj dawnych Wolsków. Miasteczko na pochyłości góry *Artemisio*, większe zda się i porządniejsze od innych. Droga już nie tak piękna. Drzew najwięcej oliwnych. Góry do połowy uprawne. W dali widać na lewo nagie Apenniny, na prawo górę Cyrcy (*Monte Circelio*), przylądkiem wchodzącą w morze. Dzisiaj zowią ją *Monte di San Felice*. Towarzysze nasi podróżni: dwóch młodych Szwedów i Włoch. Adam mówi, że ilekroć obaczy Szweda, (a widywał ich często w Petersbur-

gu), a nawet kaszę ze *szwedami*, zaraz staje mu w myśli okropny, przerażający obraz, to jest szereg dzieci ustawionych przy ścianie, a które potem Szwedzi przyciśnięciem ławy dusili. Opowiadała mu to w dzieciństwie stara jakaś piastunka. Ci nasi Szwedzi nie mają miny tak dzikich. Feliś tylko powiada, że się ciągle kłóć; o co? nie wie; bo gadają po szwedzku. Ciekawy jestem poznać bliżej Szwedów, i wsia dam do środka karety.

Cisterna. Małe miasteczko, więcej niż inne włoskie do naszych podobne. Droga płaska, na pochyłościach gór brukowana, reszta szosse. Ze Szwedami jestem już w dobrej komitywie, i wiem o co się kłóć. O wszystko. Są to prawdziwi „Płaxa i Wesołowski.” Jeden (starszy) widzi wszystko na czarno, drugi na różowo. Ja, ma się rozumieć, trzymam z drugim. Obaj są ze Sztokholmu, i dobrzy z sobą jak widać przyjaciele. Podróżują dla przyjemności. Mówimy po francuzku. Włoch milczy jak mruk. Z hiszpanki, długich włosów i miny zarozumiałej, zdaje się, że musi być artystą.

Torre di Tre Ponti. Początek *Bagien Pontyńskich*. Ależ to wcale nie *bagna*, jak ja sobie wyobrażałem, ale najpiękniejsza na świecie, najrówniejsza, najświeższa, najzieleńsza łąka. Za nic wszystkie ogrodowe trawniki. Step chyba tak wygląda na wiosnę. A i tu pustynia stepowa. Nigdzie wsi, nigdzie domu (prócz stacy i oberży), nigdzie człowieczka! Po obu stronach drogi tu i ówdzie czernią się tylko zdaleka stada koni lub wołów, (rzeczywiście bawołów),

ale których żaden pasterz nie pasie. Droga prosta i płaska, wydaje się jak galon złocisty, na zielonym axamicie przyszyty. Ale na stepie, jak mówią, tchnie wonność dzikich kwiatów i świeżość w powietrzu, która upaja i ożywia. Tu czuć w powietrzu zapach jakby błota, który dusi i zabija. Bo ten zapach, to *malaria*, która ztąd sięga do Rzymu. Nie jestże to jakby podobieństwo i symbol tak zwanój cywilizacyi dzisiejszój? I czy także jój powiew nie dosięga Rzymu?

Bocca di Fiume. Widok ciągle ten sam. Na lewo w oddaleniu pasmo Apenninów, niezbyt wysokich. Na prawo kanał obok drogi; dalej ku morzu tak zwany „Las święty,” (*Silva sacra*), który morze zakrywa, i nakoniec góra Cyrceńska, ostatnia i jedyna na horyzoncie z téj strony. *Silva* ta, nie wiem za co *sacra*, porasta właśnie na piaszczystych wzgórzach, które równinę oddzielają od morza, i nie dopuszczając odpływu wody, napływającój z gór, są przyczyną bagnistego jój stanu. Kanały nie wystarczają aby zaradzić złemu. Są one zwłaszcza dziełem pieczołowitości Papieżów. A i to znowu nie jestże jakby symbol dzisiejszych wpływów Kościoła na dzisiejszą cywilizacyą wieku? Ale gdyby i tych kanałów nie było, to kto wie, czyby *malaria* nie przemieniła się w *dżumę*?

Mesa. Droga wciąż jednostajna, płaska, pusta, wysadzana drzewami. Najwięcej wiązów i topoli. Przypatrzyłem się zbliżka bawołom. Mniejsze od zwyczajnych wołów, czarne, z zakrzywionemi w tył rogami. Z natury są złe i dzikie, i obces rzucają się na ludzi; ale tak znają swoich dozorców i nadane so-

bie imiona, że na proste zawołanie przychodzą same i pozwalają się doić spokojnie. Nie widziałem, ale tak nam opowiadał konduktor.

Ponte Maggiore. Nazwisko stacyi od dużego mostu na kanale. Mostów tych mniejszych i większych na kanałach jest mnóstwo. Same kanały żeglowne są dla dość dużych ładownych statków. Widok na prawo otwartszy, rozmaitszy, weselszy. Koło drogi drzewa morwowe, z których właśnie zbierają liście. Są one tu wspólną własnością wszystkich. Widać już wegetacyą południową: palmy, aloesy, kaktusy. Koniec bagien Pontyńskich. Jesteśmy na równi z górą Cyrcy. Dojeżdżamy do Terraciny, na obiad i nocleg.

Terracina. Miasteczko wcale porządne (5,000 mieszkańców), położenie prześliczne, oberża tuż po nad morzem. Zachód słońca tak piękny, że chociaż głód doskwierał, nie poszliśmy przecież na obiad, aż niebo i morze zamierzchło. Po obiedzie znowu nad morze, patrzeć na wschód księżyca. Odblask światła w dali na falach, jakby gwiazdy tryskały z morza. Staliśmy na ogromnych kamieniach, o które morze roztrąca się i szumi. Z po za nas dwie olbrzymie niedostępne skały odbijały się w morzu przed nami, chwiejąc się w niém jak topole z wiatrem. Na jedną z nich wdrapali się kiedyś Francuzi, aby zatknąć chorągiew Rzeczypospolitej. Pasma gór niższych ciągnie się wzdłuż morza. Villa Piusa VI i ruiny zamku króla Teodoryka czernią się i bieleją w świetle księżycowym. Góra Cyrcy — rozmowa o mitologii.

(To znaczy, że *à propos* Cyrcy, Feliś opowiadał nam zabawne rzeczy o swojej nauce mitologii, kiedy jeszcze katechizmu nie umiał. Uczyla go jej guwernantka Francuzka, obok z grammatyką tego języka, kiedy on jeszcze o polskiej ani słowa nie słyszał. Że zaś go to nudziło, czego nie rozumiał, Francuzica pętała mu nogi, żeby od lekcyi nie uciekł. Adam śmiał się serdecznie słuchając; ale gdy w końcu zapytał: „A któż ciebie katechizmu uczył?” i na to odebrał odpowiedź, że naukę tę mały Feliś winien był zwłaszcza swojej stariej niańce: Adam od śmiechu przeszedł nagle w stan jakby proroczego natchnienia, i tak strasznie, ale razem tak logicznie i przekonywająco, rozwinął cały szereg koniecznych, nieuchronnych wpływów i skutków tej samobójczej manii takiego wychowania, która od panów przechodzi do szlachty, na uczucia, charakter i duch narodowy: że aż dreszcz przejmował słuchając i łzy prawie cisnęły się do oczu. Tak kiedyś i nie inaczej musieli mówić Prorocy. Ale cóż Prorocy pomogli? Izrael nie upamiętał się przed szkodą. A i po szkodzie trzeba było obcego Cyrusa, aby ducha Bożego uczcił w Danielu).

Fondi. Dnia 8 Maja, godzina 5 rano, na komorze celnej.

Od godziny dręczą tu nas rewizyą rzeczy, jak tyleż czasu na granicy w *Petafi* wizowaniem paszportów dręczono. Takie jest pierwsze wrażenie Królestwa

Obojga Sycylii. Nasze tłómoki już przeszły przez pytel, ale Włoch (malarz), wściekle kłóci się o swoje. Nie chcą przepuścić własnych jego rysunków i obrazów, chyba że je żandarm sam, na koszt jego, do cenzury w Neapolu odwiezie. Szwed starszy dąsa się i klnie, widać, czy łaje po szwedzku. Młodszy śmieje się i żartuje z Felisiem. Adam, pomimo hałasu, śpi siedząc na kanapie otulony płaszczem. Ja to piszę na biurku jakiegoś grzecznego pana, który mi miejsca ustąpił, a w tej chwili kłóci się z Włochem. Bo on to sam, jak widać, dumą i szorstkością w obejściu ściągnął na siebie tę surowość celników, za którą pokutujemy wszyscy.

Wyjechaliśmy z Terraciny o 1-jej godz. z północy. Droga między skałami a morzem. Dość byłoby czterech bandytów, aby ją całkiem w poprzek przegrodzić. To też wcale nieprzyjemna myśl o nich. Wąwóz ten, czy raczej przesmyk, sławny jest w wojnach Rzymian z Samnitami. Dalej droga, także nie szersza, idzie między górami i jeziorem *Fondi*, wązkiem, długim, ciągnącym się wzdłuż drogi. Dalej dla mnie—kraj Morfeusza.

Miasteczko *Fondi*, brzydkie, (5,000 mieszkańców), sławne niegdyś było winem *caecube*, które szło o lepsze z Falernem, a zaś w wieku XVI nadzwyczajną pięknnością pani swojej, Julii Colonna, z domu Gonzagów. Sułtan Soliman II zasłyszał o niej, jak mówi legenda, a sławny morski rozbójnik *Barbarossa* chciał ją porwać dla niego. Julia uszła napaści, ale rozgniewani tém zbójcy, całą ludność albo wycięli, albo uprowa-

dzili w niewolę, a miasteczko z ziemią zrównali. Co to biedy na świecie z powodu piękności!

Kłótnia z Włochem, widzę, że się nie kończy. Zaczynają przeglądać rysunki. Idę naprzód piechotą, żeby senność rozpędzić.

Godzina 8, na kamieniu przy drodze.

Uszedłem najmniej milę. Rozumiałem że padnę i zasnę ze znużenia na drodze. Rozpacz już mię brać zaczynała. Ale słyszę przecież trąbkę pocztarską, i widzę że dyliżans nadchodzi.

Mola di Gaeta. Dwie stacye przespąłem, (*S. Andrea* i *Itri*), ale nic w nich, jak słyszę, ciekawego do widzenia nie było. Tu znowu morze i widoki piękne. Rozkoszujemy się niemi, i ja to piszę nad morzem, na ruinach villi Cicerona, w której on sam przez zbirów Antoniusza zamordowany został. Przypłynęliśmy do niej łódką. Opodal w winnicy przy drodze starożytna okrągła wieża, na kwadratowej podstawie, nosi nazwanie *Wieży Cicerona*, i mówią, że jest jego grobowcem. Był to widać wielki amator piękności natury — nie wiem, czy tylko nieżywych. Wszystkie jego ville, które po różnych stronach Włoch dziś pokazują, są zawsze w najpiękniejszym położeniu; a jest ich tutaj tyle, co u nas zamków królowej Bony. Na gruzach jego łaźni, tuż po za oberżą, rośnie prześliczny gaj drzew cytrynowych i pomarańczowych, gnących

się pod ciężarem owoców, jak niekiedy jabłonie u nas. Obrywano je właśnie dla ulgi gałęzi, i ja, dawszy gościńca ogrodnikom, pomagałem im szczerze przez kwadrans, marząc o Hesperyjskich sadach, i deklamując sam sobie:

„Kennst du das Land, wo die Citronen blühen,
„Im grünen Laub goldne Orange glühen?“ i t. d.

Ogrodnicy dali mi nawzajem gościńca, osiem pomarańcz, (bo więcej zabrać nie mogłem), i ja tym owocem swęj pracy uczęstowałem towarzyszków podróży. (*Notabene*. Pomarańcze wiosennego zbioru na miejscu nie są tak dobre jak u nas, gdy się w przewozie uleżą i dojrzeją, jak nasze jabłka zimowe. Tu wszakże są już daleko lepsze niż w Rzymie, gdzie bez cukru jeść ich niepodobna, tak kwaśne; zapach zaś skórki tak ostry i niemiły, a przytęm tak wsiąka w palce, że go z nich mydłem obmywać potrzeba).

(*Notabene* drugie. Właściwa *Gaeta*, miasto i twierdza, jest całkiem co innego, niż miasteczko *Mola di Gaeta*. Widać ją ztąd tylko opodal w bok drogi. Leży nad brzegiem zatoki, a wydaje się zdaleka jakby była zbudowana na morzu. Jest to jeden z najpiękniejszych tutejszych widoków).

Garigliano. Droga z Gaety prześliczna. Po stronach drzewa figowe, a między niemi rozwisły winograd. Aloes rośnie dziko, jak u nas łopuchy. Widać starożytny wodociąg i szczątki ruin Minturny, na których kiedyś Marius dumał o niestałościach Fortuny.

Tu zjeżdżamy z dawniej drogi Appijskiej, służącej za podstawę dzisiejszemu szosse.

Santa Agata di Sessa. Zaraz za Garigliano rzeka *Liris*, nad którą sławne Bagna Minturskie, gdzie Marius krył się przed Syllą, jak żaba przed bocianem. Na lewo miasto *Sessa*, na górze. Duże i porządne, jak widać. Dziwno, że je szosse omija.

Sapransi. Stacya i oberża.—Widzieliśmy górę *Massico*, sławną winem, które Horacyusz lubił. Po obu stronach drogi, pola zasiane zbożem i wysadzone drzewami. Pszenica, owies i jęczmień już w kłosie. Len bierze się ku dojrzewaniu.

Kapua. Forteca nad rzeką *Vulturną*. Miasto brzydkie (10,000 mieszkańców). Dawna sławna Kapua, której już ani śladu na powierzchni ziemi nie widać, liczyła ich niegdyś trzykroć sto tysięcy. Amfiteatr mógł mieścić 60,000 widzów. Podług Cicerona, 40,000 gladiatorów uczyło się tu *szlachetnej* sztuki zabijania się nawzajem dla zabawy szanownej publiczności ówczesnej. Nie walki to ich wszakże, jak się zdaje, musiały tak nęcić niegdyś zwycięzcę pod Kannami, że tu tak długo niepotrzebnie zagościł. Dzisiejsza Nowa Kapua, choć sama brzydka, słynie przecie z piękności swych kobiet. Nie udało się nam ich obaczyć. Zjedliśmy tylko tu obiad, i wyjeżdżamy dalej do Aversy.

Aversa. Z przyjazdu i z pierwszego pozoru wielkiem zdaje się miastem. Ma 15,000 mieszkańców. O kilka mil tutejszych przed niem zaczyna się szersza i lepsza droga. Widoków szczególniejszych żadnych.

Zboże, drzewa, i między niemi rozwieszony girlandami winograd. Ale widziałem już *Wezuwiusz!!!* Ujrzeliśmy go z wierzchu jednej góry. Nie odpowiedział wszakże mojej wyobraźni. Wygląda jak skruszona baszta. Adam zdjął sam i kazał mi zdjąć czapkę, aby go powitać. Słońce już zaszło. Niebo mieni się w kolor opalowy. Ztąd już prosto do Neapolu.

(Koniec notatek podróżnych).

Przyjechaliśmy tu o dziesiątej. W dwóch hotelach mieszkań nie było. Konduktor zarekomendował prywatne, *Via Concezione* Nr. 39. Mamy jeden pokój duży z trzema łózkami. Od osoby na dobę po 3 *karliny*.— (*Carlino*, nasze 20 groszy, składa się z 10 *granów*. *Grano*, najmniejsza moneta miedziana. *Ducato*, największa, nominalna, zawiera 10 *karlinów*, a jest reprezentowaną przez srebrne *skudy*). Adam chciał pójść do Potockiego, ale już było zapóźno. Poszliśmy do cukierni na *Via Toledo*, głównej ulicy miasta, i przeszliśmy ją wzdłuż tam i nazad, żeby się fizyonomii miasta przypatrzeć. Wrażenie ogólne masz już tu na początku. Na list pierwszy dość tego. Następnych nie spodziewaj się pierwiej, aż się tu już na dobre rozgościm i treści się na nie uzbiera. Na dzisiaj *Vale!*

II.

Do Ignacego Chodźki.

Neapol, 16-go Maja 1830 r.

Od tygodnia jestem już w nowym kraju i depczę bruk nowój stolicy, a ty jeszcze nowego listu nie miałeś. Niechże więc przeto ten pierwszy exkuzuje się ztąd sam za siebie.

Jest przysłowie we Włoszech: „*Vedi Napoli, e poi mori!*“ (Obacz Neapol, a potem umieraj!); to znaczy, że po widzeniu Neapolu, nie ma już na co patrzeć na tym świecie. Adam przecież, wbrew temu przysłowiu, zapragnął owszem widzieć dalszy jeszcze punkt południowy, i—jak mówi, małżonkę Wezuwiusza, Etnę, i po to jedynie wczoraj do Sycylii popłynął. Sądzę wszakże, że to musi być w pewnym związku z planem „*Prometeusza*“, o którym ciągle marzy, chociaż mi sam tego nie mówił. Myśl o téj jego podróży, tak mię codziennie te dni trapiła, że pod jój wpływem pisać do was nie chciałem, zachowując to sobie na osłodę tęsknoty po nim, kiedy już rzeczywiście odjedzie. Dla czegoż więc nie pojechałem razem? zapytasz. Przyczyną są — zimny rozsądek i Gorecki, dwa czynniki, które nie wiem czy kiedykolwiek tak wspólnie i tak zgodnie działały. Powiedz mu to, jak go obaczysz.

Opowiadał mi bowiem kiedyś, że właśnie bawiąc w Neapolu, doznał nagle takiego napadu nostalgii, to jest tęsknoty do kraju, że sam sobie rady dać nie umiał. Próbował lekarstw fizycznych, ale i te nie skutkowały. Wraca więc raz do domu, w nocy; oblicza skrupulatnie koszt podróży pocztą do Wilna; bierze tyleż dukatów, zawija je w osobny rulonik, pieczętuje z obu stron, i trzymając go w ręku, mówi sam do siebie: „Jak zechcę, za dni dziesięć, jestem w Wilnie!“ W pacierzu zaś prosi o natchnienie, co czynić? i słubuje samemu sobie: że jeśli jutro jeszcze będzie mu tak tęskno jak dzisiaj, weźmie natychmiast pocztę i wyjedzie na powrót do domu. Z tą myślą i z rulonikiem w ręku, położył się do łóżka i zasnął. A talizman ten tak był widać skuteczny, że gdy się nazajutrz obudził, tęsknoty już ani śladu nie było; i co miał podróżować rok tylko, podróżował całe dwa lata. Ruloniku jednakże nie rozpieczętował, aż rzeczywiście dopiero na koszt powrotu z Paryża do Wilna.

Otóż ja pamiętając o tém, i obliczywszy ściśle mój zasób podróży, obawiałem się właśnie, aby nadspodziewaném naruszeniem jego, paroxyzmu nostalgii nie ściągnąć, i przeto, choć raz może, rozum wziął górę nad sercem. Chociaż znowu, tak mi było wczoraj okropnie, kiedy przeprowadziwszy na statek Adama, powróciłem sam jeden do domu: że gdybym się miał decydować w téj chwili, decyzyja wypadłaby całkiem przeciwnie. Ale darmo! klamka zapadła; i w téj chwili pocieszam się nie tyle tryumfem mojego rozumu, co raczej nadzieją i myślą, jak go będę spotykał i witał

z powrotem. Oby mu tylko Pan Bóg dał szczęśliwie odbyć tę podróż!

A teraz cóż ci powiem o Neapolu? Pamiętasz, jak kiedyś w Zalesiu, u xieżny Ogińskięj, admirowaliśmy dwa jego widoki, bodaj że przez *Canaletti*'ego, i nie chcieliśmy wierzyć pannie Amelii, ażeby oryginał mógł być piękniejszy niż portret. Teraz widzę, że tak jest w rzeczy samęj; ale czyż ja językiem lub piórem odmaluję go lepiej niż pendzlem? Kusić się nawet o to nie myślę; i owszem rad bardzo jestem, że ty sam z tych obrazów masz już przecież wyobrazenie o topograficzném położeniu miasta, które dwie morskie półkolne zatoki, przedzielone przylądkiem i zamkiem *del' Ovo*, białemi ramionami obejmuje u dołu, a potém w amfiteatr piętrzy się coraz wyżej po górach, śród zielonych drzew i ogrodów. Patrząc na nie z dołu, mimowolnie przychodzą ci na myśl wiszące Babilońskie ogrody Semiramiđy; a te domy po nad domami, kościoły nad kościołami, ulice nad ulicami, zwłaszcza przy oświetleniu wieczorném, podobniejsze zdają się raczej do jakiejs dekoracyi teatralnej w czarnoxięzkim jakimś balecie, niż do miasta z kamienia i cegły. Nawzajem téż wpatrując się z góry, kiedy morze jest ciche i gładkie, złudzenie oka dochodzi do tego, że zdajesz się patrzeć na obraz, malowany na tle kryształu albo emalii. Maluje go sam sobie dalej w wyobraźni! A jeśli jeszcze do optyki dodasz i akustykę, to jest, jeżeli zechcesz wyobrazić ciągły szum fal z dołu od morza, a ciągły turkot i gwar z góry od miasta, zlewające się w jeden akkord w uchu spektatora: to

będziesz miał przez imaginacyą tę samą sensacyą, cośmy miewali codziennie od rana do nocy, to siedząc gdzie pod cieniem mirtu albo lauru, to włócząc się po górach i płaszczyznach nad morzem, dla zwiedzenia coraz nowych okolic, lub szukania coraz nowych widoków. Adam bowiem, zaraz po przyjeździe oświadczył, że ponieważ tu jest królową Natura, nie Sztuka, więc i my powinniśmy najprzód adorować pierwszą, a oglądanie wszelkich osobliwości ręką ludzką zrobionych, odłożyć dopiero na później. Same jednakże własne nogi nasze nie starczyłyby może na to, aby w ciągu jednego tygodnia obaczyć tyle, cośmy już widzieli, gdyby nie nasz nieoceniony pan Alexander Potocki, który ma codziennie powóz na cały dzień najęty, a sam rozmiłowany w pięknościach Neapolitańskich okolic, chce je też sam co prędzej Adamowi okazać. Że jednak Adam częściej lubi milczeć niż mówić, częściej dumać niż słuchać, więc zwykle rano we dwóch wędrujemy sami, a na obiad lub na wieczór dopiero łączymy się z naszym amfitryonem. Onegdajszą zwłaszcza taką ranną wycieczkę liczę do najefektowniejszych momentów podróży. Poszliśmy brzegiem morza, chcąc obejść przylądek *Pausilippu* i obaczyć sławną zatokę *Puzzoli*, nad którą leżą *Baje*, to Elyseum dawnych Rzymian, opiewane przez wszystkich poetów, zamieszkiwane kolejną przez wszystkich wielkich ludzi i wielkich dygnitarzy rzymskich, siedlisko ich rozkoszy i pychy, miejsce popisów zbytku i najwyuzdańszej rozpusty. Adam, który był w dobrym humorze, przytaczał jedno po drugim różne

o nich historyczne i poetyczne wspomnienia, łącząc z niemi i Wileńskie lekcye Grodka, z których sam kiedyś najprzód dowiedział się o nich, a teraz idzie miejsca te obaczyć. Szliśmy tedy w najpoetyczniejszym nastroju; ale że i słońce szło razem, (coraz wyżej, jak my pod górę), towarzysz ten tak jał nam w końcu dokuczać, że pod każdy cień drzew przydrożnych uciekaliśmy od niego, jak dłużnicy od wierzyciela.

A że przytém i mdłe ciało
„Panem!“ wołać zaczynało:

Adam, obyczajem głodnego Polaka, zaczął się powoli niecierpliwić, aż nakoniec rozgniewał się na dobre i chciał zaraz nazad powracać. Z wielką biędą, jak niegdyś Kolumb u swoich towarzyszy, wyjednałem, że jeszcze kwadrans mieliśmy iść naprzód — i doznaliśmy w końcu pociechy Kolumba! — Przy wyjściu jakby z wąwozu pomiędzy skałami, na skrócie drogi, raptem, i cała od razu, ukazała się nam zatoka Puzzoli — najcudniejsza Fata-Morgana — ze swojemi trzema wyspami, (Nisità, Procidą i Ischią), z amfiteatrem malowniczych gór i pagórków, przedzielną od morza prześlicznej zieloności równiną, na której leży miasteczko Puzzola, a naprzeciw, na drugiej stronie zatoki, Baje, i przylądek Mizeński. Trud, głód i zły humor Adama zapomniały się w jednej chwili, jakby je *venticello del mare*, (mówiąc słowami Gosławskiego), za jednem tchnieniem „nowém czuciem wywiął.“ A uczuciem tém był podziw i zachwyt. Przyszła jednakże kolej i na śniadanie w Puzzoli, po

którem, nie już piechotą, ale łódką o dwóch wiosłach i z żaglem, wróciliśmy w sam czas na obiad, z którym nas czekał Potocki. Żegluga trwała półtorej godziny, a ciągle nowe nadbrzeżne widoki, pyszne ville, ogrody, gaje palm, laurów, pomarańcz; samo morze przejrzyste jak kryształ, mieniające się w różne barwy jak opal, a kołyszące nas zlekka jak do snu, uczyniły też tę całą przejażdżkę podobną do rozkosznego sennego marzenia. Samó dno morskie, które doskonale widać, ma coś w sobie dziwnie uroczego. Kamienie okryte trawą, a oświecone blaskiem słońca z góry, wyglądają formalnie jak szmaragdy lub malachity. A są także i ruiny podwodne—i te owszem należą do najciekawszych osobliwości zatoki Puzzolskiej; — ale ci ich po szczególe opisywać nie myślę.

Po obiedzie, Potocki powiózł nas znowu w te same okolice, tylko że inną już drogą, to jest przez sławną Grotę *Pausilippo*. Czytając kiedyś o niej w „*Cudach Natury*“ Staszica, wyobrażałem sobie coś nadprzyrodzonego; a jest to po prostu droga wykuta w skale, jakby długi, ciemny, sklepiony korytarz, przerzynający w poprzek całą górę, oświecony lampami zwieszonemi ze sklepień, a mający dość szerokości, aby się dwa powozy rozminąć w nim mogły. Cała jego nadzwyczajność jest w tém, że ludzie, i to jacyś przed Rzymianami jeszcze, mieli ochotę i widać potrzebę, kopać się jak krety pod ziemią, mogąc górę bokiem objechać. Wprawdzie dzisiaj Anglicy, jak słychać, dokonywają cudowniejszego daleko dzieła, kopiąc podziemny tunel pod Tamizą. Ale dla Angli-

ków, u których „czas jest pieniądzem,” (*Time is money*), przekop taki, będzie to formalna kopalnia złota, gdyby się dało obliczyć na tysiące i funty szterlingów, ile przez to codzień na czasie mieszkańcy Londynu zyskają. Czy taki, albo czy inny był cel Groty Pausilippu, nikt nie wie; ale że ona sama była zawsze przedmiotem podziwu, za dowód między innymi i toby mogło posłużyć, że w wiekach średnich uważano ją za dzieło czarów, przypisując je sprawie „wielkiego czarnoxieźnika Wirgiliusza,” którego imię w ten sposób w ustach ludu widać słynęło. Źródłem téj klechdy gminnej był zapewne nie sam tylko grób jego, znajdujący się dotąd w pobliżu wejścia do groty od strony miasta, ale i rozszerzone powszechnie naówczas, a do dziś dnia trwające mniemanie, że wulkaniczne okolice z drugiej strony góry, noszące nazwę „Pól gorejących” (*Campi phlegrei*), służyły właśnie autorowi Eneidy za wzór do opisu topografii piekła, które bohater jego w VI pieśni nawiedza. Podziemna droga Pausilippu miała właśnie być wejściem do niego. Jakże zaś tam fajerwerki i sztuki wyprawiali kiedyś Pluton z Wulkanem, świadczą dotąd nie tylko wygasłe kratery, ale nawet ziemia i woda. I tak np. sławna w Puzzoli świątynia Serapisa, nie była jużciż budowana na morzu, a przecież, podług dowodzeń uczonych archeologów, przez lat sto najmniej musiała być całkiem pod morzem, które dziś znowu tylko u stóp się jęj płaszczy. Jezioro *Agnano*, gdzie się lęgną same węże nie ryby, nie exystowało nawet za Rzymian, a wytrysnęło jakoby w skutek

wybuchu *Solfatary*, pochłaniając mieszkania ludzi, których zwaliska dotąd widać na dnie wody. A cóż dopiero powiedzieć o tak zwanéj *Nowéj Górze* (Monte Nuovo), wysokiéj na 400 stóp, a mającej obwodu $\frac{3}{4}$ mili naszéj, która w piérwszéj połowie XVI wieku, przez jedną noc, podczas trzęsienia ziemi, jak grzyb z jéj łona wyrosła, zasypawszy gruzem domów i piaskiem połowę Lukryńskiego jeziora, które samo zajmuje miejsce jakiegoś zgasłego wulkanu. Miły kraik! nie prawdaż? Adam z najżywszém współczuciem wchodził w położenie biédnych mieszkańców, którzy nagle zbudzeni w nocy, poczuli się, razem z domami, podniesionymi w powietrze, nim wraz z nimi nakoniec w głąb jeziora runęli.

Pod wrażeniem tych wulkanicznych obrazów, powróciwszy nad wieczorem do miasta, trafiliśmy w sam raz jakby na „taniec (polonez) na wulkanie,“ to jest, na codzienny wieczorny spacer największego i najmniejszego tutejszego świata, czyli tak zwane *Corso*, które tu, jak wszędzie we Włoszech, odbywa się po ulicach miasta, a zaś tu codzień jest takie, jak w Rzymie tylko podczas karnawału. Jest to formalnie letni teatr pod gołym niebem. Parter stanowią piersi, krzesła konni, powozy łoże, z których piękne i strojne damy przypatrują się więcéj spektatorom niż scenie, i same dla parteru i krzeseł najciekawszą część widowiska składają. Scena wszakże tutejsza, z powodu dekoracyj swoich, nie ma pewnie równéj na świecie. Składa ją najprzód ulica *Toledo*, najwspanialsza, najdłuższa, najszersza ze wszystkich, przerzynająca wzdłuż całe miasto od góry do dołu, i łącząca się

z nadbrzeżnemi, z których ostatnia *Chiaja*, dosięgająca groty Pausilippu, jest ostatecznym celem i kresem spaceru. W istocie trudno coś nad nią piękniejszego wymarzyć. Z jednej strony rząd pysznych gmachów, z drugiej morze — a nad niem wzdłuż całej ulicy, najcudowniejszy ogród czy bulwar, pełen cienia, świeżości i woni, najpiękniejszych drzew, fontann i kwiatów. Jest to owa sławna *Villa Reale*, o której bezwątpienia słyszałeś, a w której tak się łatwo można rozmiłować, że człowiek gotówby dla niej żywota Lazzaronów zazdrościć.

Ale bo téż te biędne Lazzarony nie zasługują wcale na tę opinię, jaką my o nich zwykle mamy w ogólności. Ja przynajmniej, przyjeżdżając do Neapolu, myślałem, że to jest jakaś zgraja żebraków, obdartusów, brudasów, mrówiąca się nad morzem jak *frutti di mare*, lub wygrzewająca się na słońcu jak *foki*; ale sam teraz, przypatrzwszy się bliżej, stanowczo owszem biorę ich stronę. Bo najprzód z samój powierzchowności, jest to najbardziej malowniczy okaz tu-tejszego ludu. W pół nadzy, prawda, ale nie obdarcici—bo koszula zakasana po łokcie a spodnie po kolana, jest to ich zwyczajny uniform. Zdobi go zwiazka koszuli u szyi, zwykle jaskrawego koloru; czasem pas lub szarfa takąż w pół ciała, a zawsze szkaplerz na piersiach i czerwona czapeczka, a raczej kołpak, na głowie. A że przytém są rośli i krzepcy, i do czarności prawie ogorzali od słońca: postać taka nad brzegiem morza, albo w łódce wsparta na wiosle, gwałtem się sama pod pendzel naprasza. A co się tyczy ich

sposobu życia — to czyż to nie jest najdoskonalsze zastosowanie w praktyce Epikurejskich zasad filozofii i poezji rzymskich, pisanych przy Falernie i Chloi? Bo skoro użycie życia, podług swego upodobania i dla swojej tylko rozkoszy, ma być jego podstawą i celem to każdy tutejszy *Lazzarone* wartby ująć pod tym względem za ideał filozofa i poety, tém bardziej, że główne jego upodobania są czysto duchowej natury, a on sam nie ma nawet próżności i pychy. Dyogenes kryjący się w beczce od słońca i noszący płaszcz, choć dziurawy, potrzebował jużciż więcej, a więc mniej był niezależnym od Lazzarona, któremu kosz na głowie od skwaru, a lada płachta od zimna wystarcza. Najbardziej zaś spirytualny lub nawykły do głodu poeta, nie wiem, czyby umiał poprzestać na tak skromnym ziemskim posiłku, na jakim woli codzien przestać *Lazzarone*, byle zarobkowaniem na większy nie skracać sobie czasu na *dolce farniente* i marzenie o niebieskich migdałach. Bo nie jest on bynajmniej mdły i leniwy, póki głodny. Tragarze w porcie i w mieście, wioślarze i przewoźnicy w łódkach, pomocnicy rybaków przy wyciąganiu sieci, i w ogólności wszyscy robotnicy najemni, należą tu do klasy Lazzaronów, i pracują gorliwie i szczerze, dopóki nie zarobią na bochenek chleba lub talerz makaronu, który tu wszędzie w kotłach warzą na ulicach. Ale gdy mu głód nie doskwiera, *Lazzarone* jest jak syty wąż boa, któremu posadź królika na nosie, a będzie jeszcze się lenił otworzyć paszczkę, aby połknąć tego biedaka. To też gdy z *Vilu Reale* widzę razem, po jednej stronie Lazzaronów, wy-

legających się sobie nad morzem lub w łódkach, a po drugiej wielkich panów i panie, rozpartych w powozach na *Chiaja*, nieraz sobie zadałem pytanie: kto z nich swobodniej i miliej używa chwili obecnej? czyli, kto w niej jest rzeczywiście szczęśliwszym? Mógłbym z tego, co przemyślałem, napisać o tém cały traktat. Z własnego wszakże doświadczenia wiem tylko, że po godzinach codzien, na wzór Lazzaronów, patrząc na niebo i morze, i upajając się morskiem powietrzem, nie znudziłem się dotąd ani razu; wjechawszy zaś onegdaj w szereg powozów od strony Pausilippu i poruszając się w nim noga za nogą, jak za konduktem, takżeśmy się wszyscy znudzili, że nie skończywszy jednego *turu*, a nie mogąc wycofać się z szeregu, wysiedliśmy z powozu i piechotą uciekli do hotelu *Vittoria* na Chiaja, gdzie właśnie mieszka Potocki. Prawda, że nas czekała tam z herbatą panna Anastazyja Klustin, przybyła z Rzymu dniem przedtém, z matką i z bratem, (*Monsieur Simon*), który do nich na całe lato przyjechał. Dobry chłopiec, jak widać, ale jakoś nie naszego nastroju. W pół *dandy*, w pół literat, a zagorzały Bajronista. Od pierwszego zaraz spotkania, starliśmy się w dyspacie o tém i o owém, ale w sposób bardzo przyjazny, jak grzeczni rycerze w szrankach, którzy szturchnąwszy się kopijami, zaraz potem dłoni sobie podają. Ufam, że pomimo tych różnic w zapatrywaniu się na wiele rzeczy, znajdziemy z nim *modum vivendi*, tém bardziej, że panna Anastazyja stoi w środku pomiędzy nami, a on, jak widać, respekt jój dla Adama podziela. I jest to rzecz

dziwnie pocieszająca widzieć, jak wszyscy jego ziomkowie, a mianowicie ziomki, należące do najwyższych sfer towarzyskich, wiedzą i mają jedną opinię o Adamie, którą zwykle bliższe poznanie do admiracyi potém podnosi. A mamy téż tu i znajomego z Wilna, p. Władysława Pusłowskiego, który mieszka w tymże hotelu, i żyje w wielkim świecie tutejszym, pozując sam na wielkiego pana, czego w Potockim nie ma ani cienia. To téż tego ostatniego Adam lubi jak mało kogo, a co on, to prawdziwie kocha się w Adamie—za co znowu ja go téż kocham. On, Feliś, Symon Klustin i ja, odwieźliśmy łódką Adama na statek, który już stał za portem i buchał parą jak wrzący samowar. Przyjechał tu także z Rzymu i Jaźwiński — i gdyby nie ta nieszczęsna monomania tabelkowa, byłby z niego nader miły towarzysz; bo i dobry człowiek, i wiele umieć, i nadewszystko w obejściu prostota i serdeczność litewska, bez żadnej blagieryi i fanfaronady. Sama ta jego nawet tabelko-mania, jest to tylko przepełnienie myśli jednym przedmiotem, a nie przechwałka ze swego wynalazku.—Jutro z nim i z Felisiem jedziemy na cały dzień do Pompei, i koniec tego listu do powrotu odkładam.

18 Maja.

Z prawdą i bez przesady mógłbym dzisiaj powiedzieć o sobie, że byłem *na drugim świecie*, i gdybym ci chciał zdawać sprawę z jego wrażeń, musiałbym

chyba pozować na Danta. Nie mam wcale do tego pretensyi, i nicby ci z tego nie przyszło. Nie przeleję w ciebie uczucia, którego sam doznawałem, widząc się jakby przeniesionym o dwa tysiące prawie lat wstecz w przeszłość; to jest, widząc w około siebie—nie gruzy, nie szczątki, nie ślady tego, co było, ale wszystko to samo, i tak samo, jak było wtedy — przed dwoma tysiącami lat!!! A kiedyż przytém pomyślisz, jak to przez ten czas wszystko na całym globie ziemskim przewróciło się do góry nogami; wszystko, co wtedy było i zdało się wieczném, w otchłań czasu i zniszczenia runęło; a ta jedna miejscina, którą właśnie naówczas za straconą i zniszczoną poczytywano; nad której losem zapewne cały ówczesny świat ubolewał; że ona jedna dziś tylko rzeczywiście exystuje na świecie — a exystuje na to tylko, zda się, ażeby światu dzisiejszemu dać wyobrażenie o tamtym; a exystuje przez to tylko, że ją zniszczenie przez naturę, ochroniło od zniszczenia przez ludzi!... A kiedyż przytém wyobrazisz sobie, co to się musiało dziać w tych miejscach, w tych domach, na tych ulicach — gdy przy wybuchu jakby piekła z ziemi, przy rozwścieczeniu wszystkich elementów: ognia, powietrza, morza i trzęsieniu ziemi, biędni ludzie, nie mając gdzie uciekać, czuli się zagrzebywani żywcem przez gorące popioły i piasek, co im niebo i słońce śród dnia nocą zaćmiły!... Otóż kiedy to wszystko pomyślisz sobie i wyobrazisz—co za dziw, że pierwsze chwile bytności w Pompei wprawić muszą człowieka w taki jakiś filozoficzno-peetyczny zamęt, że aby zawrótu głowy nie dostać, trzeba chyba klin

klinem, jak to mówią, wybijać, to jest, upić się na w pół przy śniadaniu, (jakeśmy właśnie zrobili), aby już potem tylko okiem wojażera terażniejszą Pompeję oglądać. — Ale tu znowu nowy chaos i labirynt! Wszystkiego jużciż nie obejrzysz od razu — a co wybrać? od czego zacząć? Chcesz wiedzieć, co to jest, na co patrzysz? to albo musisz pytać żywego przewodnika, albo doczytywać się w drukowanym; a zaś jeden i drugi tak cię swoją erudycją odurzają, że nie pamiętasz nic z tego, co mówią, a sam przez siebie nie masz czasu pomyśleć o niczem. Otóż ja pomyślałem najprzód, nie chwaląc się, bardzo rozumnie, że trzeba jakoś uciec od Jaźwińskiego, który sam z *Guidem* w ręku chciał być *Ciceronem*, i zostawiwszy mu na pastwę Felisia, puściłem się na oślep w głąb miasta — i póki wino nie wyszumiało z głowy, przebiegłem je sam jeden wzdłuż, wszerz i na ukos. Nie wiem i nie pamiętam dobrze co widziałem, ale to wiem, iż czułem, że jestem w Pompei. Trwało to najmniej z godzinę, aż nakoniec, wytrzeźwiwszy się z marzeń, złączyłem się z towarzyszami, aby z nabytych już przez nich w tym czasie wiadomości i wiedzy korzystać.

Pompeja jestto nie tylko szkielet czy, „mumia miast,” jak mówi gdzieś Adam, ale tak doskonale zakonserwowane ciało nieboszczki, zmarłej nagle przed 1750 laty, (79 roku Ery naszej, 23 Listopada), że z rysów jej możesz charakter, a z czamary modę ówczesną odgadnąć. Stosuje się to zwłaszcza do zewnętrznego i wewnętrznego urządzenia domów, z czego już uczony archeolog może wnioskować dalej o całym domowym

życiu dawnych Rzymian, jak sławny Cuvier, z rozrzuconych kości mammuta, odgadł podobno cały dawny kształt jego, w jakim kiedyś paradował na świecie. Mnie wstyd jakoś, wyznaje, popisywać się przed wami z erudycją, nabytą świeżo z *Guide du Voyageur*, ale „czém chata bogata, tém rada.“ I ja też nie dla popisu to robię. Ale trzebaż przecie dać jakieś wyobrażenie o tém, co się mówi, tym, co sami tego nie widzieli i widzieć może nigdy nie będą.

Otóż tedy Pompeja, na pierwszy rzut oka, wygląda jak spalone miasto; same ściany bez dachów. Przyjeżdża się do niej od strony Neapolu dawną drogą Appijską (*Via Appia*), brukowaną na płasko bryłami kamienia, która potem jako ulica wzdłuż przez całe miasto przechodzi. Najprzód po obu jej stronach widzisz dawne grobowce, niektóre bardzo piękne, a tak świeżo wyglądające, jakby przed laty kilku postawione. Przed bramą *Herkulańską*, przez którą się wchodzi do miasta, sławny *Dom Dyomeda*, jeden z największych, bo ma aż trzy piętra i najprzód odkopany. W piwnicach jego znaleziono kilkanaście szkieleatów, które się w proch podobno za wejściem powietrza rozsypały. Na ścianach widać dotąd znaki postaci osób, które się do niej w przestrachu tuliły, i tam przez popiół zagrzebane zostały. Są tu jeszcze i inne domy, między innymi Cicerona; całe zaś to przedmieście zowie się *August-Felix*. Od bramy Herkulańskiej, na prawo i na lewo rozciągają się obwodowe mury, wysokie na 20 przeszło stóp i dość szerokie, z których prześliczne widoki: z jednej strony na morze,

z drugiej na góry i na Wezuwiusz, a najciekawszy na samą Pompeję. U stóp leży część odgrzebana ($\frac{1}{4}$ ledwo całości); dalej zielona równina, jak mogiła pokrywająca resztę, i za nią, na samym końcu, jeden tylko z téj strony odkopany dotąd amfiteatr, w kształcie rzymskiego Kolosseum, i gdzie właśnie odbywało się widowisko, kiedy wybuch wulkanu nastąpił. Ulic w mieście jest już odgrzebanych ze dwadzieścia; wszystkie prawie proste i tak ciasne, (izby mieć cień od słońca), że można niektóre jednym susem przeskoczyć. Brukowane na płasko, jak droga Appijska, po obu stronach mają podwyższone chodniki. Tu i ówdzie znać ślady kół; ale że też musiano jeździć konno po mieście, świadczą kamienne stopnie do wsiadania na koń. Przy zbiegu kilku ulic są zwykle fontanny, suche dziś, ma się rozumieć, ale piękne i wyglądające jak nowe. Domy są w ogólności niskie, najwięcej o dwóch piętrach, i wcale nie pozorne na zewnątrz. Rozkład zaś ich wewnętrzny wszędzie prawie jest taki, z różnicą, ma się rozumieć, obszerności, bogactwa i ozdób: Z ulicy wchodzi się najprzód wprost, albo przez rodzaj sieni, na pierwszy dziedziniec, zwany *atrium*, przeznaczony do przyjmowania gości i interesantów, (rodzaj domowego *Forum*, albo dzisiejszej naszej sali posłuchalnej). Jest on zazwyczaj kwadratowy, sklepiony, oświetlony przez otwór z góry, (*compluvium*), przez który też woda deszczowa spływała do fontanny, czyli raczej do kamiennego zbiornika, znajdującego się w pośrodku, (*impluvium*). Portyk otaczający ten dziedziniec nazywał się *cavaedium*.

W nim były izby sypialne (*cubicula*), niskie, ciasne, bez okien, przeznaczone dla sług domowych, a gorsze od bud dla gończych u dobrego myśliwca. Za toż w głębi *atrium*, główna sala dla przyjmowania gości (*tablinum*), i w niektórych domach dwie boczne, zwane skrzydłami (*alae*), na tenże cel służące, odznaczały się zwykle bogactwem i przepychem ozdób. Tu, jak u nas w izbach jadalnych, znajdowały się portrety przodków i droższe pamiątki rodzinne. Z *atrium* wprost, albo przez wązki korytarz, zwany *fauces*, wchodzi się na drugi dziedziniec, *peristylum*, stanowiący właściwe wnętrze domu. Jest on też czworokątny, ale bez dachu, otoczony dokoła sklepionym krużgankiem na kolumnach, połączonych pomiędzy sobą niskim murem jak do oparcia (*pluteus*). Ten dziedziniec był właściwie salonem Rzymian, i tu cały dzień przepędzali. Bogatsi mieli namioty do rozciągnięcia nad nim zamiast dachu, całkiem albo częściowo, podczas skwaru lub deszczu. Pod krużgankiem, dokoła dziedzińca, mieściły się izby oddzielne, na różny cel przeznaczone, jako to: jadalna, zwana *triclinium*, (od trzech łóżek w około stołu, na których, jak wiadomo, Rzymianie leżąc uczyli swe spożywali); izba do konwersacji, *exedra*, z ławkami ustawionymi w półkole; *biblioteka*; *pinacotheca*, czyli galeria obrazów; *lararium*, czyli kaplica bogów domowych, i kąpiel albo łaźnia. W samej głębi tego dziedzińca, brukowanego zwykle mozaiką lub drogim marmurem, znajdowało się, równie jak w samym środku, miejsce wolne na zasiew kwiatów i krzewów, zwane *xy-*

stus, służące téż za *triclinium* na lato. Tu zazwyczaj były fontanny. Po za tym *quasi* ogródkiem, i, jak gdzieś niegdzie, z wyjściem na ogród większy z drugiej strony domu, była najozdobniejsza salka, zwana *oecus*, przeznaczona widocznie dla kobiet, których mieszkania w wielu domach większych były całkiem oddzielne od męzkich, urządzone na wzór wschodnich haremów i strzeżone przez niewolników. Część domu przez nie zajęta zwała się *gynaeceum*, część zaś męzka: *andronitis*. Ściany tych izb i krużganków były wszędzie malowane *al fresco*, na tle zwykle czerwonym lub błękitnym, w girlandy, kwiaty, ptaki, zwierzęta i pojedyncze osoby. Malowidła te, obok mozaikowych posadzek, kolorowych marmurów, kolumn, fontann i obszerności dziedzińców, oznaczały głównie bogactwo i wspaniałość domu. We wszystkich bez wyjątku, izby sypialne (*cubicula*), czy to dla panów wkoło *peristylu*, czy dla sług wkoło *atrium*, przerażają swém podobieństwem do psich bud albo do grobów. Trudno pojąć, jak przepędzając dzień cały na wolnym powietrzu, mogli oddychać w nocy i nie podusić się w tych norach. Nigdzie téż nie ma śladu nie tylko pieca, ale nawet kominka, a także nigdzie stajni dla koni lub bydła. Znalezione szkielety tych zwierząt leżały wszędzie na dworze pod gołym niebem. W ogóle, co do wygody i przyjemnego wewnątrz urządzenia mieszkań, nie ma czego zazdrościć Rzymianom. Pozór i przepych widać im wystarczał. Zresztą większą część życia przepędzali w miejscach publicznych za domem. Izby na piętrach służyły tyl-

ko na składy i na mieszkania niewolników. Pierwsze tylko piętro miało okna wychodzące na ulicę. We wszystkich bez wyjątku domach, w zewnętrznej ścianie od ulicy były sklepy, z wypisaném czerwono nad nimi imieniem kupca i ze stosownemi szyldami. Zszyld szkoły np. między innemi służył wizerunek pedagoga, ćwiczącego różgami malca, którego drugi starszy trzymał za ręce zawieszzonego na plecach, to jest jak u nas mówią, *na barana*. Widać, że i Mimerwa, jak nasz elementarz, radziła: „Rózczką popędzać rozumu do głowy.“ Nazwiska téż właścicieli domów znajdują się wypisane nad wejściem. Mimo to, dzisiejsze nazwy domów odgrzebanych, jako téż ulic, nadane im zostały dowolnie, najczęściej od znalezionych w nich sprzętów, albo przedmiotów sztuki, które wszystkie, a nawet i piękniejsze *freski*, wraz z tynkiem, do muzeum w Neapolu przenoszą. Powiem może co o nich, jak je tam zobaczę. Tu dodam jeszcze słówko o *Forum*, które mię zachwyciło najbardziej. Jest to plac na 344 stóp długi, a 107 szeroki, otoczony z trzech stron portykami na kolumnach, między którymi stały posągi zasłużeńszych obywateli. Około tego placu wznoszą się najwspanialsze świątynie i gmachy; między innemi tak zwana *Basilica*, pyszna budowla, gdzie się odbywały sądy publiczne. Pod trybuną, na której zasiadali sędziowie, znajdowało się właśnie więzienie, z którego nie wychodząc obwinieni, przez dwa otwory u góry odpowiadali na czynione im zapytania i słuchali wyroku.—Wartoby jeszcze wspomnieć o *thermach*, to jest kąpielach, i o teatrach, ja-

ko najulubieńszych miejscach zabawy i zgromadzania się Rzymian; ale nie mam już na to miejsca ani czasu, chcąc list dziś koniecznie wyprawić. Powiem więc chyba tylko, że teatrów tych dotąd odgrzebanych jest dwa: tragiczny i komiczny, pierwszy większy na 5,000, drugi na 1,500 spektatorów. W obu ci spektatorowie siedzieli pod gołym niebem, na ławach czyli stopniach z białego marmuru, podzielonych na 3 piętra i na 5 oddziałów, poprzecznymi niskimi murami i wschodami od dołu do góry. W szczególnych tylko razach rozciągano nad nimi oponę z płótna, *velarium*, dla ochrony od słońca lub deszczu, o czém z góry ogłaszały afisze, mówiąc: „*Vela erunt.*“ Piętra niższe i bliższe sceny, przeznaczone były wyłącznie dla klas uprzywilejowanych i miały osobne wejście, podobnie jak galerye dla kobiet, zajmujące najwyższe stopnie i zasłonięte kratą żelazną, ażeby same spektatorki nie mogły się wystawiać ani służyć za spektakl. Na samym dole, między ostatnim stopniem a sceną, było jeszcze trzecie miejsce osobne dla urzędników publicznych, zwane *orchestra* i mające siedzenia z brązu, *biselia*. Bilety wejścia, stosownie do miejsc, były z kości, *terrakoty*, lub z brązu. Sama właściwa scena, *proscenium*, na której występowali aktorowie, poprzedzona platformą (*pulpitus*), na której mieściły się chóry, jest wcale krótka, to jest nie głęboka. Całą jej dekoracją, (których zmian zgoła nie znano), stanowiła ściana w głębi, ozdobiona malowidłami, posągami i kolumnami, z trojgiem drzwi, przez które aktorowie wchodzili. Rozciągające się po za nią *post-*

scenium, było tém, czém dziś są za-kulissy i garderoba aktorów. Kuliss bocznych wcale nie było. — Urządzenie wewnętrzne cyrku, to jest amfiteatru za miastem, mogącego pomieścić od 15 do 20 tysięcy widzów, było podobne do urządzenia teatrów, z tą różnicą, ma się rozumieć, że scenę zastępowała *arena*, a miejsce *postscenium*: z jednej strony murowane klatki dla dzikich zwierząt, z drugiej izby dla gladyatorów, mających, dla przyjemności szanownej publiczności, bić się na śmierć pomiędzy sobą, lub dać się pożreć przez lwy i tygrysy. Bo to był cel i przedmiot wyprawianych tu igrzysk, podczas których, jak już wspominałem, właśnie wybuch wulkanu nastąpił.

„Tak to na świecie
Wszystko się plecie,
Aż jako śmiecie,
Śmierć wszystko zmiecie

Z kolei.“—

To, jak pieczętkę,
Miěj na pamiątkę
Z Pompei!

i—bądź zdrów!

III.

Do Juliana Korsaka.

Neapol, 22-go Maja 1830 r.

Postanowiłem był nie pisać aż do powrotu Adama, który dziś miał właśnie nastąpić. Tymczasem zamiast spotkania go w porcie, otrzymałem tam tylko wiadomość, że się statek zatrzymał w Messynie i za trzy dni dopiero przybędzie. Nie pisałbym więc i dzisiaj, gdyby nie miłe zdarzenie, od którego warto list zacząć.

Zasmucony, wprost z portu puściłem się bez celu na góry *Vomero* i *St. Elmo*, piętrzące się nad miastem od strony Pausilippu, gdzie się właśnie znajdują najpiękniejsze ogrody i ville. Królową ich jest tak zwana *Villa Floridiana*, od imienia kochanki a potem drugiej żony króla Ferdynanda I, która tytuł *Xiężny Floridii* nosiła. Wiedziałem, że tam wchodzić bez pozwolenia nie można, ale widząc przemknęta boczną fórtkę u bramy, dałem je sam sobie — i wszedłem.

Ogród godny królowej i nazwy swojej od bogini kwiatów. Mnogość ich i rozmaitość zadziwia, a powietrze tak przesycone wonią, że możnaby powtórzyć z Byronem:

*„Here the light wings of zephyr, oppress'd with perfume,
Wax faint o'er the garden of Gul in her bloom.”*

(Lekkie skrzydła zefiru, obciążone wonią,
Słabną tutaj w przelocie nad kwiecistą błonią).

A cóż mówić o klombach z róż? o altanach i gajach palmowych? o ulicach wśród mirtów i laurów? o trawnikach jak strzyżony axamit? a nadewszystko o przeducnym widoku na morze, który za każdym stąpieniem pod górę, coraz szerszy horyzont ogarniał? Czułem się jak w ogrodzie Armidy; a nie powiem, żeby i świadomość zakazu nie dodawała uroku wrażeniom. Nagle, przy wyjściu z cienistego szpaleru, słyszę jakiś krzyk niezwykajny, ostry, dziki, przeraźliwy, niepodobny do żadnego znanego mi głosu, a powtarzający się jak echem wzdłuż wąziłej, długiej, zielonej równiny, na którą właśnie wyszedłem. Spójrzę, aż tu i widok niemniej nowy od głosu. Stado jakichś nieznanych mi zwierząt, z pozoru coś nakształt zająców, ale bez porównania większych, na ogromnych nogach tylnych, a z króciutkimi przednimi, z szeroką torbą na piersiach, podobnie jak u pelikanów, pakuje do niej szybko swoje małe dzieci, i ucieka przede mną z krzykiem, skacząc na tych ogromnych tylnych łapach swoich i na niemniej ogromnych, długich, grubych ogonach. Dowiedziałem się później, że to były kangury; ale w tej chwili byłem pod wpływem szczególniejszego wrażenia, jakbym gdzieś w jakimś kraju nieznanym, jakieś dziwne potwory zobaczył.— Ale myślisz, że na tém koniec? To jeszcze preludium tylko do owego podobieństwa z krainą cza-

rów, która nie może przecież obejść się bez *wrózki*. Bo oto z altany naprzeciw, na krzyk pewno owych straszylek, wychodzi, a raczej wybiega — ach! wcale nie straszna sama — ale tém dla mnie straszniejsza, że piękna, a zagniewana widocznie. W staniku czarnym, sznurowanym czerwono; w kapelusiku paster skim z rozwianemi wstążkami — staje w miejscu, i mierzac mię pałającemi oczyma, dumnie i groźnie odzywa się zdaleka: „*Chi ha permesso d'intrarvi?*” („Kto pozwolił wejść tutaj?”). Zdjąłem pokornie kapelus i zacząłem od przeproszenia, tłómacząc się, jak mogłem, tytułem cudzoziemca i nieświadomością zakazu. Pokora moja widać rozbroiła surowość, gdyż zapytała już nieco łagodniej: „*Siete certo un Inglese?*” (Jesteś pan pewnie Anglik?) — „*No, signora! sono Polacco,*” — odpowiedziałem jak mogłem najgrzeczniej. — „*Polacco?*”? powtórzyła z takim jakimś akcentem podziwu i uprzejmości, że otucha wstąpiła we mnie, i śmielój już, ile mi język pozwalał, zacząłem się ekuzować ze sposobu wejścia, a widząc, że słucha cierpliwie, odważyłem się przystąpić bliżej. Nie obraziła się i nie odeszła; owszem, coraz łagodniej i z lekkim uśmiechem, raczyła mi oświadczyć, że to jest „rzecz szczególna” (*cosa strana*), iż w ten sposób widzi pierwszego Polaka, których była ciekawa widzieć.

Pojmiesz łatwo, że się zaciekawilem nawzajem: dla czego? i wyformułowawszy najgrzeczniejsze pytanie, dowiedziałem się z odpowiedzi, że stryj czy wuj (*il zio*) téj wrózki, jako oficer w wojsku króla Murata, odbywał kampanię 1812 roku, i kolegując z wielu

Polakami, doświadczył od nich wiele uprzejmości i zawsze o nich czule i serdecznie wspominał. Ma się rozumieć, że nie zaniedbałem powiedzieć, iż ma teraz właśnie sposobność odwzięczenia za swego stryja, jeżeli jednemu z Polaków raczy przebaczyć mimowolną zuchwałość wejścia i pozwoli do końca obejrzyć ogród. O przewodnictwie ani mowy nie było; pomyśleć nawet o tém nie śmiałem. Ale kiedy w dalszej rozmowie, która się jakoś przedłużała sama, dowiedziałem się, że jest córką „dyrektora” ogrodu; i gdy ta rozmowa powoli przybrała wcale przyjacielski charakter; odważyłem się w końcu i na ten projekt, który, ku wielkiej radości, a nawet i ku podziwieniu mojemu, bez oporu przyjęty został. Tak więc z groźnej nieprzyjaciółki, która mogła mię kazać wypędzić, zyskałem nagle istną *Beatricę*, która mi, jak owa Dantowi, sama w tym ziemskim raju przewodniczyć raczyła. Nie wątpisz, spodziewam się, że i nastrój myśli moich i uczuć był téż całkiem rajskiej natury, i temu to bez wątpienia, jak sądzę, winien byłem nawzajem ten dowód uprzejmości i zaufania z jéj strony. Dość, że oprowadziła mię po całym ogrodzie, pozwoliwszy podać sobie rękę pod górę, co już potem i na równinie zostało. A nigdy téż i z moją włoszczyzną nie szło mi jakoś tak gładko, nie pod względem grammatykalnym zapewne, ale że słów jakoś nie brakło. Wprawdzie manewrowałem taktycznie, ażeby co najwięcej pytać tylko i słuchać. Była jednakże mowa i o Polsce, o jéj klimacie i ogrodach; a już ja sam bez pytania dodałem o uwielbieniu Polaków dla wszystkiego, co

piękne. Nawzajem dowiedziałem się, że ta villa, po śmierci królowej, przeszła teraz na własność hrabiostwa *Santangelo*, i że chcąc mieć wolny wstęp do niej, powinienem się udać do intendenta pałacu *Santangelo*, którego mi adress wskazano, a przyszedłszy już z biletem pozwolenia, mocno u bramy wchodowej zadzwonić. Nie powróciłem już wszakże do téj bramy, bo moja uprzejma przewodniczka, dla skrócenia mi drogi, wypuściła mię małą fórtką od strony góry *St. Elmo*, a która tylko z wewnątrz się otwiera. Pożegnaliśmy się bardzo przyjaźnie, a ja upojony wonią kwiatów i rozmarzony poezią chwili, wyszedłem deklamując sam sobie „*Pożegnanie Justyny*,” Karpińskiego. Bo i moja ta wróżka ma imię *Giustina*, i zawsze mię szczególniej zachwycala ta strofka:

„Nikt nie widział, nie szydził,
Niebo świadek jedyny.
Jam się Nieba nie wstydził,
Miłość była bez winy.”

Dziś tu nawet właściwie i mowy o miłości nie było, a tylko prosty urok poetycznej idylli. Jutro idę do intendenta — a o drugim spotkaniu donieść nie omieszkam.

A teraz, co porabiałem od powrotu z Pompei? Pracowałem, odpoczywałem, bawiłem się. Pracę składało oglądanie co rano muzeum, albo zwiedzanie kościołów, w towarzystwie Felisia i Jaźwińskiego; odpoczynek, samotne dumanie i patrzenie na morze w *Villi Reale*; zabawę, spacerowe przejażdżki z Po-tockim albo z Klustinami, i teatr. Korzyść największa

bodaj z odpoczynku. Bo nie to, co wół skubie chodząc po pastwisku, ale co leżąc potém spokojnie sobie przeżuje, idzie istotnie na jego posiłek. To téż i *obrok duchowy* wojażera stanowi nie to, co widzi, ale o czém potém przemyśli, jeżeli ma na to dość czasu. Chcieć np. spałęgtać to wszystko, co się widziało w muzeum tutejszém, które jest jedném z największych w Europie, byłoby prawie to samo, co chcieć nauczyć się na pamięć całego jego katalogu, który sam składa tom gruby. Domyślisz się może, że to mówiąc, chcę się wywinąć od mówienia o niém. Prawda! Powiem jednakże, że oprócz obszerności, jest ono może najciekawszém na świecie, nie tyle z powodu sławnych arcydzieł sztuki, których więcéj znajduje się gdzieindziej, jak np. we Florencyi i Rzymie, ile raczéj z drobnych zabytków starożytnéj przeszłości, naczyń i sprzętów domowych, które wszędzie, oprócz Pompei, poznikały z oblicza ziemi, a które ztamtąd tutaj przeniesiono. Rozmieszczając je myślą po domach, które się świeżo widziało, dopełnia się niejako i ożywia ich obraz. Uważane zaś same w sobie, wszystkie, od najprostszych i najuboższych, do najbogatszych i najwykwintniejszych; od glinianéj lampki kuchennéj, do kunsztownych wyrobów z drogich kruszców albo kamieni; noszą jedną ogólną cechę: artystycznego gustu w formie i wykończeniu, tak, że nieraz służą za model dzisiejszym rzemieślnikom albo jubilerom tutejszym. Zabytki te, zajmujące wiele sal na dole i na górze gmachu, składają się mianowicie: 1) z malowideł *al fresco*, na tynku, który ze ścian wyrznięto i tu

przeniesiono; 2) z mozaik, które stanowiły podłogi, a dzisiaj służą za wzór wzorzystym kobiercom; 3) z posągów i płaskorzeźb z marmuru; 4) z posągów, piersi, naczyń, sprzętów i różnych narzędzi z brązu; 5) z wyrobów ze szkła, gliny, kruszców i drogich kamieni, i nakoniec z niezliczonej liczby drobnych przedmiotów, z których każdy ma swój osobny, naukowy albo pamiątkowy interes. Mnie zajmował zwłaszcza ostatni. Niedojedzona w ądlu potrawa, niedokończony w mózdzierzu lekarstwo, odcisk piersi na stwardniałym popiele, dawały mi do myślenia więcej, niż artystyczna rzeźba na kamei, lub sztuczne arabeski z brązu albo z gliny. O tém wszystkiém opisano już tomy. A cóż dopiero mówić o całości tego muzeum, które, oprócz tych wykopalisk z Pompei i Herkulanum, zawiera jeszcze bogate zbiory starożytności Egipskich, Etruskich, Greckich, i nowszych średniowiecznych pamiątek. Właściwe dzieła sztuk pięknych, to jest rzeźby i malowidła, pierwsze na dole, drugie na górze gmachu, zajmują cały labirynt sal, galeryj, portyków i korytarzy, w których sam dotąd jeszcze zorientować się nie umiem, a więc czyż mogę ciebie po nich oprowadzać?

Ale że pewno słyszałeś o *Herkulesie* i *Byku Farnazyjskim* (*Farnese*), a nie wiesz nawet może, jak i ja nie wiedziałem, zkąd ta ich nazwa pochodzi;—powiem ci tedy najpierw, iż ztąd: że sławny ten posąg, arcydzieło Ateńczyka Glykona, i tę grupę, największą z całej starożytnej rzeźby, królowie Neapolitańscy odziedziczyli kiedyś po krewnym swoim papie-

żu, Pawle III, z domu Farnese, który je w Rzymie z thermów Karakalli odgrzebał. Herkules, chociaż niby w postawie spokojnej, ale tak cały zda się drga życiem, że sprawiedliwie jest miany za ideał siły, jak Apolio Belwederski za ideał męskiej piękności. Grupa zaś *Toro Farnese*, przypomina przygodę naszego Mazeppy. Młodą i piękną *Dirce*, kochankę króla Tebów, Lykusa, dwaj synowie mściwej Antyopy, żony tegoż króla, przywiązują w jej oczach do rogów dzikiego byka, na którego sam hiszpański *matador*, nie wiem, czyby mógł spojrzeć bez strachu. Cała ta gruppa, z jednej bryły marmuru, znacznym wszakże uległa uszkodzeniom, a nowo dorobione części nie odpowiadają, jak mówią znawcy, pierwotnemu oryginałowi, którego wizerunki, na tynku i na kości słoniowej, znalezione zostały w Pompei. Herkules był pod tym względem szczęśliwszy; bo gdy go także najprzód bez nóg znaleziono, rzeźbiarz *Della Porta* tak doskonale dorobił mu nowe, że choć się potem i stare pod gruzami znalazły, nie chciano go już amputować powtórnie. — Trzecią obok nich najslawniejszą statuą tutejszego muzeum, jest *Wenus*, zwana *Callipyge*, dłuta rzeźbiarza czy rzeźbiarki greckiej, najpiękniejsza ze wszystkich strożytnych bogiń piękności. To też stoi tu jak na ołtarzu w osobnym gabinecie, mając dokoła siebie ze dwa tuziny najmniej rozmaitych *Wener*, z których jedna podobna do Medycejskiej, druga do Kapitolińskiej, a nad którymi wszakże *Kallipiga*, jak prawdziwa bogini nad Nimfami swemi, króluje. Na niej więc kończę wzmiankę o muzeum, choć jest

jeszcze cały las posągów, które nawet po Rzymskich słuszny podziw i admiracją wzbudzają. Bo co się ty-cze galerii obrazów, ta, pomimo bogactwa swego co do ilości, nie zawiera nic wszakże takiego, co by mogło iść w porównanie z arcydziełami pędzla, jakie się już gdzieindziej widziało.

To samo słowo w słowo dałoby się powiedzieć i o kościołach tutejszych. Liczą ich około 300, a z kaplicami o połowę więcej, ale wszystkie po Rzymskich albo zdają się małe, albo nie obudzają wielkiej ciekawości. Katedra, pod wezwaniem Ś. Januarego (*San Gennaro*), patrona Neapolu, jest między niemi jedną z największych i najokazalszych. Zbudowana w stylu niby gotyckim, na ruinach dwóch świątyń pogańskich, Neptuna i Apollina, składa się też sama z dwóch oddzielnych, ale połączonych z sobą kościołów, z których drugi, pod wezwaniem św. Restytuty, stanowi jakby wielką kaplicę pierwszego. W obydwóch najciekawszym przedmiotem dla zwiedzającego są grobowce i mauzolea dawnych tutejszych królów i wielu sławnych średniowiecznych ludzi. Pod głównym ołtarzem w pierwszym, złożone są relikwie Ś. Patrona; w drugim zaś, w kaplicy noszącej jego imię, a zwanéj też inaczej *skarbcem* (*Il Tesoro*), znajduje się cudowna ampułka z krwią jego, która to krew trzy razy do roku, w maju, wrześniu i grudniu, przechodzić zwykła ze skrzepłego w stan płynny, trwający przez cały tydzień, a dni, w których się to przytrafia, liczą się tu do największych uroczystości kościelnych. W opiece też Ś. Januaryusza Neapolitańczycy pokła-

dają największą ufność i nadzieję, że ich od niebezpieczeństw ze strony groźnego sąsiada, to jest od wybuchów Wezuwiusza ochroni. Sama ta nawet kaplica, kosztująca milion tutejszych dukatów, (to jest rubli), jest hołdem wdzięczności miasta, a zarazem i uiszczeniem ślubu, uczynionego temuż Świętemu podczas grasującego tu morowego powietrza, w pierwszej połowie XVI wieku. Bogactwa jęj są ogromne w złocie, srebrze i drogich kamieniach. Biust Świętego, lany ze srebra, obwieszony jest *wotami* monarchów, między którymi odznacza się krzyż z brylantów i szmaragdów, ofiarowany przez Józefa Bonapartego, podczas gdy był królem tutejszym. W pierwszym także kościele zwraca uwagę przychodnia wielka ilość podobnychże biustów ze srebra, różnych Świętych albo dobroczyńców kościoła, ozdobionych téż klejnotami, a niekiedy i w infulach na głowie, co im wcale nie jest do twarzy. Co do posągów z brązu i marmuru, i co do malowideł olejno i *al fresco*, jest ich téż wielkie mnóstwo, jak i w innych tutejszych kościołach, z których najlepiej dotąd podobał mi się kościół Ś. Klary, całkiem w odmiennym, nowożytnym guście, chociaż także z XIV wieku datuje. Na placu zaś przed pałacem królewskim (*Largo del Palazzo*) buduje się obecnie kościół nowy, pod wezwaniem Ś. Franciszka, naśladujący zarazem Panteon i krużganki przed kościołem Ś. Piotra w Rzymie, ale który, właśnie z powodu tych krużganków, nawykłemu patrzeć na tamte, wydaje się jak ptak z podciętemi skrzydłami. W ogólności Neapol pod względem religijnym, z żadnej stro-

ny nie czyni wrażenia, a cóż dopiero w porównaniu z Rzymem? Wszędzie widocznie przeważa tu świeckość, a w samej świeckości—wojskowość. Jak w Rzymie processye xięży, tak tutaj po ulicach przeciągają oddziały jazdy i piechoty, chociaż ani w rycerzach tych, ani w rumakach, wielkiej marsowości nie widać. Jak w Rzymie mnóstwo *bambinów* figuruje w habitach mniszych, najczęściej kapucyńskich albo bernardyńskich: tak tu, nie dawniej jak wczoraj, widziałem w *Villi Reale* przynajmniej z półkopy malców, w mundurkach huzarskich albo ułańskich, bawiących się w musztrę i wojnę, co się często i na ulicach powtarza.

Ale najciekawsze tego rodzaju widowisko miałem przed trzema dniami w *Albergo dei Poveri*, to jest w dobroczynnym zakładzie rządowym, gdzie się wychowują i uczą dzieci żołnierskie od 5 do 18 lat wieku. Pojechalśmy tam z Potockim i z Klustinami. Dyrektor, dawny pułkownik z czasów Murata, rozumiejąc, żeśmy wszyscy Polacy, i sam wielki przyjaciel Polaków, przyjął nas z nadzwyczajną grzecznością. Sam oprowadzał po całym zakładzie, bardzo porządnie i czysto utrzymanym, nakoniec zaprosił na widzenie parady, którą codziennie odbywa. Tysiąc sześćset mniejszych i większych chłopczyków w mundurkach, uszykowanych na placu, musztrowało się, maszerowało, zwijało i rozwijało kolumny, przy odgłosie muzyki i bębna. Żadna parada, jaką kiedykolwiek widziałem, nie sprawiła mi podobnego wrażenia. Po ukończeniu jej dyrektor, obracając się ku

starszym chłopcom i wskazując na nas, rzekł głośno: „*Ecco sono signori Polacchi,*” i zaraz zaczął z zapamiętaniem wychwalać męztwo i gościnność polską;—przyczem panna Anastazyja, w pół żartem, ale serdecznie i dowcipnie, inne mi też jeszcze do ucha pochwalne uwagi szeptała. Pokazało się z dalszej rozmowy, że i ten pan pułkownik, jak ów poznany w Rzymie, o którym ci kiedyś pisałem, był także gościem w jakimś domu litewskim, pomiędzy Wilnem a Kownem, ale którego nazwiska z żalem, jak powiada, zapomniał. Pamiętał jednak nazwy niektórych miasteczek, między innemi Oszmiany; i wiadomość, że ja właśnie jestem z tego powiatu, podwoiła zda się jego uprzejmość. Przewodniczył nam do królewskiej fabryki koralów, która się także w tym gmachu znajduje, i gdzie kilkaset mniejszych i większych dziewczątek zajętych jest ich szlifowaniem. Rzecz dziwna, że właśnie najmniejsze wykonywają tu najdelikatniejszą i najdroższą robotę, to jest szlifują takie drobne sztuczki, które w ich tylko malutkich paluszkach utrzymane być mogą. Buncik takich drobnutkich szlifowanych koralów, kiedy są dobrze dobrane, dochodzi czasem, jak nam powiadano, wartości 50 skudów, kiedy tymczasem większych i grubiej szlifowanych za dwa skudy się nawet dostanie. Widok tylu i takich pracowniczek, jednostajnie także ubranych, dziwne też i nawet rozrzewniające wywoływał wrażenie. A nie zaniedbałem też z ciekawością przypatrywać się ich twarzyczkom, z których przynajmniej połowa obiecuje piękność nie lada.

Mniej daleko podobnych widziałem w łóżach teatru *San Carlo*, gdzieśmy się także razem tegoż dnia wybrali. Teatr pyszny, ogromny. Sala cała od złota i axamitów. Sześć rzędów łóż; po 30 w każdym, oprócz pierwszego, w którym łoża królewska dwa miejsca zajmuje. Opera „*Arabi in Gallia*,” ale tylko akt pierwszy i duet z drugiego, śpiewany przez Rubiniego i panią *Boccabadati*. Resztę widowiska zajmował balet *Antygona*. Piękny dosyć, zwłaszcza co do wystawy i mimiki, ale cóż, kiedy takie gorąco, że niepodobna było wytrzymać do końca. Toż samo spotkało mię już przedtém na teatrze *del Fondo*, gdzieśmy byli z Felisiem na „*Barbiere di Seviglia*.” Tam także dają same tylko opery i balety, ale mniejszych rozmiarów. Sam teatr też niewielki, cztery rzędy łóż, po 18 w każdym. Balet wcale nieosobliwy. Prócz tego jest tu jeszcze kilka innych teatrów, przedstawiających dramata, komedye i opery *buffo*. Tragedyi, jak słyszałem, publiczność tutejsza nie lubi. Za toż ludowy teatr *San Carlino*, którego bohaterem musi być zawsze *Pulcinella* (poliszynel), ściąga podobno codziennie niezliczoną publiczność. Ale ja tam dotąd jeszcze nie byłem. W ogólności teatr w tój porze roku jest raczėj trudem, niż zabawą, zwłaszcza kiedy się nań idzie dla tego, aby go tylko obaczyć i mieć o nim wyobrażenie. To też właściwą moją rozrywką, i razem odpoczynkiem, jest dumanie w *Villa Reale*, dokąd w każdej wolnej godzinie śpieszę jak jelen spragniony do rzeki. A i dumanie to nie jest téż całkiem próżnowaniem, jakby niém nazwać nie

można patrzenia w piękne a miłe oblicze, gdy przy-
tém myśli i uczucia w duszy rosną i rozkwitają jak
kwiaty od słońca. Dla mnie tém miłym obliczem jest
morze, i chociaż xiążkę zawsze mam na zapas w kie-
szeni, z fal jego wciąż idących jedne za drugimi i roz-
bijających się z szumem u stóp moich, czytam, słyszę
i uczę się więcej, niż z drukowanych wierszy i słów na
papierze. Prawda, że to wszystko, niestety, kończy
się tylko najczęściej na rymach, które może piany
morskiej nie warte, albo na marzeniu o lepszych, które
Bóg wie czy kiedyś nadpłyną. Tymczasem masz tu
z nich jeden, który nawet dość składnie skończy na
Syrenie, list ten, od Wróżki lądowej zaczęty. Bądź
zdrów!

MORZE.

Morze! zwierciadło czarodziejstw natury!
Ty niebo ziemskie! równych pełne cudów,
I niezbadane, jak to, co u gór!
Podziwie, grozo, dobrodziejstwo ludów!

Czy w walce z burzą, kiedy się rozdąsas,
Do gwiazd się wściekasz pianą twych bałwanów,
Bijąc o brzegi, łód na osi wstrząsas,
I potop ognia wypychasz z wulkanów;

Czy gdy zwyciężkim zmordowane gniewem,
Zwierciadłem do dna staną twe głębiny,
Lub gną się w cienie, pod lekkim powiewem,
Jak miękki atlas na piersiach dziewczyny;

Listy Odyńca. Tom IV.

4

Wielki, potężny, uroczy żywiole!
Bóg snąć żywego natchnął w ciebie ducha,
Wszystkie twe ruchy zdał na twoję wolę,
A ta głębokiej myśli twojej słucha.

Dziwy twych skarbów i żyjących tworów,
Ty samo stwarzasz w tajemnicy na dnie;
Wzrostu ich, życia, ich celów, ich torów,
Słońce nie widzi — czyż człowiek odgadnie?—

O! jak mi lubo, gdy nad twoją wodą,
Czy nasrożona, wesoła, czy cicha,
Świeżością głębi i fali swobodą
I pierś, i dusza z rozkoszą oddycha!

Myśl uskrzydłona wesołością ryby,
Szybuje w nurtach szmaragdowej fali,
I widzi wkoło, przez kropliste szyby,
Tu góry muszli, tam lasy koralu.

W cieniu skał stoją wielorybów trzody,
Ćma ryb barwistych miga w błyskawice,
Po dnie olbrzymie chodzą dziworody,
Z grot srebrnym wirem buchają krynice.

A w głębi groty, pod konchy sklepieniem,
Do pasa w wodzie, kąpie się dziewica:
Woła mię ręką, ośmiela spójrzeniem,
Słodyczą nęci, pięknością zachwyca;

Płoni się, wzdycha, uśmiecha się, śpiewa!—
Zadrzałem, słucham, wzrok ogniem się pali,
Mdłość się rozkoszna po sercu rozlewa...
To śpiew Syreny?... to szum morskiej fali.

IV.

Do tegoż.

Neapol, 26-go Maja, 1830 r.

Adam powrócił onegdaj — i muszę ci opowiedzieć ten powrót, najprzód jako ciąg dalszy poprzedniego listu, a potem, że było w tém coś nakształt pokusy czy próby, którą że jakoś szczęśliwie przebyłem, szczerze dziś za to Panu Bogu dziękuję, i sam z siebie wielce rad jestem. Adamowi nawet nie mówię o tém, i ty tylko masz jeden być mym konfidentem. — Nazajutrz po poznaniu Nimfy z villi *Bogini kwiatów*, poszedłem do intendenta pałacu Santangelo, prosić go o bilet wejścia. Obiecał dopiero na jutro, to jest na dzień onegdajszy. Statek z Messyny, jak mi w porcie mówiono, miał wrócić nie pierwój, jak wczoraj. Byłem więc kontent z téj zwłoki, (mógłłem się tego kiedykolwiek spodziewać)? i całą noc poprzedzającą prześniłem lub przemarzyłem rozkosznie — o kangurach. Ranek był precudownie piękny, a myśli moje promieniste jak ranek. Mówię ci wszystko, jakby na spowiedzi. Nie śpieszyłem nawet tak bardzo z korzystaniem z biletu, który już miałem w kieszeni, aby wyczerpać do dna słodczy nadziei; i tylko spacerując po *Villi Reale*, spoglądałem ku górze *Vomero*, gdzie myśli

moje leciały jak ptaki. Nie patrzałem nawet na morze; a przynajmniej tak wnoszę, że musiałem nie patrzeć, bo przecież patrząc musiałbym coś widzieć; i nakoniec o godzinie 10, sam jakby na skrzydłach, nie nogach, zacząłem się wspinać pod górę. Doszedłem tak do samej bramy, i już rękę miałem podnieść do dzwonka, gdy jakoś machinalnie, nie myśląc, odwróciłem się, i spójrzałem na morze. Aż tu widzę na tle błękitu, wstęgę dymu rozwitą w powietrzu, i poznaję statek pocztowy, który już prawie zawija do portu. Nie wiem czy największy psycholog mógłby sobie zdać sprawę z tych myśli i uczuć, które jak błyskawice w tej chwili skrzyżowały się w mojej głowie i sercu. Nie wiem nawet czy się wahałem; ale to wiem, że nie zadzwonił, i że zbiegając na dół, nie schodząc, nie śpieszyłem, ale uciekałem tylko zda się od czegoś, co, czułem, że zatrzymać mnie chciało. Dopiero gdy ujrzałem Adama, który już stał na brzegu i oglądał się wkoło, jakby kogoś szukał oczyma, wszystko inne znikło mi z myśli, i dziękuję Bogu, powtarzam, że natchnienie uprzedziło rozmyśl i wolę, za którą sam zgoła nie ręczę. Czuje się prawdziwie szczęśliwym, i z przestrachem rozmyślam nad tém, jakbym się musiał wstydzić i brzydzić sam sobą, gdyby się stało nie tak, jak się stało. Jest w tém dla mnie ogromna nauka. I rzecz dziwna, jak te wszystkie tęczowe marzenia, które mnie przez te dni otaczały, przy świetle tego nowego uczucia przemieniły się raptem w mgły szare, tak, że dotąd sam nie wiem z pewnością, czy mam, albo czy będę korzystać z biletu. Obaczymy.

Zeit bringt Rath. — Adam także powiada, że mu smutno byłoby niezmiernie, gdyby go nikt przy wyjściu na ląd nie był spotkał; choć się nie mógł tego spodziewać, bo statek rzeczywiście o dzień jeden swój powrót przyspieszył. — Z wycieczki téż téj swojej wcale nie jest kontent. Oprócz miast Palermo i Messyny, nie zgoła w Sycylii nie widział; ani nawet wybuchu Etny, który był właśnie w tym czasie, chociaż nie wielki, ale tylko chmurą popiołów i ją samą, i wszystkie inne widoki okoliczne zasłonił. Popioły te sięgały aż tutaj, i przez dwa dni jakby mgłą jakąś zaćmiewały powietrze; przyczyny wszakże tego nikt z pewnością nie wiedział, i przypisywano ją owszem piaskom afrykańskim, które wiatr ztamtąd jakoby nawiewał. Dobrze więc, że nie jeździłem z nim razem; chociaż on znowu powiada, że sama ta tęsknota, której tam po nas doznawał, i złość nawet na siebie samego, że niepotrzebnie przedsięwziął tę podróż, wpłynęły dobrze zkąd inąd na jego usposobienie chwilowe. — Na poczekie zastał list od pani Ankwiczowej z Florencyi, w którym był i do mnie bilecik. Donosi nam, że otrzymała tam wiadomość o śmierci ojca, w skutek czego nie już do domu, jak mieli, ale jadą wprost do Paryża, zkąd znów mają na zimę powrócić do Rzymu, przez Szwajcaryą. Ha! więc kto wie, czy się tam nie spotkamy? W każdym razie nowy ten zwrot ich projektów nie zdaje się kontrować naszych; i sam Adam, choć ich smutek podziela, nie zdaje się myśleć inaczej. *Fiat voluntas Dei!*

Tymczasem powrót Adama fetowali tu koleją Potocki i Klustinowie; on zaprosiwszy ich onegdaj na obiad, a oni jego wczoraj na całodzienną wycieczkę do *Bajów*, na którą, za wstawieniem się mojem, zaprosili także Felisia. Popłynęliśmy o 9 rano, dużą łodzią o czterech wiosłach, którą ja za dwa skudy na cały dzień najałem, i o wpół do dwunastej stanęliśmy u *Capo Misene*, gdzie niegdyś stały w porcie zbrojne Rzymskie galery. Przylądek ten kończy się skałą, wązkim tylko językiem piasku z lądem złączoną, od morza stromą i nagą, od lądu winnicami i drzewami zieloną. W cieniu ich zjadłszy przywiezione z sobą śniadanie, puściliśmy się piechotą do *Bauli* (Bacoli), małej wioszczyny na połowie drogi do Bajów. Tu właśnie były niegdyś najpiękniejsze ville, których ruiny dotąd widać na dnie morza. W najpiękniejszym miejscu na wzgórzu stała villa Cezara, gdzie, jak zaręcza *Guide du Voyageur*, mieszkała potem siostra Augusta, Octavia, i gdzie jęj Wirgiliusz czytał ów sławny wyjątek ze swojej Eneidy, zawierający pochwałę zmarłego jęj syna Marcellusa, za który, jak wiadomo, tak hojnie, po talencie za wiersz zapłacono. Tu także, jak powiadają, Neron wyprawiał swęj matce ostatnią świetną biesiadę, a raczėj przedśmiertną stypę, wydawszy już przedtém rozkazy, aby ją tegoż dnia w nocy, przy powrocie z tēj uczty utopiono. W pobliżu pokazują gruzy jęj grobowca. Tu także gdzieś niedaleko miała być villa Lukullusa, w której wyzionął ducha Tyberyusz, i druga, w której mieszkała matka Grachów, Kornelia. Przyznaj więc, że nie brakło

tematów do rozmowy, w której Adam i panna Anastazy trzymali prym na przemiany, zadziwiając i nas nieuków, i siebie samych nawzajem, niewyczerpanemi skarbami wiadomości archeologicznych, a wieńcząc je, jak ruiny bluszczem, wesołością i dowcipnemi żartami. Adam zwłaszcza był w doskonałym humorze. Zwiedziwszy dalej *Mare Morto*, (mitologiczny Tartar), to jest małe, błotniste jezioro, upustem tylko łączące się z morzem, a na brzegach którego miały się właśnie rozciągać pola Elizejskie; i obejrzawszy *Piscina Mirabile*, to jest dawny rezerwoar wody słodkiej, sprowadzonej tu przez wodociąg dla zaopatrzenia w nią floty, a mieszczący się we wnętrzu góry, której sklepienie nad nim wspiera się na 48 pilastrach; wsiedliśmy napowrót do łodzi, i w pół godziny wysiedliśmy w Bai, czy w Bajach (*Baiæ*).

O tych Bajach, nie ma co bajać — prócz chyba, że opisy dawniej ich świetności, porównane z lichotą kilku domków dzisiejszych, mogłyby ujść rzeczywiście za bajkę, gdyby świadectw historycznych nie było. Teraz możnaby tylko wyciągnąć z nich tę prawdę, że wszelka wielkość ziemska, prędzej czy później, przechodzi jak opowiadanie bajki, i że po każdej:

Świat, co w niej żył,
Miód, wino pił,
może powtórzyć z bazarzem:

Po brodzie się lało,
W ustach nie zostało.

Tu wprawdzie pozostały jeszcze gdzieniegdzie gruzy gruzów; ale jedne zalane morzem, drugie na niedostępnych już dziś stromych skałach, na które

dawne wejście runęło, nie mają nawet czém zwabić przychodnia. W jednej chyba ruinie świątyni Merkurysza, okrągłej nakszałt Panteonu Rzymskiego, może zwrócić uwagę szczególniejsze echo. Wyraz najciszej wyszeptany przy ścianie, odbija się wyraźnie z drugiej strony naprzeciw, chociaż średnica okrągłości dość znaczna. Jest to nader charakterystyczny przymiot czy symbol świątyni: bożka złodziejów. Zostawiwszy w niej znużone damy, przy których pozostał Potocki, my we czterech wdrapaliśmy się jeszcze na wzgórze, o pół mili włoskiej odległe, zkąd widać *Lago Fusaro*, w kształcie podłużno-okrągłym, ważkim tylko przesmykiem ziemi oddzielone od morza. Ma to być ów mitologiczny *Acheron*. Przez kanał, który kiedyś jezioro to łączył z morzem, Charon właśnie dusze przewoził. Ale zkąd przychodziły te dusze? Topielcy chyba mogli iść od morza. Adam zdecydował, że musiały przylatywać powietrzem.

Wsiadłszy znowu do łodzi, popłynęliśmy ku tak zwanym *Stufe di Nerone*, to jest źródłom ciepłej wody siarczanéj, z których nikt już dziś nie korzysta, ale widać z nazwania, że musiał w nich kąpać się Neron. W głębi groty, wykutéj w skale, jedno z nich ma tak wysoką temperaturę, że można w niem ugotować jaje. Nie robiliśmy tego doświadczenia, bo ledwo sami uciekliśmy żywi, tak powietrze jest przesycone siarką, a przytém tak parne i duszne. Orzeźwił nas *venticello del mare*, gdyśmy płynęli dalej ku *Lago Lucrino*. Leży tuż blisko morza, u stóp góry *Monte Nuovo*, która wznosząc się nagle w ciągu je-

dnęj nocy, większą część jego ziemią zasypała. Samo to jezioro, sławne niegdyś ze smaku poławianych w niem ostryg, podłużne, wąskie i brzydkie, nic w sobie zgoła nie ma do widzenia. Ale musieliśmy iść koło niego, aby dójść do *Lago Averno*, które zajmuje dziś miejsce jakiegoś dawnego krateru, i którądy bohater *Eneidy* zaczął schodzić pod ziemię do piekła. Widok jeziora jest dość malowniczy. Otoczone wzgórzami, pokrytemi zielenią winnic i gajów kasztanowych i pomarańczowych, podobne jest z pozoru do jeziora w Albano. Ale największą jego ciekawością jest leżąca na południowym brzegu, tak zwana *Grotta Sybilli*. Mówię *tak* zwana, bo dzisiejsi uczeni archeologowie chcą ją gwałtem obedrzeć z téj sławy, w jaką ją przyodziął Wirgiliusz, mieszcząc w niej pobyt wieszczki-czarodziejki, z której rąk złota gałązka bramy piekła przed jego bohaterem otwarła. Wierząc więcej poecie niż uczonym pedantom, idziemy i dochodzimy do grotty; aż tu widać, że i ją samę trzeba chyba srebrnym kluczem otwierać, to jest, po dwa *karliny* od osoby za wejście jakiemuś obdartusowi, który jest jój *kustodem* (stróżem), zapłacić. Adama tak rozgniewało to wyzyskiwanie cudzoziemców, że nie tylko sam nie wszedł, ale i drugich odciągnął. Ja tylko jeden nie dałem się przekonać, i namówiłem za sobą Felisia. Nie widzieliśmy wprawdzie nic więcej, prócz tunelu wykutego w skale, który się miał kiedyś podobno między miastami Bają i Kumą rozciągać, i ciemnej, wodą zalanej pieczary, gdzie prorokini jakoby na trójnogu wieszczym siadała. Nie żał mi je-

dnak moich dwóch karlinów; bo mogę teraz śmiało i z całą prawdą powtarzać za Janem z Czarnolasu:

„Jażem Francuzy, jam Niemce, jam Włochy,
Jażem nawiedził Sybilijne lochy.”

I o to mi téż tylko chodziło.

Słońce już było blisko do zachodu, kiedy wróciwszy tąż drogą nad morze, puściliśmy się znowu pod żagle. Bo rzeczywiście przewoźnicy nasi, dla pomocy sobie od wiatru, rozpięli jakąś białą płachtę, która miała służyć za żagiel. Żegluga była rozkoszna, i za ciemna już wylądowaliśmy przed hotelem *Vittoria*, gdzie na nas czekano z obiadem. Poczciwi *Lazzaroni*, to jest dwaj przewoźnicy nasi, uprzyjemnili nam jeszcze tę chwilę. Gdy bowiem zamiast dwóch umówionych skudów, drugie tyle na *buona mano* dostali, wdzięczność ich była bez granic, i pożegnali nas głośném: *evviva!*

Powietrze morskie, lepiej niż śledź przed obiadem, zaostrzyło apetyt; a że uczta była *à la Lucullus*, (sumptem pp. Klustinów), smaczne wino czerwone krajowe zaróżowało wkrótce i humor biesiadników, tak, że cały wieczór aż do północy przeszedł nam w arcy-poetycznym nastroju. Panna Anastazyja między innemi wzniosła toast, a raczej *libacyą* na cześć Neptuna, że uprzejmie Adama na łonie swojem piastował i zdrowego w objęcia Matki-Ziemì powrócił. Adam, który miał właśnie w rękę pomarańczę, odpowiedział śmiejąc się, że nie mając *słów złotych* na podziękowanie, ofiaruje jój to *złote jabłko*, które niech

raczy przyjąć w zastępstwie wszystkich trzech bogiń, między którymi biedny Parys musiał kiedyś wybierać na Idzie.

Na dziś był projekt płynąć na wyspę *Ischia*, ale że dzień jest wietrzny, panna Anastazyja zawiadomiła nas bilecikiem, „że się boi Eola,” i przeto prosi przyjść do nich na śniadanie, aby inny jaki projekt ułożyć. Adam poszedł już od godziny, a ja w tej chwili wychodzę, koniec listu odkładając na później.

Godzina 11 wieczorem.

Wracamy z Herkulanum. Adam, który nie widział Pompei, powtarzał Aa!!! jak przed Czatyrdahem. Ja, który widziałem Pompeję, nie miałem wcale potrzeby ust tak bardzo szeroko otwierać. Jeden tylko jest dom odkopany pod niebem, piękny wprawdzie, z portykiem na kolumnach; ależ w Pompei jest pół kopy takich. Wszystko reszta leży pod ziemią, jak w grobie, do którego z pochodniami iść trzeba. A i ta reszta, to właściwie jeden tylko teatr; wprawdzie ogromny, na 8,000 widzów, jak obliczono, trzy razy większy od *San Carlo*; ale cóż, kiedy widać w nim tylko tyle, ile blask pochodni oświeci. Światło dzienne wchodzi tam tylko przez otwór tej studni, którą kopiąc przed 120 laty, przypadkiem najprzód Herkulanum, a potem w skutek tego Stabią, aż nakoniec i Pompeję odkryto. Wszystkie te bowiem trzy mia-

sta, w rząd blisko siebie leżące, razem uległy zniszczeniu, przy pierwszym wybuchu Wezuwiusza, w 79 roku Ery naszej. Zapomniano o nich przez wieki, jak w bajce o „uśpionej królownie,” aż nakoniec nad Herkulanum i Stabią pobudowano nowe miasta, dzisiejsze *Portici* i *Resinę*, które trzebaby chyba rozwaląć, ażeby tamte odgrzebać, to jest, zabijać żywych, ażeby wskrzesić dawnych nieboszczyków, dla ciekawości tylko, jak też będą między nami wyglądać. A i to nawet nie przyszłoby łatwo; bo Herkulanum zalane jest aż 16 warstwami lawy, która tak już stwardniała i tak grubą stanowi skorupę, że ciężar całego nowego miasta na grzbiecie swoim podźwiga. Dla tego też boją się nawet ryc się nazbyt dalej pod ziemią, aby podstawy téj nie osłabić; chociaż znalezione w teatrze i w domach dzieła sztuki i bogactwa, nęcą ciągle ciekawość i chciwość, obiecując hojne wynagrodzenie kosztów i trudów przedsięwzięcia. Jeździliśmy w tém samym towarzystwie, co wczoraj, z dodaniem *plus* Jaźwińskiego, który przez wdzięczność dla Potockiego, że go zabrał, przez całą mu drogę tam jadąc, teorią tabelki swojej wykładał.

28 Maja, godz. 11 w nocy.

Oto dwa dni szczerlnie zajęte, tak, że chwili odechnienia nie miałem. Wiatr i deszcz zniweczyły nam znowu projekt podróży do *Ischii*. Oba więc ranki

przepędziliśmy w Muzeum, gdzie już ja byłem *ciceronem* Adama. Po południu onegdaj jeździliśmy znowu, ale już lądem, do Puzzoli i Solfatary, i pewno już na zawsze pożegnaliśmy tamte strony. Po drodze zwiedziliśmy *Grób Wirgiliusza*, który panna Anastazyja chciała koniecznie sama Adamowi pokazać. Leży tuż przy wejściu do Groty Pausilippu, wśród bujnej zielonej winnicy, na dosyć przykrém wzgórzu, z kądem śliczny widok na morze i miasto. Kształt jego czworogranny u spodu, okrągły u wierzchu. Sławny laur, zasadzony tu niegdyś ręką Petrarcki, „całkiem wyrwali i rozkradli Anglicy.” Tak powiadała nam stara *ciceronka*, z wielkiém zawstydzieniem jakiegoś młodego Anglika, który wraz z nami pomnik ten oglądał. Adam gniewał się strasznie na uczonych pedantów, którzy dla popisu z erudycją i krytycznym swoim niby rozumem, odzierają z uroku legendarnych podań sławne historyczne fakta albo pomniki, w które je wiara i miłość ludu, jak ołtarz w kwiaty przybrała, i jak świętość czciła przez wieki. Jeden z takich ichmościów napisał niedawno całą książkę dowodząc, że to nie jest grób Wirgiliusza, ale tylko proste jakieś *columbarium*.— „A czy on był na pogrzebie?”— spytał Adam; i z oburzeniem cytował Niebuhra, który tak wytrwałości Mucjusza Scevoli, jak i odwadze Horacjusza Koklesa stanowczo w dziele swojém zaprzecza, fundując się zapewne na poczuciu własném, że on sam za nic na świecie nie dałby sobie przypiec nawet palca, a przed pierwszym nieprzyjacielem nieochybnieby uciekł. Adam widzi w tém

wszystkiém sprawy tego samego niemieckiego djabła, który jak w religii tak i w historyi, chciałby wszystkim cudownym wpływom i natchnieniom z góry zaprzeczyć, a sam kusy i czarny, wszystkiemu obciąż skrzydła i poły, i wszystkie aureole pogasić.

Obejrzawszy zbliżka w Puzzoli ruiny świątyń: Serapisa nad morzem, a Neptuna i Nymf pod morzem, i tak zwany *Labirynt Dedala*, to jest ogromny rezerwoar wody słodkiej, dla poblizkiego amfiteatru, nakształt *Pisciny Mirabile* dotąd napełniony wodą, po której łódką pływać można: pojechaliliśmy, a od pół drogi poszliśmy, do *Solfatary*, o pół mili naszej. Jest to krater dawnego wulkanu, który już od XII wieku nie wybucha, ale kto wie, czy kiedy znowu nie wybuchnie, bo ogień tleje w głębi i widocznie jeszcze coś warzy. Z otworu, *Bocca di Solfatara*, wznosi się ciągle dym siarczany; ziemia w wielu miejscach gorąca, a piasek rusza się jak wrząca woda. Włożony weń pieniądz srebrny czernieje natychmiast, a uderzywszy kijem o ziemię, znać po echu, że pod spodem jest czczość i przepaść. Jest też źródło wody gorącej, a obok fabryki siarki i hałunu. Tu miało być miejsce walki Tytanów z Jowiszem; a co ci, pogrzebani tu żywcem nieboszczycy, dokazują jeszcze z pod ziemi, wijąc się tam snąć sami na piekielnych węglach: o tém wam już zda się pisałem; a mianowicie o téj górze *Monte-Nuovo*, na 400 stóp wysokości, co przez jedną noc z ziemi jak baba wielkanocna wyrosła, i o jeziorze *Agnano*, które podczas wybuchu ognia z *Solfatary*, nie wiedzieć zkąd raptem wytrysło, i całe jakieś

miasteczko zatopiło i pochłoneło. Jednę i drugie oglądaliśmy téż dziś zblizka; a obok pierwszej, górę *Barbaro*, dawny *Falern*, gdzie rośło właśnie owo sławne wino, które tak lubili poeci. Winnice są tam i dzisiaj, ale wino z nich takie niesmaczne, że go pić prawie nie można. A więc, *sic transit et gloria vini*.— Ale dla czego sława tak zwanéj *Psiéj Groty* utrzymuje się dotąd? to już tego pojąć nie mogę. W czasach kiedy nie znano natury i teoryi gazu węglowego, grotą tą, podobną do wapiennego pieca i nie bardzo większą od niego, mogła uchodzić za jakiś cud świata: że w niej światło palące się w górze, gasło samo przy ziemi; albo że zwierzęta na niskich nogach, wpadały w konwulsye i zdychały. Mówią nawet, że niektórzy ciekawi „mocarze świata” robili tu podobneż experymenta z niewolnikami, każąc im kłaść się na ziemi i umierać. Ale dziś, kiedy lada żak wie o tém, że gaz węglowy, który tu sam przez siebie wydobywa się z ziemi, gasi światło, zabija, a sam, jako gęściejszy i cięższy od powietrza, utrzymuje się tylko w niższych jego warstwach: dziś wstręt tylko rzeczywiście obudza widok nieszczęśliwego psiny, którego wleką gwałtem za uszy i przyciskają pyskiem do ziemi, aż skomląc nieboraczysko zacznie się pienić i drgać konwulsyjnie, a wyniesiony na powietrze, powoli ledwo odzyskuje przytomność. Dla zwyczaju jednakże mieliśmy miły ten spektakl, za który, jak za pokutę, kazano nam 6 karlinów zapłacić. Adam żałował bardzo, że nie miał co dać biednemu kundlowi; i gdy dawał stróżowi karli-

na, ażeby coś kupił dla niego, a ja zacytowałem parafrazę z Dziadów:

„Próżno to dajesz w ofierze,
Co dasz, stróż sobie zabierze;”

przykazał mu pod obowiązkiem sumienia, aby kupił dla psa funt mięsa.

Na tém skończyła się wycieczka. Przed wyjazdem zaś na nią, zrobiliśmy nową i bardzo interessującą znajomość, z jedną wielką znakomitością tutejszą, choć ta już dzisiaj sama do zabytków przeszłości należy. Jest nią Monsignor *Capece Latro*, Arcybiskup Tarentyński, Prymas Królestwa Obojga Sycylii, były minister spraw wewnętrznych, za byłych królów: Józefa Bonapartego i Murata, teraz zaś 86-cio-letni starzec, i jako w niełasce u dworu, prowadzący życie prywatne. Znając go panie Klustin mówiły mu o Adamie, a że jest wielkim przyjacielem Polaków, więc go pragnął widzieć u siebie. Adam przystał na to tém chętniej, że już od państwa Ankwiczów wiele słyszeliśmy o nim, jako o bardzo rozumnym i wielce niegdyś potężnym politycznym człowieku, który na losy swojej ojczyzny wielki, a zawsze tylko zbawienny wpływ wywierał; teraz zaś, jako na wpół zdzieciniały staruszek, odznacza się zwłaszcza excentryczném a namiętném przywiązaniem do kotów, jak czcigodny nasz Oleszkiewicz.

Pojechaliśmy więc do niego z paniami i panem Klustinem. Przyjął nas siedząc w krześle, nakształt tronowego, i trzymając na kolanach ogromnego, żółto-

białego, i rzeczywiście dziwnej piękności angorskiego kota, *Signora Mirandola*, jak go wnet sam nam zarekomendował. Przed krzesłem i po obu jego stronach były trzy wielkie taborety, podobnie jak samo krzesło purpurowym axamitem wybite i złotem po rogach kutasami ozdobione. Średni był próżny; na bocznych zaś leżały zwite w kłęb dwa inne, nie mniej duże i piękne koty, tegoż samego gatunku; a nad kanapą, w przepysznych złożonych ramach, portret czwartego, doskonale malowany, wyobrażający zgassłą niedawno *Signorę Mirandolinę*, małżonkę właśnie owego faworyta, którego trzymał na ręku, a matkę tych dwóch śpiących po bokach. Wszystko to opowiedział nam sam obszernie, zaraz po pierwszych komplementach powitania Adama, i nieraz w ciągu téj narracyi apostrofując żałośnie biédnego „wdowca-sierotę,” którego przytém gładził bezprze-stannie, i schylając się niekiedy twarz ku niemu przytulał ¹⁾. Potém wszakże z wielką jasnością i rozumem rozmawiał długo z Adamem o wielu rzeczach poważnych, a zwłaszcza o wpływie Napoleona na Włochy, po którym, jak się wyraził, spodziewał się zupełnego kiedyś odrodzenia ich dawnéj potęgi i chwały. „Ale Opatrzność widać rozrządziła inaczej,” dodał,

1) Śmiało możnaby ręczyć, że obraz Maćka w „Panu Tadeuszu,” gładzącego białe króliki, jest reminiscencyą téj sceny.

(P. A.)

wznosząc oczy i ręce do góry. Kiedy zaś Adam nawzajem rozwijał przed nim ulubioną swą tezę:

„Że chociaż dziś skruszone olbrzymy zachodnie,
Jeszcze na ziemię krew ich działać może płodnie:”

staruszek tak widocznie był kontent, że wyciągając ku niemu przy pożegnaniu obie ręce, o ile kot na to pozwalał, wszystkich nas na pojutrze, to jest na pierwszy dzień Zielonych Świątek, na obiad do siebie zaprosił.

Czy i w tém wszakże „Opatrzność nie rozrządzi inaczej?”— Ha! kto wie? Wszystko w jej rękę!— Bo jutro właśnie wybieramy się na wyprawę, która choć nam nic złego nie wróży *na pewno*, zawsze przecież i nie pozwala wołać „*hoc!*” nie przeskoczywszy. To znaczy, że mamy jutro jechać na Wezuwiusz, który ponieważ jest spokojny oddawna, wielu ciekawych zwiedza go zewnątrz i wewnątrz, to jest nawet w głębi krateru—co i my także zamierzamy uczynić.

A choć sama grzeszna dusza
Nie będzie leżć w paszczę biesa,
Ni z mądrości Pliniusza,
Ni z głupstwa Empedoklesa:
Kto zgadł kiedy, czy zkądś bieda
Jak kamieniem w łeb mu nie da,
Jeśli tarczą świętej dłoni
Anioł-stróż go nie zasłoni?—

To też ufni w jego opiece, i nadto poleciwszy się jeszcze miejscowej protekcyi Ś. Januariusza, puszczamy się śmiało w Imię Boże. A jeżeli szczęśliwie wró-

cimy, to już na nowe mieszkanie, dokąd się najprzód jutro rano przed wyjazdem przeniesiem. Wpadło mi ono samo w ręce przypadkiem, z rekkommendacyi dwóch bardzo grzecznych Szwajcarów z Zurichu, zwykłych moich sąsiadów u stołu w traktyerze „pod Herkulesem” (*al Ercole*), którzy je zajmowali sami, a dziś rano opuścili Neapol. Leży przy jednej z najpiękniejszych ulic nadmorskich, *Santa Lucia*, dom *Santi e Combi*, Nr. 28. Dwa małe, ale schludne pokoiki obok, każdy z oknem na morze; coś naksztakt tych, z których niegdyś obok z Ordyńcem „w ogród Saski patrzyłem.” Tu będzie Adam i morze; jeżeli tylko szczęśliwie rozprawim się z ognistym wulkanem.— Dla uspokojenia zatém twojego, list ten, chociaż go pieczętuję w téj chwili, oddam na pocztę dopiero wróciwszy. A więc będzie ci znakiem, że żyję; a więc i zapowiednią przyszłego, w którym, co obaczę, opowiem. A więc tymczasem, bądź zdrow, i cierpliwy!

V.

Do tegoż.

Neapol, 1-go Czerwca 1830 r.

(Trzeci dzień Zielonych Świątek).

PO POWROCIE Z WEZUWIUSZA.

DO ADAMA MICKIEWICZA.

O! dzięki ci! jam dzisiaj sam, i moja dusza
Była najbliżej Nieba, najwyżej nad ziemią!
Przy tobie—na wierzchołku ścian Wezuwiusza,
Nad otchłanią—gdzie w głębi ognie piekieł drzemią;
Po nad ziemią—co zda się jak raju obrazem;
Po nad morzem—zwierciadłem blasku i obwodu
Najpiękniejszego nieba: na którym zarazem
Słońce gasło, a księżyc wznosił się od wschodu;
Śród jakby zlanych w jedno tych cudów przyrody:
Nieba, ziemi, powietrza, i ognia, i wody,
I w obec, jak symbolu dziejowych kolei
Przeszłości świata—chwały i ruin—Pompei:
Stać przy tobie—najwyższym wieszczu swego wieku,
Stać jako przy najmilszym na świecie człowieku,
Czuć uścisk dłoni twojej, serca twego bicie,
Gdy jeden płaszcz dla obu służył za okrycie,
A jak gdyby pod skrzydłem twój orlęj potęgę,
Myśl i duch mój leciały w nadgwiaździste kręgił...

O! ty mój! tyś mi dzisiaj był zda się widomie,
Czém w duchu byłeś zawsze—zesłańcem z wysoka.
I twój płaszcz—od którego barw, słońce jak płomień
Biło blaskiem—zdał mi się jak ów płaszcz Proroka,
Przez który duch od Mistrza zszedł w Elizeusza,—
I jak bądź nie śmiem ufać brataim wróżbom twoim,
Gdy się kiedy pieśń moja wzniesie—jak dziś dusza,
Tyś przewodnią, ty wsparciem, tyś jest mistrzem moim!

Oto masz treść i sumnę wrażeń moich z wyprawy na *Górę*. Wszystko resztę, co dodam prozą, uważaj tylko za komentarz do wiersza. (NB. Górą [*la Montagna*], nazywają tu powszechnie Wezuwiusz; tak jak u Rzymian Tyber zwie się po prostu rzeką [*il Fiume*]; jakby gór i rzek innych na świecie nie było).

Przeniósłszy się na nowe mieszkanie i po śniadaniu u pp. Klustinów, wyjechaliśmy o pierwszej: t. j. my, p. Symon Klustin, Jazwiński i Feliś. Adam był przy śniadaniu w doskonałym humorze i dowcipkował wesoło z panną Anastazją, jak bohater wybierający się do piekieł, a proszący „natchnionej” Sybilli, aby go jakimś godłem potęgi swojej i łaski zabezpieczyła od złych przygód i duchów. Jakoż dała mu śliczną koralową szpileczkę, którą sama własnoręcznie wpiąć musiała do chustki na szyi.—O trzeciej stanęliśmy w *Resinie*, miasteczku, a raczej przedmieściu, tak nieprzerwanie łączącym się z *Portici*, jak się Portici samo z Neapolem łączy. Tu już biorą się muły albo osły, aby dalej peregrynować konno. Nam dostały się muły, po 4 karliny tam i nazad od sztuki. Dostarczył nam ich główny nasz przewodnik, bardzo

porządny i roztropny człowiek, mający pod komen-
dą swoją dwóch innych, którzy nieśli płaszcze nasze
i kosz z wiktuałami, a cenili się każdy tyle tylko co
muł. *Cicerone* za swoje fatygę żądał sam karlinów
14, myśmy mu ofiarowali 20. Ztąd wielka grzecz-
ność i rozmówność w drodze.

Na rycinie tu załączonej, którą umyślnie dla cie-
bie w Resinie, jak obrazek na cudowném miejscu, ku-
piłem, masz dokładny zewnętrzny widok i kształt
Wezuwiusza, przynajmniej jak jest w chwili obecnej;
bo mówią, że się przy każdym większym wybuchu od-
mienia. Przed pierwszym historycznym, który zasy-
pał Pompeję, w r. 79 Ery naszój, szczyt jego był je-
den i miał kształt ostrokregu ściętego. Teraz, jak
widzisz, środek jest zakłęsły, a dwie ściany sterczące
po bokach tworzą jakby osobne dwa szczyty, z któ-
rych ten co na lewo, nazywa się *Somma*. Miano go
już za wulkan wygasły od wieków, o którego poprze-
dnich wybuchach pamięć się nawet w dziejach ludzkich
zatała. Aż tu raptem taka siurpryza! Przypomniał
się światu od razu, jak ślepy Homer na starość.—Bo
mów co chcesz, a *Iliada*, *Odyseja* i *Pompeja*, są to
bodaj najżywsze zabytki i obrazy przeszłości. I w tém
jest węzeł tego porównania. Zkąd mi ono przyszło,
sam nie wiem; ale posłużyło za temat do tak wesołej
i ożywionój rozmowy o obu autorach tych dzieł: (to
jest Homerze i Wezuwiuszu), z których jeden heroinę
swoję, to jest Troję, z pod popiołów odgrzebał
i wskrzesił, a drugi właśnie popiołami zasypał:—że
aniśmy się spostrzegli, jak po półtoragodzinnój jeździe

stanęliśmy w tak zwaną „Pustelnię, czy Ermitażu,” (*Romitorio di San Salvatore*), to jest w tych dwóch czar-
nych punkcikach, które widzisz na rycinie w pół góry.

Droga z Resiny wązka, piaszczysta lub kamieni-
sta, idzie ciągle pod górę, coraz szersze i coraz cud-
niejsze odsłaniając widoki na morze, góry, równiny
i miasto. Obok wzgórków kwitnących zielonością
winnic, rodzących sławne wino, tak zwane „*Lachry-
mae Christi*”; ogromne szare przestrzenie, pokryte
popiołami i żużlami lawy, rozciągają się po obu stro-
nach. Ślad to jest ostatniego wielkiego wybuchu z r.
1822. Lawa sięgała aż do *Torre del Greco*, mia-
steczka nad samém morzem, które już siedem razy
było przez nią całkiem zalane, i znowu się na nią od-
budowało ¹⁾. A i inne téż okoliczne osady, podobnym-
że losowi dotknięte, naśladowały i naśladują ten przy-
kład. I nie jest to próżna zuchwałość; gdyż popiół
i ciepło lawy tak dziwnie żyzność ziemi podnoszą, że
plon jój w parę lat po zniszczeniu wynagradza
w dwójnasób poniesione straty. A i sama téż lawa,
gdy już ostygnie i stwardnieje, niepospolite przynosi
korzyści. Zastępuje cegłę i kamień, przy budowie do-
mów i dróg. Wszystkie bruki po miastach są z lawy.
Wyrób z niej różnych sprzętów, naczyń, kamei lub
ozdób do strojów kobiecych, stanowi ważny przedmiot
tutejszego przemysłu i handlu, podobnie jak wyrób ko-
rali. Jedném słowem, Wezuwiusz dla Neapolu jest jak
jakiś Sułtan czy Kalifa, na wzór np. Haruna Alraszyda,

¹⁾ W r. 1861 zniszczone zostało po raz ósmy, i znowu się
odbudowało.

to jest gniewliwy, groźny, ale przytém czynny i hojny; którego wszyscy się boją, a jednak kochają, choć za to: że póki im głowy nie zetnie, mają codzień o kim myśleć i gadać, i cieszyć się, że jeszcze żyją, a czasem i cekina dostaną.

Ta tak zwana *Pustelnia*, jest to po prostu oberża, a gospodarz w kostiumie pustelnika, traktując niby *gratis* gości swoich „*Łzami Chrystusa*”, bierze za nie dwa razy więcej, niżby śmiał żądać sprzedając. Leży na płaskiem wzgórzu, rozpoczynającém pasmo, które się już aż do stóp właściwego Wezuwiusza rozciąga, i po grzbiecie którego idzie droga dalsza. Kilka dużych drzew, pod któremi jedliśmy podwieczorek, i zielone dokoła krzewy albo winnice, są tu, podług wyrażenia pani *de Staël*, ostatniem pożegnaniem życia i roślinności. Jakoż w istocie, im dalej, tém wyrazistszy obraz śmierci i zniszczenia. Zieloność znika zupełnie, wszelki objaw życia ustaje. Jak okiem zajrzysz—pustynia! martwa, dzika, szara; wyglądająca jak dziedziniec przed kuźnią, zwykle stosami przepalonych żużli zasłany. W półtorej znowu godziny jazdy stajemy wreszcie u progu téj *kuźni Wulkanu*, to jest u stóp właściwego wierzchołka, na który już piechotą iść trzeba. Wejście jużciż strome i przykre; ale ani tak trudne, a zwłaszcza nie tak niebezpieczne, jak nam opisywano. Kosztowało nas trzy kwadransy czasu. Wszedłem nie odpocząwszy ani razu; ale za toż tak byłem zgrzany, że gdyśmy stanęli na wierzchu, a wiatr od morza był zimny, a ja nie miałem do okrycia nic więcej, prócz krótkiego hiszpańskiego płaszczyka: Adam z troskliwością czu-

tego opiekuna, otulał mię połą swojego; tego samego, w którym podróżował po Krymie, i w którym ja tu zazwyczaj figurowałem przez zimę, kiedy on sam chodził w cieplejszym. Jaskrawo-czerwonawa jego barwa, odbijając promienie zachodniego słońca, czyniła go istotnie podobnym do ognistego płaszcza Eliasza, o którym jest mowa w wierszu. I w ogólności całą tę chwilę, tak z wrażeń jak i ze wzruszeń, liczę do najpoetyczniejszych w mém życiu. Prozą więc o niej opowiadać nie będę.—Staliśmy nad samą głębią krateru. Obwód jego wynosi 3 i $\frac{1}{3}$ mil włoskich, to jest $\frac{3}{4}$ naszej. Głębokość, od strony *Somma*, 2,000 stóp; z téj, z którejśmy patrzali, od strony *Torre del Greco*, nie przechodzi 1,200. Spadzistość nie tylko stroma, ale prawie prostopadła jak ściana. Samo dno, patrząc z góry, podobne jest do poszczepanego toku, lub do brył wysychającego błota. W środku wznosi się okrągławy, u wierzchu zwężony pagórek, zwany *la Bocca*, albo *la Mammella*, (*la bouche ou le sein*. Po polsku nie brzmi to pięknie). Ztąd to podczas wybuchów wypływają potoki lawy, która albo się wewnątrz tylko po kraterze rozplywa, albo wyłamawszy nowe otwory w bokach góry, płynie rzeką na zewnątrz—bliżej lub dalej, na ile sił źródła wystarczy. Teraz buchał tylko kłębamii dym gęsty, białawy, i zagarniając w siebie inne mniejsze pasma, wydobywające się téż ze dna i z boków, tworzył właśnie ów słup olbrzymi, co wiecznie jak z komina stercząc po nad górą, roztacza nad nią rodzaj baldachinu.—Nasyciwszy się dowoli widokami zewnątrz i wewnątrz, ruszy-

liśmy na dno krateru. Nie sądź, że to była tak wielka odwaga, lub tak wielkie niebezpieczeństwo, jak nam opowiadali niektórzy fanfaroni, którzy tam byli przed nami. Nie tak lew straszny, jak go malują. Wprawdzie kiedy się dąsa i sroży, nikt do niego wtedy nie idzie; ale kiedy jest cichy i spokojny jak teraz, nie trzeba Herkulesa albo Daniela, ażeby pójść, jakeśmy poszli, i jak wszyscy w tych czasach idą. Długo jednak trzeba było kołować, idąc wciąż po krawędzi wierzchołka, nim doszliśmy do miejsca, którędy można zejść na dół. Zejście to wcale nie trudne, a nawet można powiedzieć że łatwe. Popiół wprowadzie gorący, w którym nogi grzęzną po kostki, a niekiedy i wyżej, ale przecież bardzo nie parzy, a samém usuwaniem się pod nogami, fatygi stąpania oszczędza. Samo dno twarde; w jednych miejscach gładkie, w drugich trzeba przechodzić po stosach połamanych brył lawy, ale nigdzie niebezpieczeństwa nie widać. W jedném tylko miejscu widzieliśmy przez rozpadlinę, z hukiem palący się ogień, mocny i czerwony jak w hucie, który aż do powierzchni dochodził. Przyklakłszy, zapaliliśmy w nim cygara; które ja wkrótce odebrałem Adamowi, aby razem ze swoim na pamiątkę sobie zachować. W pobliżu téj rozpadliny, dno całe pokryte jest żółtą skorupą siarki, która się smaży jakby na patelni. Czerwone żyły zdradzają bliższy ogień. Próbowaliśmy wbiegać aż nad sam otwór *mamelonu*, ale tam ani nic widzieć za dymem, ani dla siarczanego duszącego zapachu, długo zostać nie można było. Przy tych właśnie experymentach

spotkaliśmy się z miłą niespodzianką, to jest z tymi samymi dwoma Szwedami, w towarzystwie trzeciego, z którymi razem jechaliśmy z Rzymu. Młodszy i tutaj cieszył się ze wszystkiego po mojemu, starszy zaś po swojemu narzekał, że się dał na dno krateru namówić, gdyż go omal przy zejściu kamień spadający z góry nie zabił. Obaj byli też radzi ze spotkania się z nami, i potem wszyscy razem, czynnie i gorliwie, zbieraliśmy jeden przed drugim różnobarwne kawałki lawy, która, jak może nie wiesz, miewa wszystkie kolory tęczy. Najprzykrzejszą częścią całej tej pielgrzymki było wejście znów z powrotem na górę, które osuwający się z pod nóg popiół o tyle utrudniał, ile przedtem przy zejściu pomagał. Wdrapaliśmy się wszakże szczęśliwie, i wróciwszy na poprzednie stanowisko, w kwadrans potem siedzieliśmy już znowu na mułach, a o pół do dziesiątej, za stołem wieczerzy w Resinie. Chłód wieczorny tak był przenikający, że wracając do Neapolu, w powozie musiałem okrywać się gunią końską, której mi furman łaskawie użyczył. — O północy wróciliśmy do domu, ale pod wpływem wrażeń dziennych i widoku z okien na morze, o świcie ledwo powiedzieliśmy sobie *dobranoc*. A i tak myśl o wierszu nie dała mi zasnąć, aż choć z gruba został skończony.

A teraz kończąc rzecz o wulkanie, muszę ci dodać jeszcze parę ciekawych szczegółów, wyczytanych w broszurce o nim. Od owego pierwszego wybuchu, który pogrzebał *Herkulanum*, *Pompeje*, *Stabie* i *Pliniusza*, było już ich trzydzieści kilka dotychczas.

Piérwsze, aż do VI wieku, (512), nie wyrzucały lawy, ale tylko same popioły, które w r. 472 sięgały aż do Konstantynopola. Popioły te i kleisty piasek, zmieszane z ogromną obfitością wody, którą wulkan podczas wybuchu w kształcie pary wyrzuca, a która potem z powietrza w kształcie deszczu opada, tworzą, niemniej zgubne od lawy, potoki płynnego błota, zwanego téż lawą wodnistą (*lava acquosa*), a które, równie jak ona, wszystko po drodze swojej zalewa i niszczy. Herkulanum, przy piérwszym wybuchu, przez takie błoto właśnie zalaniem zostało.—Najdłuższy odpoczynek Wezuwiusza był między rokiem 1500 a 1631. Za toż wybuch w tym ostatnim był gwałtowniejszym od innych; zniszczył Torre del Greco, Resinę, i wiele innych miasteczek i wsi okolicznych. Cztery tysiące ludzi utraciło życie. A i w ciągu téj drzémki Wezuwiusza, ognie widać piekielne nie spały. Etna była w ciągłym działaniu, a Solfatara właśnie w tym czasie (1538), ową sławną górę *Monte Nuovo* pod Puzzolą, jak babę wielkanocną w ciągu jednéj nocy wypiekła.—Každy wybuch poprzedzony jest mniej więcej znakami, które służą za przestrożę mieszkańcom. Do takich między innemi należy nagłe wyschnięcie wody w studniach, a niekiedy i w rzekach. Ptastwo ucieka z okolicznych gajów; płazy wyłazą z pod ziemi.—Oprócz wyrzutów ognia, wody, popiołów, piasku i kamieni, co wszystko jest straszne i zgubne, wywiązują się jeszcze podczas wybuchów zabójcze wyziewy gazu węglowego, tak zwane *mofette*, które téż wielu ludzi o śmierć przyprowadzają.—Koniec

końców — dobrze, żeśmy byli na Wezuwiuszu; lepiej, żeśmy już, Bogu dzięki, szczęśliwie wrócili; a najlepiej, że takich ciekawości nie ma u nas nad Niemnem i Wisłą.

ZIELONE ŚWIĄTKI.

Ze wszystkich świąt dorocznych, te są dla mnie jakoś najmiłsze. W każde, o ile zapamiętam, zawsze mi się coś dobrego zdarzyło. Większa część zwłaszcza najmiłszych znajomości, zaczawszy od Adama, na ten właśnie termin przypada. A i teraz nie przeszły mi one bez miłych szczególnych wrażeń. Po nabożeństwie w kościele Ś. Klary, stawiliśmy się o drugiej na obiad u Arcybiskupa, i zrobiliśmy tamże bardzo miłą znajomość z xięciem *Satriano-Filangieri*, który, oprócz dwóch kanoników domowych, był, jak sądzę, umyślnie dla Adama zaproszonym gościem, i to w skutek rozmowy o Napoleonie, za którą nasz czcigodny gospodarz, przy pierwszej zaraz wizycie, tak widocznie pokochał Adama. Wnoszę to z pierwszych słów jego, które przemówił do xięcia, zapoznając go nawzajem z Adamem. „*Ecco il celebre poeta polacco*, który umie czuć i oceniać geniusz i wpływ wielkiego człowieka.” — Xiążę był też nadzwyczaj uprzejmy dla niego, i przez cały czas u obiadu zdawał się nim wyłącznie zajęty. Było nas osób 9; ale stół był nakryty na 12, i żadne z miejsc nie wakowało. Zga-

dniżej, jeśliś mądry, kto te trzy miejsca zajmował?— Przechodząc przez salę jadalną, gdzie stół był już gotów gdyśmy przyszli, zdziwiliśmy się najprzód widząc trzy jakieś osobliwszego kształtu krzeselka, wysokie i wąskie, stojące tuż obok fotelu, przeznaczonego wyraźnie dla gospodarza, również czerwonym axamitem obite, i zajmujące z nim razem całą stronę stołu. Adam pierwszy zrobił uwagę, że przecież Arcybiskup nie może nieć dzieci; zresztą dzieci nawet nie mogłyby się w nich zmieścić. Domyśliliśmy się więc, że chyba dla kotów; ale trudno było temu uwierzyć. Dopiero gdy kamerdyner wszedł i zawołał głośno: „*Siete serviti, Signori!*” wszelka wątpliwość ustała. Signor *Mirandolo*, trzymany, jak zwykle, na kolanach, i godne jego syny, zwite w kłęb na taboretach, wszystkie razem podniosły głowy. Dwa ostatnie wygiąwszy się w kabłąk, jakby się wyciągały po spaniu, zeszły poważnie ze swego posłania, i szły krok w krok za Arcybiskupem, który zdawszy *Mirandola* na ręce kamerdynera, podał rękę do stołu samej pani Klustin i wskazał jój pierwsze miejsce po kocie z prawej, a pannie Anastazji, po dwóch kotach z lewej strony siebie. Goście jeszcze nie byli usiedli, gdy już lokaje koty posadzili w krzeselkach. Każdy miał swój talerzyk z *minęstrą*, którą bardzo zgrabnie chłęptały, siedząc słupkiem na tylnych nogach, i wyprostowane jak dzieci. Wszystkie téż inne potrawy podawano im w kolej, pokrajane drobniutko, i zdaje się, że jeden z lokajów miał wyłącznie ten obowiązek. Był to widok niezmiernie śmieszny, chociaż nikt nań nie zda-

wał się zwracać uwagi, szanując excentryczne upodobanie staruszka. On sam wszakże musiał to czuć *in petto*, bo wpół żartem przepraszał damy za obecność „swych dziattek” (*de miei fanciulli*), jak je nazywał, chwając przytém i wykazując ich grzeczność. Dalsza téż rozmowa u stołu była najprzód o kotach, to jest, sam szanowny gospodarz wystawiał szlachetność ich rodu, opierając się mianowicie na tém, że nigdy w żadnym języku nazwisko kota nie było używane w obelżywém znaczeniu, jak np. pies, osieł, niedźwiedź, i t. d.— Przedmiot ten prędko przecież ustąpił miejsca ważniejszemu, a przedewszystkiém polityce; przyczém tak sam Arcybiskup jak i xiążę, z widoczném upodobaniem i współczuciem słuchali wypowiedni Adama o blizkiej zmianie stanu rzeczy we Francyi, opieranéj przezeń logicznie na mnożących się coraz symptomatach naciągania struny z obu stron. I rzecz dziwna, jak te same prawie argumenta, którym niegdyś Francuz David w Wejmarze, pomimo swój najszczerzej chęci, uwierzyć wszakże nie chciał czy nie mógł, tu od razu trafiały do przekonania Włochów; tak, że nawet sąsiedzi moi kanonicy, którzy wraz z nami młodszymi udziału w téj rozmowie nie brali, uśmiechem zadowolenia i ruchami głowy i ręki potakiwali ciągle wszystkiemu słowom Adama, zwłaszcza gdy z całą mocą przekonania wróżył blizki upadek starszej linii Burbonów. Po obiedzie téż xiążę Filangieri, mówiąc ze mną o pamiętnikach generała *Carascosa*, które tu świeżo czytałem, wyrażał gorąco swój podziw nad „*perspicacité politique*,”

i w ogólności nad „genialnością” pomysłów Adama, podczas gdy jego samego staruszek jak kota do serca przytulał.— Ale największa dla nas korzyść z tego obiadu i z téj nowéj znajomości była ta, że *à propos* rozmowy o marynarce, xiażę oświadczył gotowość, zawieźć nas wszystkich zaraz po obiedzie na pokład wojennego okrętu *Capri*, którym dowodzi blizki jego przyjaciel i krewny. Przyśpieszyliśmy więc pożegnanie, i w przeciągu dwóch godzin obejrzeliliśmy w porcie, nie tylko ten okręt o 80 działach, dorównywający ogromem trzypiętrowemu domowi, ale i prześliczną fregatę wojenną *Cristina*, tak elegancko, tak czysto, tak pięknie utrzymaną, że chyba same Amazonki warteby pływać i wojować na niéj. W ogólności zaś ta architektura na wodzie sprawiła na mnie nadzwyczajne wrażenie, tak, że już przez to samo i te *Zielone Świątki* mógłbym liczyć do najmilszych na zawsze pamiątek.

Ale i nie tu jeszcze koniec dziennych wrażeń. Wróciwszy z portu wojennego na *Molo*, to jest na groblę portową, wązkim pasem wchodzącą w morze i rozdzielającą dwa porty: wojenny i handlowy—spotkaliśmy tam Potockiego z Pusłowskim, i bawiliśmy razem do wieczora. *Molo* jest tém dla ludu tujszego we święta, czém dla panów codziennie *La Chiaia*, to jest miejscem zgromadzania się, pokazowania się i zabawy. Gwar i ciżba przypomina wprawdzie nasze kiermasze; ale przynajmniej widać, że się bawią. A trzebaż oddać Włochom i tę sprawiedliwość, że główne przedmioty ich zabaw, są tu czysto

umysłowej natury. Składają je przedewszystkiém widowiska i improwizatorowie. Ci ostatni, wierszem i prozą, wpół śpiewając, wpół mówiąc, opowiadają słuchaczom, stojącym lub siedzącym wkoło na ziemi, jakieś widać ciekawe bajki czy legendy, których zgoła rozumieć nie mogłem, bo są zwykle w dyalekcie miejscowym. Wnoszę tylko, że muszą być najczęściej pobożnej natury, gdyż tu i ówdzie słyhać było wymawiane głośniej imiona Świętych, a za każdym wspomnieniem imienia Najświętszej Panny, (*Santissima Vergine*), i opowiadający i słuchacze zdejmowali pokornie czapki, a kobiety schylały głowy, robiąc przytém znak krzyża na piersiach. Od talentu widać improwizatora, zarówno jak grona słuchaczy, zależy i wysokość jego wynagrodzenia, do którego nikt nie jest obowiązany, ale je przecież wszyscy, podług woli albo możliwości, dobrowolnie na tackę składają. Toż samo dzieje się i przy teatrzykach maryonetek, podobnych do naszych *szopek*, na których głównym bohaterem jest zawsze *Pulcinella*, zwyciężający wszystko i wszystkich, aż nakoniec i samego diabła. Potocki na każdą tackę rzucił wszędzie po całym skudzie, a hojność ta i dla nas, jako dla jego towarzyszy, widoczny wszędzie respekt i ciekawość wzbudzała. A był téż i teatrzyk płatny, osłoniiony dokoła płótnem, przypominający budę Tespisa, na którym żywi pajace wyprawiają figle i dyalogi. I trzebaż, że właśnie w tém miejscu mieliśmy pierwszą sposobność poznać i ocenić najpoważniejszą może stronę charakteru i uczuć Lazzaronów, z których przeważnie składała się publiczność. Pajac

jeden, przebrany za doktora w peruce, monologował coś bardzo widać pociesznego na scenie, bo się teatr rozlegał oklaskami i śmiechem. Wtém wszedł drugi, przebrany za dziewczynę w żałobie, trzymając w ręku obrazek, i zaczął z przesadnymi gestami modlić się niby i płakać. Musiały to być jakieś żarty z nabożeństwa czy z żalu, które tak widać obruszyły widzów, że w oka mgnieniu oklaski przemieniły się w sykania i świsty, a grad włoskich orzechów, kasztanów i kamieni, zmusił obu aktorów do ucieczki ze sceny. Świstanie wszakże nie ustało, i owszem wzmagало się coraz bardziej; aż ukazał się w końcu na scenie sam *Impressario*, to jest właściciel teatru, i przepraszając pokornie publiczność za niefortunny concept swego błazna, obiecał, że go nadal z trupy swojej wypędzi. To uciszyło świstania; ale z żywych rozmów i gestów pomiędzy widzami znać było, że długo jeszcze uspokoić się nie mogli. Nie prawdaż, że ten przykład poszanowania świętości ze strony Lazzaronów, których zwykle mają za dzikich, wartby zawstydzić niejedną cywilizowaną publiczność, gdzie lada pajac piora, dla popisu z conceptem, może wyśmiewać bezkarne to właśnie, co ona sama za święte uważa, a tylko przez leniwą czy płochą obojętność upomnieć się o to nie umie?— Późnym wieczorem, wprost z *Molo*, pojechaliśmy wszyscy na teatr *San Carlo*, gdzie była reprezentacya galowa, to jest teatr uilluminowany rześcisie, (*à giorno*), z powodu imienin księcia Kalabryi, następcy tronu.

Drugi dzień Zielonych Świątek ma i tutaj, jak u nas, ten szczególny przywilej, że ludność miejska wyraża się na wieś, pod pozorem niby pielgrzymki, a w rzeczy dla użycia wiosny i zabawy. Czém więc dla Wilna Kalwarya, a dla Warszawy i Krakowa Bielany, tém dla Neapolu jest miasteczko *Arco*, gdzieś za Portici w górach, słynne cudownym obrazem N. Panny (*Madonna dell' Arco*), dokąd nie tylko z miasta i z okolic, ale nawet z najdalszych stron kraju, zbierają się w tym dniu na odpust krocie, jak mówią, pielgrzymów. Z obawy właśnie téj ciżby nie pojechaliśmy na miejsce, ale nad wieczór dopiéro, z Potockim i Klustinami, w tłumie innych powozów stanęliśmy u mostu *della Maddalena*, oczekując na powrót orszaków. Etnograf, malarz, historyk czy filozof, miałby tu nieprzejrzone pole do obserwacyi nad fizyognomią i typową charakterystyką różnorodnych plemion, które tu przez ciąg wieków w skład obecnej ludności wpłynęły. Ja z niższego punktu widzenia zachwycam się tylko nowością i malowniczością obrazu: tych tłumów płynących jak rzeka; tych ruchów, gestów, ożywienia, o jakich my północnicy ani wyobrażenia nie mamy, i nakoniec tą nieskończoną różnaitością kostiumów i strojów narodowych, a nawet dwukołowych powozów i powozików, zaprzężonych niekiedy osłem lub osłami, w których lazzarońska płeć piękna, (po kilkanaście osób w jednym), w dyademach z błyszczących szpilek, w wieńcach z liści lub kwiatów, z orzechów albo kasztanów, potrząsając nad głową zielonemi gałęzmi, lub długimi,

w zieloność ubranemi kijami — nietylko tém podobieństwem do tyrs dawnych bachantek, przypominała je oczom patrzących. Śmiechy ich, śpiewy i głośne rozmowy, wyraźniej jeszcze zdawały się być powtórzeniem pogańskich świąt Bachusowych, a towarzyszący im konno i pieszo mężczyźni, zgodnym chórem wtór ich składali. Brakowało tylko lwów; i co dziwna, pomimo tego szału i upojenia radości, nie widzieliśmy ani jednego rzeczywiście pijanego, albo pijanej. A nie zbywało też wcale i na objawach pobożności chrześcijańskiej. Niektóre *calessina*, (tak się nazywają te wózki, na ogromnych wysokich kołach, w kształcie koszów zawieszone w pośrodku), ubrane naksztakt naszych ołtarzyków w processyi, miały za i po nad sobą chorągwie z obrazkami Świętych, i publiczność w nich, wyznać trzeba, zachowywała się cicho i skromnie, albo pieśni pobożne śpiewała. Nie wątpisz, spodziewam się, że przy tém wszystkiém nie zaniedbałem też upatrywać młodszych ładnych twarzyczek, aż na koniec niespodziane spotkanie zachmurzyło różowy mój humor. W zwyczajnym najętym powozie jechali jacyś państwo z dwiema panienkami na przedzie, i gdy nasz powóz prawie obok mijali, w jednej z nich, znacznie starszej od drugiej, poznałem moję Nimfę z *Villi Floridiana*. Poznała mnie widać i ona, gdyż zarumieniła się nagle i w dół prędko spuściła oczy. Naśladowałem i ja ten przykład, nie śmiejąc nawet uchylić kapelusza, żeby i jój i siebie nie narażać na zapytania, zkąd to i jaka znajomość? Ale tak niewypowiedzianie zrobiło mi się przykro myśląc, co ona

może i musi myśleć o mnie, że dotąd z obiecaną wizytą nie byłem: iż cała dalsza feta straciła dla mnie swój urok. Ale trzebaż, że właśnie na jutro, (to jest na dzisiaj rano), uprzejmy xiążę Filangieri obiecał być przewodnikiem naszym i pp. Klustinów do *Villi Ricciardi*, i do sąsiedniej z nią obok téj saméj *Villi Floridiana*, dokąd mię własne moje myśli ciągnęły. Z właścicielami ich jest w dobrych stosunkach, i przeto nie potrzebuje osobnego na to pozwolenia. Wziąłem to więc za dobry *omen*, i pocieszałem się nadzieją, że mi się jakoś uda, błąd mój i opinię grzeczności polskiej naprawić. Niestety, *spes vana fuit*; ale co się przewlecze, może nie uciecze; gdyż utorowałem sobie drogę ku temu.

Dziś rano, o umówionéj godzinie, xiążę Filangieri stawił się u państwa Klustin, i po zwiedzeniu najprzód *Villi Ricciardi*, słynnej cudnymi widokami i wzorowym botanicznym ogrodem, ja piérwszy pociągnąłem za dzwonek u bramy *Floridiana*, którego już raz nadaremnie dotknąłem. Na rozkaz xięcia, stróż pobiegł wezwać „dyrektora” ogrodu; i poznałem w nim tego samego pana, którego wczoraj w powozie widziałem. Signor *Oliviere*, (tak się nazywa), światły jak widać człowiek i uczony botanik, mówi dość dobrze po francuzku, i mieszka w ogrodowém *Casino*. Gotówbym *à la Toggenburg* Szyllera:

Przed oknami jego siedząc
Choćby całe dnie,
Nic nie pijąc, ani jedząc,
Patrzeć tylko w nie.

Albo latać w ślad kangurów,
By znów na ich wrzask,
Błysł mi z za drzew, czy z za murów,
Czarnych oczu blask.

Kangury wprowadzie i tą razą uciekając na nasz widok wrzeszczały, ale ani ja czarnych oczu, ani mnie czarne oczy, niestety, nie oglądały. Skorzystałem jednakże z oprowadzania nas po całym ogrodzie przez samego pana *Olivière*, aby zawiązać z nim bliższą osobistą znajomość, i mam już nie tylko upoważnienie, ale nawet inwitacyą, abym raz jeszcze, nie tylko samą *Ville*, ale i dom jego odwiedził. Uczynię to niezawodnie, a przynajmniej chęć i postanawiam najmocniej, ale kiedy? sam nie wiem. Jutro albowiem raniutko wyjeżdżamy z pp. Klustinami na trzy dni w okolice miasta, do Pestum.— A co to jest to Pestum? Powiem, jak sam zobaczę. Teraz zaś, jeżeli się nie boisz, to chodź z nami w głąb tutejszych Katakumb, i do straszniejszej nad nie Katakumby Żywych, czyli, jak je tu zowią, *Żywcem pogrzebionych*, cośmy także dzisiaj zwiedzili — a to z tém większym wrażeniem, że wprost po najpiękniejszym i najrozleglejszym widoku, ze słynnego tém właśnie *Klasztoru Kamedulów*. Udaliśmy się tam wprost z Villi Floridiany. Leży na najwyższém ze wzgórz, otaczających pasmem „Pola Gorejące” (*Campi Phlegrei*), a z terrasu, ocienionego laurami, patrzysz na najcudniejsze w świecie panorama. Wszystkie trzy obok zatoki, (Puzzolska, Salerneńska i Neapolitańska); wszystkie wyspy na morzu, wszystkie góry na lądzie,

wszystkie miasta i kraj cały jak ogród, od Puzzoli do Sorrento, od przylądku Mizeny do *Capo Campanella*, wszystko to oko razem za jednym rzutem ogarnia, a gubiąc się w nieskończonościach błękitu nieba i wody, zdaje się mu jak Farysowi:

„Że więcj świata zasięga,
Niż jest w kole widnokrega.”—

Otóż wyobraź sobie, że wprost z takiego punktu i po takim widzeniu, zapadamy raptem w głąb ziemi, w otchłań ciemności, gdzie bez światła choć oko wykół, a i przy świetle pochodni widzisz tylko dwa piętra pieczar, jednych nad drugimi, tu ciaśniej-szych, tam szerszych wewnątrz, ale zawsze dosyć wysokich, i w ogólności obszerniejszych niż w Rzymie, a rozciągających się niegdyś, jak mówią, na kilka mil naszych, w prawo i w lewo, do *Puzzoli* i do *Nola*, co znaczy, aż do brzegów morza. Było jeszcze i piętro trzecie, najniższe, ale tam się już teraz nie wchodzi. Zasypano je umyślnie po wielkiem morowém powietrzu, w połowie XVII wieku, podczas którego tam właśnie grzebano umarłych. Że zaś wszystkie te lochy, podobnie jak w Rzymie, służyły za miejsce schronienia, nabożeństwa, i za ogólny cmentarz prześladowanym pierwszym chrześcijanom, świadczą o tém, oprócz napisów, ślady kaplic, ołtarzy, szczątki nagrobków i kamiennych trumien. Ale kto, kiedy, i na co właściwie te podziemne sklepienia, i w takiej rozciągłości, w skamieniałym gruncie wykuwał: o tém ani uczona archeologia, ani tradycja ludowa nic pewnego

powiedzieć nie umie; *hypotezy* zaś, jak plotkarki, prawią ni to, ni owo. Leżą one na północ miasta, głównie pod górą *Capo di Monte*, gdzie jest przeszliczny ogród i pałac królewski, który przez długie lata nie był zamieszkany z obawy, aby się żywcem w głąb katakumb nie zapadł.

Ale cóż ci powiedzieć o tych biednych, czy świętych duszyczkach, co same dobrowolnie, jak żywcem w katakumbie, zagrzebują się w klasztorze żeńskim *Trénta Tre*, którego wziętość i świętość słynie tu przed innemi, i jest przedmiotem ogólnej czci i uwielbienia? Reguła tak jest ścisła, że skoro młoda profeska próg klasztorny przestąpi, na Józafatowej już chyba dolinie, oprócz sióstr współzakonnice, inne twarze ludzkie zobaczy. W *parlatorium* żelazna blacha, zamiast kraty, oddziela je na wieki i zasłania od światła, a zaś do wnętrza klasztoru, nie tylko nigdy gość obcy, ale nawet miejscowe służące wejść inaczej nie mogą, jak wtedy, gdy się siostry modlą w kościele.— Sama myśl o takim zamknięciu przeraża mię jak kara Westalek; a tu serca czyste, bez winy, same się na nią z własnej woli skazują, i co dziwna, jak powszechna wieść głosi, że nie tylko w tém dobre przygotowanie się do śmierci, ale i życie jakoby najszcześniejsze znajdują. Tu już rozum korzy się przed duchem; a zaś duch uświęcający ofiarę, jakby na przykład dla światła, to dobrowolne wyrzeczenie się jego widoku, wynagradza cudownym darem jasnowidzenia przyszłości. Zakonnice tego klasztoru mają tu sławę prorokiń, i ludzie wszelkich stanów, a nadewszystko panienki

przed ślubem, zasięgają ich rad jak wyroczni. W téj chwili najślawniejszą w tym względzie jest sama przełożona *Agnieszka Ferrari*, i dla niej to mianowicie panna Anastazy, jako sama dawniej znajoma, i nas tam dzisiaj zawiozła. Nie myśleliśmy wcale pytać o przyszłość; ale gdy nasza introduktorka powiedziała jéj kto jesteśmy: głos dźwięczny i miły z za blachy powitał nas bardzo uprzejmie; z dalszego zaś toku rozmowy znać było, że choć w uboczny sposób chce nam rzucić słowo pociechy, mówiąc np. o nadziei w Krzyżu. Adam był bardzo ujęty rozumem i godnością tonu mówiącej, i przed odejściem, z nietajoném wzruszeniem, siebie i wszystkich swoich jéj modlitwom polecił.— Ale i mnie pora już kończyć, polecając się łaskawemu sercu twemu i pamięci. Bądź zdrow!

VI.

Do tegoż.

Salerno, 3 Czerwca, 1830 r. w nocy.

Jedziemy do *Pestum*, noclegujemy w Salerno, a popasaliśmy w Avellino. Wyjechaliśmy zaś dzisiaj nie wczoraj dla tego, że wczoraj całe rano srożyła się okropna burza, na morzu i na lądzie, której przypatrywaliśmy się z okna, paląc fajki i podziwiając wspaniałość i grozę widoku: czarnych chmur i spienionych, piętrzących się wałów. Aż gdy ja na błysk i łoskot blizkiego piorunu, przeżegnałem się i schyliłem głowę: Adam powstał, odstawił fajkę i zamilkł. Po chwili oparł rękę na mojem ramieniu, i patrząc mi po swojemu w oczy, odezwał się bardzo poważnie: „Masz racją! głupcy tylko nie czują i nie boją się mocy Bożej.” Poczém zaraz zwrócił uwagę, ile to może okrętów na morzu walczy w téj chwili z tą burzą; i zaczął bardzo plastycznie opisywać wrażenie, jakie sprawuje u nas na wsi widok nadciągającej chmury, która całą rodzinę, dom i mienie gospodarzy ogarnia, i nad wszystko jak cień gniewu Bożego roztacza; a czego mieszkańcy miasta ani widzieć, ani doznać nie mogą. Nastąpiły reminiscencye burz, jakich kto sam kiedy doświadczył, i nakoniec cytaty opisów ich

w poezyi, zaczawszy od *Korsarza* Byrona. A odbywało się to wszystko stojąc przy oknie, mimo ciągłych błyskawic i grzmotów. I chociaż około południa, rozjaśniające się powoli niebo i uspakajające się morze, przedstawiły nam wcale inny, a niemniej uroczy spektakl: główny jednakże skutek tych obserwacji był ten, żeśmy stanowczo wyrzekli się projektu, który Adam przedtém podawał, aby wracać do Rzymu morzem, płynąc ztąd na pocztowo-kupieckim okrętku żaglowym, który raz w tydzień do Civitavecchia odchodzi. „Ostróżny, panie morze!” (jak powiada Krasicki), kto raz twoje kaprysy i fochy obaczy!

Wyjechawszy dziś rano o 7-éj, stanęliśmy na południe w *Avellino*, małym, ale dosyć porządnym miasteczku, między górami, liczącym kilkanaście tysięcy mieszkańców. Droga po większej części podobna do Lombardzkich. Po obu stronach morwy, zasadzone w rzędy; pomiędzy niemi rozwiśte winnice, a spodem pola uprawne, zasiane pszenicą, którą już żąć zaczynają. Wsi po drodze nie wiele, a i te nie wielkie. Ale czém nam pamiętnym będzie Avellino, to wiejsko-gospodarską gościnnością włoską. Xiążę Satriano-Filangieri dał nam list rekomendacyjny do przyjaciela swego, p. *Raffaele Filidei*, adwokata i najznakomitszego obywatela w tém mieście. Zaledwo go odebrał, przybiegł zadyszany do oberży, gdzieśmy stanęli na popas, i zaprosił na podwieczorek do swojego *Casino*, to jest do bardzo kształtnego i porządnego domku, a raczej pałacyku, w prześlicznym położeniu, z widokiem na góry i miasto, pomiędzy kwiatowym

ogrodem z jednej, a owocowym z drugiej strony, gdzie pod ocienioną bluszczem werendą zastaliśmy już stół zastawiony konfiturami, owocami, sorbetem, to jest zmrożonym, jak nasze lody wileńskie, (nie jak warszawskie u Contego), owocowym sokiem, w dużém, szklanném naczyniu, obłożoném lodem, i butelkami z winem. Pani domu, wcale przystojna i gustownie, ale skromnie ubrana, spotkała nas u wejścia, z taką naturalnością, swobodą i uprzejmością, jakbyśmy byli jej dobrzy znajomi; on zaś sam, w gorących słowach, wyrażał nam swoją radość, że może w domu swoim przyjąć i ugościć przyjaciół swojego przyjaciela, i przedstawił nam, jako sąsiada i kolegę, niejakiego pana *Simoni*, równie jak on sam poważnego i światłego człowieka, którego, widać było, że umyślnie dla nas zaprosił. Jakoż rozmowa z nimi, częścią po francuzku, częścią po włosku, którą zwłaszcza panna Anastazyja i Adam zagajali, była nie tylko miłą, ale i pouczającą, bo się tyczyła sposobu życia i gospodarowania tutejszego na wsi, a ztąd i moralnego charakteru i obyczajowości krajowców. Dowiedzieliśmy się np. między innemi, że uprawa drzew owocowych i wina stanowi tu główny przedmiot rolnictwa; że villa pana Filidei, zawierająca nie więcej nad 40 morgów, przynosi mu czystego dochodu przeszło tysiąc Neapolitańskich dukatów, to jest rubli, i że większa połowa tego przychodzi mu za zwyczajne orzechy — ma się rozumieć, że włoskie. Jaki zaś być musi urodzaj, sądź z tego, że *un rotolo*, to jest nasze oko, czyli 3 funty, owoców w Avellino, kosztuje nie więcej

jak dwa grana, to jest cztery grosze nasze, a butelka wcale dobrego wina, dwa grosze; od którego wszakże akeyza, przy wprowadzeniu do miasta Neapolu, przewyższa w dziesięcioro miejscową jego wartość, to jest, wynosi całego *karlina*, czyli 20 groszy naszych od butelki. W podobnymże stosunku są i inne opłaty rządowe, nałożone na płody rolnicze, a ztąd i łatwy wniosek, że rolnicy nie są z rządu kontenci.

Ale *à propos* taniości owoców, muszę pozwolić sobie małej dygressyjki, która, sądzę, że ciebie zajmie. W Neapolu, gdy nie jesteśmy zaproszeni na obiad, (co, dzięki Potockiemu, rzadko się przytrafia), albo kiedy nie chcemy z zaproszenia korzystać: obiadujemy zwykle w traktyerni *al Ercole*, która jest tém w Neapolu, czém *al Lepre* w Rzymie, to jest, uprzywilejowaną jadalnią średniej klasy mieszkańców, a z urządzenia i obsługi jak dwie krople do tamtej podobną. Otóż przyszła mi tam raz na myśl z natchnienia genialna gastronomiczna kombinacya: poziomek z pomarańczowym sokiem, co, z dodaniem w połowie czerwonego wina i cukru, stanowi rzeczwiście bardzo ponętą łakoć, którą śmiało podniebieniu twojemu zalecam. Gdy przyszło do rozplaty, a kelner pomarańcz nie liczył: przypomniałem mu je mówiąc: „*E i aranci?*” — Machnął ręką, i z pogardliwém lekceważeniem odezwał się: „*Eh! niente!*” Ucieszyło mię niewypowiedzianie, że jestem w kraju, gdzie pomarańcze są za nic, i w uniesieniu tej mojej radości, dałem mu parę granów więcej, niż zwykle, gościń-

ca. Skutkiem tego mam zawsze odtąd pomarańcze *gratis*, i mogę ci śmiało powiedzieć:

Znasz ty ten kraj, ty zimnych sfer mieszkańcze!
Gdzie niż twój grzyb, tańsze są pomarańcze?—

Wracając zaś do Avellino, nie mogę téż pominąć milczeniem truskawek, największych i najsmaczniejszych, jakie są pewno na świecie, a na które nas p. Simoni umyślnie do ogrodu swojego zaprosił. Zbieraliśmy je sami po grzędach, ubiegając się w pośpiechu i grzeczności z płcią piękną, to jest, częstując się nie mi nawzajem. Adam zwłaszcza cieszył się jak student, bo od wyjazdu z Litwy, jak mówił, nigdzie dotąd sam ani jagód, ani grzybów nie zbierał. Płec zaś piękną, oprócz dam naszych i pani Filidei, składały dwie jéj dorastające, ale jeszcze niedorosłe córeczki, które matka, na żądanie pani Klustin, przyprowadziła jéj i prezentowała, a już ja potem bawiłem je z biędzy. Mówię z *biędzy*, bo choć ni młodszą przypominała nieco przyjaciółeczkę moję z Wenecyi, *Lui-gię*, ale ach! *Silvii* obok nie było! Mimo to truskawko-branie szło nam bardzo wesoło, aż na ustawionym naprędce pomiędzy grzędami stoliku, ukazały się trzy niskie a pękate buteleczki z winem, z prawdziwie nektarowém *Lachrymae Christi*, którym uprzejmy gospodarz najprzód zdrowie gości, a potem wdzięczni goście zdrowie gospodarza spełniali; aż na koniec ostatnie krople, jak ostatnie ziarna piasku w klepsydrze, przypomniały nam porę odjazdu. Wszyscy oni przeprowadzili nas aż do oberży, i wsia-

dających już do powozu, z czułością i serdecznością, jak najlepszych przyjaciół żegnali. Dobry to lud w ogólności te Włochy! Z wielu względów podobni do nas. Złą stronę charakteru stanowi tu chytrość i mściwość, tak jak u nas buta i płochosć. Tu bandytyzm, u nas warcholstwo. *Ambo meliores!* Ale serdeczność i tu i tam szczerza. Gdzie zaś trwa dłużej?—ja nie wiem.

Droga z Avellino do Salerno, (mil tutejszych 24, naszych około 6), należy do najpiękniejszych, jakieśmy tu kiedy widzieli. Góry wysokie, pokryte zielonym lasem, albo pojedynczemi a dziwnie malowniczymi drzewami; na szczytach tu i ówdzie ruiny dawnych zamków Normandzkich; doliny uprawione i kwitnące jak ogród, gęsto wsiami i domkami białemi zasiane. Mimo to, na najwyższej górze, *Monte Aragna*, na którą droga wchodzi i schodzi gzygżakiem, spotkaliśmy czterech żandarmów, którzy tam, dla bezpieczeństwa podróżnych, dzień i noc ciągłą czatę i straż odbywają. Panorama ztamtąd precudna. Widzieliśmy je przy zachodzie słońca i przy świetle wschodzącego księżyca w pełni. Dojeżdżając już do Salerno, i przy wyjeździe z ciasnego wąwozu, ukazało się nagle morze: ciche, gładkie, błyszczące jak szyba zwierciadła, i przez długą, drzewami wysadzaną aleję, wjechaliśmy do Salerno o godz. 10-ój, i mieszkamy w wygodnej oberży pod Słońcem, z prześlicznym widokiem na morze. Teraz jest już godzina pierwsza. Czas ten zajęła nam przechadzka po nadmorskiej ulicy *La Marina*, najpiękniejszej w tém mieście, które zresztą

piętrzy się pod górę, i jak mówią, nie ma nic szczególnego do widzenia, oprócz chyba katedry z XI wieku, a w niej grobu sławnego papieża Grzegorza VII, który zdeptał potęgę cesarza Henryka, a sam tu w końcu umarł na dobrowolném wygnaniu z Rzymu. *Sic transit gloria mundi.* Dobranoc!

Salerno, 4-go Czerwca, godz. 10 w wieczór.

Przed godziną wróciliśmy z Pestum, i teraz powiem tobie co to jest to Pestum. Niegdyś, niegdyś, przed wieki wieków, miała tu być kolonia grecka, założona przez Sybarytów, to jest wychodźców z miasta greckiego *Sybaris*, w Kalabryi, które podziela smutną sławę Sodomy, że się musiało odznaczać zbytkiem i rozpustą, kiedy dotychczas imię Sybaryty jest jakby synonimem zwolennika miękkości i rozkoszy zmysłowych. Otóż i pierwsi ci koloniści musieli przecież w tych okolicach upatrywać coś stosownego do rodzimych swych gustów, i musiały one w istocie zasługiwać na to, kiedy uprawiane przez nich tu róże, zjednały sobie sławę w całym świecie Rzymskim, jak na Wschodzie róże Perskie z Szyrazu. A teraz co? Pustynia — dzika, martwa, nieuprawna, i przez pół roku zarażona *malarią*, z której ludzie już dawno uciekli, a pasą się w niej tylko woły i barany! A więc po cóż tu było przyjeżdżać? zapytasz. Po to, aby oglądać trzy najstarożytniejsze, a tak dobrze dotychczas

zachowane budowy, że możnaby je uważać za pustki tylko, a nie za ruiny. Są to dwie świątynie: Neptuna i Westy, albo Wenery, i *Basilica*, to jest gmach sądowy. Ogrom ich i wspaniałość świadczą o byłej niegdyś wielkości i świetności miasta, które w wieku IX najprzód Saraceni, a we dwa wieki później Normandowie, tak do szczytu zburzyli, że dziś wszystkie te trzy budowy, których moc oparła się zniszczeniu, sterczą tu w czystym polu, jak u nas czasem brogi lub stodoły na łąkach. Jest to przedmiot podziwów i uwielbień architektonicznych. Ale ja ci ich opisywać nie myślę. Co po tém mnie albo tobie, czy jakaś tam kolumna, z których się głównie te gmachy składają, ma się nazywać *Dorydą* czy *Korynną*, według tego lub owego porządku? Ja i do nich stosuję te słowa *Mazeppy* u Bohdana:

„Każda piękna dla mnie równa!”

A najmilsza ta chyba, co mię choćby na chwilę, jak dzisiaj w świątyni Westy, cieniem swoim otuli, i do słodkich marzeń pomoże.

Wstaliśmy dzisiaj o 5-ój, chociaż wyjechaliśmy z Salerno dopiero o 7-ój, a przedtém razem z Adamem włączyliśmy się po nad morzem. Dzień gorący, podróż powolna, widoki jednostajne — wszystko to uspasabiało do drzémki. Ale że wstyd był przecież przed oczyma panny Anastazyi zadrzémac, więc się ciciłem, jak mogłem, choć i rozmowa była dość senliwa. Ale gdy o południu, stanąwszy na miejscu,

w nędznej lichój oberży, jedyniej nowożytniej budowie, jaka się na tym stepie znajduje, posililiśmy się na-przód śniadaniem, cośmy sami sobie przywieźli, a da-my także zapragnęły spoczynku, aby skwar południo-wy przeczekać: my we trzech poszliśmy sobie do naj-bliższej świątyni Westy, której kolumn, (choć są naj-mniejsze), we dwóch z Adamem nie mogliśmy objąć, i pod cieniem jednej usiadłszy, zabraliśmy się też do odbycia *siesty*, ja powtarzając wiersze Adama z By-rona:

„Podróżni, których znużył upał-całodzienny,
Drzémali w cieniu ruin.” i t. d.

I nie pamiętam rozkoszniejszej drzémki. Ptaszę-ta świegotały nad głową; lekki wietrzyk chłodził po-wietrze; przed oczyma, nim się zamknęły, na tle prze-czystego błękitu, rysowały się pyszne kolumny; w my-ślach majaczyły boginie; ramię Adama służyło za węzłowie. I niecierpliwy ruch tego węzłowie obu-dził mię dopiero — ale nie pierwój, aż na zegarku by-ło blisko drugiej. Połączywszy się zatém z damami, przystąpiliśmy do formalnych oględzin celów naszej podróży. *Basilica*, najobszerniejsza, ma 56 kolumn, grubszych daleko niż w świątyni Westy. Świątynia Neptuna najwspanialsza, liczy ich 54. Świątynia We-sty czy Wenery, najmniejsza, ma ich 34, i to cień-szych. Ale wszystkie, oprócz trzech w Bazylice, któ-rych ogromne kapitele leżą już tylko na ziemi, dziw-nie cało są zachowane. Widok z jednej strony na mo-rze, które tuż blisko, na wyspę Capri i na końce gór,

otaczających z obu stron zatokę Salerno; z drugiej na góry porośłe drzewami, wśród których jest wieś *Capaccio*, dokąd mieszkańcy dawniejszego Pestum, po znieszczeniu jego się przenieśli. Kraj, chociaż pusty, ale miły na oko. I w ogólności okolice i wsie Neapolitańskie są bez porównania piękniejsze i bogatsze od Rzymskich. A mimo to nie było wioski, przez którąśmy jechali, aby tłumy wpół nagich dzieci i wyrostków nie goniły wewał za powozem, wrzeszcząc na całe gardło: „*Muojo di fame, Eccellenza! Date un grano, Eccellenza!*” i t. p. W Salerno, kiedyśmy wyjeżdżali z hotelu, tłum żebraków formalnie zagroził nam drogę, tak, że nie było innego sposobu, jak rzucić garść miedziaków na stronę, po które gdy się wszyscy rzucili, my tymczasem zdołaliśmy uciec.

Jutro rano jedziemy najprzód do Pompei, zkąd już na noc wrócimy do Neapolu. Teraz idę na werenkę nad morzem, gdzie na mnie całe towarzystwo czeka, i gdzie właściwie mamy dziś *pranzare*, to jest jeść obiad, bośmy nic dotąd prócz śniadania nie jedli. A więc: *buona notte!*

Godzina 1 w nocy.

Ani mi się śniło dziś jeszcze, po *dobranoc*, jak po capstrzyku, odzywać się do ciebie. Ale czuję że nie mógłbym zasnąć, nie przepisawszy ci tu pierwój wierszyka, który co tylko sklecił mi się w głowie, a któ-

rego powód jest taki. Po obiedzie, czy po wieczerzy, choć już było blisko północy, puściliśmy się na spacer po xieżycu nad morzem i wzdłuż ogródków drzewnych i pachnących. W jednym z nich latający świętojański robaczek, (których tu mnóstwo), uderzył się o mnie w przelocie, i widać przestraszony zwinął skrzydełka i siadł mi na piersiach. Adam zazdrościł mi tego, panna Anastazyja żartowała, robaczek dalej sobie, jak *boża krówka*, w swoją drogę poleciał, ale mnie został pomysł, który zwierzszowałem, i ponieważ Adam już zasnął, ty słuchaj pierwszy tego wier-sza do niego.

DO A. M.

Ty mi zazdrościsz, że na sercu mojem

Siadł robaczek święto-jański,

Ty, na którego jak ognistym zdrojem,

W natchnieniu spływa duch Pański.

Ty, od którego jak krąg aureoli,

Bije blask prawdy i chwały,

By serca braci, w smutku i niedoli,

Gwiazdę nadziei w nich miały.

O! uznaj raczej, że przy twoim boku,

Któryś jest natchnień mych źródłem,

Drobny ten świetlik, ledwo widny w mroku,

Istném méj sławy jest godłem.

I sercu memu dość na téj nadziei,

Że jak on, w ziomków wspomnieniu,

Odblask przyjaźni twojej i idei

Lśnić będzie na mém imieniu.

A teraz już na dobre, *dobranoc!*

5 Czerwca, godz. 11 rano. Pompeja.

Piszę to dla tego tylko, aby zadatować z Pompei. Przyjechaliśmy tu przed kwadransem, z innéj strony niż pierwszą razą, i idziemy zaraz oglądać ś. p. miasto. Po drodze widzieliśmy wiele pięknych okolic i przejeżdżaliśmy przez kilka porządných miasteczek: *Vietri*, *Cava* i *Nocera*. Największe i najpiękniejsze jest Cava. Ma 15,000-mieszkańców. Przed każdym domem portyk na arkadach. Piliśmy téż tam kawę i byliśmy na osobliwszém kazaniu. Nie w kościele, ale na środku ulicy; nie na ambonie, ale na prostym stole, niczém nie okrytym, stał bardzo poważny kaznodzieja i przemawiał z wielkim zapałem. Słów zdaleka dosłyszeć nie mogłem, ale po słuchaczach znać było, że musiały trafiać do serca. Na pytanie zaś moje, dla czego ten zwyczaj? odpowiedział mi jakiś porządnie ubrany jegomość, że mężczyźni tutejsi sami chodzić do kościoła nie lubią, a kobietom nie pozwalają bez siebie. O ile w tém prawdy, ja nie wiem; ale na tém uliczném kazaniu kobiet było przynajmniej cztery razy tyle co mężczyzn. Pięknych nie dopatrzyłem. Adieu! Wychodzimy.

Godzina 5 po południu.

Mądre to jest przysłowie: *bis repetita placet*. Teraz dopiero, po powtórném widzeniu, mogę śmiało

powiedzieć, że mam w głowie plan całej Pompei. Przebiegliśmy ją z końca w koniec: od teatrów, do domu Dyomeda i grobowców; a cośmy nasłuchali się o niej od przewodniczki naszej, panny Anastazyi, to mógłbym z tego spory tomik archeologicznych wiadomości ułożyć. Adam nie wiem czy bardzo słuchał, bo przynajmniej nie odpowiadał, ale jest oczarowany Pompeją. Mamy tu jeszcze wrócić za dni parę, aby ją widzieć przy świetle księżyca, na co trzeba mieć osobne pozwolenie. Teraz siadamy do obiadu w oberży, a potem zaraz do powozu. A więc dokończenie w Neapolu. *Addio!*

Godzina 12 w nocy. Neapol.

Dokończenie wcale niemiłe. Spotkało nas niespodziane zmartwienie. Na samym wstępie do hotelu, zamiast powitania Potockiego, oddano Adamowi list jego, donoszący, że w skutek otrzymanej sztafety z Rzymu, musiał wczoraj zaraz wyjechać, nie doczekawszy naszego powrotu. Listu tego ja nie czytałem, ale Adam tak był wzruszony czytając, że mu oczyma nabiegły, i wyszedł, aby je ukryć. Cały wieczór przeszedł nam smutnie. Adam był miękki i czuł jak rzadko. Za wiersz mój, który mu powiedziałem, pogłodził mię tylko i pocałował milcząc, i nawzajem pokazał swój nowy, w tych dniach zapewne, ale nie wiem kiedy napisany. Jest to naśladowanie z Göthego: „*Kennst du das Land?*” stosowane—łatwo

zgadnąć, do kogo. Umiém go już na pamięć i przepiszę ci na końcu listu, który jeszcze przez dni parę zatrzymam. Jutro u was Zielone Świątki. Obaczę, czy mi się co miłego do doniesienia wam nie zdarzy. Teraz i mnie téż bardzo tęskno po Potockim. Dobranoc!

8 Czerwca. Wtorek.

Świątki przeszły; nic nowego nie zaszło; żadna nowa znajomość nie przybyła; a co gorsza, nie udało się nawet odnowić dawnéj. Byłem w *Villi Floridiana* i u p. Oliviere; ale cóż, że był rad i uprzejmy, kiedy sam tylko był w domu. Żona z córkami pojechała w gościnę do krewnych swoich w Sorrento. Spokojny wszakże jestem na sumieniu. Zostawiłem mój bilet wizytowy, niby dla pamięci nazwiska. Signora Giustina dowié się więc, że byłem. Ojciec może powtórzy moje exkuzy, dla czego być piérwéj nie mogłem; a jeżeli jeszcze opowie, (co go samego mocno ubawiło), o szczególniejszój mojej sympatyi dla kangurów, i o wrażeniu, jakie na mnie zrobiły: to i dosyć! Ona już sama domyśli się co to znaczy, i ufam, że zarzutu niegrzeczności, czy niewdzięczności, ze wspomnieniem Polaka nie złączy. A mnie głównie o to chodziło.— Jedyną więc szczególną pamiątką tych Świątek zostanie dla mnie dobra chęć Adama, ażeby mi je uprzyjemnić. Piérwszego dnia przy obudzeniu, postrzegłem leżący na mnie, na kołdrze, jakiś papier.

Rozkładam, czytam: „*Le porteur de la presente, Mr. A. E. O., est autorisé à toucher chez Mr. Turner et Comp. la somme de cent ducats, sur les fonds d'Adam Mickiewicz, laissés à cet effet.*” Wzięłem to za żart, tyczący się wczorajszej naszej rozmowy i mojej wiary w Opatrzność. Adam tego mniemania nie zbijał, a tylko uśmiechając się powtarzał: „Pójdź, spróbuj!”— Poszedłem więc przez ciekawość dziś rano, aż tu, o! dziwy! w kantorze chcą mi zaraz wyliczać pieniądze. Nie wziąłem, bo jeszcze nie mam potrzeby, ale wdzięczność przeto nie mniejsza; i w myślach będzie to jak ów talizmanowy rulo-nik Goreckiego, odejmujący troskę o powrót do kra-ju, zkład dług przecięż łątwiej odesłać. A i to czyż nie pociecha, taki kredyt bankierski Adama! Szkoda nam tylko ciągle Potockiego. W każdej chwili go nam brakuje, a Adamowi, widzę, że nie jego jedne-go. Poznasz to i z tego wiersza, którego przepisaniem list ten chcę zakończyć—NB. za pozwoleniem autora.

Znasz ty ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa,
Pomarańcz blask zielone złoci drzewa,
Gdzie świeży bluszcz dawne ruiny stroi,
Gdzie buja laur i cyprys cicho stoi?
Znasz ty ten kraj? znasz-li o! moja miła?!
Tam był mi raj, pókiś ty ze mną była.

Znasz ty ten gmach, gdzie pysznych sto podwoi,
Gdzie kolumn rząd i tłum posągów stoi,
A wszystkie mnie witają twarzą białą:
„Pielgrzymie nasz, ach! co się z tobą stało?”
Znasz ty ten kraj? znasz-li, o! moja miła?
Tam był mi raj, pókiś ty ze mną była.

Znasz ty ten brzeg, gdzie po skalistych górach,
Strudzony muł gościńca szuka w chmurach,
Gdzie w głębi jam płomieniem wrą opoki,
A z wierzchu skał w kaskadach grzmia potoki?
Znasz ty ten kraj? znasz-li, o! moja miła?!
Tu byłby raj, gdybyś ty ze mną była. ¹⁾

Wiersz ten musiał pojechać do Paryża w liście do panny Henryetty, który ja sam na pocztę przed wyjazdem do Pestum zaniósłem.

O! Bożeż daj!
By się ten raj
Gdziebądź ponowił znów!—
Życz i ty nam,
A za to sam
Bądź mi wesół i zdrow!

¹⁾ Wiersz ten drukowany jest nieco inaczej w ogólnych zbiorach poezyi autora. Tu się umieszcza jak był napisany pierwotnie.

VII.

Do tegoż.

Neapol, 17 Czerwca, 1830 r.

Otóż już i ostatni list z Neapolu. Wyjeżdżamy pojutrze rano. Nie pisałem przez tydzień przeszło, bo nie mogłem. Przyczyna z mojej strony była całkiem fizyczna, ale wyniknęła z moralnej, a raczej z niemoralnej wcale obyczajowości tutejszego żołdactwa, stanowiącego, jak już gdzieś namieniłem, wydatną, główną część, a więc i wydatny charakterystyczny rys tutejszego społeczeństwa. Rząd Burbonów nie ma tu u narodu ani szacunku, ani przychylności. Żeby więc swoją władzę i powagę utrzymać, posługuje się siłą fizyczną, którą właśnie stanowi wojsko. Wojsko czuje, że jest podporą, a więc przywłaszcza sobie i wyobrazicielstwo władzy. Każdy żołnierz, nie tylko w szeregu, ale nawet i pojedynczo na ulicy, tak odbija tu w sobie charakter i ducha rządu, jak każda kropla morza jego słoność i gorycz. Widziałem tego mnóstwo przykładów na drugich, a doznałem na samym sobie w dzień Bożego Ciała, (10 tego miesiąca). Processya, której towarzyszy familia królewska, ma tu raczej cechę parady wojskowej, niżli religijnego obrządku. Po obu stronach ulic,

którędy przechodzi, wojsko wszędzie stoi szpalerem i nikogo w środek nie wpuszcza. Na placach, przed ołtarzami, gdzie się mają śpiewać ewangelie, wojsko formuje czworobok, w który, prócz duchowieństwa i oficjalnego orszaku, nikomu wchodzić nie wolno. Nie wiedząc o tém, i zbliżywszy się może zanadto, lubo się nie tłoczyłem bynajmniej, tak zostałem ugodzony w rękę kolbą okutą żelazem, którą żołnierz, nie patrząc nawet, w tył po za sobą uderzał: że mi dłoń zsiniała i zbrzękła, i przez dni kilka pióra w palcach utrzymać nie mogłem, a rękę na temblaku nosiłem. Nie dziw więc, że po téj przygodzie cała ta uroczystość publiczna straciła dla mnie do reszty urok religijnej świętości, który i przedtém zmniejszał się stopniowo, przez porównywanie go zwłaszcza z naszą np. processją Wileńską. Tam wszystkie stany łączą się nawzajem w jedném wspólném uczuciu wiary, w jednej wspólnie śpiewanej modlitwie; wszystkie społeczeństwa cześć Bogu oddają, wszyscy idą za Nim tą drogą. Tu wojsko panów oddziela od ludu, który jest zda się tylko w roli spektatora. Sami książęta tylko śpiewają, sami tylko panowie mogą wraz z nimi zbliżyć się do ołtarza. To też nie rozminę się zda się z prawdą, gdy powiem, że lud tutejszy, jak z królem tak i z Bogiem, nie jest sam w bezpośrednim stosunku, i zamiast w swych potrzebach duchowych udawać się Doń wprost jak do ojca, szuka tylko, jakby do pana, pośrednictwa i protekcji sług Jego, nieraz nawet z zapomnieniem o panu. A i w kazaniach, które tu słyszałem, porównywając je z naszymi, daje się

także poczuć odcień téj różnicy. Ton ich, styl i sposób wyrażania się, przypominają mi zawsze naszą kościelną *Swadę* z XVII wieku, w której, pod dziwaczne-
mi tytułami i formą, kryje się nieraz, jak ogórek pod liściem, nie jedna święta prawda i nie jedna myśl mądra. I musiała to być moda z Włoch wzięta, która, jak wszelka cudza moda u nas, rozszerzyła się najprzód jak zaraza, ale że z naszą naturą niezgodna, zniknęła nakoniec bez śladu. Tu przeciwnie, nie musi to być tylko wybryk pojedynczej fantazyi mówców, ale raczej głębsza znajomość charakteru i umysłu słuchaczów, kiedy najrozumniejsi nawet kaznodzieje ludowi, posługują się dotąd tymże tonem i formą. Takim sławnym kaznodzieją ludowym był tu przed kilku laty x. *La Rocca*, którego wpływowi, jak mówią, ludność tutejsza, a zwłaszcza lazzarońska, niezmiernie wiele pod względem umoralnienia zawdzięcza. Pamiętają tu i powtarzają często treści niektórych jego kazań, w których najbardziej rażąca obrazowość lub żartobliwość, miała jednak sprowadzać bardzo dobre skutki. Mimo to Kurya Rzymska, uwiadomiona o téj wziętości mówcy i o tym jego sposobie mówienia, zapozwała go przed swój trybunał, i wyznaczyła komissyą, złożoną z ludzi światłych i zacnych, dla posłuchania go i wydania sądu. Skutek téj próby był taki, że sędziowie nie mogli wstrzymać się od śmiechu, a przecież uwzględniając grunt rzeczy i możebność dobrego wpływu na massy, zostawili swobodę talentowi mówcy, upomniawszy go, ma się rozumieć, ażeby miary nie przebrał. W jednym z takich

kazań naprzykład, jakby parodując Danta, opowiadał swoje widzenie piekła, i opisując różne kary, za różne rodzaje grzechów, dziwił się, że nigdzie w piekle Lazzaronów nie widzi. Pokazano mu więc nakośnec czarta niezmiernej grubości, siedzącego na samym dnie piekła, wśród najzupełniejszej ciemności i w najokropniejszym zaduchu. Szatan otworzył paszczę — i w nim to, w głębi jego, siedzieli i smażyli się jak w kotle Lazzaroni, których grzechy dopiero mówca jął wyliczać i karcić.

Długo strasznie rozpisałem się o jednym. Wybacz! Ale myśl jest często jak koło, co gdy w jedną koleinę zapadnie, musi chyba trafić jak kosa na kamień, aby z niej wyskoczyło. A dziś właśnie brak mi przedmiotu, coby za ten kamień posłużył. Przez cały czas z chorą ręką włożyłem się tylko po mieście, aby obejrzyć jeszcze, czego nie widziałem, lub co godniejsze utrwalić w pamięci. Przedtém zaś, t. j. w wigilią Bożego Ciała, jeździliśmy z Klustinami do *Caserty*, a potem, t. j. onegdaj, do Sorrento, zkąd wróciliśmy wczoraj wieczorem. O obu tych wycieczkach dla zwyczaju chyba coś powiem.

Caserta, jest to sławny pałac królewski, o kilka naszych mil od Neapolu, zbudowany jakoby na wzór Wersalskiego, przez co ten, co go budował, tutejszy król Karol III, chciał niby naśladować Ludwika XIV, jak u nas nieraz szlachcic, zapatrując się na grafa-sąsiada, muruje sobie dwupiętrowy dom na to, aby stał potem pustkowiec, jak i ten *Palazzo Reale* w Caser-ta. Jest to ogromny gmach czworograniasty, ze czte-

rema facyatami: na Wschód, Zachód, Południe i Północ, mający także we środku cztery ogromne dziedzińce, a mimo to słynny jedynie najwspanialszemi jakoby w całym świecie wschodami, (z polerowanych tafli białego marmuru, w naturalne czerwone żyły), które z głównego wejścia do komnat królewskich prowadzą. Deptaliśmy i my po nich, mając na to osobne pozwolenie, wyjednane nam przez xięcia Filangieri. Warte są istotnie swój sławy; ale co same komnaty, to wcale nic osobliwego. Świetność nawet umeblowania nie zdaje się odpowiadać wspaniałości budowy. Kaplica tylko bogata. W sali tronowej było rusztowanie mularskie, z powodu jakiejś reparaacji sufitu.— Przyjemniejszą bez porównania była dla nas przechadzka po parku, obszernym, w gęście francuzkim, ze strzyżonemi szpalerami i pięknymi widokami; na morze, Wezuwiusz, i Neapolitańskie wzgórza, z zamkiem St. Elmo na wierzchu. Główną wszakże jego ozdobę stanowi woda, to jest staw i kaskada o sześciu spadach, z pięknymi posagami nad każdym. Woda ta sprowadzona tu jest sztucznie, z odległości kilku mil naszych, wodociągiem, który jest może najciekawszym przedmiotem, cośmy w tej podróży widzieli. Podziwialiśmy go zaś nie w Caserta, ale po drodze w *Mad-daloni*, gdzie przechodzi pomiędzy dwiema górami, na pysznych trzypiętrowych arkadach, których ogólna wysokość wynosi 178 stóp. Zowie się on tam *Ponte della valle*, i na wierzchu jego jest droga, po której sam król tylko niekiedy w powozie się przejeżdża. Dzieło prawdziwie godne Rzymian. Budowniczym je-

go był *Vanvitelli*, a fundatorem ten sam Karol III, co podług planu tegoż architekta, ów pałac w Caserta wystawił. Z żywych stworzeń, cośmy tam w parku widzieli, najciekawszymi były dzikie, latające bażanty, i co krok z pod nóg prawie wyskakujące zające—co mnie zwłaszcza bardzo bawiło. Gdzieś dalej ma być jeszcze wielki królewski zwierzyniec; aleśmy już tam nie dojechali.

Wycieczka do Sorrento miała więcej poetyczny charakter, choć i bez dam, i w części na osiołkach odbyta. Ale płeć piękną zastąpiła piękna natura, a marzenie i rozmowa z Adamem o niej, (pięknej płci, nie naturze), uskrzydlała długo-uche nasze pegazy; tak, że deklamując najprzód dytyramb Szyllera:

„*Ehret die Frauen! Sie flechten und weben
Himmlische Rosen ins irdische Leben,*”

przetłómaczyłem zaraz na osłe początek i dodałem *ex promptu*:

„Czcijcie płeć piękną, bo ona to wplata
Niebieskie róże w nasz ziemski cień świata!”
A czém niebieskie migdały, czy manny,
Są dla każdego pokolenia — panny.
I słusznie wartby mrzeć z nudów, jak z głodu,
Kto się poleni zbierać je — za młodu.

Ale to już było podczas powrotu z Sorrento. Popłynęliśmy zaś tam morzem, barką pocztową, z Jazwińskim i Niegolewskim. Żegluga trwała około trzech godzin. Sorrento samo, jako miasteczko, nie może się dziś szczycić czém inném, prócz że jest miejscem urodzenia Tassa. Domu, gdzie się urodził, wła-

ściwie już nie ma; miejsce tylko jego wskazują. Ale jest drugi, po nad samém morzem, gdzie mieszkał uciekły z Ferrary. Byliśmy w nim, ma się rozumieć, ale oprócz ścian nagich, żadnych innych pamiątek nie ma. Wracając zaś do miasteczka, które miało być niegdyś znaczném handlowém miastem, a i dziś liczy około 10,000 mieszkańców: leży ono w środku doliny, noszącej téż jego nazwę, *Piano di Sorrento*, otoczonej z trzech stron wysokimi skałami, poprzerywanej wąwozami, nad któremi stoi miasteczko i kilka tu i ówdzie rozrzuconych wiosek, a tworzącej jak gdyby jeden nieprzerwany ogród, pełen cytryn, pomarańcz, fig, laurów, zieleni i kwiatów. A i sama ta tak zwana dolina, jest właściwie tylko spłaszczeniem wierzchołka góry, czy raczej gór, wysokich, stromych, skalistych, skupionych tu w jedną masę i jakby arkadami zachodzących w morze; co wszystko razem wzięte stanowi właśnie ów cypel, czyli przylądek, który z téj strony golf Neapolitański zamyka a Salerneński zaczyna, i z którego szeroki widok obie te prześliczne zatoki, wszystkie ich wyspy i brzegi ogarnia. Podziwialiśmy go zwłaszcza ze szczytu wzgórz *Conti delle Fontanelle*, panujących po nad doliną, a znęceni bliskością wyspy *Capri*, postanowiliśmy tam płynąć nazajutrz. Ale widać wyraźnie, że Neptun czy Amfitryta nie chcą przyjąć wizyty naszej na wyspach. Tyle razy wybieraliśmy się na pewno do Ischii, Procidy, Nisidy, na zatoce Puzzolskiej, i zawsze jakaś nieprzewidziana przeszkoda, zmienność aury lub chęci damskich, zniweczyła te nasze plany.

Tu już dam nawet nie było, ale wiatr był przeciwny i morze wzburzone. Woleliśmy więc trzymać się lądu; a że Adam nie miał ochoty jechać do *Amalfi*, gdzie się Jaźwiński z Felisiem udali, wsiedliśmy przeto na osły i puściliśmy się przez góry do *Castellamare*. Droga w wielu miejscach tak przykra, że mogłaby być niebezpieczną, gdyby się osiołek był spotknął; ale że to nie nastąpiło, odbyliśmy ją w najweselszym humorze i w arcy-poetycznym nastroju, deklamując wiersze, rozmawiając o miłych panienkach, i co krok admirując: to malownicze góry, to falujące morze, to w ogólności południową Faunę i Florę. Podróż kosztowała nas 4 godziny czasu i po 7 karlinów od osoby, czyli od osła, z przewodnikiem *gratis*.

Castellamare śliczne miasteczko, u stóp lesistych gór, na płaszczynie nad samém morzem, ma 15,000 mieszkańców. Stoi na mogile dawniej Stabii, zasypanej razem z Pompeją, ale o której odkopywaniu nie myślą. W tém to właśnie miejscu Pliniusz naturalista, podczas wybuchu, życiem ciekawość naukową przypłacił, ale téż i przez to może najbardziej nieśmiertelność sobie zapewnił. Są tu jeszcze i słynne mineralne wody: żelazne, siarczane i słone, które obok morskiego powietrza i kąpieli, wiele gości na lato ściągają. Góra najbliższej wznosząca się nad miastem, z villą królewską i wielu innemi, nazywa się: *Quisisana*, co znaczy „tu się uzdrowia.” — Zabawiwszy tu od południa do piątej, powróciliśmy do Neapolu powozem, wspólnie z jakimiś dwóma Anglikami

najętym. Jeden z nich, niejaki p. *Blount* z Liverpoolu, opowiadał nam bardzo ciekawe rzeczy o drodze żelaznej, budującej się na próbę między tém miastem a Manchesterem. Adam trwa w przekonaniu, które już przed trzema laty w swojej „Historyi Przyszłości” wyraził, że za lat sto cały świat będzie jeździł w powozach bez koni, a może i zamiast wierzchowców, parowe jakie machinki albo baloniki wymyśli.

Nie uwierzysz jak jestem kontent, że już nie tutaj więcej do oglądania nie mamy, to jest, że widzieliśmy to wszystko, co nam albo *światosłynna* sława, albo *Guide du Voyageur* do widzenia zalecał. Wprawdzie mogliśmy tego ukontentowania dostąpić daleko wcześniej, z oszczędzeniem połowy czasu i wydanych tutaj pieniędzy, gdybyśmy umieli podróżować po niemiecku lub po angielsku. Ci dwaj Niemcy np. z Zurichu, po których dziedzicznym mieszkaniu, przyjechali do Włoch w końcu Lutego; byli tam wszędzie gdzie my, zwiedzili nadto Turyn, Genuę, Livorno, i t. d., i nie tylko widzieli wszędzie wszystko, co było do widzenia, ale wszystko jak najporządniej zapisali w swoich dzienniczkach, i już przy końcu Maja popłynęli sobie szczęśliwie do Marsylii, na podobne zwiedzenie Francji. Prawda, że przez cały ten czas, jak mi sami mówili, pracowali jak maszyny, nie jak ludzie: ruszając się dzień cały od świtu do zmroku, a w nocy zapisując co widzieli we dnie. Znajomości nie zabierali żadnych, prócz chyba jak z nami np. w traktyerze, nie marnując nigdzie na próżno ani grosza, ani minuty. Z Anglikami znowu przeciwnie,

(a nie mówię tutaj o wszystkich w ogólności, ale o egzemplarzach, które sam widziałem, stanowiących jednakże większość ich zwyczajnych turystów). Nie chodzi im ani o naukę, ani nawet o wrażenie. Dość aby byli wszędzie i spojrzeli na wszystko, co sławnego jest gdzie do widzenia, żeby mózgi kiedyś potem z przekonaniem powiedzieć sobie albo drugim: „*I have been, I have seen*” (byłem, widziałem). A daje się to łatwo wnosić z pośpiechu, z jakim niektórzy z nich przebiegają galerye, pompiki, a nawet okolice, zatrzymując się zaledwo przed sławniejszemi obrazami lub widokami, ale bardzo starannie zaznaczając ołówkiem te wszystkie, na których ich oko spoczęło, a które są wymienione w „*Przewodniku Podróżnych*,” będącym w ręku każdego z nich, i który zdają się studiować troskliwiej, niż wskazane przezeń przedmioty.

A więc zechcesz może zapytać, po jakiemu my podróżujemy? Odpowiadam bez wahania:— po polsku; co znaczy, w pół po poetycku, w pół po pańsku; to jest, używamy swobodnie *dzisiaj*, a jutro—jakoś to będzie! I choć ja w tém właściwie odegrywam tylko najczęściej rolę cienia, nie zadaję wszakże gwałtu swojej naturze, ażeby się do Adama stosować. Owszem, przez doświadczenie nabieram coraz więcej przekonania, że w tém to jest prawdziwa i poezya i filozofia życia. Grunt rzeczy tylko na tém, aby Anioła-Stróża nie zagniewać czém dzisiaj, za coby nas na jutro samym sobie zostawił. Ale Anioł nie byłby Aniołem, gdyby nie był łagodnym i wyrozumiałym; tém bardziej, że najczęściej sprawa o aniołków. A nie jużby,

jak nieubłagany kontroler, obliczał wszystkie chwile stracone, lub słowa powiedziane na próżno? A zresztą i co do tych chwil, niby straconych—co zdaje się być stratą dla jednych, może nią nie być rzeczywiście dla drugich. Jedwabnik póty dobry, póki się nie rusza a gryzie wciąż liście morwowe. Ależ pszczoła wtedy tylko pracuje, kiedy lata z kwiatka na kwiatek. Gotujący się na jakąś katedrę professor, niechaj siedzi po całych dniach w bibliotece i jak mól żyje xiążkami! Ale my — ja przynajmniej — czyż w Rzymie nawet nie skorzystałem więcej z towarzystwa żywych, niż gdybym studiował tylko malowane lub kamienne boginie? Malarzem ani rzeźbiarzem nie będę. Albo mamże żałować tych kilkunastu dni przepędzonych za nadto może w Neapolu, kiedy im, oprócz tylu słodkich wrażeń i wspomnień, tyle nawet pod względem higienicznym zawdzięczać? Nigdy w życiu nie czułem się zdrowszym; a przypisuję to zwłaszcza tutejszemu powietrzu, kąpielom morskim i wodzie siarczanój. Ta ostatnia, przezczysta jak roztopiony brylant, odrażała mię z razu swoim zapachem. Ale później tak do niej nawykłem, że mi była niemniej przyjemną, jak prześiąkły morszczyzną *venticello del mare*, który tu już o godzinie czwartej z południa tak największy upał łagodzi, że skwaru bynajmniej nie czujesz, a tylko jakby światłem słoneczném oddychasz. Ot i w tej chwili właśnie gdy to piszę, ten rozkoszny skrzydlaty swawolnik tak dmucha na mnie przez otwarte okno, że papier pod palcami rusza się jak woda; a zaś woda widna przez okno, to jest morze, tak wdzięcznie szu-

mi, szemrze i pluska o brzegi, że jak owa zaklęta fala w *Świteziance*:

Tak serce nęci, tak ucho łechce,
Tak szepce coś poufale,
Że już mi dłużej pisać się nie chce,
Idę do Villi Reale.

A zatém na dzisiaj—*vale!*

18 Czerwca.

Adam z p. Symonem pojechali dziś na cały dzień do Pompei, ale wrócą przed wieczorem na obiad, z którym ich damy czekają. Ja tymczasem upakowałem już tłóмок, zamówiłem na jutro miejsca w dyliżansie, byłem na pożegnanie w Muzeum, spójrzałem po raz ostatni na najpiękniejsze rzeźby i obrazy, a z *Capodimonte* na miasto, i teraz w domu sobie odbywam siestę, i list ten kontynuować zamierzam. Potém zaś muszę iść zaraz z polecenia Adama, aby zamówić na dziś wieczór serenadę dla panny Anastazyi, która ma się dać słyszeć na siurpryzę pod oknem, podczas gdy my będziemy siedzieli przy obiedzie. Sztuczka ta ma nas kosztować trzy skudy, po skudzie dla każdego z trzech grajków, którzy tę serenadę orkiestrę składają, i zawsze są do najęcia. Ma to być wyraz naszej wdzięczności, za tyle chwil miłych, cośmy tu z ich łaski doznali. Gdyż w istocie, gdyby nie Potocki i nie oni, Neapol pozostałby tylko dla nas

w pamięci jak piękny pejzaż bez figur. W ich zaś towarzystwie, oprócz macierzyńskiej prawdziwie dobroci matki, a siostrzaniej przychylności córki, obcowanie też z panem Symonem było — dla mnie przynajmniej — źródłem wielu moralnych korzyści; nie przez żaden wpływ jego bynajmniej, ani nawet przez rodzaj tych sercowych wrażeń, jakie we mnie np. obudzał Garczyński; ale owszem przez ich różnicę, i przez częste zastanawianie się nad tém, stające się nieraz powodem długich o tém rozmów z Adamem, z których właśnie czerpałem tę korzyść. Serce dobre, pojęcie bystre, dobry chłopiec, jak się to mówi, a zwłaszcza dobry kompan w codzienném pożyciu. Ale cóż, kiedy w nim dotąd nie mogę jakoś dopatrzeć żadnego stałego punktu, z któregooby, jak cyrklem koło, można było rozmiar stosunku zakreślić, lub spotkać się w nim współczuciem wzajemném. A jednak nie jest on wcale egoistą, w pospolitém tego słowa znaczeniu. Pieniądze np. ma za nic; celów ambicyi nie roi, życiem nawet gotów pomiatać. Ale ani sam w sobie, ani nad sobą, nie widzi i nie uznaje nic takiego, za coby czuł, że warto jest umrzeć, albo żyć i cierpieć dla czego. Ztąd próżnia i nuda wewnętrzna; ztąd szukanie rozrywek i przesyt; ztąd nakoniec bajroniczna drażliwość i bajroniczna niechęć do świata i ludzi, stanowiąca jakby tło stałe, zmiennych zresztą wyobrażeń i uczuć. Byron bowiem jest jego bożyszczem, a on sam skończonym typem tak zwanych bajronistów dzisiejszych, a jak Adam powiada, i tych wyższych warstw męskiego społeczeństwa, w których

dotąd młodość swoją przepędzał. Nic mu nie brak, prócz ideału; tego — jak mówi Pascal — namaszczenia ducha ludzkiego, co jego samego nad ciało, a ciało, to jest serce, wznosi po nad ziemię. Brak mu tego, co jest jakby wcielone w Adama: świadomości celów życia, któreby kochał i w któreby wierzył. To też najciekawszym przedmiotem obserwacji dla mnie jest stopniowy nań wpływ Adama i sposób, jakim się to dzieje. Bo wiesz, że nie ma pewnie drugiego człowieka na świecie, co by mniej dbał lub starał się o to, jak Adam. To też on się wcale nie stara; jest tylko zawsze *sobą* w duchu i prawdzie, a już ten duch i prawda działają, zda się same jakby magnetycznie. Wpływ ten dla pana Symona jest rzeczywiście providencyonalnym, za jaki go też uważają matka jego i siostra. Czy go on sam czuje i uznaje, ja nie wiem; ale dla drugich jest on oczywistym; dla mnie zaś staje się kluczem do rozwiązania wielu psychicznych i dziejowych zagadek w przeszłości, i motywem do marzeń na przyszłość. Takiemi to a nie innemi drogami duch chrześcijański wkroczył na Kapitol, a potem z niego Gotów i Wandalów oświecił; a przez jakie sposoby on sam się najprzód oczyszczał i wzmacniał, w tém już jest tajemnica woli Bożej, bez której nic się na świecie nie dzieje.

Temat ten, chociaż wcale z innego powodu, był właśnie wczoraj przedmiotem dłuższej rozmowy Adama ze starszym Arcybiskupem, który nas bardzo czule i serdecznie pożegnał, podobnie jak i książę Satriano-Filiangieri, u którego byliśmy też z pożegnaniem. Resztę wieczoru z Jaźwińskim i Niegolewskim

spędziliśmy częścią w villi *Eckling*, częścią w teatrze *del Fondo*. Właściciel piérwszej, pan milionowy, stracił prawie cały majątek na budowę w nią — czego? Oto ruin na wzór Pompei. Teraz villa idzie na sprzedaż, ale nikt nie chce płacić za ruiny. Adam z tego powodu opowiadał anegdotę, a raczej koncept niejakiego pana Mackiewicza, żartobliwego poety w powieście Nowogródzkim, którego sąsiad, bogaty panek, zaprosił na poświęcenie kanałów, które wprost dla parady w majątku swoim pokopał, a które, jak się sam chwalił, kosztowały go sto tysięcy złotych. Gospodarz, w nadziei zapewne komplementu, nalegał koniecznie na Mackiewicza, aby zaimprovizował o tém wiersz jaki; aż ten zniecierpliwiony i zmuszony na koniec, uczynił zadość żądaniu, i zaimprovizował wiersz taki:

Te kanały
Kosztowały
Sto tysięcy.
Nie bądź głupi,
Nikt nie kupi,
Nie kop więcéj.

Możesz powiedzieć to i powtórzyć swojemu sąsiadowi z ***, który buduje u siebie figarnię, a procentu od długów nie płaci. Ciekawy bardzo jestem, jak przyjdzie *exdywizya*, na czyj dział przypadną figi?

Teatr *del Fondo* i mały i nędzny, (4 rzędy łóż, po 18 w każdym). Opera, *Barbiere di Sevigilia*, z baletem. Ale nie ma o tém co mówić, równie jak i o in-

nich mniejszych teatrach tutejszych, jak np.: *Nuovo, Fenice i dei Fiorentini*. Chociaż w ostatnim komedya ma wcale dobrych aktorów, jak zwykle komedye we Włoszech. Dzisiaj mamy być jeszcze w *San Carlo*. Teraz idę zamówić serenadę. List ten jutro przed wyjazdem dokończę.

19 Czerwca, godz. 9 rano.

A więc ostatnie *buon giorno* w Neapolu! Wyjeżdżamy o jedenastój. Od piątój jesteśmy już na nogach. Byliśmy najpierw w kościele, a potem na walecie w objęciach fali morskiej, przypomniawszy w niej figle studenckie. Adam pierwszy wyzwał mnie na „*wojnę w okręty*,” to jest na pryskanie w twarz wodą obiedwiema rękami, póki się oczy lub usta nie zaleją; bo kto się odwróci, ten przegrał. Zwyczajna niegdyś nasza krotchwila z Massalskim w Wilnie, a i dzisiaj niemniej wesoła. „*Nous nous lançons des bordées*,” jak mówi Adam. Zwycięstwo chwiało się różnie, ale myśli rozweseliły się jak rybki. Żeby to tak kiedyś wesoło wyjeżdżać z tego świata, jak się dzisiaj z Neapolu wyjeżdża. Skutek to wiary i nadziei, że się tam gdzieś z aniołkami naszymi spotkamy; a tu panna Anastazy z bratem, czeka nas na pożegnanie w cukierni. Siurpryza i serenada wczoraj udały się przewybornie. Heroina była kontenta. Dostaliśmy wzajem w prezencie po prześlicznym kora-

lowym cybuszku do cygar. Na Sierpień daliśmy sobie *rendez-vous* w Genewie. Dziś mają nas przeprowadzić na dyliżans, podobnie jak Feliś z Jaźwińskim, którzy tu także zostają na dłużej.

Gdy my znowu bez ustanku
Jedziem gonić wiatry w polu.—
Bądź zdrów, drogi Julianku!
Adieu, miły Neapolu!

VIII.

Do Ignacego Chodźki.

Rzym, 25 Czerwca 1830 r.

„Przez Rzym droga w różne strony,“ — jak mówi stare *dictum*, które kiedyś od ciebie samego słyszałem. Nie dziw więc, że m znowu w Rzymie, po drodze z Neapolu do domu. Ale co mnie samemu jest dziwno, to, że sam w Rzymie czuję się jak w domu. Tak mi jakoś swojsko, tak miło. Skutek to pewnie nie czego innego, jak że raz pierwszy po wyjeździe z domu, przybyłem tu z Neapolu do miejsc już znajomych i spotkałem znajome twarze — a i serca życzliwe. Sam już powrót tą samą drogą usposabiał do tego wrażenia; ale widok u bramy miasta: Garczyńskiego, Statlera i Gajewskiego, którzy już tam na nas czekali, sprawił nam najzupełniej tę samą sensacyą, jakiej serce nieraz doznało, gdy wjeżdżając w bramę dziedzińca spostrzegło się stojących na ganku, co już tam wyszli na spotkanie nasze. Dzięki uczynności Statlera, mieliśmy już najęte mieszkanie, a że rzeczy najajutrz dopiero można było z biura odebrać, puściliśmy się przez miasto piechotą. Była zaledwie godzina dziewiąta wieczorem, (dnia 20), a już ulice były prawie puste. Na *Corso* nawet, każdy stuk o ka-

mienie okutój mojej laseczki, zdawał się rozlegać echem. Po téj ciżbie i po tym gwarze, jakie zwykle o téj godzinie na *Toledo* w Neapolu panują, cisza ta i samotność miasta szczególniejsze robiły wrażenie, a podwajała je ciemność w oknach i większa ich część pozamykanych na głucho. Rzym bowiem w téj porze roku jest jakby przez połowę wyludnionym, a obawa *malaryi* wieczornéj wczesnie wszystkich zapędza do domów. My wszakże nie zważaliśmy na to, i zagawędziwszy się wesoło w cukierni, około północy za ledwo objęliśmy w posiadanie czekający już na nas apartament, (*Bocca di Leone* Nr. 3), to jest obszerną izbę z przedpokojem, wykładane posadzką z kafli. Ale jak za pierwszym niegdyś przyjazdem zimno, tak teraz dusząca parność dały nam wnet uczuć niemile różnicę z Neapolitańskim powietrzem. Mądre to jest axioma turystów, że chcąc dobrze użyć pór roku, trzeba zimę przepędzać w Sztokholmie, a na lato jechać do Neapolu.

Ale ani w lecie, ni w zimie,
Nie daj Boże być gościem w Rzymie.

I nie dziw się, że najprzód mówię ci o tém, bo to jest cierń, co nas w téj chwili bodzie tu i dojmuje najbardziej. A co najgorsza, to że w domu najgorzej. Na ulicy, choć słońce smali, ale jest przecież parasol i jaki taki ruch powietrza. Ale wróciwszy na noc do domu, przy zamkniętych od *malaryi* oknach, męczarnia do niewytrzymania. W zupełnym dezabilu, czujesz się jak w łaźni, a każdy oddech, który wciągasz

w piersi, zdaje ci się jak kosmaty axamit, który cię lada chwila zadławi. (Sensacya żywcem pogrzebanych). To téż powód, że dziś ledwo, po pięciu dniach pobytu, mogłem wreszcie wziąć się do pióra, i to w skutek dwugodzinnego deszczu, który przecież orzeźwił i ochłodził nieco powietrze.—A nie skwarzylibyśmy się tu nawet tak długo, gdyby nie okoliczność sercowa; nie nasza własna wprawdzie, ale przyjacielska. Poczciwy Stattler,

Po długich westchnień i cierpień kolei,
Staje nakoniec u celu nadziei;

i pojutrze zaślubia piękną Signorę Klementynę; a że pragnie koniecznie, abyśmy mu obadwaj družbowali do ślubu, który przeto właśnie przyśpiesza, więc gwo-li tego wesela zostajem. A wreszcie, co do przyjemności sercowych, mamy w nich codzien hojną kompensatę za skwaryienne i koszemary nocne. Nie-wyczerpana uprzejmość xiężny Zeneidy, która tu na parę tygodni umyślnie bodaj dla obaczenia się z Adamem wróciła, (bo znowu na resztę lata w okolice gdzieś na wieś po wyjeździe naszym wyjedzie); uprzejmość ta, powiadam, jest dla nas jak owa *acqua fresca*, która i tu, jak w Neapolu, stanowi główną ochłodę i pokrzepienie zziających od skwaru przechodniów. Przedają ją i obwołują co krok na ulicach, a w Neapolu sam rząd czuwa nad tém, aby jak po cukierniach lodów, tak po szyneczkach wodnych lodu do wody nie zabrakło. Dostarczają go im magazyny rządowe, po bardzo nizkiéj i zawsze jednostajnéj cenie, bez

żadnego ztąd zysku dla siebie, ale wprost *pro publico bono*. Sprowadzają go zaś same częścią z gór *Abruzzo*, a najwięcej aż ze Szwecyi morzem. Ale za to też każdy cukiernik czy wodnik, któryby od otwarcia do zamknięcia sklepu, nie miał w każdej chwili lodów i wody lodowej dla gości, ulega policyjnej karze pieniężnej. Otóż jeżeli uprzejmość dla nas xiężny Ze-neidy przyrównyвам do owęj orzeźwiającej wody, to towarzystwo Garczyńskiego jest jakby dodatkiem lodu. I nie masz wyobrażenia, co to jest za przyjemność czuć się nie już jak na wojażu, ale jakby w gościnie w przyjacielskim domu, i chodząc po mieście — po Rzymie! — nie patrzeć tylko na wszystko, jak żak na tablicę, ale wszędzie we wszystkiem oglądać i spotykać jakby dobrych znajomych — i to jakich?

Apollo Belwederski jakby pytał: „Gdzie ta,
„Że ję tu nie ma z wami, panna Henryeta?“
Feby, Heby, Aurory, Flory, Afrodyty,
Przypominają pierwsze schadzki i zachwyty;
A Cycero, Horacy, Sokrates czy Tales,
Szepcą ci zda się: „*Salve!*“ lub „*Quomodo vales?*“

A jednak, mimo téj takiej uprzejmości kamiennych i malowanych gospodarzy muzeów i galeryj, mniej chętnie jakoś zaglądamy w ich progi, lub zaglądamy tylko jak do sali balowej, z kąd gorąco zwłaszcza wystrasza, aby nie tyle pojedyncze figury, co ogół as-samblu obaczyć. Miléj nęcą nas ville i ogrody zamiejskie, które rano i w wieczór piechotą z Garczyńskim, a po obiedzie u xiężny, z nią razem, powozem

zazwyczaj zwiedzamy, ażeby czy to świeższém ode-
tchnąć powietrzem, czy ażeby piękniejsze widoki albo
pomniki lepiej wrazić i utrwalić w pamięci. Ludwik
Tieck mówił mi kiedyś w Dreźnie, że aby prawdziwie
wielką poezyą należycie zrozumieć, ocenić i poczuć,
trzeba koniecznie czytać ją trzy razy. Za pierwszym,
zaspakajasz tylko ciekawość i odbierasz wrażenie
ogólne;—jak np. od okolicy, widzianej po raz pierw-
szy, a owianej jeszcze mgłą ranną. Przy drugim
już odczytaniu ciekawość ustępuje miejsca rozwadze.
Mgła topnieje, przedmioty i wrażenia szykują się
w pewny porządek, i kontur się całości ogarnia. Ale
za trzecim razem dopióro, wpatrując się i rozważając
pojedyncze szczegóły i rysy, i oceniając ich prawdę
i piękność, możesz dójść do prawdziwego pocucia do-
skonalskości ogółu. Mądre to powiedzenie Tiecka o po-
ezyi, możnaby jota w jotę zastosować i do wszystkich
sztuk pięknych, a nawet i do pięknych widoków—
a nawet i do pięknych twarzyczek. Ale jeżeli *bis* do-
bre jest w czytaniu czy kochaniu, to niech go *bies*
porwie w opowiadaniu! Nie bój się więc, nie będę
ciebie nudził powtarzaniem opisów tego, co sam tu już
widzę powtórnie. Ale za toż musisz przeczytać rym
nowo-sklecony, który z tych wojażerskich repetycyj
wyniknął.

Nie pamiętam, czy wam już kiedy pisałem o *Trans-
taverinach*, to jest o mieszkańcach części miasta za
Tybrem (*Tevere*), stanowiących tu jakby osobne ple-
mię, chlubiące się niezmaconém pochodzeniem od sta-
rożytnych Rzymian, i nie mieszącące się wcale z na-

pływową ludnością. Bogatsi pomiędzy nimi i właściciele domów nazywają siebie *Eminent*, co znaczy: znakomici albo znamienici. Jakoż odznaczają się istotnie od innych mieszkańców Rzymu nie tylko osobnym strojem, (składającym się zwłaszcza z axamitnej lub mانشestrowej kurtki, takichże krótkich spodni, i szerokiego niskiego kapelusza), ale też kształtną posagową postacią i szczególnym wyrazem twarzy: śmiałym, hardym, i prawie wyzywającym. Włosy i oczy czarne, a pałające jak węgiel. Kobięty także są zwykle wysokie, kształtne i po większej części piękne. Ale biada turyście we fraku lub w surducie, coby się w nie bardzo wpatrywał! Do fraków bowiem i surdutów *Eminent* mają szczególniejszą anse, i noszących je zowią pogardliwie „*paini*“, co zdaje się mieć związek z wyrazem *pagani* (poganie). Otóż, że cudzoziemcowi w surducie nie bardzo jest bezpiecznie spacerować samemu w tej części miasta, aby się z jaką zaczepką lub obelgą nie spotkać; pocciwy Stattler, jako biegle mówiący po włosku, był tam onegdaj przewodnikiem naszym. Uderzeni byliśmy zwłaszcza atletyczną budową ciała i dzikością fizyognomii tych potomków „wilczego plemienia“. A że wróciwszy zamtąd na obiad do księżny, znalazłem u niej rycinę obrazu, wystawiającego *Żniwiarzy Rzymskich*, powracających na wozie od żniwa; wziąłem ztąd assumpt do zrymowania tych myśli i wrażeń, jakie we mnie widok *Eminentów* obudził. Tytuł wiersza: „*Żniwiarze Rzymscy*“, a on sam brzmi jak następuje:

Minął czas, kiedy zwycięzki Rzymianin,
Legii swoich świat czyniąc obozem,
Plon krwawych bitew i hołdownych danin
Wiózł, tłumy jęńców prowadząc za wozem.

Łudu Rzymskiego potęgą dziś—praca,
Łupem i jeńcem—sноп zżęty na polu.
A przecież, patrzaj! gdy od żniwa wraca,
Rzekłbyś, zwycięzca w bramy Kapitolu.

Zachman, jak togę, zarzucił na ramię,
Skróń okrył liściem latorośli winnej,
I w twarzy jego starożytne znamię
Mocy, godności i dumy rodzinnej.

Kształtem do bożka podobny posągu,
Otoczon gronem wesołych żniwiarzy,
Przy głośnym brzęku łańcuchów zaprzągu,
On nie o żniwie—o tryumfie marzy.

I tych to marzeń siła tajemnicza,
Że choć z dusz Rzymskie czucia wywietrzały,
Łud Rzymski dotąd z postawy, z oblicza,
Jest jak nagrobny pomnik Rzymskiej chwały.

26 Czerwca, wieczorem.

Powracamy z obiadu od xięcia Gagaryna, i ja już
z paszportem w kieszeni, zawizowanym do Paryża.
Rozumiałem, że trzeba będzie odwoływać się o to do
kraju, i cieszę się niewymównie, że się bez téj ceregieli
obeszło. Paszport i wexel w kieszeni, to jakby dwa
skrzydła u ramion. I nigdy nie zapomnę téj chwili,

Listy Odyńca. Tom. IV.

gdy mając już wexel bankowy, z paszportem téż na koniec z ratusza na ulicę w Warszawie wyszedłem. Czułem jakby radość Ikara, gdy już nad ściany labiryntu wylatał; tém bardziej, że i obraz Adama, który na mnie czekał już w Dreźnie, jak ojciec Dedal zda się ulatywał przede mną. A i dziś myśl, że z Rzymu mogę jechać i jadę do Paryża, elektryzowała mię w dziwny sposób. Próbowałem namawiać Garczyńskiego, ażeby jechał z nami na lato do Szwajcaryi, tém bardziej, że i jego towarzysz musi wkrótce powracać do domu, i on sam tylko w Rzymie z *malaryą* zostanie. Ale gdzie tam! Pobladł i zmizerniał nieborak od tutejszego ulicznego skwaru i ciągłego ślęczenia nad książkami jak Niemiec; a przecież trwa ciągle przy swoim: że mając czas określony, musi z niego ile można korzystać, a nie poświęcać go dla przyjemności. Zostawiamy go więc jego losowi; chociaż wyznaję, że jest on dla mnie zawsze nierozwiązalną zagadką. Nie wiem nawet nad czém właściwie i w jakim celu pracuje. Uczy się od metra po włosku; doucza się sam po łacinie; czyta *Niebuhra* i *Winckelmana*; ale przytém i Göthe leży ciągle przed nim na stole ¹⁾).

¹⁾ Na tém się kończą właściwie wspomnienia o Garczyńskim w niniejszych *Listach z Podróży*. Dla „rozwiązania więc téj zagadki“ czytelnikom, przytaczam tu dalsze o nim wspomnienie, opowiedziane gdzie indziej i w skład innéj całości wchodzące.

„W połowie Stycznia 1831 roku, Garczyński przyjechał z Rzymu do Dreznia i zamieszkał ze mną dni kilka, ażeby po-

Jeśli mu tylko rzecz o to, żeby się na „*ecce homo*” wykształcić: toć warto czasem xiążki żywém towarzystwem zastąpić; tém bardziej, że wie dobrze i czuje, jakim arcydziełem jest Adam. Jeśli zaś Huffland,

tém razem jechać do Berlina i dalej. Byliśmy na wieczorze u p. Ewy Dobrzyckiej, gdzie był także sędziwy jój przyjaciel generał Kuiaziewicz. Pod wpływem różnych jego opowiadań, poszliśmy jeszcze przejść się po Brühlowskim terrase, i anismy się spostrzegli, jak zegar z wieży zaczął bić dwunastą. Rozmowa szła o niepewności życia. Na pierwszy dźwięk zegaru, Garczyński zatrzymał się nagle, i ująwszy mnie mocno za ramię, odezwał się jakimś tonem niezwykłym: „Słuchaj! mam ci powiedzieć jedną tajemnicę; tajemnicę życia mojego, o której nikt dotąd nie wie. Ale przysięż, że póki ja żyję, bez upoważnienia mojego nie powiesz o niej nigdy i nikomu.”—Struchlałem. Twarz jego oświecona xiężycem, przybrała dziwny jakiś tajemniczy wyraz, który mnie do reszty przeraził. Pewny byłem, że coś straszego ciąży mu na duszy, i nie mogąc odrzucić dowodu ufności, szedłem przy nim istotnie w roli delinkwenta, gdyśmy mileząc wracali do domu, gdzie mi dopięro miał swój sekret powierzyć. Drżącą ręką zaledwo wykrzesilem ognia; on zaś tymczasem z gorączkowym pośpiechem rozrzucał swój tlóмок podróży, i wydostawszy z niego zwój papieru, stanął przedemną jak posąg, i drgającemi usty, przytłumionym głosem, wyjąkał, jakby wyznanie zbrodni: „Ja piszę wiersze!”—Póki życia nie zapomnę téj chwili. Kontrast rzeczy z oczekiwaniem; nagle przejście z bojaźni w radość; takie razem sprawiły wrażenie, że mimowolnie parsknałem od śmiechu. On zmieszalsię—ale gdy mu opowiedziałem poprzedni mój przestach, sam zaczął śmiać się wraz ze mną. Ale przyszła nowa obawa. Czułem, jak on na seryo rzecz bierze; a przecież zdania mojego, chcąc nawet, anibym ukryć, ani udać nie mógl. To téż

w swojej *hygienie*, radzi każdemu dla zdrowia upić się przynajmniej dwa razy na rok, żeby bieg krwi jakoś przemienić: to kto wie, czy i na cyrkulacyą myśli nie wpływa równie korzystnie, kiedy się człowiek przy pracy choć raz tylko na rok zakocha. Wszyscyśmy

radość moja nie miała granic, gdy w pierwszych zaraz wierszach, które mi przeczytał, obok głębokiej myśli i uczucia, była i tak skończona artystyczna forma, że mię od razu w podziwienie wprawiła. Był to ustęp z poematu „*Wacław*,” który wtenczas miał inny tytuł. Zamiast zdania mojego, powtórzyłem mu tylko własny jego wiersz, który zapamiętałem, a który to zdanie najzupełniej wyrażał.

„Czytam wiersz—myśli dumne, melodya dzika,
Ale silna, zaświadcza o wewnętrznej sile.“—

Do rana przeczytaliśmy cały ten poemat, który następnie uległ znacznym odmianom, ale i wtedy już miał te wszystkie zalety, jakimi się głównie odznacza. Z roli sędziego, od której zacząłem, i z podziwu prostego słuchacza, przeszedłem w końcu do uznania wyższości jego nad sobą, i żaden tryumf mojej miłości własnej nie uczyniłby mię tyle szczęśliwym. On porwał pióro, i napisał w moim dzienniczku.

„Dzień 17 Stycznia 1831 r., a osobliwie 12-a w nocy godzina, niechaj nam wiecznie pamiętną zostanie.“

Później zaś pisał do mnie, i często przed drugimi powtarzał: „że trzy razy miałem w ręku los jego życia“. Przy pierwszym spotkaniu się z Adamem w Rzymie, gdzie umyślnie dla niego przyjechał, gdyby wesoły mój żart, choć wcale bez celu rzucony, nie zmienił był nastroju i wrażenia téj chwili: on już miał myśl wyjechać natychmiast; co by całą przyszłość jego zwichnęło. Gdyby mi wiersze jego nie trafiły do serca: miał zamiar wrzucić w ogień rękopism i pióro na zawsze załamać. Raz trzeci nie tyczył się już poezji pisanej, i nie miejsce mówić tu o nim.“

(P. A.)

bodaj w Wilnie próbowali tego lekarstwa, a dobry jego skutek widzimy tu na Stattlerze. Zakochał się równo z przyjazdem na naukę do Rzymu, a miłość, jak sam powiada, była mu najlepszym bodźcem do pracy, żeby się przez nią co najprędzej wykształcić, i zająć stanowisko w świecie, któreby mógł z ukochaną podzielić. Prawda, że i *Signora Clementina* była nielada wzorem dla malarza. Ładna, co się zowie, panienka! Nazwisko jej *Zerboni di Colonna*. Sierota po zacnych rodzicach, którzy go jak syna kochali, (bo mieszkał u nich lat siedem po przybyciu do Rzymu), zostaje obecnie pod opieką starszego brata i siostry, miłej i wykształconej osoby. Ślub odbędzie się jutro. Rozumieliśmy, że będziemy dziś zaproszeni na *Dziewic-wieczór*; ale to nie jest tutaj we zwyczaju. Jedziemy więc na teatr z xiężną.

27 Lipca, w nocy.

Byliśmy tedy na weselu włoskiem. Dla mnie ślub każdy ma zawsze szczególniejszy powab i interes, z powodu zwłaszcza fizyognomii i wyrazu twarzy Państwa Młodych. Lubię zeń odgadywać koleje ich uczuć, i jeżeli para dobrana, zawsze się w duszy szczerze za ich szczęście pomodłę. Za toż kiedy Pan Młody dziad albo drab jaki, żal mi téj biédnej w bieli i w zielonym wieńcu, jak ofiarnego baranka, kiedy wiem, że go na rzeź prowadzą; i nie daj Boże, żeby się ziściło, co mimo-

wolnie wtedy rzeźnikowi życzę. Ale dziś, oprócz serdecznej życzliwości dla młodój, a ze wszech miar najdobrańszej pary, zajmowała mię jeszcze i nowość obrządku, w wielu rzeczach odmiennego od naszych. Panna Młoda, ubrana wprawdzie biało i z welonem, jak u nas, ale nie ma ani wieńca na głowie, ani kwiatów u piersi lub w ręku. Pan Młody téż jest bez buketu, a więc go i nam družbom nie dano. Powtóre, pierścionek jest tylko jeden, który Pan Młody daje Pannie Młodój. Ale co nas najwięcej raziło, to, że zgola nie ma przysięgi. Kapłan zapytuje tylko z kolei oblubieńców: czy z dobrój i nieprzymuszonej woli biorą siebie nawzajem za małżonka i za małżonkę? Na to każde z nich odpowiada tylko jedném słowem: *si* (tak) — i na tém koniec. Modlitwy wszakże kapłańskie są te same co u nas, i na nich to i na błogosławieństwie Kościoła polega cała świętość i sakramentalność związku; wszelkie zaś inne dodatkowe obrzędy, Kościół zostawia dowolnej obyczajowości narodów, które je u siebie przyjęły. Objął to nam później w zakrystyi, dający ślub xiądz *Bentivenga*, światły i poważny staruszek, proboszcz kościoła *San Lorenzo in Lucina*, w którego parafii oboje Państwo Młodzi mieszkali, i gdzie przeto ślub się odbywał. Że zaś ani żonatych, ani zamężnych, w gronie družbownie było: ja z Adamem i do ołtarza i od ołtarza prowadziliśmy Pannę Młodą, a brat jej i siostra towarzyszyli Młodemu. Ślub odbył się o godzinie 11, podczas mszy śpiewanej, pomiędzy Komunią a przeżegnaniem. Gośćmi właściwymi, prócz familii i obcych

widzów, byliśmy tylko my, Garczyński, Gajewski, i dwaj malarze: *Craffonari* i *Sogni*. A i ci dwaj zjawili się dopiero w kościele. Przedtém zaś my tylko we czterech, najętą wspaniałą kareta, w białych chustkach i rękawiczkach, pojechaliśmy najprzód do Pana Młodego, a potém z nim do domu Panny Młodej, gdzie się już pewno bez nas familijne jój błogosławieństwo odbyło, a tylko wzajemna prezentacya między nami czas przed wyjazdem do kościoła zajęła. Po ślubie, powróciliśmy tam wszyscy na śniadanie, i zaproszeni zostaliśmy na obiad, na godzinę 5-tą, do nowego już mieszkania Państwa Młodych, na ulicy *San Andrea delle valle*, gdzie się sami bez nas przebieśli.

Obiad ten zwłaszcza był nie tylko bardzo wesoły, ale i poetyczny, w całym tego słowa znaczeniu. Śliczna młoda gosposia zadziwiła nas najprzód mile i ujęła za serce, bardzo dobrze wymówionym polskim frazesem; chociaż wiedzieliśmy już pierwej, że się uczy od narzeczonego po polsku. A potém, ta jakaś dziwnie miła, wrodzona widać Włochom, pełna prostoty i naturalności serdeczność, z jaką i ona sama, i cała jój rodzina, widocznie starała się nas ugościć: połączyła nas z nią od razu jakby węzłem rodzinnego braterstwa, a widok szczęścia przyjaciela odbijał i w naszym współczuciu. Dwaj téż nasi współbiesiadnicy: *Craffonari* i *Sogni*, przyczyniali się, każdy ze swój strony, do upoetyzowania jeszcze bardziej tego nastroju. Piérwszy jest najślawniejszym dziś w Rzymie portrecistą, i Adam znał go już przedtém, z po-

wodu malowanego przezeń portretu panny Henryetty, której po wiele razy, wraz z matką, towarzyszył do pracowni artysty. Stattler zaś zawdzięcza mu szczególniejszą artystyczną opiekę i pomoc, jakich zawsze od niego doznawał. Jest to już człowiek mający lat około 50, i oprócz mistrzostwa w sztuce, czytany i wykształcony wszechstronnie. Drugi, *Giacomo Sogni*, kolega Stattlera, pełen-talentu i zapału młodzieniec, jest bratem dyrektora czyli intendenta sławnego szpitala w Medyolanie, a żyjącego w ścisłej przyjaźni z Manzoniem, w którego domu mieszka, i ze wszystkimi innymi poetami i artystami w tém mieście. Poznanie zatem Adama, o którym słyszał już od Stattlera, ożywiło go i rozexaltowało, tak, że rozmowa u stołu, przy wpływie jużciż i wina, przybrała w końcu tak serdeczny, gwarliwy, przyjacielski charakter, jakbyśmy wszyscy byli ziomkami i kolegami. Mówiliśmy, jak się komu zdarzyło, *pele-mele* po włosku i po francuzku, a niekiedy i wszyscy razem, obyczajem polskim, a nawet i między sobą po polsku. Przedmiotem bowiem żywych—nie dysput, ale rozpraw—była Sztuka, we wszystkich swoich gałęziach; jéj źródła, warunki i cele; a zwłaszcza wpływ w niéj i udział techniki i natchnienia. Pod wpływem tych myśli Adam, przy toaście za zdrowie Państwa Młodych, wystąpił z taką prześliczną, cudowną improwizacją o natchnieniu i celach sztuki: że nawet najstarszy z nas, *Craffonari*, nie był panem swego wzruszenia, i pierwszy, po skończeniu, zerwawszy się z krzesła, zaczął ścisnąć i całować Adama; a co *Sogni*, to płakał

jak bóbr. Treścią improwizacyi, (prozą, po francuzku), było: że jak talent i natchnienie są darem Bóżym; tak wszelka sztuka i praca artysty, powinna myśli i uczucia ludzkie obracać i podnosić ku celom Bóskim, zaczynając w tém najprzód od niego samego. Stosując zaś to do dzieł Stattlera, to jest do jego obrazów: *Mojżesza* i *Machabeuszów*, poeta wynurzył życzenie, a razem i nadzieję, że plemienny wpływ matki, jako córki ojczyzny Rafaela, Michała-Anioła i Rossiniego, w połączeniu z wpływem ducha i obywatelsko-chrześcijańskich uczuć ojca, jako Polaka, odbijają się i zleją razem w zdolnościach i natchnieniach ich dzieci. ¹⁾

Po téj przemowie i przy wywołaném przez nią wrażeniu, wszelkie dalsze dysputy ucichły, a poobiednia rozmowa, przy kawie i cygarach, przeszła w ton żartobliwo-wesoły, z niemniej wszakże poetyckim nastrojem. Włosi nam, a my im wzajem opowiadaliśmy, jak kto umiał, różne szczególne przygody, tyżące się zwłասzcza sposobu zawierania małżeństw. I muszę ci powtórzyć z nich jedną, którą opowiadał Gajewski, à propos sposobu zawarcia ślubu w powieści Manzoniego: *I Promessi Sposi*. Biskup niegdyś krakowski, Turski, miał na opiece synowca, wybranego przezeń na spadkobiercę ogromnego jego majątku i familijnego splendoru. Pupil tymczasem zakochał się w ubogiej szlachciance, a nie mogąc przełamać oporu

¹⁾ Wszyscy trzej synowie ś. p. *Wojciecha Stattlera*, poświęcili się rzeczywiście sztuce, uprawiając z talentem i powołaniem, pierwszy rzeźbiarstwo, drugi malarstwo, trzeci muzykę. (P. A.)

stryja, poszedł po rozum do głowy, i kochankę do uczestnictwa namówił. Podczas więc uroczystej celebry biskupiej w katedrze, gdy dyakon prześpiewał: „*Ite, missa est*,” a biskup miał się odwrócić dla pobłogosławienia ludu: kochankowie ukłękli na stopniach ołtarza, i oboje głośno nawzajem wymówili słowa ślubnej przysięgi. Usłyszał to i spostrzegł odwracający się biskup, ale że przeżegnania ludu wstrzymać przecież nie mógł, pobłogosławił więc razem rad nie rad i klęczącej przed sobą parze. — Ciekawy pewnie jesteś, co się stało potem? Otóż w tém właśnie leży głównie sens i rys charakterystyczny przygody. Biskup nie zaprzeczył ważności i nie rozerwał podstępnego ślubu, ale rozkazał jednocześnie marszałkowi i podskarbiemu swego dworu, aby pierwszy sto plag na kobiercu Panu Młodemu, (spodziewam się, że nie zbyt mocno), a drugi tyleż tysięcy złotych Pannie Młodej, do rąk jej własnych, jako jej posag, wyliczyć; poczem sam w swoim pałacu sute im wesele wyprawił. Adam uszczęśliwiony był z téj anegdoty, i twierdził, że biskup postąpił w tém wszystkiém jako typ i ideał prawdziwego Polaka. Jako opiekun i zastępca ojca, nie dał żartować bezkarnie z powagi i władzy ojcowskiej. Jako kapłan, uczył świętość przysięgi i błogosławieństwo Kościoła. Jako człowiek nakoniec, jeśli hojnością i sposobem datku dumie swój może albo fantazyi dogodził, to zawsze przecież widocznie użalił się nad losem kobiety i obrazę swą dobrém sercem przebaczył.

Z rozmową o téj polskiej przygodzie weselną, skończyło się i polsko-włoskie wesele. Poszliśmy je-

szcze we czterech odetchnąć świeżem powietrzem na *Monte Pincio*, a potem resztę wieczoru Garczyński i Gajewski przepędzili u nas.—Zostajemy tu jeszcze na uroczystość Św. Piotra, której opisem list ten skończyć myślę.—Na dziś, dobranoc!

30 Czerwca, rano.

Najuroczystszy, po Zmartwychwstaniu Pańskim, jest w Rzymie dzień ŚŚ. Apostołów Piotra i Pawła. To też wigilią wieczorem zwiastuje go już *urbi et orbi* illuminacja kopuły Św. Piotra i fajerwerk na zamku Św. Anioła, ponawiające się i nazajutrz, a nie ustępujące w niczem Wielkanocnym. Pisałem ci już kiedyś o nich, a nic nowego do dadania nie ma. Za toż wnętrze kościoła wygląda jak nigdy. Grób Św. Patrona w pośrodku, ubrany w wieńce z najpiękniejszych kwiatów, i oprócz lamp zwyczajnych, oświecony rzeźbiście. Posąg jego, siedzący na tronie, okryty był mantą, czyli kapą z drogiego złotogłowiu, i miał także tyarę na skroniach. Po wszystkich pobocznych kaplicach odprawiały się bez przerwy msze święte. Summę celebrował kardynał Pacca, ale sam Ojciec Św. był na niej obecny. Wniesiono go processjonalnie, siedzącego w tronowym krześle, a skoro zasiadł na tronie, po za wielkim środkowym ołtarzem, zebrani już tam przedtém kardynałowie, biskupi i prałaci, przystępowali kolejną dla złożenia mu hołdu, pierwsi w rękę, drudzy w kolano, ostatni w nogę z przy-

klęknięciem całując. Po skończoném nabożeństwie, niosący Ojca Św., purpurowo ubrani, zatrzymali się w środku kościoła, pomiędzy grobem a statua Św. Piotra, i krzesło postawili na ziemi. Kardynał Sekretarz Stanu, w otoczeniu innych kardynałów, wystąpił przed niem na środek, i odczytał głośno protestacyą przeciw dworowi Neapolitańskiemu, o niewypłatę należącego trybutu Stolicy Apostolskiej. Protestacyą tę, która się co rok nadaremnie ponawia, powtórzył cichym głosem sam Papież, czytając z książki, którą mu podano. Słów zdaleka słyszeć nie mogłem; ale jeżeli były groźne, jakby się można spodziewać, to nie odpowiadał im wcale wyraz słodkiej, łagodnej dobroci, z jakim téj swój monarszej powinności dopełniał, i z jakim, jak przy wejściu, tak i przy wyjściu z kościoła, na stojących po stronach spoglądał i w przechodzie im błogosławił. Wigilią téż i w sam dzień Św. Piotra, kardynał Kammerling, w gronie całej Kamery Apostolskiej, odbiera trybut od wszystkich feudataryuszów Stolicy Papieżkiej. Ma to być, jak słyszałem, prosta tylko ceremonia, przypominająca dawne czasy rzeczywistej politycznej potęgi, która dzisiaj jest czysto duchowną, i jako taka może się nie obawiać na wieki żadnych burz i wstrząśnień światowych.

My podczas illuminacyi wczorajszej, byliśmy po raz ostatni w kościele Św. Piotra, i trudno było wybrać stosowniejszej chwili dla pożegnania się z tym majestatycznym przybytkiem. Blask illuminacyi grobu Św. Apostoła i wpadający przez okna odbłask łu-

ny illuminacyjnej z zewnątrz, dziwnie jakoś uroczém światłem walczyły z ciemnością nocną, zalegającą dalsze części gmachu, i sprawiały nieopisane wrażenie. A podwajało je także echo gwaru, dolatujące z zewnątrz, podobne do szumu morza, albo wiatru szumiącego po lesie. A wszystko to, w połączeniu z myślą odjazdu i wiecznego rozstania, wprowało nas — mnie przynajmniej — w taki jakiś szczególny, gorączkowy zamęt, że nie śniąc sam zaproponować pierwszy, z radością posłyszałem Adama, który przedtém ani słowa nie mówił, jak pocierając ręką po czole, obrócił cię ku nam i zawołał: „Dosyć już tego, idźmy!“ Jakoż wyszedłszy dopiero na ganek, odetchnąłem swobodniej, jak po obudzeniu się z koszmaru, który cię we śnie tłoczy i przygniata; i dziś jeszcze sam sobie sprawy zdać nie umiem, czy to było wrażenie rozkoszne, czy przykre; ale to pewna, że nad moje siły.

Dzisiaj mamy iść najprzód na grób Parczewskiego, gdzieśmy już byli zaraz po przyjeździe; potem na wieżę Kapitolińską, aby Rzym z góry na waletę obaczyć; wieczorem zaś wybieramy się do Kolosseum, aby go po raz ostatni przy świetle księżyca pożegnać. Na jutro mamy już najętego wetturyna, do Florencyi, przez Perugią, po 10 skudów od osoby, z obiadem i śniadaniem *all Inglese*. Miejsca w kabryolecie. — Garczyński i Gajewski wchodzą właśnie w tej chwili. A więc i nam pora wychodzić. (*Dokończenie nastąpi*).

O godzinie 12 w nocy.

Ultima dies! Słyszę echo zegaru bijącego północ. A więc początek jutra; a jutro koniec pobytu w Rzymie; a więc jakby początek końca! A wszelki koniec jakiegobądź epoki życia, tchnie zawsze na nas jakby tchnieniem grobu—tego ostatecznego końca wszystkiego i wszystkich na ziemi. Medytowałem nad tém zapinając tłóмок, a teraz zapaliwszy cygaro, patrzę na śpiącego już przed drogą Adama, i żegnam was ostatniem o was dumaniem w Rzymie. Dumań tych, nie lękaj się! opisywać nie myślę. Dość już nanudziłem was może drobiazgowemi szczegółami powszedniego tu naszego żywota, ażeby jeszcze do nich i marzenia dodawać. Chcę jednak abyście wiedzieli, jak się kończy pobyt nasz w Rzymie, kiedy już wiecie, jak się kiedyś zaczynał. Otóż kończy się bardzo mile, a nawet, można powiedzieć, jakby symboliką—na dobre. Idąc rano na grób Parczewskiego, przechodziliśmy umyślnie przez *Via Mercede*; a więc pożegnaliśmy się niejako z własną tu przeszłością naszą. Z wieży Kapiolińskiej rano, a w Kolosseum przy świetle księżyca wieczorem, pożegnaliśmy Rzym i Romy. Ale tęskne wrażenie tych pożegnań, osłodziła nam najprzód terazniejszość—na obiedzie u księżny Zeneidy; a potem, jakby dobra wróżba i nadzieja przyszłości—na wieczorze u nowożeńców. Sprawiał to widok wzajemnego ich szczęścia, i skromniutkiego nowego gospodarstwa, ożywionego miłością i poetyckim duchem gospo-

darzy. Obraz ten tak stoi mi w oczach, że wkoło niego to, jak chmurki koło słońca, krążą wszystkie moje marzenia, i z ciemnych robią się jasne, jak chmurki od blasku słońca. Adam może w téj chwili śni o czémś podobném. Obyż sny były miłe i pro-
roczel!—czego i własnym mym marzeniom życzę.

A teraz, bywajcie zdrowi! Za pięć godzin mamy wyjechać. Garczyński ma przyjść jeszcze, pożegnać nas i przeprowadzić. Chciał spać u nas, ale nie było na czém.—List następny zacznę na pierwszym popa-
sie, a będę kontynuował na każdym noclegu. Albo-
wiem, jak ów pielgrzym Bohdana:

„Jak świat długi, szeroki,
Z lutnią moją podróżną,
Zmieniam miejsca, widoki,
Ale zmieniam napróżno.

„Ku Niej tęsknię z wieczora,
Z jutrznią tęsknię i płaczę,
Bom pożegnał nie wczora,
I nie jutro obaczę.“

Wprawdzie, Bogiem a prawdą, nie mogę powie-
dzieć o sobie, żebym tak często płakał. Ale czyż tyl-
ko płacząc można myśleć o tém, co miłe? A więc
kiedyżby się przyszło uśmiechnąć?

A czyż królowa kwiatów
Za złe komu poczyta,
Że on każdy kwiat nowy
Rad spotyka i wita?

Toć ona wie, że każdy
Na to tylko mu służy,
By przekonać, że żaden
Nie jest milszy od róży.

A jój obraz i imię
Kwitną w myśli tém świetniej.—
Lecz już *Addio* w Rzymie!
Do widzenia w Dziewietni!

IX.

Do Juljana Korsaka.

1 Lipca 1830 r. Sette Vene (oberża). Południe.

Zegar zaczynał bić siódmą, kiedyśmy wyruszyli z bramy *del Popolo*, pożegnawszy się ostatecznie z Garczyńskim, który nas przeprowadzał piechotą. Zbudził on nas o piątą, razem z weturynem, który zabrawszy nasz tlóмок, pojechał budzić téż i zbierać po mieście innych swoich passażerów, naznaczywszy nam *rendez-vous* przed siódmą, pod obeliskiem na placu *del Popolo*. Mieliśmy więc dość czasu, aby zająć jeszcze na *Monte-Pincio* i spojrzeć ztamtąd raz ostatni na Róme, a potem wypić kawę w cukierni, i pomodlić się w tym samym kościółku, gdzieśmy najprzód po przyjeździe do Rzymu wstąpili. Ranek piękny, pogodny, ale droga nudna. Pola puste i głu-
che; trawa żółkła, jakby spalona; drzewa białym kurzem pokryte. W zieleńszych tylko krzaczkach gdzie niegdzie słyhać brzęki jakichś owadów, nakształt skrzeku koników lub strzałek, ale głosu ptaszczenia ani na lekarstwo. I my téż milczeliśmy jak ptaki, przytuliwszy się każdy w swoim kątku, jak w gniazdku. Smutno mi było po rozstaniu z Garczyńskim; Adam także nie zdawał się weselszy. Nie chciałem przery-

wać mu dumań, a w swoich rzeźwiłem się jak tabaką tą myślą: że przecież byłem w Rzymie; że jadę do Paryża! etc., etc. Ale gdy i to nie pomagało, puściłem myśli samopas, a zamrużywszy oczy — ocknąłem się dopiero wtedy, gdyśmy tu już stanęli na popas. *Tu*, znaczy lichą wioszczynę, o kilkunastu chałupach, ale z porządniejszą od nich *lokandą*. Nie byłoby więc co do pisania, gdyby nie *verbum nobile*, że na pierwszym popasie list zacznę. Towarzyszami naszymi ze środka wettury, (bo my jedziem w kabryolecie), są jacyś czterej młodzi, porządni z pozoru ichmoście, dwaj Francuzi i dwaj Anglicy. Jedzą teraz śniadanie i rozmawiają po dwóch między sobą. Adam siedzi w pośrodku, ale milczy jak mruk. Idę próbować zali mi się nie uda zamalgamować jakoś te różnorodne elementa.

Godzina 10 w wieczór. Civita Castellana.

Amalgama udała się nieźle. Wiem już, że Francuzi są malarze, Anglicy zaś architekci. O nas wiedzą tylko, żeśmy Polacy. O nazwiska się nie pytamy. Ale rekomendacya moja została przyjętą uprzejmie. Adam tylko spójrzył na mnie z ukosa, że i jego zarekomendowałem razem. Udobruchał się wszakże prędko, (bo to są porządni ludzie), i wziął udział w rozmowie — o Rzymie.

Mam śmieszna rzecz do opowiedzenia — ale najprzód dyaryusz podróży. Przejechawszy znajome nam

już miasteczko *Monterosi*, gdzie się kończy *Campagna Romana*, i gdzie byliśmy jadąc z Viterbo: zawróciliśmy na nową drogę do Perugia, i przejechawszy znowu drugie miasteczko *Nepi*, otoczone murami, pokrytymi zielonym bluszczem, oglądaliśmy pyszny wodociąg, na dwóch rzędach arkad, zbudowany przez Papieża Pawła III. Adam przyrównywał te arkady do szeregów legii Rzymskich, które zdobyta wodę, jak niewolnicę, w tryumfie prowadzą do miasta. Staaliśmy tu o 5-ój na obiad i nocleg.

Civita Castellana, miasteczko, liczy przeszło 3,000 mieszkańców. Położenie prześliczne: na górze, otoczonej z trzech stron głębokim, malowniczym wąwozem, najpiękniejszymi drzewami porośłym, a w skutek ich cienia i chłodu, jak axamitną zielonością zasłanym. Zwabieni tém, wprost po obiedzie, poszliśmy tam z Adamem na spacer, i upatrzawszy nakoniec stosowne miejsce, przylegliśmy z rozkoszą, jak Tytyr *sub tegmine fagi*, na murawie, pod drzewem oliwném. A jest to rozkosz nie lada we Włoszech, gdzie drzewa rosną zwykle na roli, a pług czy rydel aż do pnia dotyka. Gawędka szła w najlepsze — gdy wtém nagle czuję jakiś ruch lekki po ciele, jakby przebieg obcego żyjątka — i nim mogłem sięgnąć ręką w to miejsce, rój podobnychże ruchów, rozsypuje się po mnie, jak żyjący piasek. Widocznie jak obleźnicy przy szturmie, zrobiwszy czy znalazłszy gdzieś wyłom, wpadają do środka fortecy — ale kto? co? sam nie wiem. Aż tu i Adam raptem zrywa się na nogi — i przy reszcie światła zachodu, widzimy, jak całe na-

sze dolne odzienie aż połyskuje ruchomie od mrówek. Nie umiem ci opisać tego wstrętu, czy zgrozy, jakim przejął mię widok téj plagi Egipskiej. Popiel zapewne czuł coś podobnego, gdy już myszy nań wbiegać zaczęły. A wtém téż nasi zdobywcy zaczynają dawać nam uczuć: *vae victis*, to jest, po prostu, kasać czy kłóć żądełkami. Samsonowym więc ruchem oburącz otrząsłszy się z wrogów zewnętrznych, żeby ich i ze środka wypłoszyć, musieliśmy wciał prawie wracać do oberży, i tam rozebrać się do nitki, wytrząsając przez okno każdą sztukę odzienia, aby wróg nocnej nam w izbie kampanii nie urządził. Wykonywaliśmy to wszakże wesoło, śmiejąc się i conceptując; ale tak to nas zmordowało, że już nie mam dziś weny opowiadać ci treści rozmowy, która wszakże warta jest tego. Mówiliśmy o Garczyńskim. Ale to już na jutro, jeśli nie zapomnę. Dobranoc!

2 Lipca, południe, na popasie w Narni.

Wyjechaliśmy o 4 rano. Droga warta patrzenia. Przejeżdżaliśmy Tyber, widzieliśmy *Soracte*, i z wierzchu jednej góry kraj cały, jak jeden ogród, zakończony w oddali pasmem gór Apennińskich, nad którymi, jak król w błyszczącej koronie śniegu, panuje najwyższa ze wszystkich: *Gran Sasso d'Italia*, albo *Monte Corno*. Po drodze tu i ówdzie ruiny dawnych zamków, i co zakręt, nowe widoki. Tu popasujemy już od dwóch godzin, czekając aż skwar nieco zwol-

nieje. Na nocleg mamy być w *Terni*, i oglądać sławną kaskadę. Tu widzieliśmy sławny téż starożytny most na rzece *Nera*, krętój niezmiernie i wpadającej do Tybru. Siega on czasów Augusta. Wysokie, śmiałe łuki, ułożone są z brył kamienia bez wapna. Jeden tylko dotąd jest cały, a i ten kosa Saturna przedłubywać już tu i ówdzie zaczyna. Samo miasteczko Narni leży w malowniczym położeniu, na górze. Katedra, gmach wspaniały z XIII wieku.

Rozmowa wczorajsza, kontynuowana dziś jeszcze, z powodu Garczyńskiego, tyczyła się różnych rodzajów, czy gatunków rozumu ludzkiego. *Gospodarski*, czy *chłopski*, jak go u nas zowią, to jest przyrodzony ludziom rozum prostaczków, Adam uważa za fundament gmachu ludzkości, chociaż on sam, jako *suteren*, jest ciasny, zasklepiony i ciemny. Najwyższe piętro, z kopułą i dużemi oknami, otrzymuje światło z góry, i przy niém rozgląda się wokoło po świecie. Tam mieszka prawdziwy pan gmachu, rozum *mądry*, oświecony światłem wiary, który jego losami, jak sternik okrętem kieruje. Ale w *entresolu* tego gmachu rozgościł się rozum *szkolny*, który przy poziomém świetle z okienek, pozapalał tam sobie światła sztuczne i pozakładał przy nich warsztaty, fabryki, sklepy i audytorya lekcyjne. Ciągły ruch i turkot machin, wrzask przekupniów i dysputy professorów, zagłuszają im samym i nie dopuszczają do niższego piętra głosów wołających z wyższego. Gwar ten wtedy tylko ucicha, gdy pioruny z nieba bić zaczną, albo ziemia gmachem zatrzęsie. Przekupnie wtedy chronią swoje mienie; krzy-

kaczom głos zamiera ze strachu; i wtedy to mieszkańcy suterenu słyszą co do nich mówią, i czynią co im każą mieszkańcy górnego piętra, aby wzmocnić i zabezpieczyć fundament. I tym tylko sposobem gmach stoi. Otóż rozum Garczyńskiego jest jeszcze w *entresolu*; ale że własnej chluby i korzyści nie szuka, a chce szczerze światła i prawdy: więc przekupniem ani fabrykantem nie będzie, a poznawszy fałsz i pychę rektorów, plunie na nich, i przejdzie do wyższego piętra.

Nie wiem czy dosyć jasno, choć czuję że dość niezgrabnie streszczam tę metaforę Adama; ale zawsze możesz z niej wnosić, z jakiej to wysokości ściągnęło nas raptem na ziemię to plemię Mirmidońskich żyjątek ¹⁾.

Terni. Godzina 11 w nocy.

Droga między Narni a Terni, doliną nad brzegiem *Nery*, prześliczna i coraz śliczniejsza. Z jednej strony żyzne równiny, z drugiej góry lasem porośłe. Tutaj to niegdyś królowa Angielska używała lubych wczasów z Bergamin. Samo Terni miłe miasteczko, ma 8,000 mieszkańców i kilka szczątków starożytnych ruin. Sławę swą jednak głównie zawdzięcza kaskadzie, (*Cascata delle Marmore*), o milę naszą od nie-

¹⁾ Czy przygoda Telimeny z mrówkami w *Panu Tadeuszu*, była reminiscencją téj sceny?—Nie wiem z pewnością, ale tak mi się zdaje. (P. A.)

go odległej, a uchodzącej za jedną z najpiękniejszych w Europie. Jest ona dziełem nie natury, lecz sztuki, którą się Roma niegdyś posługiwać lubiła, walcząc i pokonywając naturę. Tworzy ją rzeka *Velino*, spadająca do *Nery* z wysokości 1,063 stóp, przez kanał w skale wykuty, dla ułatwienia odpływu wód z jeziora *Luco*, przez które *Velino* przepływa, a które ciągle przedtém groziło zalewem okolic. Poczta w Terni ma ten przywilej, że sama tylko może wozić do niej podróżnych. Wieśniak, coby w tym celu ukazał się z osłem w miasteczku, traci osła i sam idzie do kozy. Ale że przecież nogi podróżników nie podpadają pod ten szczególniejszy monopol, nałożony na ich kieszenie, wzięliśmy je więc, jak to mówią, za pas, i wespół ze wszystkimi towarzyszami podróży, ruszywszy z miejsca piechotą, na pół drogi dopiero, we wsi *Papignano*, dosiedliśmy kłapouchych wierzchowców. Otoczenie kaskady piękniejsze może jeszcze od niej saméj. Tworzą je malownicze skały, mchem zielonym i drzewami pokryte. Sam wodospad dzieli się na trzy piętra. Z pierwszego, mającego 800 stóp wysokości, rzeka, w całej pełni koryta, spada tak stromo i z takim impetem, że uderzając o chropawe skały, rozpryska się przez połowę w mgłę białą, co się wznosząc jak obłok do góry, dosięga prawie szczytu wodospadu, i całej wodzie jego mleczny kolor nadaje. Na tle téj mgły, trzy jasne tęczy, w równiej od siebie odległości, powiększają urok widoku. Piętro drugie stanowi skała, płaska i szeroka, po której rozplywająca się woda, spada z niej osobnemi strumieniami na trze-

cie, a z niego już dopiero do Nery. Szum téj rzeki, wespół z hukiem kaskady, tak napełnia całe powietrze, że człowiek sam siebie nie słyszy, a zaś echo tego łoskotu o pół mili już słyszeć się daje. Przypatrzywszy się temu widowisku z góry, zeszliśmy jeszcze na dół do wąwozu, zkąd wszystkie trzy spady razem najlepiej i najpiękniej się wydają. Francuzcy nasi malarze szkicowali je z różnych punktów; my i Anglicy patrzaliśmy tylko. Ale przy powrocie do Terni, rozłączyły się narody. Widocznie nikt nie miał ochoty zużywać doznanych wrażeń na zimną rozmowę z obcymi. I dzięki temu, nasza, stała się wkrótce tak ciepłą, tak barwną, tak promienistą, jak był wieczór i zachód słoneczny, najpiękniejszy jaki kiedykolwiek widziałem. Wszystkie barwy na niebie, jak w zorzy północnej, występowały, mieszały się, przelewały jedna w drugą. Rozkoszny powiew wieczorny co krok zda się tchnął nowym zapachem, drzew i kwiatów, w które obfituje dolina. A i przedmiotem rozmowy była *Promienistość*; i coraz nowe wspomnienia tchnęły w duszę jakby woń swoją.—Odetchnij nią choć tyle, co z zasuszonych kwiatów, które ci tu w tym celu dołączę, a może i zamarzysz tak słodko, jak ja w téj chwili, mówiąc ci: Dobranoc!

Dnia 3 Lipca, g. 10 rano.

POPAS W SPOLETO.

I gdyby nie to,
Że chcę tu w rymie

Wspomnieć to imię,
Nie ma przedmiotu,
By wart kłopotu
Był, wpisać go tu.

Rutynie wierni,
Od czwartej, z Terni
Jesteśmy w drodze.
Skwar smałał srodze,
Kurz niebo chmurzył,
Sen oczy mrużył,
A więc i mało
Co się widziało.
Prócz, że jest góra,
W pół drogi, która
Zowie się *Somma*.
A taka stroma,
Że nieboraki,
Chude jak haki,
Nasze rumaki,
Nie były w stanie
Wciągnąć nas na nią.

Więc, aby wciągnąć,
Trzeba doprzagnąć
Było wesoły
Dwa dzikie woły.
Lecz się te znowu,
Czy to z narowu,
Czy zły natury,
Dość, że wpół góry
Tak rozegziły:
Że mało, mało
Nie dostawało
Do awantury,
Iżby wettury
Nie przewróciły
Do rowu.

A zaś rów to był,
Że z nas, i z kobył—
(Bo konie były
Same kobyły,
Mające swoje
I źrebiąt dwoje),
Niktby już snadno,
Spadłszy raz na dno,
Do dnia sądnego
Nie wylazł z niego.

Lecz że się przecie
Ani karecie,
Ni w niej siedzącym,
Ni nam drzemiącym
W kabryolecie,
Nic a nic w świecie
Złego nie stało:
Więc rzecz tę całą,
Ku twój zabawie,
Przy czarnej kawie,
W jamby układam;
Chcąc, by i Adam,
(W téj chwili który
Siedzi ponury),
Śmiał się, i samby
Przyznał, że jamby
Warte są przeto
Kawy w Spoleto.

Gdyż rzeczywiście, oprócz szczególnie jakoś smacznej kawy, niczémby ono więcej nie mogło nam wrazić się w pamięć. Jest to mała i brzydka miejscina, choć ma katedrę i zamek na górze, i jest stolicą diecezji i delegacji, (po naszymu, prowincji). Wart widzenia jest chyba most, obok z wodociągiem, na tych

samych wysokich, murowanych arkadach, łączący między sobą dwie góry. Wszyscy nasi towarzysze, Francuzi i Anglicy, rysują go właśnie w tej chwili, każdy z innego punktu. Mania do rysunków Adama, oddawna go już opuściła. Jak bowiem kiedyś prosty wieśniak *Correggio*, który pędzla w ręku trzymać nie umiał, poczuł się przecież malarzem, będąc w galeryi Florenckiej; tak Adam, w galeryi Watykańskiej, (jak to sam razy kilka opowiadał panienkom), przekonał się dopiero наконец, że są lepsi od niego malarze, i dla tego załamał ołówek. (*Dalszy ciąg na noclegu*).

Godzina 11 wieczorem. Foligno.

Droga wiodąca tu od Spoleto, idzie prawie ciągle doliną, która się też zowie *Spoletańską*, bardzo żyzną i piękną: zasianą zbożem, zasadzoną drzewami oliwnymi w rzędy; otoczoną pasmem pagórków, takimiż drzewami okrytych; przerzniętą wzdłuż rzeką Klitumnem, (*Clitunno*), który tém słynął kiedyś w starożytnéj Romie, że nad nim to pasły się woły, przeznaczone na stugłów ofiarny, przy obchodzie uroczystych tryumfów. Szliśmy znaczną część drogi piechotą, a spotkawszy jakiegoś *contadino* (wieśniaka), dowiedzieliśmy się od niego, w jaki sposób i na jakich zasadach odbywa się tu uprawa roli; tu, gdzie już, dzięki Bogu, ani niewoli, ani pańszczyzny nie ma. Otóż

plon roli i drzew, idzie na równy podział pomiędzy robotników i właścicieli gruntu; a zaś ze zbioru wina, po wytłoczeniu jagód, właściciel, prócz równej części, ma jeszcze zapewnioną sobie dziesięcinę, czyli 10 procent więcej. — *Foligno*, porządne miasteczko, ma zwłaszcza bruk bardzo wygodny, gładki; wspaniała katedrę na placu i kilka innych kościołów. W jednym z nich znajdowała się pierwiastkowo jedna ze sławnych Madonn Rafaela, która się przeto dotąd Madonną *di Foligno* nazywa, a jest dzisiaj w galeryi Watykańskiej. — Głowa mię trochę boli — a więc niech już będzie Dobranoc!

4 Lipca. Niedziela. Godz. 11 w wieczor. Perugia.

Święty Franciszek Seraficki z Assyżu pozdrawia i błogosławi!

W ten sposób zwykle pielgrzymi, wracając z miejsc cudownych, oznajmują swoim gdzie byli. A myśmy właśnie cały dzień dzisiejszy poświęcili ku czci i chwale tego wielkiego Świętego: Patryarchy, Apostoła, bohaterą Kościoła; zwiedzając jużto grób jego i miejsce urodzenia w Assyżu, jużto rozpamiętując lub rozmawiając o nim: o jego niezrównanych pracach i zasługach, a zwłaszcza cudownych wpływach, jakie wywarł, nie myśląc o tém, na kraj swój, wiek swój, na świat cały i na wieki przyszłe. Odczytaj żywot jego w Skardze, a obaczysz, jakim był w sobie — On, co się

wyrzekł wszystkiego, i nawet siebie samego, dla Boga; a w Bogu ukochał wszystko — nie tylko ludzi i wszelkie żyjące stworzenia, ale nawet martwą naturę; a ukochał taką miłością, jakiej dotąd sam tylko Zbawca świata, Bóg-Człowiek, był niedościgłym ideałem i wzorem. A oto, jak słyszę od Adama, ten to właśnie człowiek, najcichszy, najuboższy, najpokorniejszy, który ubóstwo i pokorę za szczyt ziemskiej cnoty i chwały poczytał; stał się, w skutek czynów swoich i natchnień duchowych: naprawicielem ówczesnego Kościoła i obyczaju narodów w ogólności, przez wpływ swój i swego zakonu na papieżów i królów; stał się ożywicielem wszystkich nauk i sztuk pięknych we Włoszech, (które się potem ztamtąd na świat cały rozeszły), przez wpływ na ducha mędrców i artystów, którzy sami się najprzód duchem jego przejęli, a przezeń, jak własny swój talent, tak z kolei naukę i sztukę na najwyższy naówczas szczybel ich podnieśli, i nowy im, a całkiem chrześcijański kierunek nadali. Najświetniejsze wieki potęgi chrześcijaństwa, od XIII do XVI wieku; największe w nich postacie: historyczne, naukowe i artystyczne; wszystko to prostém korytem wypływa z tego ducha Wiary i Miłości chrześcijańskiej, który Ś. Franciszek poczuł najprzód i rozwinął sam w sobie, a potem słowem i przykładem swoim wszczepił i ożywił w swych uczniach, co go już dalej rozszerzyli po świecie.— Nie mogłem wyjść z podziwienia, że słysząc dziś to wszystko od Adama, który wszystko dowodami popierał, nic nigdy o tém dotąd nie słyszałem; chociaż nieraz, jak np. w Warszawie,

zdarzało się spotykać tylu tak zwanych literatów, tak głośno i tak stanowczo rozprawiających o wszystkim, jakby wszystkie rozумы tego świata posiedli. Bo że ja sam przez się, niestety, nie dowiedziałem się piérwéj o tém zkądinąd — nie dziwię się, a tylko uderzam się w piersi ze skruczą. Za toż dziś tak nią byłem przejęty, że w drodze z Assyżu do Perugii, kiedy Adam drzé-
mał znużony, ułożyłem hymn na cześć Ś. Franciszka, którego tu przepisaniem dzień dzisiejszy skończyć zamierzam. Piérwéj wszakże słów kilka o dzisiejszój podróży.

Popasywaliśmy w *Santa Maria degli Angeli*, t jest w miejscu, gdzie Ś. Franciszek piérwszy klasztor swego zakonu, *Braci Mniejszych*, założył (r. 1210). W środku olbrzymiej wspaniałej katedry, pod kopułą, zachowane są ściany pierwotnego kościołka, pod wezwaniem N. P. Maryi Anielskiej *della Porciuncula*; jak podobnież w Lórecie, w środku bazyliki tamecznej, znajduje się domek N. Panny, którego naśladowanie widzieliśmy w kościele Warszawskim na Pradze. Samo to miejsce jest wsią, nie miasteczkiem nawet, i tylko swoją katedrą jakby drogę do Assyżu wskazuje.

Assyż, małe miasteczko o 4,000 mieszkańców, leży o małe pół milki w bok drogi na górze, i wygląda zdaleka jak forteca, z powodu murów olbrzymiego klasztoru, który w lat osiem po założeniu zakonu, w przeciągu dwóch lat tylko zbudowany został. Poszliśmy tam wszyscy piechotą, i zwiedziliśmy tylko kościół, pod wezwaniem Ś. Franciszka, zbudowany na

jego grobie. Kościół ten jest o dwóch piętrach nad ziemią, a ma jeszcze i trzecie pod ziemią, gdzie właśnie są złożone zwłoki Ś. Patrona, w grocie w skale wykutój. Oba górne kościoły, pierwszy ponury i ciemny, drugi wspaniały i jasny, ozdobione są freskami najdawniejszych mistrzów, jak *Cimabue*, *GiOTTO*, i t. d. I te to właśnie freski służyły za wzór i bodziec następny malarzom, (do Peruggina i do Rafaela), w rozwoju i religijnym charakterze sztuki. Podobnie, jak sam kościół, (pierwszy w stylu gotyckim zbudowany we Włoszech), zachęcał i ośmielał architektów i miasta, aby coraz wspanialszemi budowy ojczystą ziemię swoją ozdabiać; aż Michał-Anioł nakoniec Panteon na Watykanie postawił. Podobnie, jak poezye samego Św. Franciszka i pierwszych braci jego zakonnych, zwane dotąd „Poezyą Franciszkańską,” posłużyły za źródło natchnień całej szkole przyszłych poetów, z których wyszedł nakoniec—Dante!

Ale pięknież ja wyjdę z moim hymnem, mając go tu przepisać po wspomnieniu Danta!—Uciekam się więc do wzoru samego Ś. Franciszka, który składając wiersze, wiedział, że ich składać nie umie, a przecież składał i śpiewał je sam, jak umiał, ku chwale Bożej, nie swojej; radząc się tylko czasem, co do miary i rytmu, przyjaciela swojego *Pacifico*, który był już poetą sławnym, laureatem na dworze cesarza Fryderyka II, kiedy poznawszy Ś. Franciszka, wyrzekł się tych swych laurów i świata, i w stopniu prostego braciszka wiernie przy nim do śmierci pozostał. Ze słuchania i myślenia dziś o tém wszystkiém, wynikł i ten

mój hymnik dzisiejszy. Myślże i ty o tém, nie o nim;
to może i on ujdzie za kwiatek, który „małe żaczki”
w processyi pod stopy celebranta rzucają.

HYMN O Ś. FRANCISZKU.

Błogosławionaś ty ziemio Włoska,
Kraju gorących uczuć i wiary!
Jak plon twój słońce, tak łaska Boska
Ducha snąć w tobie rozmnaża dary.

Gdzie wyższe strojem poetów lutnie?
Gdzie pieśni wartsze Aniołów chóru?
Gdzie tyle Nieba wcielono w płótnie?
Gdzie tyle życia wskrzesło z marmuru?

Gdzie tyle świątyń w Niebo się piętrzy?
Gdzie duch widomiěj jaśnieje w krzyżu?
Gdzie tylu Świętych?— A któż z nich świętszy,
Jako Franciszek, syn twój z Assyżu?

On w człowieczeństwie jak obraz Bóstwa,
Przewodnik świata Bożemi tory,
Apostoł wiary, kapłan ubóstwa,
Mistrz poświęcenia, a król pokory.

I w nim wybrane narzędzie Boże,
Aby świat przezeń, z wieku do wieku,
Widział i wiedział: co jest i może,
Moc łaski Bożej, w świętym człowieku.

5 Lipca, godz. 7 rano, jeszcze Perugia.

Francuzi nasi, jako malarze, przerysowują obaj starożytny łuk z czasów Augusta; Anglicy, jako architekci, zdejmują plany: jeden najwyższej, jak mówią, we Włoszech dzwonnicy, przy kościele Ś. Dominika, drugi jakiegoś kościoła, których jest tu sto przeszło, i około 50 klasztorów, chociaż miasto nie liczy więcej nad 10 do 12 tysięcy mieszkańców. Jest zatém duże, piękne, ale puste. Rozłożone i piętrzące się na wysokiej górze, ulice ma nierówne, ale szerokie i doskonale brukowane na płasko. Najpiękniejsza z nich *Corso*, prowadzi na plac katedralny (*Piazza del Papa*), ozdobiony dwiema pięknymi fontannami i posągami Juljusza III papieża, od którego téż bierze nazwisko. Po kościołach i w pałacu sądowym, (*Il Cambio*), widzieliśmy wiele obrazów i fresków Peruggina, i sławne *Zdjęcie z Krzyża*, przez Baroccio. Jest téż tu, jak powiadają, bogata dosyć galerya obrazów, ale nie było czasu jéj oglądać. Wczoraj tylko wieczorem i dziś rano przebiegliśmy wzdłuż i wszerz miasto. Jest ono stolicą Umbryi, rezydencyą biskupa; ma cytadellę i uniwersytet. Okolice górzyste, żyzne, ale nudne. Grunt orny, i drzewa oliwne. Widoków żadnych.— Weturyn grozi, że się spóźnimy na nocleg. Mniejsza o to, byle nie z mojej winy. Zwracam jednak uwagę Adama, że jest cierpliwy teraz jak baranek; aj, aj, a cóżby to było, gdyby tak na mnie broń Boże czekano!... On śmieje się, gładzi

mię, ale milczy.— Artyści, słyszę, wracają. Trzeba jechać.— *Addio Perugia!*

Godzina 1 w nocy. Arezzo.

Weturyń miał rację. Stanęliśmy tu ledwo przed pół godziną i najmniej godzinę jeszcze mamy czekać na obiad. Miła perspektywa! A głód szarpie, jako Harpie. Adam wypił duszkiem szklanekę wody i połyka ogromne kłęby dymu z fajki, aby nim głód, jak mówi, jak lisa w jamie zadusić. Ja chcę o nim zapomnieć i pisać.

Jesteśmy już w Toskanii. Granicę papieżką przejechaliśmy w *Monte Gualandro*, Toskańską w *Ursaglia*. Rewizya łagodna i grzeczna. Popasaliśmy w *Castiglione Fiorentino*. Nie wielkie, ale miłe miasteczko. Wino miejscowe tak doskonałe, że skoszto- wawszy go z towarzyszami, aniśmy się spostrzegli, jak przy śniadaniu *all'Inglese*, przy rozprawach *alla Francese*, rozgadawszy się *alla Polacco*, a święcąc tém winem *Włoskiem* libacye na cześć Przyszłości, w imię zgody i braterstwa narodów: aniśmy się spostrzegli, powiadam, że ilu nas było przy stole, tyle próżnych butelek pozostało na nim, gdy nas wreszcie gwałtem prawie weturyń, jakby cietrzewi z toku, do budy swojej zapędził. Ale tu znowu turkot kół po szosie, brzęk dzwoneczków u szorów i na szyi żrzebiąt, stąpanie w takt kopyt końskich, tak jakoś w głowie mojej, (gdyż mówię tu tylko o sobie), zmie-

szały się i zlały jakby w rodzaj orkiestry, że ta, ku największemu podziwieniu mojemu, wygrywała mi najdokładniej wszystkie nuty uniwersyteckich naszych piosenek, a nawet i niektóre arye z oper, których, jak wiesz, w zwyczajnym nastroju nerwów, nigdy ani jasno spamiętać, ani czysto powtórzyć nie mogę. A jednak mimo téj niespodzianej kapeli, żadna myśl, czułem to dobrze, nie zerwała się z miejsca i nie poszła tańcować walca. Owszem, z całą trzeźwością umysłu, poddałem pod uwagę i rozbiór Adama ten osobliwszy akustyczny fenomen: że nie tylko już ja, (choć i mnie lada usterk w wierszu, jak ćwiek wierci i kole w uchu), ale taki prawdziwy słownik w poezyi, jak Bohdan, który nie ma równego sobie pod względem harmonii, melodyi i muzykalnej śpiewności wiersza; że i on, gdy idzie o powtórzenie w głosie nuty, choćby najprostszej piosenki, podziela ze mną też samą nieudolność, którą ja tylko jeden w Wilnie z kochanym Żegotą dzieliłem. Adam nie chciał sobie zadawać pracy zastanawiania się nad tém, a naprędce wytłómaczyć nie umiał. Porównał to tylko z pamięcią rysów twarzy, które można czuć doskonale w duszy, dostrzedz najmniejszy odcień uchybienia w portrecie, a jednak nie módz ich tak sobie wystawić widomie, jak to komuś drugiemu samo przez się przychodzi. A wszakże, gdyby tacy jeden i drugi byli malarzami, to kto wie, czy ten pierwszy, radząc się swego wewnętrznego uczucia, nie zrobiłby może podobniejszego portretu, niż tamten, wpatrując się tylko w obraz zewnętrzny, który mu stoi przed oczyma?

Pogadaj o tém z Wańkowiczem, albo z Orłowskim, a może i z panią Szymanowską, i napisz mi co powiedzą o tém — bo dziś ta myśl mocno mię zajęła. A ja tobie za to tymczasem powiem o *Trazymeńskim Jeziorze*, koło któregośmy przejeżdżali, a raczej przechodzili; bo właśnie gwoli jego, tę część drogi odbyliśmy piechotą — przed popasem.

Jezioro to, zwane dziś *Perugijskiem*, ma podobno ze dwie mile nasze długości, a mało co mniej szerokości, i wygląda jak morze, gdy się je najprzód z wierzchu *Monte Magione* zobaczy; tém bardziej, że są na niem i wyspy (*Maggiore, Minore* i *Polve*). Brzegi żyzne i malownicze. Wzgórza zasadzone u dołu oliwnemi drzewami, mają za koronę na wierzchu piękne sosny i lasy dębowe. Annibal mógł przeto w ich liścia choćby całe wojsko swoje uwieńczyć, gdy tu kiedyś legie Rzymskie wyrznął w pień, albo rozproszył. Adam mając w żywej pamięci bitwę tę z Liwiusza, zadziwił niewypowiedzianie naszych towarzyszy, opowiadaniem szczegółów o niej, których oni, (a i ja z nimi), z otwartemi ustami, jak bajki o żelaznym wilku słuchali. I to właśnie posłużyło za *preludium* i temat do owych konwersacyj i libacyj w Castiglione. Gdyśmy zaś przebywali samo pole bitwy, przyplątał się do nas jakiś obdartus, i chciał grać z nami rolę *Cicero*na. Daliśmy mu więc *odczepnego*, a ja zapytałem z niechcenia, jak to dawno była ta bitwa? Podniósł ręce i palce do góry, a oczy i usta nastawił, odpowiadając zwolna i bardzo uroczyście: „O! dawno, dawno! bardzo dawno! *Cinque cento*

anni!" Tę ostatnią liczbę pięciuset, wymówił już z takim przyciskiem, jakby się sam nad ogromem jój dziwił. Ale gdy go Adam zapytał, kto to był ten *Annibale*? odpowiedział wręcz bez wahania: „*Era un generale Russo.*” Adamowi tak się podobała ta śmiałość, że dodał mu trój-bajoka jeszcze; chociaż ja przepowiadałem, że ten trojak może stać się dla niego obolem Ezopa, to jest, że go jakiś turysta wyczubi, mogąc słusznie wziąć za żart z siebie, taką erudycją ze strony *Cicero*na, za jakiego ten nam się narzucił.

Arezzo, gdzie jesteśmy, i cośmy tylko przy xiężycu wjeżdżając widzieli, zdaje się być dużem i pięknem miastem. Jestto, jak wiesz może, miejsce urodzenia *Petrarki*. I chociaż Adam ofuknął przed chwilą: „że nad wszystkie w świecie sonety, wolałby w tej chwili kotlety,” to przecież obejrzymy jutro zapewne tę kolebkę śpiewaka *Laury*.

Lecz ach! słyszę—o! radości!
Brzęki sztucców i talerzy.
Kellner przyszedł prosić gości—
(*Dokończenie po wieczery*).

Godzina 3 po północy.

Nie ma nic do *post-scriptum*, chyba powiedzieć *Dobranoc!* Ale i to byłoby kłamstwem. Bo co to za *noc dobra*, kiedy się nawet nie mamy rozbierać, żeby mieć czas przebiez po mieście, i wyjechać dość wcze-

śnie, aby nie tak późno jak dzisiaj, (a raczej jak wczoraj), zdążyć na noc do Florencyi.

Dnia 6 Lipca. Incisa. (popas).

Arezzo jest rzeczywiście pięknym miastem, i lubo mniejsze od Perugia, ma tyleż co ona mieszkańców. Czy jednak przeto wydaje się ludniejszem, sądzić nie mogę; bo gdyśmy je przebiegali galopem, wszystkie domy były jeszcze zamknięte i nikogo na ulicach nie było. Kościół nawet był tylko jeden otwarty, (Benedyktynów z *Monte Cassiano*), i tam widzieliśmy malowaną na sklepieniu kopułę, ale z tak łudzącą perspektywą, że na pierwszy rzut oka przysiągłbym, że była prawdziwą. Pyszną katedrę, w stylu gotycko-włoskim z XIII wieku, i obok niej dom rodzinny Petrarki (1304 r.) obejrzelśmy tylko po wierzchu. Arezzo jest też rodzinnym miastem Mecenasa i wielu innych sławnych ludzi we Włoszech, między innymi *Vasari'ego*, historyka malarzy włoskich.

Incisa, wieś i oberża, gdzie popasujemy, leży już nad rzeką *Arno*. Po drodze przejeżdżaliśmy rzekę *Chiana* i kilka małych miasteczek, lepszych niż nasze powiatowe. Najporządniejsze było *San Giovanni*, mające wspaniałą katedrę. Przybywszy tu i spojrzawszy się we zwierciadło, przelekleliśmy się sami siebie.

Nie ogoleni, nie myci,
Znojem i kurzem okryci;
Nie wyspani, rozczochrani,
Rychtyk jak ci malowani
Po ścianach *fresco* bandyci,

którymi, nie rozumiem dla czego:

Oberża ta zda się szczyti.

A więc wykąpawszy się najprzód w Arno, wystroiliśmy się jak na teatr, gdzie chcemy być dziś jeszcze we Florencyi, i dla tego śpieszymy z wyjazdem, choć skwar piecze jeszcze jak ogniem.

Godzina 7 w wieczór. Florencya (Albergo San Luigi).

Grazi' à Dio. Wysiedliśmy jak na ląd z okrętu z wettury, i będziemy mogli dni kilka wypaść się przecież porządnie i odpocząć. W pierwszej zaraz chwili przybycia, spotkała nas i tu dawna znajomość: ten sam kellner, pocciwy *Luigi*, co tu kiedyś znalazł i oddał sakiewkę z pieniędzmi Adama. Poznał nas i ucieszył się serdecznie. Dał nam tę samą izbę, cośmy zajmowali naówczas. A więc i tutaj jakoś nie czujemy się w obczyźnie. Idziemy znaleźć gdzieś obiad, a potem na teatr *Il Comero*, aby znów doskonałość *Vestri'ego* i publiczność tutejszą obaczyć. — List ten wnet pieczętuję i niosę na pocztę. Następny przed wyjazdem ztąd zacznę. *Addio!*

X.

Do tegoż.

d. 10 Lipca 1830 r. Florencyja.

Bawimy tu całe trzy dni, i dziś dopiero wieczorem wyjeżdżamy na całą noc do Pizy. Czynimy to dla uniknienia upałów; byleż tylko nie wpaść w opały Fra-Diavolów jakich czy Rinaldinich! Weturyn wprowadzie zapewnia, że *Toscani* to nie *Romani*, a tamci tylko bandytami być mogą. (Dowód sąsiedzkiej i braterskiej miłości ludów!)

Ale cóż ci powiedzieć o tym nowym naszym pobycie w *Firenzy*? Nie pamiętam, co pisałem o pierwszym; ale tém bardziej się boję, ażeby nie wpaść w nudne powtarzanie. Bo jużciż widzieliśmy zawsze to samo, a że z odmienném może wrażeniem czy sądem, zmiana ta, choćby nawet miała być skutkiem dojrzałości albo postępu, nie warta być przedmiotem ciekawości cudzej. Opowiem ci więc tylko po prostu jakieśmy tu czas przepędzali. Ranki wszystkie, od pierwszego do ostatniego, schodziły nam w muzeach *Uffizzi* i *Pitti*, albo na oglądaniu kościołów. Dnia pierwszego obiadowaliśmy w traktyerze, ale poszedłszy wprost ztamtąd do xięcia Ogińskiego, który mieszka w villi za miastem, zostaliśmy raz na zawsze zaproszeni na

obiad do niego, i nie wahaliśmy się z tego korzystać, widząc jaką przez to przyjemność uprzejmemu gospodarzowi sprawiamy, a czując, jakiej sami doznajem. W istocie, była to czysto polska, serdeczna i jakby familijna gościna; i gdyby nie altana z drzew laurowych i z mirtu, gdzie nam nakrywano do stołu; i gdyby nie doskonałe, dojrzałe już brzoskwinie, cośmy sami wprost z drzewa na wety sobie zrywali; moglibyśmy zapomnieć że jesteśmy we Włoszech, a czuć się jakby w Zalesiu; tak ton i przedmioty rozmowy, a nawet same potrawy, były całkiem polskie. Sam xiążę codziennie dysponował umyślnie. Oprócz zaś gazet i polityki bieżącej, która go żywo zajmuje, nieprzebrana massa anegdot z niedawniej naszej przeszłości, a zwłaszcza z osobistych wspomnień xięcia, stanowiła tło główne i wątek rozmowy, która, jak zawsze, przez to najbardziej zajmowała i bawiła Adama. I nie były to tylko opowiadania luźne, lub same zabawne; ale najczęściej owszem służyły za dowód tych albo owych ogólnych, historyzoficznych poglądów na przeszłość i obyczajowość naszą. Mam ich całe paki w pamięci, dodatnich i ujemnych; ale to chyba tu powiem, że wszystkie te ujemności tyczyły się nie tyle moralnych stron charakteru, co raczej mnóstwa dzikich pojęć, fantazyj, nałogów, które, jak wilki na niekrzesanych drzewach, w umysłach i wyobrażeniach porosły i wybijały. Adam mówi, że możnaby nad tém wszystkiem śmiać się, gdyby nie trzeba było płakać—serdecznie.— Mam tu jednak malutki rysik o jakimś twoim imieniu, Korsaku, z Brastawskiego powiatu, który będąc

w pospolitém ruszeniu, pod komendą Ogińskiego, przyszedł zdawać mu raport, z ogromną piankową fajką w zębach, i nie mógł żadną miarą zrozumieć, za co Ogiński upomniął go ostro o nieznamość służby i niesubordynacją. Brasławianie zaś tak się zań ujeli, że uchwalili wysłać deputacyą do Ogińskiego, aby go upomniiała nawzajem, o ubliżenie ich współobywatelowi. I trzeba było aż groźby ze strony woźdza, że każe deputatów rozstrzelać, aby uchwała ta nie przysłała do skutku.

Ale wracając do Florencyi. Po takim obiedzie, który był zawsze o piątą, i po takiej rozmowie w ogrodzie, która trwała zwykle do siódmej, Ogiński wiozł nas na spacer za miasto, a potem na ten albo ów teatr; tak, że byliśmy na wszystkich główniejszych, a Vestri pozostał zawsze ideałem doskonałości komicznej. Dziś mamy jeszcze pójść do Ogińskiego, ażeby się z nim pożegnać, ale już nie na obiad, bo wyjeżdżamy o ósmą. Żebyś się zaś nie dziwił, że nie wspominam o Ciampim, to wiedz, że wyjechał gdzieś w góry na lato. Herynga także już nie ma. Odwiedziłem więc tylko, jako dawną znajomość, gospodynie nasze z *Canto alle Rondini*. Przyjęły mię prawdziwie jak brata. Przyjaciółka zwłaszcza moja, *Signora Maria*, zawsze z zielonym daszkiem nad oczyma, łązy rozczulenia ocierała pończoszką, którą zawsze ma w ręku. Spotkaliśmy się też w galeryi z naszymi Szwedami z Neapolu, i dowiedziałem się dopiero po raz pierwszy, że się obydwaj nazywają *Hermens*, i są z sobą w pokrewieństwie stryjeczném. Śmieszna rzecz,

że i tutaj, przy pierwszém spotkaniu, starszy zaczął od uskarżania się na parną duszność powietrza we Florencyi, a młodszy, od unoszenia się nad pięknoscią miasta i okolic. Poradźże tu co z przyrodzeniem, to jest, z wrodzoném, jak widać, usposobieniem umysłu czy serca!

Wypehnij naturę za drzwi, powróci przez okno.
Białość złoży żałobę, gdzie tłem—czarne włókno.

Nowych tu znajomości nie zrobiłem tą razą żadnych. Z nowych zaś rzeczy, któreśmy widzieli, powiem chyba o nowym pomniku, czy raczej nagrobku, którego się przecież Dante w kościele *Santa Croce* doczekał. Jest on z pięknego białego marmuru. Podstawę składa trumna, nad którą z jednej strony płacze wsparta kobiéta, z drugiej zaś stoi Italia, wskazująca na napis: „Czcijcie najwyższego poetę!“ Wierzch pomnika zajmuje posąg Danta, w podstawie siedzącej. I to jest najpiękniejsza część tego monumentu, który jest dziełem rzeźbiarza *Ricci*. Na podstawie pod trumną napis: że pomnik ten, po trzykroć dawniej *dekretowany* napróżno, postavili nakoniec Toskańczycy (*Tusci*) w r. 1829. Na placu przed katedrą stanęły téż w tymże czasie dwa nowe posągi: *Arnolfa di Lappo* i *Brunelleschi*’go, dwóch sławnych architektów, z których pierwszy gmach ten rozpoczął, a drugi kontynuował, (bo dotąd nieskończony), i kopułą ukoronował dzieło.

Ale na téj to bodaj kopule, ile sobie mogę przypomnieć, skończyłem niegdyś ostatni mój list

do was z Florencyi, przed ośmiu miesiącami pi-
sany.

Niech więc i teraz kopuła posłuży
I mnie samemu i temu listowi,
Za czapkę — którą, gotów do podróży,
Kłania się swoim, mówiąc: „bądźcie zdrowi!“

11 Lipca, godz. 11 w wieczór. Piza.

Od kwadransa pióro gryzę,
Myśląc, jak opisać Pizę,
Któręj główne bodaj dziwo,
Że ma w sobie wieżę krzywą,
Słynną przeto w wież gromadzie,
Jak ów Tersyt w Iliadzie,
Jeden garbuś, zgięty w kłęby,
Śród bohaterów, jak dęby.

Lecz i ten wzór dyzharmonii
Widziałem już raz w Bolonii,
I porównywając oba,
Nie obchodzi mię, ni dziwi,
Czy ten, czy ów stoi krzywiej,
Lub który się mniej podoba.

I mimo wszelkich respektów
Fizyków i Architektów,
Ja sam dla się raczej przyjmę
Tę myśl od nich za maxymę:

Co ma w świecie słynąć wiecznie,
Czy potęgą, czy urokiem,
Musi być *prostém* koniecznie,
Gdy jest z natury *wysokiém*.

No! ależ to napisałem wierszem, co myślałem dziś prozą, będąc na wieży Pizańskiej, a nie to, co chciałem pisać, biorąc pióro do ręki. Chciałem w lot myśleć i *à vol d'oiseau* naszkicować sylwetkę Pizy. Ale kiedy się nie udało—cóż robić? Będę opowiadał po prostu.

Stanęliśmy tu dziś o 6 rano, po całonocnej podróży. Za ekwipaż mieliśmy *biède*, zwaną tu kabryoletem, bo na dwóch tylko kołach i z pudłem, w którym dwóch z biędą pomieścić się może, a zaprzęzoną jednym tylko koniem. Podróż wszakże była przyjemna: bo księżyc świecił, skwar nie dokuczał, i weturyn zamiast popasu, konia tylko dwa razy przemienił: w *Empoli* i w *Pontedera*. Na tym ostatnim przeprzeżgu przespaliśmy się porządnie, ja wprost na bruku, obwinięty płaszczem, Adam zaś na jakiejś studni, pokrytej deskami, mając tylko pięść własną pod głowę. I ja wszakże, i on, jak mówił, mieliśmy bardzo miłe marzenia—o Litwie. Jemu się śniło, że kąpał się w Niemnie. Był to może wpływ wody w studni, choć on o niej przedtem nie wiedział.—Okolice, o ile można sądzić po księżycu, piękne, i droga, w znacznej części nad brzegiem Arno, przechodzi kilka porządných miasteczek. Z Florencyi do Pizy mil włoskich 48 (około 10 naszych); koszt podróży, po półtora skuda od osoby.

Wprost z wozu poszliśmy najprzód na sławną *Krzywą Wieżę*, o której powiedziałem już co myślę. Wygląda raczej jak baszta, nie jak wieża, a przytém jest właściwie dzwonnica przy katedrze. Kształt jęj

okrągły; wysokość 54 metry; (metr ma podobno 3 stopy nasze; ale tego nie wiem z pewnością). Podzielona jest na osiem pięter. Każde z nich otoczone osobną kolumnadą. Pochyłość jęj ma być jakoby skutkiem osunięcia się ziemi, gdy budowa była już w połowie. Architekt więc zaradził złemu, stosownie dalsze piętra budując. Galileusz, który tu mieszkał, sprawdzał, jak mówią, na nięj swoje teorye o ciężeniu ciał do środka ziemi. Dla nas, nie widok jęj, ale widok z nięj był główną rzeczą. U stóp miasto wspaniałe, piękne, przetrznięte wzdłuż rzeką Arno, rozciąga się w kształt czworoboku, na płaszczyźnie porosłej drzewami, u podnoża gór wysokich, skalistych, których pasmo sięga daleko. Z drugięj strony widok na morze, o półtory mili naszej odległe. Na tle jego wyspa *Gorgona*, w kształcie mrocznęj, samotnęj góry. Nad brzegiem w oddaleniu widać miasto Livorno, a bliżęj szerokie lasy. Mówią, że przy bardzo jasnym powietrzu, można widzieć niekiedy Korsykę i wyspę Elbę; aleśmy ich nie dójrzeli, choć Adam jak mógł oczy w stronę Elby wycęzał.

Samo miasto Piza, któreśmy przez dzień cały wzdłuż i wszerz przebiegli, świadczy o dawnęj swojęj wspaniałości, kiedy było stolicą osobnęj Rzeczypospolitéj. Liczyło wtedy 150,000 mieszkańców; dzisiaj nie ma ich więć nad 25,000; nie dziw więc, że się wydaje pustem, i musi być okropnie nudnem. Nade wszystko zwraca uwagę, że na stu *Eminentów* w kurtkach, nie naliczysz dziesięciu w surdutach, to jest cywilizowańszych przechodniów. Z kobiet, choć wszy-

stkim zaglądałem w oczy, dwie tylko ładne spotkałem. Ale co gmachy i ulice, to bodaj że od Florenckich w ogólności piękniejsze; mianowicie wybrzeża po obu stronach rzeki, zwane tu jak tam *Lung-Arno*. Trzy piękne mosty układają komunikacyą. Przez środkowy, *Ponte del mezzo*, przechodzi główna i najpiękniejsza ulica: *del Borgo*. Na placu katedralnym, *del Duomo*, najwspanialszym ze wszystkich, (bo jest ich tu kilkanaście), leży, możnaby powiedzieć: *czworobok* osobliwości Pizańskich; jak się mówi zazwyczaj o czworoboku fortec Lombardzkich. Wszystkie są architektonicznój natury; składają zaś je: najprzód, sama katedra, olbrzymi gmach z XII-go wieku; potem ta *krzywa wieża*, która jest jej dzwonnica; potem kościół, zwany Chrzcielnicą (*Baptisterio*), mogący ująć za jej *filia*, (choć wiekiem nie młodszy od niej), i nakoniec cmentarz jej, *Campo Santo*. Wchód do niego jest tylko z placu; on zaś sam, większy od placu, otoczony jest w środku portykiem na arkadach, gdzie się mieszczą nagrobki i rzeźby, starożytne i średniowieczne. Mury pokryte są freskami najslawniejszych malarzy starój szkoły włoskiej; co wszystko czyni to miejsce jakby rodzajem galeryi i muzeum razem, przedmiotem czci i pielgrzymki artystów i podróżników. *Notabene*, katedra, wieża i chrzcielnica, budowane są całkiem z marmuru. W katedrze trafiliśmy na bardzo solenne nabożeństwo, dla uproszenia deszczu, z odkryciem relikwii św. Reniera, patrona miasta. O innych kościołach i placach nie mam czasu rozpisywać się długo, a i samiśmy je krótko widzieli. Kościoły obfitują

w obrazy i rzeźby. Na większych placach, fontanny i posagi. Przy jednym z nich, *Piazza de' Cavalieri*, była sławna owa *Wieża Głodowa*, (*Torre di Fame*), gdzie Ugolina zamorzono głodem. Dziś miejsce jej tylko wskazuje *Cicerone*. Nie zaniedbał też wskazać nam okien mieszkania, które zajmował Lord Byron, w pałacu *Lanfranchi*. My mieszkamy w oberży *pod Huzarem*, i mieliśmy dziś na obiad pieczeń, bardzo do naszej huzarskiej podobną, przez co najwięcej smakowała Adamowi. Teraz on śpi już w najlepsze od godziny, po całodzienném chodzeniu i nocy bezsennéj.

A ja—choć mnie sen téż morzy,
Muszę wprzód złożyć walizę,
Bo wyjedziem z świtem zorzy.—
Żegnam więc—ciebie, i Pizę.

12 Lipca, godz. 10 w wieczór. Sarzana.

Wyjechaliśmy z Pizy rzeczywiście o wschodzie zorzy. Jedziemy znów kabrioletem, dwukołowym i jednokonnym. Za 122 mil włoskich do Genui, (około 25 naszych), płacimy po 27 fr. od osoby. Popasaliśmy w *Pietra Santa*, małym, ale dobrze zabudowanym miasteczku, z dwoma dużemi pięknymi kościołami. Przejechaliśmy księstwa Lukki i Modeny, i jesteśmy już w Sardynii, t. j. w królestwie Sardyńskiem, w ojczyźnie zwłaszcza sławnych Karraryjskich marmurów. Na popasie nie mogliśmy się opędzić prze-

kupniom, którzy częstowali nas niemi, w rozmaitych kształtach. W bok drogi widzieliśmy zdaleka małe miasto i twierdzę *Massa di Carrara*, gdzie się dobywa właśnie najpiękniejszy marmur. Droga w ogólności płaska; po stronach drzewa oliwne, pomarańcze, cytryny, kasztany, przez które tu i ówdzie przebłykuje morze, *Sarzana* liczy 9,000 mieszkańców. W katedrze widzieliśmy piękny obraz malarza *Sarzany*, wyobrażający rzeź niewiniątek. Lubię zwykle zasypiać marząc o niewiniątkach, ale, broń Boże, nigdy o ich męce. Nie wiem więc co będzie dzisiaj. Dobranoc!

13 Lipca, godz. 10, w wieczór. *Sestri di Levante*.

Dzień dzisiejszy jeden z najprzyjemniejszych, z ła-ski ziemi i morza, to jest pięknych widoków; ale z ra-cyi nieba, to jest słońca—okropny. Kasztany mogły-by się upiec na skwarze, a kabriolet był dla nas jak piecyk. Woda w morzu nawet jak grzana, gdyśmy w niej próżno szukali ochłody, popasając i *siestując* w *Spezii*. A Spezia, to specjalik miasteczek! Natura, nie architektura to sprawia; chociaż i ta ostatnia dzie-ła piérwszej nie psuje. Ale co za położenie! W środ-ku ślicznej doliny, nad samém morzem. Port tutejszy ma być jednym z najwygodniejszych w świecie, i Na-poleon chciał go uczynić głównym swoim portem wo-jennym. Dwie twierdze bronią wejścia do niego.

Najpiękniejszą, wszakże część drogi mieliśmy od wsi *Borghetto* do *Sestri*, gdzie noclegujem. Na pochyłościach gór, ślicznymi drzewami porośniętych, pyszna szossa wije się wciąż po nad morzem. Na tle jego obłoki, białe i czarne, przepływały pod nami jak lodowe wyspy lub góry. Prawdziwie, żał było jechać, tak się z każdego punktu coraz nowe i coraz zda się piękniejsze odsłaniały widoki. Nie brak nam ich jednak i w *Sestri*. Leży ono także nad morzem, nad śliczną, malowniczą zatoką, nad którą przechodziliśmy cały wieczór, pod cieniem sosen, cyprysów, kasztanów, tuż nad samym brzegiem rosnących. Równie z zachodem słońca, mgła, jak u nas po nad łąkami, zaczęła się podnosić nad morzem, a oświecona księżycowym światłem, przedstawiała nam także cudne widowisko, jakby morza powietrznego nad wodnym. Przypominaliśmy różne odpowiednie obrazy z poezji, i bodaj najpiękniejszy był z Moora, początek; „*Czcieli Ognia.*”

„Nad Perskiem morzem księżyc w pełni świeci,
Śpią mgłą owiane fale lazurowe,
I wkoło we mgle, jak w srebrzystej sieci,
Skaliste brzegi i wyspy palmowe
Kąpią się w blasku miesięcznej pogody.”

A i myśmy się też wykąpalili raz jeszcze dzisiaj *ex promptu*, korzystając, że już nikogo nie było na brzegu. Niefortunny to był wszakże pomysł Adama; gdyż postrzegłszy się dopiero po niewczasie, żeśmy ani ręcznika, ani słońca nie mieli: trzeba było ubierać się

na mokre, a potem rozpakowywać tłómok, żeby dostać suchą bieliznę. Ale wszystko to jakoś odbyło się wesoło, i zostanie miłém wspomnieniem. — Dobranoc!

14 Lipca, godz. 10 rano. *Ruta*, (popas).

Po podróży wczorajszej, trudno było przypuścić, aby droga piękniejszą być mogła. A była nią jednak dzisiaj. Od *Sestri* do *Chiavari*, kuta, można powiedzieć, w skałach, idzie ciągle górami nad morzem, i zadziwia ogromem pracy i kosztów, jakie na nią musiano poświęcić. Jest to dzieło Francuzów z czasów Napoleona, godne starożytnéj Romy i nowożytnego Cezara. Od *Chiavari*, (porządnego wcale miasteczka), zaczyna się tak zwana *Riviera di Genova* (Brzeg Genueski). Droga, to na płaszczyźnie, to na stoku gór, idzie ciągle wzdłuż brzegów morza, niekiedy śród lasu kasztanów, drzew oliwnych lub cytrynowych. Po drodze ładne miasteczko *Rapallo*, słynne połowem koralu i robotą koronek, a więcéj jeszcze odznaczającą się jakoby pięknoscią i delikatnością rączek robotnic. Miałem niezmyśloną ochotę, choćby z nich jedną zobaczyć, a gdyby można, to i uścisnąć; ale że Adam téj ochoty nie dzielił, przeszliśmy tylko przez miasteczko piechotą, a w twarzach, cośmy spotkali, zalet rączek odbicia nie było. *Ruta*, wieś i oberża, gdzie popasujemy, leży wysoko na górze, i słynną jest zwłaszcza tune-

lem, czyli tak zwaną *galeryą*, to jest drogą przekutą w skale, i która ją na wskrós przechodzi. Mamy tamtędy jechać, jadąc dalej, ale tymczasem poszliśmy najprzód piechotą, i przeszedłszy na drugą stronę, od razu, jak w panoramie, zobaczyliśmy: *Genova la Superba!* Ustóp gór, na wysokości płaszczyźnie nad morzem, na tle skał i zieloności ogrodów, piętrzy się i rozwija w amfiteatr, wkrąg portu, co sam w półkole obejmuje zatokę. Cudny, wspaniały, malowniczy widok! Przypomniat nam się *Fiesco* Szyllera, gdy z okna, w dzień zamachu, spoglądał *pyszny* na *pyszną*, (*superbus* na *superbę*), myśląc, że jutro nad nią na tronie zasiądzie, a nie wiedząc, że się dziś jeszcze w grób pod nią, jak pod mauzoleum, położy. A i pomnik to raczej hańby jego, niż chwały; pomnik pychy i kary warchoła, a nie cnoty lub ofiary obywatela! Z inném pewno uczuciem patrzył po raz ostatni na rodzinne swe miasto, odpływając ztąd niegdyś Kolumb; a komuż najprzód nie przyjdzie on na myśl, kto po raz pierwszy Genuę obaczy? Uczciliśmy i my pamięć jego, a razem z nią i pamięć kochanego mego Mentora, (Czeczotta), który, wiemy że życie jego z Irwina tłumaczy. I to ostatnie wspomnienie najżywiej bodaj przypadło do serca, wywołując szeregi innych; tak, żeśmy wracając do Ruty, o Wilnie już tylko, a nie o Genui mówili. Za godzin kilka mamy stanąć w jej murach, i tam zacznę list nowy, to jest drugi arkusz, adressując go do Ignacego.

XI.

Do Ignacego Chodźki.

Genua, 16-go Lipca, 1830 r., rano.

Genua nie napróżno nosi tytuł pysznej, (*Superba*), i to nie tylko ze świetności zewnętrznej, ale i z rodzaju wrażenia, jakie czyni na gościach swoich. Jak pyszny bogacz, imponuje zdaleka, ale zbliżka serca nie zjedna. Nikt nie zaprzeczy, że jest miastem wspaniałym, widząc jej marmurowe pałace, olbrzymie kościoły i gmachy, przebiegając szerokie ulice, jakie się w górnej części miasta znajdują; ale żeby się dostać do nich od dołu, trzeba przechodzić labirynt uliczek, krętych, ciasnych, ciemnych, a tak zaprawionych rozmaitemi zapachami, (grzecznie mówiąc), od rozmaitych fabryk, sklepów i towarów, że prawdziwie tchu w piersiach braknie, tém bardziej, że przez nos wcale niepodobna oddychać. Sam port nawet, prześliczny z góry albo od strony morza, z brzegu przedstawia tylko obraz mrówczego ruchu, a brudactwa do nieopisania. Powiew od morza, ów ożywczy *venticello* w Neapolu, tu nie wiem na jak zgrubiały zasługuje wyraz, formując tylko ciągi po ulicach, zasypując kurzawą oczy, i niewonną aurę od dołu do wyższych piąter miasta przenosząc. Jednym słowem, Genua pyszna, wspaniała,

bogata, jest przytém nudna, niemiła, i nawet niewygodna. Otaczające ją zamki forteczne, choć na szczycie gór po za miastem malownicze tworzą widoki, nie przydają jój wcale wesołości i wdzięku. Mur rozciągający się wzdłuż brzegu, po nad portem, nosi nazwę *Ponte Reale*, i zasłania go od strony miasta. Można po nim, lub trzeba przechodzić, a nawet z biedy i przechadzać się można po nad morzem. Nie tu jednak jest miejsce uprzywilejowanych przechadzek. Stanowią je zwłaszcza dwa place, po dwóch stronach górnego miasta: *Acqua Sola* i *Acqua Verde*. Piérwszy, ocieniony drzewami i ozdobiony fontannami, ściąga co wieczór piękny świat tutejszy. Drugi służy szczególnie za przechadzkę w zimie, i z niego to, jak z jeziora rzeka, wypływa ulica *Balbi*, która, w połączeniu z dwiema innemi: *Nuova* i *Novissima*, przerzyna całe miasto od *Florenckiej* do bramy *Św. Tomasza*, i jest, można powiedzieć, najpiękniejszą ozdobą Genui, oprócz piękności położenia z natury. Wszystko to, co tu piszę, jest owocem całodziennych wczorajszych i onegdajszych wieczornych wędrówek po mieście. Nie mówię nic o kościołach, do którychśmy wstępowali po drodze, bo trudnoby wszystkie wyliczać, a tak są wszystkie prawie przeciążone bogactwem szczegółów i ozdób, że to tém bardziej jeszcze od mówienia o nich odstrasza. Za największe i najwspanialsze uchodzą: Katedra, pod wezwaniem *Św. Wawrzyńca* (*San Lorenzo*), *Annunciata*, i kościół *Św. Cyra* (*San Siro*). Za najpiękniejszy zaś poczytuje się kościół *Santa Maria di Cari-*

gnano, czyli Wniebowzięcia, w prześliczném położeniu na górze, tuż obok wspaniałego wysokiego mostu, który łączy górę tę z drugą. Za toż mogę powiedzieć o teatrze *Carlo-Felice*, skończonym i otwartym dopiero przed rokiem, że jest zewnątrz i wewnątrz jednym z najpiękniejszych i najwspanialszych we Włoszech. Wyłożony całkiem białym marmurem, ma 6 pięter łóż, po 30 w każdym. Widzieliśmy w nim onegdaj po raz pierwszy tragedya włoską. Była to *Medea*, przez xięcia Valentignano. Sztuka całkiem w guście francuzkim. Aktorowie gorsi niż u nas. Z Werowskim lub Ledóchowską żaden ani się równać nie może. Jedna tylko pani *Pelzetti*, grająca główną rolę Medei, przypominała nieco pannę Żuczkowską, ale mniej piękna i mniej naturalna. Wszyscy zaś inni grzeszą zwłaszcza zbyteczną deklamacyą i przesadą. Rozmawialiśmy właśnie o tém w antrakcie po polsku, gdy nagle ze środka orkiestry — byliśmy bowiem w pierwszym rzędzie krzeseł, aby mózdz lepiej dosłyszeć — zbliża się ku nam, z niezwyčajnym pośpiechem, roztrącając po drodze muzyków, jakiś jegomość, miernego wzrostu, blondyn, lat około 40, ale pełen znać życia i miłego wyrazu twarzy, i odzywa się do nas po polsku, wyrażając swą radość, że spotyka ziomeków, i rekomendując się jako dyrektor orkiestry, Mirecki. Wiedzieliśmy już o nim pierwój, że był takimże dyrektorem w Lizbonie. On zaś, dowiedziawszy się nawzajem kto był Adam, zdawało się, że podrośł z radości. Wszystkie odtąd antrakty przegawędził z nami, a wczoraj raniuteńko już był u nas w hotelu.

Miły, żywy, serdeczny, i pełen młodzieńczego zapału, od razu mię ujął za serce. Fanatycznie rozmiłowany w swojej sztuce, niczego tyle nie pragnie, jak żeby mógł ułożyć muzykę do jakiej opery polskiej, i przeto przyczepił się jak pijawka do Adama, aby dla niego *libretto* napisał. Adam nie jest od tego, i cały wieczór wczoraj, chodząc po nad morzem, planowaliśmy razem rozmaite szczegóły treści, którą on sam już z gruba wymyślił, a do której wspólnego obrobienia mnie wzywa. Treść ta w głównych zarysach jest taka. Legionista Polak, pozostał ranny we Włoszech, a jako amator sztuk pięknych, a mianowicie muzyki, upodobał sobie w nowej ojczyźnie i zamieszkał w nadmorskiem miasteczku. Lubią go i szanują wszyscy, bo jest szlachetny, serdeczny, a nadewszystko waleczny. Sam tylko burmistrz miasteczka, także zapalony meloman, znieść nie może jego śpiewania, a on właśnie ma namiętną ochotę i największą pretensją do tego. Ztąd niechęć i poróżnienie, i ztąd nieprzeparta przeszkoda do małżeństwa z córką burmistrza, która, chociaż sama śpiewaczka i zdanie ojca co do śpiewu Polaka podziela, kocha w nim jednak nawzajem rycerza, i wszelkich usiłowań dokłada, aby ojca z kochankiem pojednać. Wdają się w to i drudzy, i cały magistrat miasta *in corpore* stara się albo zmiekczyć burmistrza, albo nakłonić Polaka, ażeby śpiewać zaprzestał. Ale jedno i drugie napróżno. I na tém się ma kończyć akt pierwszy. Akt drugi ma się zacząć od popłochu w mieście. Doszła wieść, że zbójcy morscy, tak zwani *Barbareski*, ukazali się na wybrzeżu,

kilka miast już sąsiednich złupili, i gotują się do napaści na miejsce akcji dramatu. (*Notabene*, napady Barbaresków zdarzały się rzeczywiście często za dawnych czasów; nawet przed laty kilku obawiano się ich na seryo w Fiumicino, pod Rzymem). Otóż popłoch wskazuje potrzebę obrony, a nikt, oprócz Polaka, nie zna się na sztuce wojennej. Znowu więc deputacya do niego. Ale on przypomina sobie Iliadę, czytana niegdyś w szkołach, i pozuje na Achillesa, któremu Bryzeidę wydarto. Lecz i burmistrz téż, jak Agamemnon, czuje godność swęj dostojności, i chociaż się boi straszliwie, ufa jeszcze że Barbareski nie przyjdą, i nie daje się złamać w uporze. Rokowania te zapełniają akt drugi, i mają dostarczyć motywów do duetów, tercetów, kwartetów, i t. d. Akt kończy się chórem wieśniaków, uciekających do miasteczka z okolic, bo się już Barbareski ukazali na morzu. Akt trzeci ma się zacząć w dzikięj przystani, śród skał, lasów, jaskiń, przepaści, i wszelkiego rodzaju okropności. Barbareski z okrętu przypływają na łódkach, (chór, ma się rozumieć, śpiewając), i zakładają tam swój obóz, mając w nocy napaść na miasto. Cel ich główny jest porwać piękną *Silwią*, (tak ma zwać się córka burmistrza, na cześć mojęj przyjaciółeczki weneckięj), o której wdziękach Dej Algierski zasłyszał. Ona tymczasem w miasteczku odegrywa rolę Patrokla, albo matki Koryolana, to jest, udaje się sama do kochanka—i miłość, w połączeniu z honorem polskiego szlachcica, odnosi tryumf nad sercem rycerza. Nie pozwalają mu żyć dla nięj; idzie więc walczyć za nią, i choć-

by zginąć w jej obronie. Zapał rycerski udziela się kochance. Staje sama na czele kobiet, aby kierować obroną miasteczka: gdy Tadeusz, (to ma być imię Polaka), wyprawia się na czele mężczyzn, aby zniemacka uderzyć na wrogów. W miasteczku jest muzeum starożytności, pod strażą fanatyka-archeologa, jak burmistrz i Tadeusz są fanatykami muzyki i śpiewu. Silvia dla swoich amazonek zabiera z niego stary oręż i zbroje, w które się ubierają, mimo oporu i rozpacz ich stróża. (To jest mój pomysł). Stary burmistrz, umierając ze strachu, modli się z chórem niezdolnych do bronni, za pomyślność wyprawy Polaka. Goniec od niego przynosi wieść o zwycięstwie i o ucieczce Barbareusków. Dzwony zamiast bicia na trwogę, zaczynają *karyllonować* radośnie. Zwycięzcy powracają w tryumfie. Amazonki we zbrojach spotykają zwycięzców. Lud i magistrat błagają burmistrza. Burmistrz błogosławi kochanków. Tadeusz, w uniesieniu szlache tném, obiecuje nie śpiewać nigdy przed burmistrzem, poprzestając na duetach z Silvją. Pragnie tylko raz jeszcze zanucić pieśń łabędzją, pieśń, którą legiony śpiewały. Lud cały, i z nim sam burmistrz, wtórują chórem pieśni Tadeusza. Głos jego po raz pierwszy nie razi, ale owszem wzrusza burmistrza. Śpiewak tryumfuje — i płacze. Silvia rzuca się w jego objęcia — i kortyna zapada.

Taki jest szkic główny *libretta*. Czy z niego kiedy utworzy się obraz? Euterpie chyba tylko i Talii wiadomo. Ale Mirecki tak był nim zachwycony, że cały wieczór bawiąc wczoraj u nas, układał już

w myśli i nucił nam melodye przewidywanych aryj i chórów. Czekamy go właśnie co chwila, aby iść zwiedzać razem pałace i ville, które malowniczo rozsiane na stoku gór uwieńczonych zamkami, składają jakby dalszy ciąg miasta, i przyczyniają się może najwięcej do uroczych jego widoków z dołu i od morza.

Godzina 12 w nocy.

Ani nam się marzyło o tak miłej siurpryzie, jaka nas dziś najniespodziewaniej spotkała. Na bok wszystkie pałace i ville! Opera już nam nawet nie w myśli.— Mieliliśmy właśnie wychodzić z Mireckim, gdy wtém drzwi otwierają się z impetem, i wpada—nie wchodzi—kto? August Göthe z Wejmaru! Przyjechał wczoraj wieczorem, i mieszka w tym samym hotelu. Z tablicy hotelowej dowiedział się, że tu jesteśmy; i trzeba było widzieć, z jaką radością, z jakim uniesieniem, ścisnął nas i całował po kolei, jakby swoich najbliższych przyjaciół czy krewnych. Poczciwy, kochany człowiek! Cały Wejmar ożył nam w duszy. I *Pa-pa*, i pani Ottilia, i *schöne Rosa-Teresia*!! Wszyscy oni jakoby pamiętają o nas; a nam wspomnienia o nich tak były przyjemne, żeśmy się przez dzień cały nie rozstali z panem Augustem, i w téj chwili dopiero powracamy od niego. Jedzie on zwiedzić Włochy, w towarzystwie przyjaciela rodziny, dobrego też naszego znajomego z Wejmaru, p. *Eckermanna*, któ-

ry, jak nam właśnie powiadał, będąc codziennym gościem w domu Götych, notuje ciągle od lat wielu wszystkie swoje rozmowy z *Papą* i wszystkie najdrobniejsze o nim wspomnienia. To mi jeszcze dodało bodźca do kontynuacji tych moich do was listów o Adamie, o które często się boję, czy nazbyt drobiazgową szczegółowością nie grzeszą. Ale mi Eckermann powiada, że wielki człowiek w narodzie, to jest jak słońce ożywcze, którego każdy promyczek, choćby w kropli rosy odbity, przyczynia się do uświetnienia swój ziemi. O Adamie zaś *Papa*, jak słyszę, powiada: *C'est un jeune homme, qui promet d'être grand.*“ A wiem też, że i panią Różę czasem z uśmiechem: „*Paradiesischer Vogel*“ nazywa.—Cały dzień jutro mamy znowu przepędzić razem. Pan August zaprosił nas na obiad; poczem mamy popłynąć na morze, dla obejrzenia portu i przypatrzenia się miastu z téj strony, co właśnie ma stanowić najpiękniejszy widok tutejszy. Dobranoc!

Dnia 17 Lipca, godz. 11 w nocy.

Oto dzionek rozkosznie i dobrze użyty,
Z łaski Feba, Bachusa, Muz i Amfitryty,
Że nawet pod ziarnami siewu Morfeusza,
Jak makiem tylko zda się kwitnie myśl i dusza,
I chcę, byś i ty po nich przeleciał motylem,
Póki znow się nie staną, czém były—badylem.

Ranek zszedł nam na wspólném oglądaniu z Mireckim i z panem Augustem znakomitszych pałaców i galeryj. Piękne są, ale mniejsza o nie! Od obiadu dopiero zaczął się dzień prawdziwie uroczy. Stary Göthe i *schöne Rosa*, zdaje się że byli z nami. Libacye, może za częste, któremi nas uprzejmy Amfitryon raczył, przyczyniały się jużciż do tych miłych złudzeń. Ale grunt stanowiła rozmowa o nich: o poezyi, piękności, miłości—i duch zda się tego wszystkiego owiewał nas swym blaskiem i wonią. W takiem usposobieniu myśli, wsiedliśmy do wielkiej łodzi, pod żaglem, o czterech wiosłach, która zwijając się jak rybka między ścianami okrętów u portu, uniosła nas na pełne morze, o tyle tylko zlekka falujące, aby czuć było rozkosz kołysania się i bujania po niém. Płynęliśmy zaś na spotkanie wojennej flotylli Neapolitańskiej, na którą już w porcie czekano. I był to widok tak cudny, tak nowy, gdy sześć razem wielkich okrętów, (korwet i brygów), pod żaglem, (parowego żadnego nie było), posuwało się w szyku jak stado łabędzi, jak żywe białe gmachy z wieżami. I to znowu dało nam powód do salutowania ich kielichami, które, razem z półtuzinem butelek, składały niewiadomy nam ładunek łodzi. Ale nie wiedział widać o nim i p. Eckermann, gdyż wraz z nami protestował gorąco przeciw ich użyciu, lubo téż, wraz z nami nakoniec, uległ niemniej gorącym namowom, i musiał sam naśladować przykład gospodarza. W ślad za flotyllą zawróciliśmy i my ku miastu, ciesząc się morskim i ziemskim widokiem. Z brzegu w porcie stała śliczna

Amerykańska fregata. Zbliżyliśmy się, żeby ją wokoło opłynąć, a pan August, mówiący dobrze po angielsku, zapytał jednego z majtków, czyby nie można było obejrzeć jój wewnątrz? Jakiś młody *Midshipman*, usłyszał to z pokładu, i odpowiedział bardzo grzecznie, że można. Sam też był przewodnikiem naszym po kajutach, sypialniach i składach na spodzie. Wszędzie czystość, porządek i elegancya wykwinna. Na pokładzie dwóch młodych majtków siedziało obok siebie, czytając jakąś książkę. Zdaleka obaczyłem, że wiersze. Ułożywszy więc frazes w myśli, zbliżyłem się i zapytałem: co zacz? Pokazali bardzo uprzejmie; a był to zbiór ballad angielskich. I trzebaż, że właśnie czytali „*Old Mariner*“ Koleridża, który tak kiedyś w Warszawie mnie i Juljana zachwycił, żeśmy, dla harmonii wiersza, po strof parę nauczyl się na pamięć. Pomimo więc okropnej zapewne pronuncjacyi mojej, posłużyła mi ta cytata do zjednania współczucia rozmówników moich. Gdy się zaś dowiedzieli, żeśmy Polak, współczucie to tak się wzmogło, że jeden z nich zaczął mi nucić półgłosem dorobioną do téjże ballady muzykę, zmienną i rozmałą, jak ton i miara jój samój. Słyszając to, kilku majtków zbliżyło się i stanęło koło mnie. Wszyscy wiedzą o Lafayecie i Kościuszcze, i tak byli ze mną serdeczni, że gdy się już z nimi żegnałem, wszyscy podawali mi ręce, a jeden starszy wiekiem, potrząsając moją zawołał: „*Good bye, brave young man!*“—Adam widząc te zrzękowiny, nie zaniedbał konceptować po swojemu, jak zwykle; ale ja byłem szczerze wzruszony, i chwilę tę do

najmilszych dzisiejszych zaliczam. Po wyjściu na ląd, Adam częstował nas wszystkich lodami i herbatą w cukierni, gdzie już na nas czekał Mirecki. Wprost ztamtąd wróciliśmy przed chwilą dopiero do domu, a jutro rano wyjeżdżamy dalej. Oświadczyłem wszakże weturynowi, że nie raniiej, aż po mszy w kościele. Bo to jutro przecież Niedziela, a mądre to i piękne stare nasze przysłowie: „Msza nie opóźni, jałmużna nie zuboży.“—Bądź zdrow! Listu tego już nie dotknę się jutro, a nowy znowu zacznę na popasie.

XII.

Do Juljana Korsaka.

18 Lipca 1830 r. Novi, godz. 8 w wieczór.

Pożegnaliśmy już tedy Apenniny, i o zachodzie słońca, z gór panujących nad miasteczkiem *Novi*, gdzie właśnie noclegujemy, widzieliśmy już zdaleka Alpy, z królem swoim *Montblanc* na czele, ku któremu właśnie dążymy.

Z Genui wyjechaliśmy dopiero o ósmój, z powodu śniadania z Göthem, przy którym odczytał nam sążnisty list, który w nocy napisał do ojca, opisując w nim spotkanie z nami i cały dzień wczorajszy, z najdrobniejszymi jego szczegółami. Cytuje nawet słowa, cośmy o nim, o pani Róży-Teressie, i w ogólności o Wejmarze mówili. O winie tylko ani wzmianki nie ma; chociaż i przy śniadaniu musieliśmy się bronić od ponawiających się wciąż *coups d'adieu*, przez które uprzejmy nasz Amfitryon i hojną swoją gościnność, i serdeczny swój ku nam affekt okazywał. Smutne to w końcu robiło wrażenie, tém bardziej, że i szanowny p. Eckermann wyznał nam, iż w tém jest właśnie najtrudniejsza część obowiązku, który ma do czuwania nad nim w podróży. Rozstaliśmy się jak być mo-

że najczuliej, i to aż w bramie miasta, gdzie już na nas czekał weturyn, i dokąd nas odprowadzili z Mireckim ¹⁾).

O podróży nie ma co mówić. Kraj chociaż żyzny i piękny, ale cóż on jest po *Brzegu Genueskim*? Droga wszerek ostatniego pasma Apenninów to się wije po górach i między górami, to idzie wzdłuż smugów i dolin, pod nad rzeką *Scrivia* i innemi, które wskutek upałów do połowy wyschły. Za *Ronco*, gdzieśmy popasali, drugim po drodze i już ostatniem w górach miasteczkiem jest *Serra-valle*, za którym, wyjechawszy z wąwozu, ujrzelśmy, jak morze zieleni, nieprzejrzone płaszczyny Lombardzkie, ciągnące się w przestrzeń bez końca. Tu już można spać śmiało jadąc, bo gdziekolwiek otworzysz oczy, wszędzie jedno i to samo obaczysz: kukuruzę, morwy i winnice—szkoda tylko, że jeszcze bez winogron.

Novi, porządne miasteczko, ma 10,000 mieszkańców i sławne jest porażką Francuzów w roku 1799, w której zginął generał Joubert. Widzieliśmy to pole bitwy i miejsce gdzie poległ. Smutny to pomnik, pole bitwy przegranej! Wracając z gór, na któreśmy się wdrapali, aby Alpy i Montblanc obaczyć, znaleźliśmy przecież kawałeczek murawy, aby na niej godzinę poleżeć; *notabene*, obejrzawszy wprzód dobrze, czy

1) We trzy miesiące potem, w końcu października, gazety ogłosiły wiadomość o śmierci Augusta Göthego w Rzymie, w skutek nagłej zapalnej choroby. (P. A.)

mrowiska w sąsiedztwie nie było. Towarzystwo podróżne w środku wettury, (my jedziemy w kabryolecie, po 20 franków od osoby), składa się z jakiejś rodziny szwajcarskiej, dwojga starych rodziców, i dwóch młodych i nawet ładnych córeczek; ale cóż, kiedy kupiecka mina ojca i pospolita matki, nie zachęca i nie ośmiela jakoś do zawiązania bliższej znajomości. Oczkowaliśmy tylko trochę przy wspólnym obiedzie w Novi, ale na tém i koniec. Obiad dobry, oberża wygodna; a mimo to Adam powiada, że jeśli da Bóg kiedy powróci do Litwy, będzie trzy dni popasał w pierwszej karczmie żydowskiej, choćby mu kozy siano z łózka wyciągały. — Tu mając lepsze, jak widzę, poślanie, mówię tobie tymczasem — *Dobranoc!*

19 Lipca, godz. 10 w wieczór. Pavia.

Wyjechaliśmy z Novi o 4-éj, aleśmy swoje odespali w drodze. Popas w *Voghera*, niewielkiem, ale dobrze zabudowaném miasteczku. Granicę Piemontsko-Lombardzką przejechaliśmy w *Gravellone*. Rzeka *Po* tak jest wyschła, że gdyby nie żal butów lub fatygi ich zdjęcia, możnaby przejść przez nią piechotą, jak kiedyś Bug przed laty dwoma przeszedłem. A jak to się pyszniło, szumiało, błyszczało, gdyśmy ją po raz pierwszy przejeżdżali w jesień!... *Tessyn* jednak (*Ticino*), nad którym leży *Pavia*, jest pełny, i ma wesołe brzegi, jak nasz Niemen, który nigdy ani wysycha

bardzo, ani wzbiera, ale na którym za to liczyć zawsze można, że wicin z drogi na bok nie uniesie, a potem nie osadzi na piasku. Z tą pochwałą rodzinnéj rzeki, przejechaliśmy kryty most na Tessynie i wjechaliśmy w środek miasta Pavii, dość wcześnie, aby ją jeszcze przed zmrokiem wzdłuż, wszerz i na ukos obejrzyć. Podoba mi się lepiej niż Genua; nie żebym je co do świetności porównywał, ale właśnie dla tego, że nie taka *superba*, a za to *più graziosa*; jak wolę panienczkę w skromnéj białéj sukience, niż w nastrzępionéj gazą sukni balowéj; albo uprzejmą gospodynię w drelichu, od zimno grzecznój wielkiéj damy światowéj w axamicie z ogonem, którego ja specjalnie niecierpię. W Rzymie jeszcze napisałem o nim:

Ród niewieści przez piękność z Anioły jest zbratan,
Niechże pomni, że Anioł z ogonem—to szatan.

Ale i Pavia miała niegdyś czasy swojej świetności. Zwano ją „miastem o stu wieżach,” (których dziś nie ma), i była stolicą Longobardów. Sławna w dziejach porażką i pojmaniem Franciszka I-go, została potem zniszczona i złupiona przez Francuzów za to, że się z téj ich klęski cieszyła. Obecnie nie liczy więcéj nad 20,000 mieszkańców, i wziętość swoję we Włoszech uniwersytetowi głównie zawdzięcza. Musi téż być nie lada literackiém, kiedy ja sam naliczyłem aż 10 xięgarni, a może jest ich i więcéj. Uniwersytet liczy podobno 1,500 uczniów; ale którzy teraz właśnie wakacyują. Na ulicach ludzi nie wiele, ale wszyscy prawie dobrze ubrani, nie tak jak *Eminenci* w Pizie.

Ulica główna, przeryniająca całe miasto, *Corso*, i boczne po nad rzeką, są piękne i szerokie; o innych tego powiedzieć nie można, ale wszystkie są proste i dobrze brukowane. Oprócz placów: *Grande* i *del Duomo*, w środku miasta, Pavia ma jeszcze piękną przechadzkę publiczną nad Tessynem: *Stradone*, a ów most kryty, cośmy przejeżdżali, łączy miasto z przedmieściem, zwaném *Borgo Ticino*. Z kościołów, katedra i kościół Św. Michała wskazane są podróży jako najciekawsze; ale nic w nich tak bardzo ciekawego nie ma. W katedrze jest grób Św. Augustyna, i pokazują włócznie sławnego paladyna Rolanda. Z pałaców i gmachów publicznych, najciekawszym jest uniwersytet, złożony z pięciu budowli i tyłuż dziedzińców, leżących obok, i podobnych do siebie. Zresztą nic więcej o Pawii do powiedzenia nie mam; prócz chyba, że z jój powodu poznałem się nakoniec ze Szwajcارعczkami, które jój nie zwiedzały same, a ja opowiadając im o niej u stołu, cały już wieczór potem wesoło przegawędziłem z niemi. Ztąd do Medyolanu jest już tylko trzy godzin drogi, a że mamy wyjechać jutro o 3-ej, tam więc dopiero będziemy pili kawę;—i na tém się właściwie ma skończyć nasza podróż, a przynajmniej jazda po Włoszech; gdyż już z Medyolanu mamy iść dalej piechotą, do Genewy przez Simplon. W Medyolanie mamy bawić nie dłużej nad trzy dni, i ztamtąd list ten przed wyjściem wyprawię. Na dzisiaj *basta* i *buona notte!*

20 Lipca, godz. 11 w nocy. Medyolan.

Z czcią, uwielbieniem, i ugięciem kolan,
Jako pielgrzymi, w ducha zachwyceniu,
Powitaliśmy—o! nie Medyolan,
Lecz jakby żywą na niebios sklepieniu,
W wieńcu gwiazd, w białych duchów otoczeniu,
Królowę Niebios—gdy lud chrześcijański
Ku Jój czci, w dzwonach budził *Anioł Pański*.

I gdy wstąpiwszy najprzód do tego najpiękniejszego na ziemi przybytku Jój chwały, to jest do katedry Medyolańskiej, weszliśmy potem do najbliższej kawiarni na placu: pierwszą osobą, cośmy w niej postrzegli, był—kto? pan Symon Klustin! Niespodzianka tém miłsza, że wcale nieprzewidziana! Przyjechali onegdaj wieczorem, i dwa dni jeszcze tylko tu zabawią, spiesząc się do Genewy, gdzie było z nami umówione spotkanie. Cały więc już dzień dzisiaj spędziliśmy razem; byliśmy na dachu katedry, na spacerze wieczornym na wałach, i na teatrze *della Scala*, to jest widzieliśmy to wszystko, co tu jest najgodniejszym widzenia. Jutro wybieramy się na zwiedzenie galeryi obrazów, czyli tak zwaną „Akademię Sztuk Pięknych,” i sławną Bibliotekę Ambrozyańską, cośmy za pierwszą bytnością bardzo tylko pobieżnie widzieli. Medyolan podoba mi się jakoś teraz lepiej niż wtedy, może przez porównanie z miastami Włoch południowych, przed którymi się zwłaszcza porządkiem i czystością odznacza. Białe tylko figurki na kate-

drze, a w czarnych woalikach na ziemi, nie mogą już podobać się więcej, jak się wtedy podobały od razu.
Dobranoc!

21 Lipca, o godz. 11 w wieczór.

Wczorajsze plany na dzisiaj zmieniły się całkiem; ale zmiana przewyższyła nadzieje. Tyle już razy mówiłem o uprzejmości i serdeczności Włochów, że nie miałbym się potrzeby powtarzać, gdyby doznauy jój objaw dzisiejszy nie przewyższył wszystkich poprzednich. Pamiętacie, że na ślubie Stattlera w Rzymie, poznaliśmy się z młodym malarzem, p. *Giacomo Sogni*, rodem z Medyolanu. Otóż na ostatnim wieczorze u nowożeńców, ten p. Sogni, niezmiernie dla nas uprzejmy, słysząc że mamy być w Medyolanie, oświadczył się z chęcią dania nam rekomendacyjnego listu do swojego brata, który jest tam dyrektorem sławnego szpitalu, i przyjacielem Manzonięgo, w którego domu mieszka, tudzież innych literatów i artystów. Przyjęliśmy więc wdzięcznie ofiarę, a on *stante pede* oddarłszy—nie odstrzygłszy nawet—od arkusza kawał papieru, napisał na nim słów kilka, wyrażając w nich krótko i sucho, że takichto a takich znajomości jego poleca. Forma ta rekomendacyi nie wróżyła wiele o skutku. To też Adam ani słuchać nie chciał, kiedy mu zaproponowałem wczoraj, ażeby pójść z tą wizytą. Poszedłem zatem sam jeden, i nie zastawszy

gospodarza w domu, zostawiłem mu, wraz z tym świstkiem od brata, bilety od nas obydwóch.

Alić dziś, jeszcześmy spali, kiedy nas obudziło pukanie do drzwi. Rozumiejąc, że to pan Symon, otworzyłem bez ceremonii w negliżu. Aż tu widzę, jakiś pan nieznajomy, we fraku, średniego wieku i wzrostu, dobrej tuszy, rumianej i wesołej twarzy, wchodzi prędko z uśmiechem na ustach, i zarekomendowawszy się, że jest *Sogni*, zaczyna od ucałowania się ze mną, a potem i z leżącym jeszcze Adamem, mówiąc, że już dawno ma list od brata, zapowiadający nasze przybycie, i że czekał nas z utęsknieniem. Nie ochłonęliśmy jeszcze z podziwienia nad tą obcesową serdecznością, kiedy on prawił już dalej, nie dając nam przyjąć do słowa. „Czas panom musi być drogi; nie będziemy go więc tracić na próżno. Zaczniemy od obejrzenia szpitalu; bo choć to może dla panów rzecz nie ciekawa, ale trzeba wiedzieć, że lepiej urządzonego szpitalu nie ma w całej Europie. (Czy to prawda? ja nie wiem). Następnie zwiedzimy pracownię wszystkich naszych malarzy i rzeźbiarzy, z których wielu jest bardzo niepospolitych, a którzy wszyscy dzisiaj czekać na nas będą. Potem raczycie panowie przyjąć u mnie mały obiadek (*piccolo pranzo*), gdzie poznacie dwóch po Manzoni najslawniejszych naszych poetów: *Tommaso Grossi* i *Tommaso Torti*, przyjaciół Manzoniego i moich, którzy już wiedzą o panach przeziemnie, i bardzo poznać ich pragną. Szkoda, że Manzoniego nie ma w mieście; bawi przez lato w swojej villi na wsi, o cztery mile (włoskie) od miasta.

Przyjechałby niezawodnie, gdybym go poprosił, ale wiem od Grossego, który wczoraj ztamtąd powrócił, że żona jego jest chora, i że jój odstąpić nie może.“ — Wszystko to mówił tak prędko, a przytém tak prosto i naturalnie, nie usiadłszy nawet, gdyśmy się ubierali z pośpiechem, jak gdybyśmy byli jego najdawniejsi znajomi. Gdyśmy byli gotowi i wyszli z nim razem, ładny odkryty powóz, nie remiza, czekał na nas u bramy hotelu. Zaprosił nas do niego, i sam chciał koniecznie usiąść na przedzie. Nie dopuściłem wszakże tego, dając słowo, że inaczej nie wsiądę. Zawiózł nas najprzód do kawiarni, gdzie razem z nami pił kawę, i sam za wszystko zapłacił. Następnie pojechaliśmy do szpitalu, po którym nas oprowadzał, a którego rozkład, czystość, porządek, rzeczywiście wzorowe. Oglądanie to trwało z godzinę; poczem z przybytku boleści i ułomności cieleśnych, przeszliśmy w artystyczny świat ducha.

Pierwsza, do którejśmy wstąpili, była pracownia najznakomitszego tu dziś rzeźbiarza, p. *Pompeo Marchesi*. Pracuje właśnie nad płaskorzeźbą do tryumfalnej bramy, czyli tak zwanego „Łuku Pokoju“ (*Arco della pace*). Brama ta, zaczęta w r. 1807 i nazywająca się wtedy Simplońską (*del Sempione*), miała służyć za pomnik zbudowania pierwszej drogi bitej przez Alpy, i być ozdobioną rzeźbami, wyobrażającymi zwycięstwa i tryumfy Napoleona. Teraz przedmiotem pracy p. Marchesi jest właśnie klęska jego pod Lipskiem, i tryumf cesarza Franciszka I-go, koronującego Lombardya. W pierwszej, grupy zwłasz-

cza niewolników francuzkich, pełne życia i wyrazu, są uderzającą pięknoscią, i przypomniały nam żywo jeńców z 1812 roku, cośmy wtedy na własne oczy widzieli. Adama to przypomnienie zasmuciło, ale i ożywiło zarazem. Zaczął mówić o tém, co widział; a artysta, uszczęśliwiony z efektu swojego dzieła, sam wszakże, jako człowiek i Włoch, podzielał szczerze sympatye Adama, wręcz właśnie dziełu temu, to jest przedmiotowi jego, przeciwne. Pożegnaliśmy się bardzo serdecznie, z wielką pociechą naszego przewodnika.

Z pięciu pracowni malarzy, cośmy następnie po kolei zwiedzili: w trzech zwłaszcza, pp. *Hayez*, *Palagio-Palaggi* i *Cummerio*, mogliśmy pojąć w całej pełni i blasku nowy kierunek nowój szkoły malarstwa, która się właśnie w Medyolanie zaczyna, i sama sobie nazwę *romantycznej* nadaje. Właściwym jój koryfeuszem duchowym jest Manzoni, którego wpływ i do malarstwa się rozciąga. Główną jój cechą jest prawda— historyczna w szczegółach zewnętrznych, a psychiczna w pomyśle, w układzie figur i wyrazie twarzy. Obrazy zwłaszcza p. Palaggi, czerpane z historii Medyolańskiej, przypominają metodę Manzonięgo w powieści jęgo „*I Promessi Sposi*,” która znowu jest wiernęm odbicięm metody Waltera Skotta. Dziwna rzecz, że namiętnym Włochom więcéj widać przypadł do gustu Walter Skott niż Byron, podczas kiedy w krajach zimniejszych, wszędie wpływ ostatnięgo przeważa. Więcéj ruchu i gorącego uczucia dawało się dostrzegać w obrazach pana Hayez, a dwa z nich,

jeden przedstawiający scenę z tragedyi „*Fiesco*,” drugi z „*Maryi Stuart*,” świadczyły o szczególniejszém jego zamiłowaniu w Szyllerze, o którym z zapamięłem rozprawiał. Cummerio pracuje nad kartonami fresków, które ma wkrótce malować w kościele Św. Sebastjana, przedstawiających życie i męczeństwo tego Świętego. Same pracownie ich wszystkich, obszerne i pięknie urządzone, przekonywały o zamożności, a więc o dobrém tu powodzeniu artystów. We wszystkich, oprócz ich własnych utworów, znajdują się obrazy dawnych znakomitszych mistrzów, a nadto u p. Palaggi, kosztowny zbiór starożytności, który on sam z wielką grzecznością pokazywał nam i objaśniał. Przebywszy czas jakiś we Włoszech, i włóczę się ciągle po galeryach, nie łatwiejszego, jak spójrzawszy na obraz, z kolorytu jego czy stylu, imię autora odgadnąć. Udało się to nam po kilka razy, przy oglądaniu wspomnianych wyżej obrazów, zdobiących pracownie artystów, i zjednywało nam wyraźnie dobrą u nich opinię. Uprzejmy zaś nasz przewodnik, tryumfującym spojrzeniem zdawał się mówić każdemu: „widzisz, jakich ci znawców przywiozłem!” To téż wszyscy przyjmowali nas jak nie można uprzejmiej. Lecz chociaż byli uprzedzeni przez niego, który sam był uprzedzony przez brata, że Adam jest sławnym w swoim kraju poetą: żaden z nich jednak rzeczywistych zasług jego nie wiedział, i dopiero z jego rozmowy, którą z ożywieniem prowadził; z wysokich myśli lub głębokich uwag o sztuce, o potrzebach i duchu czasu, etc. etc., widać było, jakie wrażenie stopniowo ich

ogarniało, i jak grzeczna z razu uprzejmość, zamieniała się powoli w szczerą i gorącą serdeczność, świadczącą o wrażliwości serc artystów i Włochów. Cummerio zwłaszcza pod tym względem wszystkich swoich towarzyszków przewyższył. Uściskał po kilkakroć Adama, zacierał ręce z radości, i śmiał się do rozpuku, kiedy mówiąc o różnicy pojęć i walce klasyków z romantykami w literaturze i sztuce, opowiedziałem mu ową moją dysputę z Thorwaldsenem w Rzymie, z rzeczy posągu xięcia Józefa, o której wam już wtedy pisałem. Sogni i tu cieszył się za mnie, że sprawiłem takie wrażenie. Ale to wszystko nie jeszcze, w porównaniu z pociechą, jakiej wnet za nas obydwóch w bibliotece publicznej doświadczył.

Pojechaliśmy tam wprost z pracowni pana Cummerio. Bibliotekarz, *Pergala*, (jeżeli się nie mylę w nazwisku), wyraźnie był już uprzedzony. Spotkał nas bowiem wpół sali, i powitawszy z uśmiechem oświadczył, że oczekując na nas, od rana już z nami obcował. Spójrzeliśmy zadziwieni; on zaś na rozwiązanie zagadki, pokazał nam i podał do ręki rozłożony na stole zeszyt Genewskiej *Bibliothèque Universelle*, a w nim artykuł „O stanie literatury polskiej.” Czytaliśmy go już w Rzymie, a historia jego jest taka. Panna Anastazy, bawiąc w Genewie, napisała w kształcie listu do Bonstetтена artykuł o literaturze rosyjskiej, i umieściła go w *Bibliothèque*. To posłużyło za assumpt Zygmuntowi Krasińskiemu, który, jak wiiesz, od roku już bawi w Genewie, że także w formie listu do tegoż Bonstetтена, artykuł o literaturze polskiej napisał,

i w témże piśmie bezimiennie ogłosił. Mówi w nim z gorącym uwielbieniem o Adamie, a i o mnie wspomina w ten sposób, że jak za pierwszém czytaniem go w obec panny Anastazyi, tak i teraz zarumieniłem się po uszy, czując przesadę przyjacielskich pochwał. Ale pocziwy nasz Sogni, który o tém nie wiedział i brał wszystko za dobrą monetę, rozplakał się formalnie z radości, i nuż ścisnąć koleją i całować nas obu, a w końcu i bibliotekarza, z którym żegnając się przy wyjściu, szeptał mu coś do ucha, jak to i poprzednio już czynił przy żegnaniu się z artystami, których zwiedziliśmy pracownię. Nie wiedzieliśmy co to ma znaczyć, aż później dopiero się wyjaśniło, że ich wszystkich zapraszał na obiad.

Była już trzecia po południu, gdyśmy wraz z gospodarzem do gościnnego domu jego przybyli. Rodzina jego składa się z matki staruszki i młodej, ładnej siostrzyczki, Signory *Luigii*, które nas bardzo grzecznie i życzliwie witały, mówiąc, że mają to sobie poleczone od syna i brata z Rzymu. W salonie zastaliśmy już dwóch gości, obu w wieku dojrzałym, którzy stali sobie na stronie przy pierwszój naszej rozmowie z damami. Pan Sogni zapoznał nas z nimi nawzajem, jako swoich dobrych przyjaciół. Byli to: *Tommaso Grossi* i *Tommaso Torti*, obydwu znakomici poeci, a pierwszy z nich najbliższy przyjaciel Manzonięgo, w którego domu, równie jak p. Sogni, mieszka. Dzięki ich nie znaliśmy wcale; p. Sogni tylko po drodze opowiedział nam ich tytuły i rodzaj. Grossi pisze powieści historyczne, w kształcie epopei; Torti same poezye lirycz-

ne. Grossi przytém jest adwokatem, Torti zaś należy czynnie do redakcyi pism peryodycznych: *Eco*, poświęconego wyłącznie literaturze, i *Indicator della Lombardia*, tłómaczącego ważniejsze artykuły z różnych Europejskich dzienników.

Pierwsza zaraz rozmowa zaczęła się o Manzoni, i Grossi ujął mię niezmiernie za serce przez zapal, z jakim mówił o swoim przyjacielu, którego wyższość z uwielbieniem uznaje, a kocha czule i serdecznie jak brata. Nié ma szczęścia większego na świecie, jak podobne uczucie w duszy. Nawzajem téż zjednałem affekt p. Grossi, dzieląc gorąco jego uwielbienie, i deklamując: „*Il Cinque Maggio*” (Piąty Maja), najpiękniejszą niezawodnie ze wszystkich ód Manzoni, i bodaj czy nie najwznioślejszą z tych wszystkich poezyj, jakie na śmierć Napoleona, w różnych językach napisano. Nauczyłem się jéj na pamięć w Rzymie, i wyznaję, że się chciałem popisać. Pan Sogni i tu znowu cieszył się niewymównie, a Grossi słuchał z nieudaném wzruszeniem. Gdy skończyłem, ścisnął mię mocno za rękę, i rzekł tonem podniesionego uczucia: „Czy pan myślisz, że Manzoni dba o światową chwałę literacką? Nad wszystko, co dotąd napisał, kładzie on wyżej swoje Hymny (*Inni Sacri*), które téż równych sobie w literaturze naszéj, a może i w żadnéj nie mają.”—Nie znam ich, ale obiecałem panu Grossi, że będę starał się poznać. On zaś, nim był czas do obiadu, zaprowadził nas do mieszkania Manzoni, od którego klucz ma u siebie, a sam mieszka tuż obok, przez wązki korytarz. Umeblowanie skrom-

ne; gabinet Manzoniego dość szczupły, bez żadnych ozdób i wystawy, przypomniał mi gabinet naszego Borowskiego, a nawet i to wrażenie, z jakim niegdyś wchodziło się do niego. Przed oknami jest mały ogródek, który Manzoni własną ręką uprawia, mając szczególne zamiłowanie w kwiatach; co mi znowu przypomniało Göthego. W biurku, od którego klucz był także u p. Grossi, i które nam uprzejmie otworzył, widzieliśmy stos półarkuszów, zapisanych prozą, i niezbyt we wzorowym porządku ułożonych. Jestto brulion nowego dzieła, nad którym, jak mówił Grossi, Manzoni od dwóch lat już pracuje, a którego głównym przedmiotem ma być wyjaśnienie zasad moralności chrześcijańskiej i dobrodziejstw Kościoła dla ludzkości! ¹⁾. Krucyfix zawieszony nad biurkiem, jedyną ozdobą ścian tego przybytku pracy, oprócz półek z książkami, wskazywał, z kąd autor czerpie natchnienie.

Gdyśmy do salonu p. Sogni wrócili, zastaliśmy już w nim całe grono nowo-przybyłych gości. Byli to pp. Hayez, Palaggi, Cummerio, i bibliotekarz. Rzeźbiarz Marchesi nie mógł korzystać z zaproszenia, i miejsce jego wakowało u stołu. Matka i córka siedziały obok u wyższego końca; z boku po prawej stronie matki, Adam, po lewej przy panience, ja. Sam gospodarz, obok wakującego krzesła, zajmował koniec ostatni. *Minestra* (zupa z jarzyn) i zaraz po niej następująca *stuffata* (sztufada), posłużyły za pierwszy

¹⁾ Dzieło to wyszło w r. 1834 pod tytułem: „*Osservazioni sulla morale Catolica.*“

przedmiot do rozmowy, a było nim podobieństwo kuchni naszej z włoską, co nam niegdyś królowa Bona, razem z uprawą różnych jarzyn włoskich, przyniosła. Wpływ wzajemny obu narodów w dawnych i nowszych czasach, a zwłaszcza Włoch na Polskę przez Kościół i oświatę, stanowił treść dalszej rozmowy, którą Adam głównie zagajał, z wielkiem zainteresowaniem i zadowoleniem słuchaczy. Pani Sogni tymczasem, obyczajem uprzejmiej gospodyni, zachęcała nas do apetytu, i sama sąsiadowi swojemu nakładała na talerz co smaczniejsze kąski. Na piecyste były bażanty; a kiedy Adam chwając i żałując tych pięknych ptaków, skończył co mu pani domu podała; panienka zerwała się z krzesła, i pochwycawszy półmisek, postawiony na drugim stole, sama z nim podbiegła ku niemu. Jako sąsiad, i jako najmłodszy, chciałem ją w téj posłudze wyręczyć; ale nie zezwoliła na to, uchylając się zręcznie, i jak Karyatyda podnosząc półmisek nad głowę. Wziąłem więc choć salaterkę z sałatą, i oparłszy się z kolei gospodarzowi, który mi chciał ją odebrać, towarzyszyłem ślad w ślad pięknej signorze Luigii, która, zaczawszy od Adama, aby nie ubliżyć nikomu, wszystkich gości dookoła obeszła. Wszyscy dziękowali serdecznie i wesoło, niektórzy podnosząc się z siedzenia; gdyśmy zaś na swe miejsca wracali, staruszka podała mi rękę, a kiedy ją ucałowałem, ujęła mię oburącz za głowę i także pocałowała w czoło. Piękna sąsiadka, chociaż w inny sposób, ale również dziękowała uprzejmie. Ja zaś pozbawiony już od tak dawna towarzystwa panienek,

wynagradzałem to sobie jak mogłem w téj chwili, czując się jakoś swobodnym, jakby w wiejskiej Litewskiej gościnie, a ożywionym, jak przy pierwszym poznawaniu się z miłą Warszawianką. Chociaż, Bogiem a prawdą, signora Luigia, (jak bodaj wszystkie Włoszki w ogólności), żywością chyba i wesołością, ale bynajmniej nie sprytem, mogła mi przypominać Warszawiankę; a owszem naiwnością i serdeczną prostotą do Litwinkiby raczej zdała się podobną.

Przy wetach i *Lachrymae Christi*, a potem przy cygarach i kawie po obiedzie, gwar głosów mówiących razem, przypominał téż w całym znaczeniu sąsiedzką naszą na wsi, przyjacielską biesiadę. Rozmowa szła nie już o oderwanych, obojętnych przedmiotach, ale o najżywotniejszych kwestiach chwili bieżącej, z rzeczywistego życia krajów i ludów Europy. I rzecz dziwna, jak te same idee, cośmy np. w Neapolu z ust księcia Filangieri i Arcybiskupa słyszeli, powtarzały się tu słowo w słowo z ust artystów i literatów; albo jak przepowiednie Adama, o blizkim przewrócie rzeczy we Francyi i o powrocie Napoleonidów, i tu, jak tam, budziły echo tegoż samego współczucia.

Ku wieczorowi, gdy się część gości rozeszła, pozostali: Cummerio, Grossi i my, za przewodnictwem niewyczerpanej gościnności gospodarza, poszliśmy jeszcze piechotą za miasto, dla oglądania modeli prześlicznych koni, roboty rzeźbiarza *San Giorgio*, przeznaczonych do rydwanu alegorycznej figury Pokoju, mającej, na poświęconym mu tryumfalnym łuku, zastąpić

miejsce bogini Zwycięstwa, którą tam chciał Napoleon postawić. Szliśmy wśród tłumu ekwipażów i pieszych, śpieszących na przechadzkę na wały, a serdeczny przyjaciel mój Cummerio, (wziął mnie bowiem w szczególny affekt), bawił nas opowiadaniem anegdot z artystycznego życia swego i drugich kolegów, śmiejąc się sam najszczerzej i zacierając ręce, ilekroć nas do śmiechu pobudził. Xiężyc w pełni, na niebie czystym i ciemno błękitnym jak lazur, dawno już miejsce słońca zastąpił, kiedyśmy powrócili do miasta, i wstąpili na plac katedralny, cały zalany światłem od oświeconych rzęście sklepów i kawiarni, na oścież od ulicy otwartych, pełnych ludu, ruchu i gwaru. W pośrodku olbrzymia katedra, a nad nią, na iglicach wieżyczek, nieprzeliczony tłum białych posągów, xiężycowym światłem oblanych, na tle gwiazdzystego błękitu, chociaż już tyle razy widziany, więcej dziś zda się niż kiedy uderzał podobieństwem napowietrznych duchów. Słowem, i powrót ten, i dzień cały są warte, by je czerwono w kalendarzu wspomnień zapisać. Wszyscy trzej towarzysze nasi odprowadzili nas aż do bramy hotelu, gdzieśmy się pożegnali serdecznie. Jutro pan Sogni chce nas powieźć koniecznie w okolice miasta; ale będzie to zależało od wyjazdu pp. Klustinów. Tymczasem, *Dobranoc!*

22 Lipca, godz. 12 w nocy.

Dzisiaj rocznica wyjazdu mego z Warszawy, i nie mogłem obchodzić jój lepiej, niż obszedłem. Wstałszy rano na chwilę do p. Sogni, poszedłem z nim oddać wizytę panu Grossi, i zastaliśmy tam syna Manzoni, osiemnastoletniego młodzieńca, który przybył z dobrą nowiną, że matka jego ma się lepiej; ojciec więc mógłby przyjąć odwiedziny nasze. P. Sogni zaproponował natychmiast, ażeby tam z nim jechać po południu. Grossi z młodym Manzoniem mieli jechać zaraz na obiad. Uradowany pobiegłem z tą wieścią do Adama, ale że Klustinowie mieli dziś wieczorem wyjeżdżać, on, mimo namów samej panny Anastazyi, nie chciał być towarzyszem naszym. Załowałem tego potem, ale po niewczasie. Ja więc pojechałem z Sognim sam jeden.

Villa, czy raczej wieś Manzoni, *Bruzzano* czy *Brussano* zwana, leży o milę naszą od Medyolanu. On sam jest jój założycielem. Dom mieszkalny i wszelkie inne budowle stawione są według jego własnego planu; ogród całkiem urządzone przez niego. Gdyśmy zajechali przed ganek, pierwsza na nasze spotkanie wyszła sędziwa matka poety, ale jeszcze rzeźwa i czerstwa staruszka, córka sławnego *Beccarii*, autora znamienitego dzieła: „*O przestępstwach i karach*,” które w swoim czasie przeważnie na złagodzenie zbytnej srogości prawodawstwa kryminalnego wpłynęło. Pierwszy i ostatni może raz w życiu odniosłem przecież jakąkolwiek korzyść ze słuchania kursu tego

prawa pod Capellim w Wilnie, który za to właśnie, że go niezbyt pilnie słuchałem, raczył mię utytułować nazwą: „*le plus volage de toute l'université*,”—niech mu Bóg tego nie pamięta! Tą razą wszakże, świadomość zasług ojca, zjednała mi bardzo uprzejmy wzgląd córki. W progu sali spotkali nas sam Manzoni z Grossim. W środku byli syn jego, córka, i narzeczoną jej, Markiz Massimo d'Azeglio, bardzo kształtny i ładny młodzieniec, z jasnym blond i w pierścienie wijącym się włosem, przez co mi męża Marylli przypomniął. Sam Manzoni musi mieć lat przeszło 40; miernego wzrostu, oczy światło-błękitne, włosy blond, twarz pełna ożywienia i uprzejmiej dobroci. Doznałem też jej rzeczywiście w całym jego obejściu się ze mną. Uprzedzony już widać przez p. Grossi o mojem uwielbieniu dla niego, powitał mię z dziwnie ujmującą i pełną prostoty życzliwością, a wiedząc, że już znam syna, z córką tylko i jej narzeczoną zapoznał. Obaj z Grossim żalowali bardzo, że Adama razem nie było. Manzoni wiedział już o nim, jak powiadał, przedtém, i czytał ów artykuł Zygmunta w *Bibliothèque Universelle*. Zaraz potem zaczął mię pytać o Göthem; słyszał bowiem już od Grossego, żeśmy go widzieli w Wejmarze. Ma dla niego szczególne uwielbienie, i mówił: „że Göthe byłby największym poetą na świecie, tak co do ducha i moralnego wpływu, jak jest nim co do formy i rozumu w sztuce, gdyby mu nie brak było uczuć religijnych; i że jeśli go Szyller pod względem właśnie tego wpływu przewyższa, to jedynie z tego powodu, że chociaż w swoich pojęciach równie filo-

zof jak Göthe, w uczuciach swych jednakże był zawsze chrześcijaninem.“ — Dalszy ciąg rozmowy na ten temat, przekonał mię o prawdzie tego, co już wprzód o Manzoniem od Grossego słyszałem: to jest, jak w jego wyobrażeniach poezya jest ściśle i nierozdzielnie połączona z wiarą, i że bez niebieskiego światła i natchnienia, sam największy geniusz sztukmistrza nigdy prawdziwie wielkiej poezyi nie stworzy. A stosował on to nie tylko do religii chrześcijańskiej, ale w ogólności do wiary w Niebo i wpływ jego na ziemię, zaczawszy od Homera i tragików greckich. Z nowszych nawet poetów, ci, którzy lubo sami niereligijni, wielki wpływ na społeczność wywarli, winni to byli przedewszystkiem temu, że chociaż w przeciwnym kierunku, potracali jednakże stronę religijną. Poezja albowiem, jak się wyraził, tak jest z natury swojej *Boską* (*divina*), że ani sama w ziemskich tylko przedmiotach i uczuciach zagręznąć, ani téż przez nie tylko ludzi poruszyć nie zdoła. To jest treść dość długiej rozmowy, w której Grossi także brał udział, i całkiem zdanie przyjaciela podzielał. Manzoni zaś mówił to wszystko tak prosto, tak naturalnie, a przytém z taką żywością, i nawet wesoło: że nie tylko w tém powagi katechety, ale ani cienia literackiej pretensyi nie było. Co to za podobieństwo np. z niektórymi naszymi literatami w Warszawie, którzy kiedy co mówią z tego tonu, to zdaje się jak gdyby w ustach organek własnej sławy czy próżności trzymali. Proszęż chcieć pocałować z nich kogo z tym organkiem w ustach! Z Manzoniem pozwoliłem sobie tego razy parę, i zawsze mi serdecz-

na wzajemnością odpłacił. Ale ilekroć chciałem mówić coś o dziełach jego, zawsze jakoś zaraz rozmowę na ogólny przedmiot skierował. „Každy z nas” — rzekł z uśmiechem, mówiąc o poetach — „jest tylko jak arfa eolska; stróny tylko sam może nawiązać, ale tylko natchnienie je wzrusza; a natchnienie, to już dar Boży.” — Mówiąc o Rzymie, zazdrościł mi, że tam byłem; on bowiem od lat dwudziestu wybiera się ciągle, ale dotąd jeszcze być nie mógł. Spodziewa się jednak, że nie umrze, nie obaczywszy Rzymu. Gdy mu zaś nadmienilem zlekka o uwieńczeniu Tassa: uśmiechnął się, i wskazując na niebo: „Tam jest najlepsza palma!” odpowiedział. A było to już w ogrodzie, po którym mnie sam oprowadzał, podczas gdy reszta towarzystwa pozostała w salonie. Ogród jest pełen kwiatów, a gdy go zapytałem, czy i tu sam je równie uprawia jak w mieście? potwierdził to i powiedział: że to są najdroższe klejnoty ziemi, które i najpiękniej zdobią, i których samo wydobywanie sprawia już pociechę i rozkosz. Tu znowu była długa rozmowa o Göthem, o jego zamiłowaniu w botanice i w ogrodnictwie, i Manzoni słuchał z wielkiem zajęciem, gdy mu opowiadałem, jak nieraz siedząc z Adamem na ławce w parku Wejmarskim, zwanój „siedzeniem Szyllera” (*Schiller's Sitz*), widzieliśmy zdaleka Göthego, chodzącego po swojej winnicy za miastem, i obcinającego winne latorośle. Gdy mu zaś mówiłem następnie o miejscu w grobach xiążących, przygotowaném już dla trumny Göthego, obok trumny W. Xięcia Fryderyka Augusta, po drugiej stronie

której stała już trumna Szyllera: on tak był tém widocznie wzruszony, że aż mu łzy w oczach zabłyśły.

Wróciwszy do salonu, znaleźliśmy stół już nakryty, i na nim zastawione pomarańcze, jagody, i jakieś bardzo smaczne wino Cypryjskie, czy Kanaryjskie. Później roznoszono herbatę i czekoladę razem, do wyboru, a przytém na drugiej tacy ciasto, ale widać miejskiego pieczywa. Rozmowa toczyła się ogólna; rej w niej wiodła matka staruszka, bardzo widać rozumna i wielostronnie wykształcona osoba. P. Aze-glio z narzeczoną swoją siedzieli na uboczu, i bezustannie szeptając z sobą, w rozmowie nie brali udziału. Przy powitaniu tylko i przy pożegnaniu wymieniałem z nim kilka słów zwykłej obojętnej grzeczności. Manzoni po kilkakroć żałował, że mię z żoną zapoznać nie może, i opowiadał o jej cierpieniach, od tygodnia już przeszło trwających.

Gdyśmy się już mieli do wyjazdu, zabierając z sobą i p. Grossi, chciałem pożegnać staruszkę, której wtenczas nie było w salonie. Wnuk powiedział, że wyszła do ogrodu. San Manzoni wybiegł ję szukać. Mówię wybiegł, nie wyszedł, a i biegł nie zwyczajnym sposobem, ale podskakując, jak student, kiedy np. galop konia udaje. Naśladowałem go i bieглиśmy obok. Spotkaliśmy wracającą już matkę, i tamże zaraz z nią się pożegnałem. Manzoni przeprowadził nas aż na ganek; a gdy go przy rozstaniu o błogosławieństwo prosiłem, za odpowiedź ucałował mię tylko, i czule do piersi przycisnął. Gdyśmy zaś odjechali od ganku, jeszcze nas kilkakrotném skinieniem ręki od ust pożegnał.

Adam, gdy mu opowiedziałem to wszystko, żałował, że go nie poznał; tém bardziej, że dobre panie Klustin, czekając najprzód na mój powrót, całkiem potem na jutro odłożyły swój wyjazd, aby dzisiejszy wieczór z nami tu jeszcze przepędzić. Zabierają one do Genewy nasz tłómok, tak, że po jego zapakowaniu, cały już wieczór u nich figurowaliśmy w podróżnym stroju pielgrzymów, który, jak panna Anastazyja twierdzi, ma być nam obu do twarzy. Składa go zwierzchnia bluza z szarego płótna, zastępująca miejsce płaszcza, długa do kolan, z krótką pelerynką od szyi, przepasana czarnym lakierowanym paskiem. Do tego kapelusz słomiany, z dosyć szerokimi skrzydłami, i tornister z ceraty na plecach, z blaszaną manierką na wierzchu. Wszystko to pocziwy nasz Sogni wynalazł nam i wytargował dziś rano. Brakuje nam tylko *kosturów*, które są także do nabycia; ale się jeszcze wahamy, czy nie lepiej poprzestać na parasolach, niż mając kije w rękę, przywiązywać je po nad tornistrem. Praktyczne doświadczenie rozstrzygnie to jutro, a tymczasem na dziś: dobranoc!

23 Lipca, godz. 10 w wieczór.

Nad chęć i nad spodziewanie
Jeszcześmy w Medyolanie,
Ale już jutro o piątąj
Żegnamy gościnne kąty.

A pożegnalibyśmy już je dzisiaj, zaraz po wyprawieniu Klustinów; ale Adam tak się czuł niezdrów, że roztropność kazała pozostać. I to też jest właściwa przyczyna, dla której wczoraj z nami nie mógł jechać do Manzonięgo. Teraz już, Bogu dzięki, jest lepiej, i mamy już wzięte bilety na dyliżans do Sesto Calende. Ztamtąd mamy się *ambarkować* na *Lago Maggiore*, a przepłynawszy je i wylądowawszy, iść już dalej przez Simplon piechotą. Cały ranek dzisiejszy przebyliśmy w galerii obrazów, aby się na nie na waletę napatrzeć. Po obiedzie byliśmy z pożegnaniem u państwa Sognich, i z nim samym u pp. Grossi i Torti. Wszyscy trzej odprowadzili nas do hotelu, i pożegnali tak serdecznie, tak czule, że i bracia rodzeni nie mogliby czulej. Resztę dnia Adam odpoczywał w domu, ja zaś jak szmermel zwijałem się po ulicach miasta, i jak Mazeppa w dumce u Bohdana: „ubieżałem mil dwie mała,“ żegnając ostatniem spójrzeniem wszystkie kąty i spotykane czarne woaliki. Niech co chcą drudzy opowiadają o Włochach, ja mówię, że to jest naród dobry, czuły, serdeczny, a pierwszy wyraz włoski: *bella ragazza*, którego się kiedyś nauczyłem, miło mi w liczbie mnogiej brzmieć będzie zawsze w pamięci. Ostatnie jego uosobienie w Signorze Luigii Sogni, za wyraźnem upoważnieniem mamy, pożegnałem dziś *come una cara sorella*, a ciebie, w tym ostatnim liście z ziemi włoskiej, żegnam *come il tuo affettuoso fratello*. Następny mieć już będziesz dopiero z Genewy, a będę go pisał po drodze. — Bądź zdrów!

XIII.

Do tegoż.

24 Lipca, 1830 r., godz. 2 po południu.

(Na parowym statku „*Sesto Calende*,” na jeziorze *Lago Maggiore*).

Ziemia włoska już po za nami — i na tle tylko jeszcze włoskich niebios błękitu, odbitych w zwierciadłach wody, kołyszem się na falach włoskiego jeziora, które nas niesie ku granicom Helweckim, i samo tam być włoskiem przestaje. To też i ja wydeklowywałem czule ku brzegom Italii:

„Bywaj mi zdrowy, kraju kochany!”

zwracam się myślą i sercem ku krainie gór i lodów, i to za przewodnictwem jakby umyślnie mi ku temu zesłanej, młodziutkiej, ładniutkiej, miłutkiej Szwajcareczki, w gorseciku nawet i kapelusiku szwajcarskim, która, po sześciogodzinnej wspólnej podróży, dyliżansem z Medyolanu do Sesto Calende, jest już nie tylko przyjaciółeczką moją, ale i pupilką, i tytułuje mnie sama nazwą: „*mon protecteur*.” Że zaś podróż ta, oprócz tego spotkania, nic w sobie interesującego nie ma; powiem więc tylko, że wsiadłszy do

dyliżansu o godz. 5-ój, znaleźliśmy się w towarzystwie jakiegoś bardzo przyzwoitego pana, jakiejs dojrzałej pani, i dwojga rodzeństwa: owój ślicznej siedemnastoletniej panienki, i dwunasto-letniego chłopca, urwisa, który tak nieszczęśliwej siedzącej przy nim siostrzyczce w różny sposób dokuczał, że ja, jako sąsiad jój z drugiej strony, musiałem w końcu wziąć jój obronę, i usiadłszy sam między nimi, tak wzajem chłopcu dałem się we znaki, że musiał kapitulować i obiecać poprawę. Obietnic nie dotrzymał—ale témci lepiej; bo właśnie ciągnęła ta walka zjednała mi ową przyjaźń pupilki i miły stosunek z jój ciotką, zastępującą jój miejsce matki. Ojciec, który tymczasem bardzo poważnie i pouczająco rozmawiał z Adamem o politycznym i administracyjnym urządzeniu Szwajcarskiego Związku, a w szczególności kantonu Tessyńskiego, gdzie sam jest wysokim urzędnikiem: nazywa się *de Philippi*, i mieszka w Belinzonie, dokąd wraca z odwiedzin krewnych żony w Lombardyi. Imię pupilki jest *Emma*, urwisa *Martin*, który pomimo wojny, tak mię jednak pokochał, że i siostrę ku temuż namawia, i przez to jój także dokucza. Podróż więc do Sesto Calende przeszła mi nadzwyczaj przyjemnie, lubo tak mało wyglądałem z okien dyliżansu, że nawet nic o kraju powiedzieć nie umiem. Na stacyach dopiero rozglądałem się nieco po nim; ale i tu największą ciekawością, jaką mam do zanotowania, jest chyba cyprys w *Somma*, tak gruby, że ma przeszło 15 stóp obwodu, a że rośnie właśnie na polu bitwy Annibala ze Scypionem, mógłby ująć za symboliczną wskazówkę, jak się drze-

wo żałoby krzewi bujnie na polu chwały wojowniczej. *Sesto Calende*, niewielkie miasteczko, nad wypływem Tessinu z Lago Maggiore, przebiegliśmy tylko, śpiesząc na statek, który w kwadrans potem odpłynął. Płyniemy wszyscy razem, jakeśmy jechali, z dodatkiem sześciu panów z drugiego oddziału dyliżansu, z których trzej mają być towarzyszami dalszej naszej podróży piechotą. Bluzy i kije w rękę, posłużyły za pierwszy węzeł znajomości. Wszyscy są Szwajcarowie-Niemcy, z Wipplingen, blisko Zürichu: dwóch uczniów tamecznego uniwersytetu, i oficer wojsk związkowych. Wracają z pieszej wycieczki do Wenecyi. Mogą nam być pomocni doświadczeniem swoim, ale bliższą znajomość odkładam na jutro; dziś zajmuje mię wyłącznie opieka. Korzystam wszakże z kałamarza i pióra jednego z nich, aby korzystać z chwili, gdy pupilka odeszła do kajuty z ciotką, która chce nieco odpocząć, dla nabrania sił do zwiedzenia wysp Boromejskich, do których mamy za godzinę dopłynąć. Minęliśmy już miasteczko Aronę, nad samym brzegiem jeziora, gdzieśmy tylko wysiedli na chwilę, aby oglądać sławny posąg, a raczej kolos, Św Karola Boromeusza, największy pono po kolosie Rodyjskim. Ma około 30 łokci wysokości i stoi na piedestale o połowę tyleż wysokim, na pagórku, nieopodal jeziora. Wyobrażony jest z xiażką w rękę, błogosławiący swemu rodziennemu miastu. Głowa i ręce z bronzu, reszta postaci z miedzi. Można wejść w środek i za pomocą drabiny dostać się aż do głowy, gdzie się czterech pomieścić może, i z kąd przez oczy, ma być prześliczny

widok na jezioro. Nie próbowaliśmy tego, i tak dość napatrzywszy się na nie. Zrazu wązkie jak rzeka, ale coraz szersze; otoczone górami, zielonemi, okrągłemi; u stóp mnóstwo wsi i rozsianych domów. W oddaleniu na firmamencie rysują się szczyty Alp. Woda jak roztopiony lazur. Omijamy w tej chwili *Belgirate*, ładną jakąś, jak widać zdaleka, miścinę. Właściciel kałamarza upomina się o niego. Słyszę, że się już dają widzieć wyspy Boromejskie.

Godz. 11 w wieczór. *Fariolo*.

Wysp tych Boromejskich jest cztery. Byliśmy tylko na dwóch: *Isola Bella* i *Isola Madre*; dwie drugie (*dei Pescatori* i *di San Giovanni*), nie mają nic ciekawego do widzenia. Jedna jest wiejską osadą rybacką, druga stanowi folwark kanoników z Palanza. Wszystkie przed dwustu laty były tylko dzikimi skałami. W połowie dopiero XVII wieku, niejaki hr. Witalis Boromeusz, kazał kruszyć skały i nawozić ziemię, i tym sposobem prosta *Isola*, zasłużyła, czy tylko stała się godną przymiotnika swojego: *bella*, to jest przemieniła się w jeden piękny ogród, o dziesięciu kondygnacyach, kutych w skałę, i wznoszących się jedne nad drugimi, ale pokrytych najżywszą, najbujniejszą roślinnością ziół, kwiatów, krzewów i drzew południowych. Na najwyższej, olbrzymi heraldyczny jednorożec (*lycorne*), stanowi jakby szczyt tej kamien-

no-zielonej piramidy, której wysokość nad powierzchnią jeziora dochodzi do 100 stóp naszych. Architektura i sztuka ogrodnicza walczą też tu o pierwszeństwo we wspaniałości pałacu i w urządzeniu grot, altan, szpalerów, ozdobionych fontannami i posagami. We środku pałacu mają być rzeczy i obrazy godne widzenia, ale czasu na to nie było. Na jednym z grubych laurów, przewodnicy wskazują miejsce, na którym Napoleon, bawiąc tu przed bitwą pod Marengo, wyrznał był scyzorykiem na korze wyraz *battaglia*, który potem Anglicy wraz z korą wyrzneli i ukradli. Adam słuszną zrobił uwagę, że szczególnie ten, acz tak drobny, zbija wszakże twierdzenia niektórych, że umysł Napoleona nie miał nigdy poetycznych usposobień; czemu zresztą i tyle innych rzeczy w życiu jego zaprzecza. Wyspa, oprócz pałacu, ma tylko kilka zabudowań rybackich i duży hotel „*pod Delfinem*.”

Isola Madre, większa od poprzedniej, wygląda jakby bukiet zieloności na wodzie. Ma też ogród na kondygnacjach i pałac na wierzchu. Nigdy jak żyje nie widziałem tak grubych aloesów i tak ogromnych cytryn. To też cała wyspa jest jakby gajem drzew cytrynowych, pomarańczowych, figowych, oliwnych, między którymi wijące się ścieżki, tworzą jakby rajski labirynt. A i błądziłem w nim prawdziwie po raju; pod rękę z moją śliczną pupilką, i niby pod eskortą braciszka, który figlując ciągle i latając na wszystkie strony, umyślnie nas sam na sam zostawiał. W galeryi moich wspomnień, przechadzka ta pozostanie na zawsze jako *pendant* obrazu *villi Floridiana*,

a szwajcarski gorsecik i kapelusik *Emmy*, wejdą jakby w jedną konstellacyą z Neapolitańskimi *Giustiny*. Zapatrzeni na zachód słońca i cudny widok brzegów i jeziora, o małośmy się nie spóźnili na statek, który dwie minuty już tylko miał czekać na nas, i gdzie nasi niespokojnie czekali. Adam nie mógł powściągnąć języka, żeby mię jak sztyletem, konceptem nie kolnąć—*per gelosia*; ale przykład ojca i cioci, którzy się wcale nie swarzyli na Emcię, i mnie przecież od bury uchronił. Wreszcie mniejszaby o nią! nie miałbym miejsca, by ją wziąć do serca.

Jezioro w tém miejscu najszersze, zatacza się na zachód kołem wielkiej zatoki, do której w głębi wpada rzeka *Toccia* albo *Tosa*, i gdzie leży miasteczko i przystań *Fariolo*, w której i statek i my nocujemy. On jutro wiezie dalej moję „*Panią Jeziora*”; a ja, jak rozmarzony Fitz Jakób, będę już chyba wśród skał i przepaści rozpamiętywał jutro o dzisiejszej przechadzce, jak on o swoim spotkaniu się z Heleną.

A tymczasem, na progu niemieckiego języka, opisanie dnia dzisiejszego kończę słowy piosenki Gellerta:

Schön ist dieser Tag vollbracht—

Gute Nacht!

25 Lipca. Niedziela, g. 7 rano. Ornavasso (oberża).

Pierwsza mila i pierwsza godzina marszruty naszej *per pedes*, udały się tak doskonale, że i sił i och-

ty przybyło do dalszej. Ranek prześliczny, jasny, niegorący; powietrze świeże i przesiąknięte zapachem; a co spójrzysz około siebie, to jakby panorama, albo galerya obrazów; a nad tém wszystkiém, jak „rózana jutrzienka,“ promienieje własny nasz humor — choć mój był nieco zrazu zamglony tęsknotą. Towarzysze téż nasi nie tylko nam go nie psują, ale owszem dodają przyjemności, a jeden z nich, oficer, p. *Carl Laubi*, nabył już nawet prawa do wdzięczności mojej. O 5-ój mieliśmy już tornistry na plecach i kapelusze na głowie, a w tymże czasie państwo de Philippi wychodzili z oberży na statek. Żal mię brał, że nie mogłem ich przeprowadzić; a choć go tylko wynurzałem cichutko, komu wiedzieć należało: nie wiem, czy p. Laubi dosłyszał, czy go tylko z twarzy mojej odgadnął, dość, że oświadczył nagle nam i swoim kolegom, iż przypomniał tak ważny interes w miasteczku, że godzinę przynajmniej zatrzymać się musi. Nikt z nas nie oponował przez grzeczność, a ja z niewysłowioną radością wziąłem także na ten czas urlop. Aż tu za ledwo statek ruszył się od brzegu, a Martin i jego siostrzyczka powiewali jeszcze ku mnie chustkami: gdy pan Laubi zjawia się przy mnie, i z uśmiechem serdecznym powiada, że cały jego mniemany interes był w tém, aby mi te przeprowadziny ułatwić. Jeden taki szczegół przy pierwszej znajomości, wart przynajmniej ćwierć beczki soli. To téż jesteśmy już z sobą *wie die Brüder*, a bodaj nawet czy nie bracia po lutni. Bo choć się nie przyznaje, aby pisał wiersze, pół Szyllera umie na pamięć; dowiedziawszy się zaś

odemnie, kto jest Adam, i żeśmy Göthego poznali: jest dla niego z widocznym respektem. Właśnie gdy z nim szedł obok i rozmawiał, ja tymczasem, łącząc w myśli *wczoraj* i *dzisiaj*, skleciłem, co tu raz pierwszy przenoszę na papier.

NAD LAGO MAGGIORE.

Jeszcze czołko! jeszcze oczki!
Jeszcze!... Co? nie?... No, to dosyć!
Pomnij za toż w te obłoczki,
Ku tym góróm dziś je wznosić—
Ach! nie za mną—lecz przynamnie,
By choć czasem westchnąć za mnie!

Bo tam w chmurach, na tych górach,
Strach i zgroza, mówią, mieszka.
Wzdęte wody, śliskie lody,
Po urwiskach kręta ścieżka,
A co krok, to nowa przepaść!...
Więc-że westchnij, by w nią nie paść!

Jak ja, patrząc na twą nawę,
Na tym cichym wód błękanie,
Wznoszę w Niebo oczy łzawe:
„O! niech całe dalsze życie
Tak jój płynie w świat bez troski,
Jak dziś sama w dom ojcowski!“

Godz. 10 rano. Vogogna.

Zatrzymaliśmy się tu na śniadanie, i nie mogę się nie pochwalić, że pomimo trzech mil naszych i przeszło czterech godzin machania nogami, nogi te nasze

rozmachały się raczej tylko, nie *zmachały*. Skutek to jużciż i owéj maxymy: „*Chi va piano, va sano, albo lontano*,” czyli po naszymu: „Pomaleńku, dalej staniesz.” Idziemy bowiem krokiem równym, marszowym, ale nie nagłonym. Najbardziej wszakże i tutaj, jak w tańcu albo na polowaniu, duch to zwłaszcza ożywia i pokrzepia mdłe ciało. A zaś duch ten to się unosi, to dziwi; to się zachwyca, to korzy: przed pięknością lub wielkością natury, przed siłą i potęgą głowy i nawet rąk ludzkich: że głowa mogła pomyśleć, a ręce wykonać dzieło takie, jak droga Simplon-ska—wijąca się przez wiele miejsc takich, przez które orzeł chyba mógł kiedyś przelecieć, albo gemza chyba przejść mogła, to jest wzbić się po nad takie skały, lub nie uśliznąć się z nich w takie przepaści, pomiędzy jakimi ta droga, i myśmy przechodzili tą drogą. A i to jeszcze, cośmy dotąd widzieli, ma być niczém w porównaniu z tém, co widzieć mamy—i dla tego śpieszymy *vorwärts!* powtarzając wciąż dla zachęty, co Göthe w danym mi na pamiątkę czterowersu napisał:

„*Diese Richtung ist gewiss,
Immer schreite, schreite!*“

A sam widok pisma Göthe’go, jest już jakby ożywczym talizmanem dla naszych Niemców.

Godz. pół do 12-ej w nocy, Simplon (wieś).

Nad zamiar i spodziewanie stanęliśmy na nocleg dzisiaj, gdzie mieliśmy stanąć dopiero jutro. A więc

spełniliśmy niejako radę przysłowia: „Co masz zjeść dzisiaj, schowaj na jutro; a co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj!“ Skutek to wszakże rady—nie tego przysłowia, ale pana Laubi, aby dla uniknienia gorąca, mniej interesującą część drogi przejechać szarabanem, któryśmy najęli w Vogogna, i jechali nim przez *Domo d'Ossola*, (małe miasteczko), gdzieśmy obiadowali, aż do *Iselle*, zkad znowu ruszyliśmy piechotą, o godz. 6-ój po południu.. —Ale tu już proza nie starczy, na opisy widoków i wrażeń, cośmy mieli w ciągu téj drogi; a że o godną ich poezją jeszcze trudniej, więc dostań sobie chyba i przeczytaj jaką podróż szwajcarską, która ma to głównie na celu: a wtedy możesz sobie wyobrażać na przykład, że jesteście w wąwozach *Val di Vedro* lub *Gondo*, gdzie się właściwa Szwajcarya i wstęp na górę Simplonu zaczyna. Świat to nowy, nie ziemski, nie ludzki; świat w obłokach, kamienny, lodowy; świat pusty, dziki, straszny, przerażający—a mimo to piękny; piękny tego rodzaju pięknoscia, która z twarzy mitologicznej Gorgony, przez zbytek podziwu czy zachwyty, patrzących na nią zamieniała w kamień. Iglice skał tak wysokie, że musisz głowę przeginać do karku, jak rogaty łos między drzewami, aby szczyt ich ujrzeć nad sobą. Przepaści tak głębokie, że i próżnobyś patrzył, a i spojrzeć nawet strach bierze, aby dno ich dójrzeć pod sobą. Nad niemi wązka droga, przyczepiona do gładkiej skały, wiję się przy niej, jak gzems koło ściany. Skały w górze niekiedy schodzą się tak blisko, że niebo widne tylko jak błękitny pas rzeki nad głową. Ach! ach!

a pod nogami!—szum ciągły, straszny, ogłuszający, to zapienionej rzeki *Diverii*; to spadających w nią z góry potoków, z piorunowym łoskotem roztrącających się o skały. Nad jednym z nich, największym, tworzącym przepyszną kaskadę, (*Alpenbach* albo *Frossinone*), widzisz zdaleka, jakby zawieszony w powietrzu, tak wąły na pozór mostek, że uciekasz się w myśli do Anioła Stróża, aby cię chyba przeprowadził przez niego. A mostków i przejść takich masz tu co niemiara; to nad wodą, to nad przepaścią. W ogóle jest ich kilkaset, ale między niemi i takie, których moc, wielkość i wspaniałość budowy, podziw i admiracyą obudza. Takimi są mianowicie: most pod *Crevola*, na dwóch arkadach, przeszło 300 stóp długości, a 50 wysokości mający, i drugi, *Ponte Alto*, w wąwozie *Gondo*, oba nad rzeką *Diverią*. Ale większego jeszcze podziwu przedmiotem są galerye, czyli tunele, w żywej skale wykute, z których jeden, przed *Val di Vedro*, ma przeszło 300, a drugi przed wąwozem *Gondo*, przeszło 660 stóp długości. Otwory porobione w sklepieniu, oświetlają je światłem dzienném. Oprócz zaś takich tunelów, są jeszcze tak zwane *ochrony*, albo *prztyłki* (*refuges*), to jest sklepienia z kamieni lub z drzewa, wzniesione po nad drogą, dla zabezpieczenia jéj i podróżnych od zdarzających się w tych miejscach śnieżnych lawin, czyli awalanszy, lub spadu skał, strąconych burzą. Jedném słowem, cała droga Simplońska w ogólności, jest tak arcydziełem cywilizacyi ludzkiej, jak miejscowość, przez którą idzie, możnaby nazwać arcydziełem dzikiej natury. Do wymownych zaś cha-

rakterystycznych rysów téj tak zwanéj cywilizacji dzisiejszéd, wartoby moze zaliczyé piérwszy, istotny powód zbudowania téj sławnéd drogi. Zbudowały ją nie ludy i narody sasiednie, żeby braterskie stosunki między sobą ułatwié, ale mocarz-wojownik, w skutek własnéd swéd woli. A dla czego? Niech na to odpowié pytanie, które on sam ustawnie budowniczym zadawał: „*Quand le canon pourra-t-il donc passer le Simplon?*“ Że zaś armaty na czas jakiś jeździé teraz po niéd przestały, a za to ludzie jeżdżą w dyliżansach, to już w tém znowu jest symbol i dzieło Opatrzności, która nawet krwawe drogi wojenne zawsze w końcu ku pożytkowi ludzkości kieruje, a nawet samego szatana zmusza wyznaé, przez usta Mefistofelesa (w Fauście Göthe'go), „że chcąc wciąż tylko złe broié, ku dobremu wciąż tylko pomaga.“

„*Dass stets das Böse vill, und stets das Gute thut.*“

Rozmyślając lub rozmawiając o tém, jak i *de omnibus rebus*, poetycznie, historycznie, filozoficznie, szliśmy rzezko w gzygzak pod górę, i dopóki słońce nie zaszło, nie czuliśmy jakoś zmęczenia. Ale niestety! jak z dogorywającą niegdys sławną głównią Altei, życie powoli gasło w Meleagrze: tak z ostatniemi promieniami dziennego światła, opuszczały nas ostatnie siły; aż doszło nakoniec do tego, że przeszedłszy już tunel *Gabbio*, albo *d'Algabi*, (400 stóp długości), formalnie nie mogliśmy iść dalej, i pomimo dającego się czuć chłodu, trzeba się było położyć na drodze, żeby chwilkę przecieź odpocząć. Manierki były już próżne,

a i głód i pragnienie doskwierać zaczęły. Rozpacz!— Wtém nagle—o! radości!—słyszym w dali turkot powozu. Domyślamy się, że idzie dyliżans, i potwierdza to wkrótce głos trąbki pocztarskiej. Jak iskra elektryczna ożywił on nas i pokrzepił, i jak rozbitki spostrzeżony okręt, witamy zbliżającą się karete. Ale cóż? dwa tylko miejsca są wolne. I tu następuje *combat de generosité*. Szwajcarowie, jako dla cudzoziemców, ustępują dla nas pierwszeństwa; my, jako ziomkowie Kościuszki, nie chcemy w biédzie opuszczać sprzymierzeńców. A że i do noclegu, jak zapewnił konduktor, było już tylko *gute halbe Stunde*; więc się decydujemy nawzajem, dotrwać razem *usque ad finem*. Dyliżans ruszył; my za nim, na ostatnich nogach. Ale i *ganze Stunde* przeszła, a my jak idziem tak idziem; i znowu czuję nakoniec, że już iść dalej nie mogę. Siadamy więc wkrąg wszyscy na stosie tłuczonych kamieni, by doczekać—sami nie wiemy, czy powrotu sił, czy jutrzeńki. Lecz i tu znowu wrażenie moralne przyszło w pomoc fizycznej naturze. W ciszy nocnej dolatuje nas z góry dźwięk bijącego zegaru. Słuchamy—bije dziesiąta. Kres więc drogi musi być blisko, a trzeba śpieszyć, żeby zastać nie śpiących. Wspierając się więc jedni na drugich, dźwigamy się znów jak mogę pod górę; aż wreszcie uderza nas w oczy rząd okien oświeconych rześściami, i wchodzimy do sali hotelu, gdzie wzdłuż porządnie nakrytego stołu, siedzą już dyliżansowi podróżni, a zapach roznoszonych kotletów zalatuje nas jak woń Elizejska, po przebyciu mrocznego Tartaru. I wpływ

to tego wrażenia, a razem i kotletów i wina, to sprawił, że choć zegar wybił dwunastą, Adam jeszcze ze Szwajcarami pali cygaro i rozmawia przy stole, a ja *scripsi, quod scripsi*. A teraz, dobranoc!

26 Lipca, godz. 10 rano; w *Hospitium*, na szczycie *Simplonu*.

Ze wsi *Simplonu*, gdzieśmy nocowali, do szczytu góry *Simplon*skiej, (po włosku *Sempione*), gdzie w tej chwili pijemy kawę, jest przeszło tysiąc stóp wysokości w linii prostej, ale droga gzygzakiem o wielekroć tę odległość przedłuża. Skracąłem ją, jak mogłem, deklamując sam sobie i Adamowi różne wiersze, a między innymi:

„Młodości! ty nad poziomy

Unos mię! a okiem słońca

Te skał złomy, Alp ogromy

Ogarniaj z końca do końca!“

I gdybyż nie ta młodość—to po wczorajszym spacerze, trzebaby chyba leżeć i okładać się plastrami; a tak dość było kąpieli na nogi, po połowie ze spirytusem, aby w nią, jak w wodzie Lety, utopić nawet pamięć tych wczorajszych sztrapaców. Prawda, że i precudny ranek przyczynił się też wiele do tego. A cóż dopiero mówić o widokach! Wierzch *Simplonu*, jest to szeroka płaszczyzna, podobna do łożyska

wyschłego jeziora, a otoczona dokoła iglastemi szczytami gór, śniegiem okrytych, i szerokimi pasami popiętrzonych jak fale morza, lub połamanych jakby w gruzy lodu, przelegających wśród gór lodozwałów (*głeczerów*), w których blask ranny pogodnego słońca łamie się, i jak w pryzmatach, gra we wszystkie kolory tęczy. Widnokrag w oddaleniu zamykają Alpy Berneńskie, a głęboko, głęboko w dole, widzisz pod sobą ziemię, i jak zielony kobierzec rozeslaną dolinę Rodanu, z bielejącem na niej miasteczkiem *Brieg* — początkiem, a zaś jak dla nas, końcem drogi Simplon-skiej. Ku niemu więc wprost ztąd idziemy. *Hospitium* tutejsze (nowe), obszerna i piękna budowa, u stóp olbrzymiej góry *Monte Leone*, zaczęte przez Napoleona, ale dla braku funduszków przerwane, dokończone zostało dopiero przed kilku laty, kosztem zakonników z góry Ś-go Bernarda. Za przyjęcie nic się nie płaci; u drzwi tylko jest przybita skarbonka, w którą goście mogą wrzucić co łaska.

Godz. 7 po południu. Brieg (nad Rodanem).

Oj ten Brieg, ten Brieg! będzie on nam na całe życie pamiętny. Nie wierzyłem, że zejście z gór może mordować więcej — a przynajmniej nogi — niżeli wchodzenie na górę. Przekonaliśmy się o tém z doświadczenia. A co najnieznośniejsza, to to, że droga idąc gzygzakiem, staje po wiele razy tak zda się nad

samém tém miasteczkiem, że gdyby człowiek miał skrzydła, a przynajmniej skrzydełka u nóg, jak Merkury, mógłby skoczyć prosto z góry na rynek; ale posługując się tylko ludzkimi nogami, musi iść znów w stronę przeciwną, aby znów po godzinie na ten sam punkt powrócić—ma się rozumieć, o kilkaset stóp niżej. Ale te ciągle powroty, i to ciągle patrzanie na Brieg, sprawiały nam istną mękę Tantala, i obrzydziły najniewinniej samo to dość ładne miasteczko, gdzie przecież, po dziewięcio-godzinnéj wędrówce, doznaliśmy prawdziwéj rozkoszy odpoczynku—i obiadu, który nam najdoskonalszy kuchmistrz, to jest głód, dziwnie smakowicie przyprawił.

A teraz, cóż ci powiedzieć o téj drugiej połowie drogi Simplonkiej? To jedno chyba, że jest jakby drugą połową pierścienia, albo drugą stroną tegoż medalu, z podobniuteńkim, chociaż nie tym samym stemplem. Takieź góry, przepaści, wąwozy; takieź skały, śniegi i lody; takieź rzeki, potoki, kaskady, i na koniec także dzieła rąk ludzkich: mosty, galerye, i ochrony, czyli przytułki. (Nomenklaturą nudzić cię nie będę). Tych ostatnich jest nawet więcej z téj strony, z powodu częstszych niż tam awalanszy, przez co ta część drogi jakoby jest niebezpieczniejszą od tamtéj. Dla nas obie były bezpieczne; a przynajmniej żadna myśl o niebezpieczeństwie nie śmigała nam ani na chwilę najlepszego humoru; aż dopóki na koniec mdłe ciało, jak wszelka słabość i ułomność ludzka, nie zaczęło się irytować niesłusznie na cel swoich dążeń, gdy go samo, z braku sił własnych, tak

prędko, jakby chciało, dosięgnąć nie mogło. Grzech ten zresztą był razem i pokutą dla nas; skwasił nam niepotrzebnie ostatnie chwile najprzyjemniejszej z kąd inąd podróży. Uznawszy go więc sami, i odżałowawszy *à la Dawid*, bierzemy już ztąd dyliżans, i puszczamy się na całą noc—nie na *Syon*, ale do *Sionu*, mając rozstać się po drodze z miłymi towarzyszami naszymi, którzy nam wdzięczną wzajem zaręczają pamiętać. Imiona ich, prócz pana Laubi, są: *Heinrich Schöpfs* i *Johann Studer*.

27 Lipca, godz. 6 rano. *Sion* (po niemiecku *Sitten*).

Po całonocnej podróży, stanęliśmy tu przed godziną, i za godzinę jedziemy dalej do *Martigny*. *Sion*, nad rzeką *Sionną*, stolica kantonu *Valais*, (4,500 mieszk.), nic szczególnego nie ma do widzenia. Byliśmy tylko w katedrze, i w ślicznym kościele *Sw. Teodula*; a najśliczniejszym widokiem były dla nas—dla mnie przynajmniej—dziwnie ładne i malownicze kapelusiki, ładnych, jak widzę, w ogólności Walezyanek, które mi przypomniały kapelusik Emci. Towarzysze nasi Simplonscy zostali w miasteczku *Sierre*, z kąd znowu przybył nam nowy, bardzo też miły kompan, w osobie pana *Custance*, Anglika, z którym interesująca rozmowa, o towarzyskich zwyczajach angielskich, zajęła nam przyjemnie wszystkie chwile bezsenne, gdy nic w nocy widać nie było. Jeden z ciekawych szczegółów jest np. taki: arystokracja angielska,

oprócz praw politycznych, ma téż i używa wielkich przywilejów towarzyskich w ogólnej opinii narodu; ale za toż i sama nawzajem obowiązana jest do nie-małych ofiar, które wprost dla opinii téj ponosić musi. I tak np., ten lub ów Lord, w miarę dochodów, powinien mieć koniecznie taką a taką liczbę lokajów, z których każdy powinien mieć koniecznie codziennie nowe długie, białe, jedwabne pończochy, i trzy razy na dzień kłaść nowe białe rękawiczki. Mniejsza, czy się w istocie tak dzieje; ale raz wybrani przez Lorda pończosznik i rękawicznik, posyłają mu codziennie tę ilość swego towaru, za który w końcu roku zapłacić im musi, chociażby nie użyty ów towar napróżno miał zbutwieć u niego. Brzmi to na pozór dziko i zdaje się śmiesznie; ale w gruncie rzeczy jest mądrze. Kiedy fabrykant czy kupiec ma się kłaniać przed Lordem, to niechże wie, za co się kłania. Złoty cielec, żeby być czczonym, musi się dać choć czasem uskubnąć, czy utłupać. U nas magnat, żeby mieć mir u szlachty, musiał choćby udać przynajmniej, że ich uważa i kocha jak braci. Tu, gdzie pieniądz i chleb, a nie duch i serce jest wszystkiém, Lord może sobie nie kłaniać się *czapką*, ale musi zniewalać *papkę*, to jest mieć kieszeń otwartą, jak u nas dom i serce, aby mu John Bull kamieniami nie zbił z głowy i czapki, i korony hrabiowskiej. A kamieniami takimi byłyby dlań szyderskie artykuły dzienników. I ztąd to wo-
jaż, dla bogatych Lordów angielskich, jest często tylko środkiem oszczędności.

Martigny, godz. 10 wieczorem.

Przyjechaliśmy tu o południu. Droga z Sionu, w dolinie Rodanu, wije się z biegiem tej rzeki, i po wcale nieszczególnych mostach przechodzi przez nią i przez parę rzek innych, wpadających do niej. Po obu stronach góry, u spodu zasadzone winem, wyżej nieco porośnięte lasem, a u szczytu skaliste i nagie. Kraj zdaje się ubogi, a częste wylewy Rodanu i powstające ztąd bagniska, czynią go tak jakoby niezdrowym, że tu jest właśnie główne siedlisko kretynizmu, i owiej szwajcarskiej choroby: *wola* (*goître*), która, starym zwłaszcza kobietom, nadaje podobieństwo jakby do krów szwajcarskich. Młode Walezyanki atoli, które widziałem w Sion, zwijają się po ulicach jak gemzy, na które nie żał byłoby popołować.

Przed godziną wróciliśmy z przechadzki dla widzenia sławnej kaskady *Pissevache*, o pół mili ztąd odległej. Tworzy ją rzeka *Sallensza*, wypływająca z pod lodowca góry *Dent du Midi*, i spadająca do Rodanu z wysokości 300 stóp. Widzieliśmy już piękniejsze. Ale za toż *Wąwóz Trientski* (*Gorge du Trient*), wart trudu i nóg i oczu. Widzieliśmy go tylko u wejścia. Ogromne skały schodzą się tak blisko, że się zdajesz być w grocie sklepionej, dokąd promień słońca nie sięga. Strzał z pistoletu rozlega się i powtarza echem bez końca, jak łamany łoskot piorunu.

Martigny jest to małe, ale schludne i ludne miasteczko, nad *Dransą*. Krzyżują się tu dwie wielkie drogi Alpejskie: przez Simplon, który widzę z okna ober-

ży, i przez górę Św. Bernarda, którąśmy z nad kaskady widzieli. Droga piesza przez góry prowadzi do *Chamouny*, i my nią jutro raniuteńko idziemy, wraz z panem Custance, coraz miłszym towarzyszem naszym.

28 Lipca, godz. 2 po południu, na Col de Balme,

(7,086 stóp nad pow. morza).

O! co za widok wkrąg! O! co za nowy świat!
O! co za wielki Bóg, który to wszystko stworzył!
O! co za głupi człek! — coby to widząc, w ślad
Serca i ducha tu przed Nim nie upokorzył,
I słuchać jeszcze chciał, co szatan, lub niemiecki
Filozof szeptą mu, jak w raju wąż zdradziecki;
I nie rzekł obu wręcz, krzyżowy czyniąc gest:
„Zgiń, przepadnij! ta mądrość, czuję, że głupstwem jest.“

I o téj to mądrości przez większą część drogi rozprawiając p. Custance z Adamem, smutny z niéj bardzo na przyszłość wyciągali horoskop. Plemię Germańskie, (podług słów Adama), jest fabryką i fabrykantem, który wyrabia w mózgach te gazy zdradzieckie, mające zabić wiarę i ducha w ludzkości. Sojusz plemion Romańskich ze Słowiańskimi, zdoła jedynie kiedyś uratować świat od żelaznego berła i pęt Antichrista... Czy to ma być za setki czy dziesiątki lat, tego nikt wiedzieć i przewidzieć nie może. — Ale jak ci opisać ten widok, a raczéj tę panoramę widoków, którą tu rzeczywiście mamy przed oczyma? Przed nami król

Alp—Montblanc, w całym majestacie wielkości, grozy i potęgi swojej. Wzdłuż i wkoło olbrzymie pasma i niebotyczne ostre szczyty gór, o niewiele niższych od niego, i jak on wiecznym śniegiem okrytych. Między nimi ogromne gleczery, szerokie jak jeziora, a długie jak rzeki, spływają w białych pasach ku dolinie wąskiej, krętej, zielonej, (*Chamouny*), widnej ztąd w całej swojej trzymilowej długości, i także z przeciwniej strony otoczonej olbrzymiemi skałami granitu, o zaostrzonych, najeżonych wierzchołkach, i ztąd też „Iglicami Czerwonemi“ (*Aiguilles Rouges*) nazwanych. Po za nami pasmo Simplonskie, i wszerek całego horyzontu łańcuch Alp Oberlandu (Berneńskich), podobny do podniebnej twierdzy, albo ściany, po wierzchu w blanki, baszty i wieże pociętej. Przewodnik nasz jakby z dykcyonarza wyliczał nam nazwiska każdej grupy i każdego ostrza; ale ja i pomiędzy górami byłem zwłaszcza ciekawy i pytałem najprzód o *Dziwicę*, (*Jungfrau*); i jeśli to nie złudzenie oka, czy wyobraźni, to zdała mi się nawet zdaleka najkształtniejszą i najbielszą ze wszystkich. Co zaś do ogólnego wrażenia widoku—gdyby to zależało odemnie, tobym każdego profesora filozofii, przed wejściem na katedrę, i każdego królewicza, przed wstąpieniem na tron, posłał tu przynajmniej na dni kilka, aby poczuł sam przez się i powtórzył z psalmistą: *Quis ut Deus?* A wtedy słowa pokusy: *Eritis sicut Dii*,” odbiłyby się same od serca, jak ziarna grochu od ściany.

Podróż dotąd z Martigny, przez wieś Trient, zabrała nam ni mniej ni więcej, jak siedem godzin cza-

su, i to ciągle piechotą, pod górę. Nie jesteśmy zbyt jednak strudzeni. Chłodnawe górskie powietrze i cień częstych lasów po drodze, nie dały nam poczuć upału, a ciąga nowość widoków, znużenia. Ztąd jednak bierzemy muły, które już stoją przed gankiem oberży.

Godzina 10 w wieczór. Chamouny.

Nie wiem, czy jest miejsce na świecie, o którym bym tyle marzył, co o dolinie Chamouny, a to z powodu tłómaczenia kiedyś z *Bibliothèque Universelle* Genewskiej, wszystkich opisów podróży na Montblanc, od czasów p. de Saussure, aż dotąd. To też raz pierwszy może miałem tę przyjemność, że mogłem mówić o czémś towarzyszom moim, czego oni lub nie wiedzieli, lub nie pamiętali sami. Podróż na mułach trwała trzy godziny i kwadrans. Droga najprzód spadzista, potem idzie doliną, u stóp olbrzymich skał i piramidalnych lodowców, z pod których wypływają strumienie i rzeki. Pierwsza z nich, *Arwa*, wązkim z razu korytem wypływająca z pod lodowca *du Tour*, zabiera je wszystkie po drodze, i coraz szersza, i coraz bystrzejsza, „i wre, i szumi, i huczy, i pryska,“ i przerzyna wzdłuż całą dolinę, śpiesząc w objęcia „swego oblubińca“ Rodanu. Dolina wprowadzie uprawna, ale się nie odznacza żyznością, i nie starczy nawet, jak mówią, na potrzeby mieszkańców. Liczą ich na 4,000; a połowa z nich mieszka w miasteczku, które jest stolicą doliny, a tak w tej chwili przepełnione

gośćmi, żeśmy ledwo w drugim hotelu jaki taki kącik znaleźli. Przeszło 50 osób, i to prawie samych Anglików, siedziało *à table d'hôte* u obiadu, na któryśmy, w samą porę, o godzinie 6-jej trafili. Mamy tu bawić dwa dni, wybierając się na wycieczki w góry, ale nie na Montblanc, broń Boże! Nie brak jednakże śmiałków, co wprost z próżności Empedoklesa, lub Efezkiego szewca, t. j. żeby o nich gadano i pisano w gazetach, ryzykują się na złamanie karku. Wczoraj właśnie trzech takich *gentlemenów* puściło się ztąd na tę niebezpieczną imprezę, i jeżeli żywi powrócą, gotują tu dla nich na jutro tryumfalne owacye i fety. Nasze cele skromniejsze. Jutro mamy pójść tylko na górę *Flegère*, zkąd ma być najpiękniejszy widok na Montblanc, a pojutrze na *Morze Lodów*, które się u stóp jego rozciąga. Trzeba więc nabrać siły i odpocząć. *Dobranoc!*

29 Lipca, godz. 10 w wieczór.

Gentlemen powrócili szczęśliwie. Wszystko co żyje w Chamouny wyszło na ich spotkanie; damy i turyści z wieńcami, miasto z muzyką, która dotąd brzmi w sąsiednim hotelu, gdzie Anglicy fetują ucztą śmiałych swoich współziomków. Winszuję im, ale nie zazdroszczę. Za toż rozrzewnił mię szczerze widok młodej i ładnej żony jednego z przewodników, która z jednym dzieckiem na ręku, a drugie prowadząc za rękę, z głośnym łkaniem rzuciła się w objęcia męża, jakby go już nie spodziewała się była oglądać.

Nasze wyprawy dzisiejsze nie miały w sobie nic niebezpiecznego, a trud był wynagrodzony sowicie. Najprzód o 6-éj rano, razem z panem Custance, poszliśmy na *Flegère*, to jest na jedną z niższych skał, przypartych do najwyższej z *Iglic Czerwonych*. Droga dość trudna, w gzygzak, między lasem. Trzy godziny pod górę, i tyleż z powrotem na dół; gdyż zboczyliśmy przeszło godzinę dla widzenia źródeł potoku *Aveiron*, który wypływa z lodowca *des Bois*, z pod ogromnych wysokich sklepień lodowych, jakby z pod łuków portyku jakiegoś nieziemskiego, zaklętego gmachu. Chcieliśmy wejść nieco w głąb jego, ale przewodnik oparł się stanowczo, cytując nam przykład trzech jakichś panów z Genewy, z których jeden został zabity, a dwaj ciężko zranieni, bryłami lodów, zwisłych tam jak sople ze sklepień i mogących się co chwila oderwać.—Widok ze szczytu *Flegère*, przepyszny, precudowny, nie miał już wszakże dla nas uroku nowości, po tém, cośmy już dnia wczorajszego z Col de Balme widzieli. Ten sam król-olbrzym Montblanc, i ten sam orszak i szereg olbrzymów; tylko że ztamtąd wzdłuż, jakby z profilu, tu wszere, jakby *en face* widziany. Gra światła, odbłask słoneczny i cienie przelotnych obłoków, na tle śniegów olśniewającej białości, sprawiały efekt nie do opisania. Sam szczyt Montblanu, i ztąd i ztamtąd przez pół zawsze we mgle ukryty, nie ujmował przeto bynajmniej, ale owszem dodawał wrażenia. Nie rysował się wyraźnie na niebie, ale się łączyć z niém zdawał. Tak geniusz, kto wie, czy nie przez to może najwięcej wpływa na

podziw i uwielbienie ludzi, że w nim nigdy jasno ziemskiego od Boskiego odłączyć nie mogą. Wiatr zimny i przenikliwy na górze nie dał nam długo rozkoszować się tym obrazem, i musieliśmy nawet biedź prawie wracając, ażeby się trochę rozgrzać. Mimo to, po obiedzie, poszliśmy jeszcze widzieć zblizka najdalszy lodowiec *Bossons*, który schodzi aż na dolinę. Na jutro mamy przed sobą najważniejszą wyprawę na *Morze Lodów*. Powiem o niej w liście następnym. Ten, p. Custance zabiera z sobą jutro do Genewy, aby go tam oddać na pocztę. Adam śpi już od godziny, i mnie pora zrobić też samo. — Dobranoc, i bądź zdrow!

XIV.

Do Ignacego Chodźki.

31 Lipca 1830 r., godz. 8 rano. Chamouny.

Winszuję ci dzisiejszych twoich imienin, ale i ty mi możesz powinszować nawzajem, że czynię to jeszcze na ziemi; wczoraj albowiem były takie chwile, w których myślałem na dobre, że chyba *in excelsis* albo *in profundis* będę może pamiętał dziś o tém. Nie chcąc cię jednak straszyć na wiązanie, pośpieszam dodać, że zdrowy byłem i jestem; ale nagłe i niespodziewane niebezpieczeństwo tak nam było zajrzało w oczy, jak wzrok krokodyla czy węża, co tak pono urzeka i ogłupia ptaszka, że ten ze strachu leci mu sam w paszczę. Ściąga się to do naszej wczorajszej wyprawy na *Morze Lodów*, u podnoża króla gór i lodów, *Montblanu*, a jak raz we dwa miesiące po wyprawie na szczyt i na dno ognistego króla wulkanów, *Wezuwiusza*. Ale co się zowie w *opalach*, to byliśmy dopiero na lodzie. Opowiem ci wszystko jak było—nie dla fanfaronady z męztwa, bo owszem obaczysz, niestety, że tyle chyba tylko miałbym do tego prawa, co *Sozya w Amfitryonie* Zabłockiego, kiedy się dziwi męztwu swemu mówiąc:

„Prawda, że się boję,
Lecz kto inny ze strachu zdechłby—a ja żyję!“

Ale żarty na stronę! Wyprawa ta, jeżeli nawet może nie tak niebezpieczna w istocie, jak mi się być wydawała, zawsze przecież była tego rodzaju, że mężczyźni odemnie Adam powiada, (cytuje własne jego słowa): „iż mamy za co podziękować Bogu, że nie ukarał d....ów za zuchwałość, jakby na to zasługiwali.“—Słuchaj więc najprzód, co to jest *Morze Lodów*.

Wszystkie najwyższe wąwozy w pasmie gór Montblanu napełnione są massami lodów, czyli tak zwanymi lodowcami (*glacier, Gletscher*), noszącemi różne nazwiska. Największy z nich, łączący się ze wszystkimi, a schodzący aż na dolinę Chamouny, ma dwie mile naszej długości, a $\frac{1}{4}$ do $\frac{3}{4}$ mili szerokości, i składa jedną nieprzerwaną, gładką na pozór zdaleka powierzchnię. Część jego niższa i węższa, sięgająca doliny, zowie się lodowcem *des Bois*, z pod którego wypływa *Aveiron*. Część wyższa i coraz szersza, zaczynając od góry *Montanvert*, nosi to pyszne miano *Morza Lodów*, a zawdzięcza je temu, że zbliżka ma istotnie podobieństwo do wzdętych i popiętrzonych wałów morskich, któreby cudem jakimś, wśród tego falowania, od razu nagle w lód się zamieniły. Zdaleka, jak już wspomniałem, popiętrzenia się tego nie widać, a biała warstwa śniegu, która je z wierzchu pokrywa, bardziej jeszcze do złudy oka pod względem gładkości pomaga. Gdy więc i drukowany „*Przewodnik Po-dróżnych*“ i żywi *gidowie* w Chamouny, zalecają im do widzenia to miejsce, jak Papieża w Rzymie, my też

wczoraj, przy najpiękniejszym wschodzie pogodnego słońca, wybraliśmy się na tę pielgrzymkę, z lekkim sercem i myślą wesołą, jak za dawnych czasów studenckich, na ślizgawkę po zamarzłym jeziorze. Szczyt Montblanu raz pierwszy w całej czystości rysował się na tle firmamentu.

Pierwszą stacją jest góra *Montanvert*, (6,000 stóp nad p. m.), z drugiej strony doliny naprzeciw góry *Flegère*, gdzieśmy onegdaj byli. Wejście dość przykre, strome, kamieniste, pomiędzy lasem jodłowym. We dwie godziny byliśmy u celu, i po śniadaniu i butelce wina, w najlepszym jeszcze humorze, puściliśmy się dalej, w towarzystwie młodego Włocha, któregośmy przy śniadaniu spotkali, i który miał też swego przewodnika, co nam bardzo wyszło na dobre. Przed wejściem na właściwe *Morze Lodów*, trzeba najprzód przebywać przejście, które zowie się *Mostem* (*le pont*), a warteby się chyba nazywać, nie kładką nawet, nie ścieżką, ale wprost gzemsem, wijącym się wzdłuż ściany stroméj, gładkiejskały, utworzonym z warstw jéj wystających nierówno, a tak wązkim, że cztery nogi obok nie mogłyby się pomieścić, a nad przepaścią dziesięć razy większą, niżby było potrzeba do złamania karku. Przeszliśmy to jednak jakoś szczęśliwie, bez poczucia niebezpieczeństwa, które za powrotem dopiero ukazało się tu nam w całej postaci. Wreszcie i myśleć o nim nie było podobna, mając przed sobą coś tak nowego, tak wielkiego, tak wspaniałego, jakim się *Morze Lodów* przy wejściu na nie przedstawia. Step, pustynia, jak

okiem zajrzeć; płaska, biała, błyszcząca, gore zda się od promieni słonecznych, odbitych o śniegi i lody. A dookoła pod niebem — massy, pasma, ogromy gór śnieżnych, giną w chmurach lub świecą jak białe obłoki; a czarne, nagie, strome, przepaściste skały, sterczą wśród nich jak twierdze, czy ruiny miasta: jakby kościelne kopuły czy wieże, połamane w tysiące kształtów, szczerb, rozwalin i szczytów iglastych. Świat, słowem, nie ten, chyba tamten — pośmiertny. Bo i tu nigdzie śladu ani znaku życia, nigdzie trawki ani krzewinki, nigdzie echa głosu ni ruchu. Szum tylko jakby rzeki, czy kaskady dalekiej, a czasem nagły łoskot spadającej gdzieś w górach lawiny, przerwie czasem na chwilę tę ciszę martwoty. A i pod nami także niemniej dziwny widok! Ledwośmy zeszli z góry na powierzchnię Morza, widzimy, że oprócz garbów falistych, poszczepane jest całe w szczeliny, mniej lub więcej szerokie, ale zawsze bezdenne, których ściany z czystego lodu, jakby szmaragdowe zwierciadła, odbijają nawzajem blask słońca, i prawdziwie czarnoxięzkim urokiem ciągną oczy w głąb tych otchłani. Patrzymy w nie z zachwyceniem, ale omijamy z łatwością, lub przechodzimy śmiało po szerokich zrębach, a tu i ówdzie po odłamach skały, które spadłszy snąć kiedyś z gór otaczających, uwieźły między dwoma brzegami, albo leżą nad niemi jak mosty. Ale im dalej, tym szczeliny dłuższe i szersze. To już nam się nie bardzo podoba. Aż tu raptem widzimy jedną, z dziesięć kroków może szeroką, przez którą jedyne przejście stanowi jakby kładka lo-

dowa, dobrze jeszcze że śniegiem pokryta, lecz nie mająca pewnie łokcia szerokości. Tu już serce zaczyna kołatać—we mnie. Ale Włoch i Adam przechodzą;—przeżegnałem się więc tylko, i ruszam. Ale tak mi się w głowie coś mąci, że gdyby mi przewodnik Włocha, kija swego z brzegu nie podał, nie wiem jakbym doszedł do końca. Oświadczamy więc przewodnikom, że wolimy nałożyć drogi we dwoje, byle nadal takie przejścia omijać. Oni śmieją się z nas, i obiecują; ale widzimy wyraźnie, że mają to za nic. Idziemy tak godzin ze dwie, i mamy jeszcze drugie tyle do celu naszej wyprawy. Jest zaś nim skała *Couvercle*, na lodowcu *Talefru*, wznosząca się samotnie wśród lodów, i na najwyższym jej szczycie tak zwany Ogród (*le Jardin*); oaza roślinności w tej pustyni lodów, gdzie właśnie w tej porze roku kwitną różne gatunki ziół i kwiatów Alpejskich, a źródło żywej wody, rozplywające się w strumieniach, ożywia je i zasila. Ale i w kilku miejscach po drodze, strumienie szerokie jak rzeki płyną z gór i szumią po lodzie; a jeden z nich, w miejscu zwaném *Moulins*, tworzy prześliczną kaskadę, spadającą w głąb bezdennnej szczeliny. Rzuconą w nią bryłę kamienia, słysząc było prawie minutę, (patrzałem na zegarek), jak się spadając odbijała o brzegi. Idziemy tedy dalej, i już się przybliżamy do lodowca *Talefru*. Droga nasza coraz chropawsza; a on sam, jak widzimy zdaleka, jeży się w słupy, stosy, piramidy lodu. Zajmuje to nas i zachwyca. Aż tu znów z wierzchu wysokiego garbu, widzimy nagle przed sobą, że między nim a drugim,

zamiast zwykłej płaszczyzny lodu, rozdziawia się tylko szczelina, o pół raza może szersza od tamtej, z przejściem węższém jeszcze niż tamte; na które trzeba zbiedz z góry, a potem drapać się zeń pod górę, zawsze nad głębią téj bezdennéj przepaści. Tu już serce nie bić gwałtowniej, ale owszem jakby ustawać zaczęło—szczęściem, że nie u mnie jednego. Włoch i Adam oświadczają stanowczo, wraz ze mną, że wolą wracać nazad, niż takiego przejścia próbować. Przewodnicy, by nas ośmielić, przebiegają je sami jak koty po płocie. Ale my ani górale, ani koty. Radzi nie radzi zatém, muszą stosować się do nas; a że ta przerażająca szczelina ciągnie się aż do podnoża skał *Aiguilles du Dru*, więc omijamy ją dopiero pnąc się po stromych i urwistych ich bokach, po usuwających się pod nogami kamieniach, ciągle nad głębią przepaści. Tu już nie my, ale przewodnicy się boją, wskazując nam zawieszone w powietrzu ogromne odłamy głazów, które co chwila spaść i zdruzgotać nas mogą. My wszakże, czując pod sobą rodzimy swój element, mniej na to jakoś zwracamy uwagi. A wreszcie, samo ogólne poczucie niebezpieczeństwa, ma w sobie jakiś niepojęty urok, coś, co nas w poczuciu własném nad zwykły nasz poziom podnosi, i daje nam czuć w sobie jakby nową siłę, którejśmy przedtém nie czuli. Jest to może sensacya żołnierza, kiedy rad nie rad znajdzie się już w ogniu, a uciekać przecież nie myśli—a przynajmniej nie może. W tym nastroju ducha i nerwów, dochodzimy nakoniec do *Couvercle*, i po godzinném a przykrém wspinaniu się po skałach pod górę, staje-

my u podnoża *Ogrodu*. Podnoże to stanowi trójkąt skały o kątach ostrych, i właśnie jeden z nich, który nam dalszą drogę zakrywa, musimy najprzód okrążyć, aby z miejsca gdzie jesteśmy iść dalej. Ale jakież to okrążenie? Oto zrąb skały gładki, ślizki, półokrągły, wystający jak balkon przy ścianie, (tylko że bez poręczy), nad przepaścią najeżoną skałami, a nie mający pewno szerokości nad łokieć. Nie czuję w sobie dość siły, aby przejść po nim bez zawrótu głowy—i zostaję. Adam pomimo prośb moich i błagań, uparł się i poszedł dalej z przewodnikami i z Włochem. I tu nastaje dla mnie prawdziwie piekielna godzina, jakiej obym już nigdy po raz drugi nie doznał w życiu! Niepokój o Adama wzrósł do tego stopnia, że zaczynam się lękać, abym nie zwaryował. Czuję żal niewypowiedziany do niego, że mnie na takie udręczenie naraził; czuję wstyd i wzgardę dla siebie, że pozwoliłem iść jemu jednemu, i sam przez bojaźń przejścia nie poszedłem razem. Teraz ta bojaźń znikła raptem bez śladu. Sam nie wiem, jak się to stało. Po razy kilka nawet chcę sam po desperacku próbować fatalnej przeprawy, i wierzę nawet, iżbym może nie spadł. Ale reszta rozwagi wstrzymuje mnie od tego. Bo gdzież pójde nie wiedząc drogi? Ale rozwaga ta właśnie przyprowadza mnie do ostatniej rozpacz. Imaginacya tak się rozigrała, że przedstawia mi same najstraszniejsze obrazy i przypuszczenia. Chcę i próbuję się modlić—ale gdzie tam! ani myśl, ani słowa nie słuchają woli. A jednak widać intencya sama zjednała

mi zlitowanie; bo rzeczywiście dłuższe trwanie takiej męczarni, mogłoby jeśli nie o śmierć, to o stratę zmysłów przyprowadzić. Stoję jak skamieniały przed tym złowrogim kamieniem, przez który przejść przedtém nie śmiałem, i kto wie, czybym sam wreszcie, w przystępie obłąkania, nie gotów był rzucić się w przepaść—gdy wtém słyszę jakiś szelest za sobą. Oglądam się—i widzę całe stado owiec, a za niem dwóch pasterzy Alpejskich z kijami. Zjawienie się Aniołów nie sprawiłoby mi większej pociechy. Dowiaduję się od nich, że właśnie pędzą owo stado (nie owiec, ale samych baranów), do *Ogrodu*, aby je tam do końca lata na pastwisku zostawić. Daję więc im talara, i bez najmniejszej trwogi przechodzę razem z nimi ten straszliwy kamień, tę przyczynę wszystkich moich udręczeń—i widzę, że po obejściu tego *kąta* skały, (*l'Angle*, tak się nazywa), droga dalsza nie ma już nic niebezpiecznego. Wszelki przeto niepokój o Adama ustał; i w kwadrans spotykam jego samego, powracającego już z *Ogrodu* szczęśliwie. Niewdzięcznik! Zamiast radość moję podzielać, złajał mię tylko za to, że ja go teraz narażam na niespokojność, jak ten kamień napowrót przebędę. Ale ja teraz wcale nie boję się o to, i nawzajem odpłacam pięknem za nadobne, to jest, pomimo rad jego i zapewnień, że nie ma co widzieć w *Ogrodzie*, upieram się i idę dalej z baranami. Przekonałem się, że prawdę mówił. Zieloną, bujną łąkę, i czysty, przepływający ją strumień, widziałem jużciż nieraz i na twoich *lugach*, nad brzegami Naroczy, nie narażając się na złamanie szyi.

A ten *Jardin*, czy *Courtil*, jak go zowią pasterze baranów, nie zgoła więcéj do widzenia nie ma, oprócz chyba widoków, widnych i zkądinąd. Nie żał mi jednak, że byłem. Czułbym zgryzotę wstydu, gdybym nie był. Adam czekał mię w miejscu, gdzieśmy się spotkali. P. Bartoldo-Bartelli, (tak się nazywa włoski nasz towarzysz), zrobił mi także tę grzeczność. Dwaj towarzysze moi, pastuszkowie, pomnożyli téż odtąd nasz orszak, i razem z przewodnikami, przy przejściu fatalnego kamienia, utworzyli nam jakby rodzaj poręczy w ten sposób: Najprzód szedł przewodnik Włocha, potém on sam; potém przewodnik nasz, potém Adam; za Adamem pastuch *N. 1^{mo}*, potém ja, i po mnie znów pastuch *N. secundo*. Otóż przewodnicy i pastusi podali sobie nawzajem końce kijów, i trzymając je poziomo koło nas od strony przepaści, w istocie wiele odwagi przy tém przejściu dodali. Sami bowiem opowiadali nam potém, że to był rzeczywiście najniebezpieczniejszy punkt z całej wyprawy. Alić ledwo odetchnęliśmy po nim i zaczęliśmy rozglądać się z rozkoszą po okolicznych widokach z *Couvercle*, gdy znowu cień nowéj trwogi i wzrok, i te widoki jak kirem przesłonił. Cień ten rzuciła chmura, na pozór wielka i czarna, wysuwająca się powoli z po za podniebnych szczytów *Iglic Zielonych* (*Aiguilles Vertes*), a więc mogąca grozić śniegiem albo deszczem. W jednym czy drugim razie miła perspektywa! Śnieg może zaćmić nam drogę, deszcz może sprowadzić gołoledź—a cóż będzie ze szczelinami? Przewodnicy nie dają zwlekać ani minuty dłużej. A dzi-

wne to serce ludzkie! Złe nowe zaciera dawne; klin klinem, jak to mówią, wybija. Strach chmury zmniejsza obawę przejścia przez szczeliny, i tak jakoś dodaje siły, że poprzedniego znużenia nie czuję. Pokazało się jednak wkrótce, że ta straszna na pozór chmura, jest tylko wielkim, czarnym, ale suchym obłokiem. Myślisz więc, że bięda skończona? Niestety! Z ustaniem groźby z góry, zgroza z dołu znów nas ogarnia. Nie idziemy już tą drogą co piérwój, gdzie były owe straszne szczeliny. Ale i tutaj ich nie brak. Cóż złąd, że może same nie tak wielkie jak tamte, kiedy strach patrzy zawsze wielkimi oczyma. I trzebaż, że własne głupstwo moje o mało nie sprawdziło przewidywań jego.

Przechodzimy przepaść szeroką, ale téż i po zrębie do tyła szerokim, że obawy uśliznięcia się nie ma. Ośmielony więc tém niedorzecznie, jak tchórz w obec rozbrojonego już wroga, uderzam w lód okutym kijem, ale widać uderzam za mocno, tak, że duża jego bryła odszczepia się od zrębu, i tak kij mój za sobą pociąga, że mi ten wymyka się z ręki— i poleciał z nią razem gdzieś w otchłań. Coby się mogło stać ze mną, ja nie wiem; ale w téj chwili cudza jakaś siła, uderzeniem kułaka w plecy, pchnęła mię naprzód—i opamiętałem się już na brzegu. Wszystko to było dziełem jednéj sekundy. Kułaka tego dał mi nasz przewodnik, który idąc tuż za mną, postrzegł, jak mówię, że się był już zachwiał, i mógłbym polecieć za kijem. Trzeba więc było jeszcze za kułak jak za dobrodziejstwo dziękować. Nakoniec, Bogu dzięki, wchodzimy

na gładszą powierzchnię, co nas tak zwodniczo z początku zachęciła do dalszej wyprawy, i aby powrócić na ziemię, mamy już tylko przed sobą ów *Most* skalny, przez który rano przeszliśmy bez trwogi. Skutek to był odwagi, cośmy wtedy mieli, i wina, cośmy przy śniadaniu wypili. Teraz więc gdy ta odwaga i wino, cośmy sobie w manierki naleli, wyczerpały się do dna, a *Most* tymczasem ani się rozszerzył, ni skrócił:—złowrogi wiersz Trembeckiego:

„Nieraz komu się morze udało przepłynąć,
Może na Dunajcu zginąć,“—

przyszedł mi na myśl, i opanował ją jak zmora. Nie dzieliłem się wszakże tą cytata z Adamem, żeby w złą porę złego słowa nie wyrzec. Ale on i sam bez tego, jak widać, musiał marzyć o czémś podobnem. Bo gdyśmy gotując się do przejścia, odpoczywali nieco dla nabrania siły, on pierwszy zaproponował *votum*, ażeby każdy z nas, za powrotem do Litwy, zły most jaki swoim kosztem naprawił, iżby nas Pan Bóg przez ten przeprowadził szczęśliwie. Całym sercem odpowiedziałem: *Amen*, rozciągając nawet w myśli to *votum* do wszystkich trzech mostów Giejstuńskich, bez współudziału szarwarku sąsiadów. Jakoż za łaską Bożą przebyliśmy jakoś szczęśliwie i te ostatnie Scyllę i Charybdę.

I posądzony o zbrodnię,
A uniewinniony w sądzie,
Pojąćby chyba mógł godnie
Radość naszą—już na lądzie.

Adam z pełności serca wpisał w moim dzienniczku: „Bogu chwała! że już z powrotem z *Jardin* na *Montanvert*!“ i dodał ustnie ów frazes, który tu przytoczyłem z początku.—Po obiedzie i odpoczynku na *Montanvert*, o 8-ej byliśmy już z powrotem w Chamouny. Pies, kot nie wyszedł na spotkanie nasze, jak wczoraj całe miasto na spotkanie owych *gentlemenów*, co tak w tryumfie powracali z Montblanu; chociaż śmiało mógłbym zaręczyć, że żaden z nich nie doznał więcej strachu odemnie, a korzyść i zasługa—bodaj że ta sama.—W nocy nawet sny gorączkowe przedstawiały mi ciągle góry i przepaści, i nie dały zasnąć spokojnie. Lecz już dziś znowu raźnie i wesoło, a dzień jeszcze piękniejszy niż wczoraj. Za godzinę jedziemy dalej ku Genewie.

Godz. 3 po południu. Sallenches.

Sallenches mała miejscina, a raczej wieś, nie ma 2,000 mieszkańców. Przyjechaliśmy tu powozikiem (*banquette*), podobnym do naszych drażek, jakich tu zwykle do przewozu podróżnych używają. Droga wzdłuż doliny Chamouny, nad rzeką Arwą, u stóp Montblanu i gór, które go otaczają, i zdają się ukrywać jedne za drugimi. On sam tylko jak słońce lub księżyc, widny zewsząd:

„Śnieżystém czołem na tle niebios świeci.“

Od wsi *Chède*, droga stroma i kręta zaczyna się zniżać. Wysiadaliśmy dla widzenia pięknej kaskady, którą tworzy potok górski *Bon-Nant*. Podróż trwała cztery godziny. Ztąd idziemy piechotą do *Bonneville*, a ztamtąd jutro do Genewy.

1 Sierpnia, Niedziela, po południu. Bonneville.

Wczorajsza nasza przechadzka zabrała nam całe sześć godzin, a tak na koniec znużyła, że nie czekaliśmy tu nawet wieczery, byle się co prędzej położyć. Podróż wszakże była bardzo przyjemna. Do *Cluses* wążką doliną, między olbrzymimi górami, ciągle wzdłuż brzegów Arwy. Od *Cluses* dolina się rozszerza; roślinność i śliczne drzewa przypominają Włochy. Góry zawsze dokoła, i Arwa wciąż nam towarzyszy. *Bonneville* leży też nad nią, w bardzo malowniczym położeniu: na obszerniej, żyznej równinie, u podnóża dwóch olbrzymich gór *Brezon* i *Mole*. Mieszkańcy dziwnie jakoś uprzejmi. Każdy nas wita z uśmiechem życzliwości. (Strój nasz widać pielgrzymi przyczynia się ku temu). W kościele zrobili nam miejsce w ławkach. Jakiś bardzo porządnie ubrany jegomość, wraz z żoną, dopomagali mi potem w szukaniu furmana do Genewy, a gdyśmy go nie znaleźli, drugi jakiś młody kawaler wziął to na siebie, i właśnie czekam w tej chwili na niego. Furmani nie chcą jechać w Niedzielę. Szanowny mój pan Adam jest

przeto w najgorszym humorze. Ja dla rozrywki obliczyłem kosztą podróży z Medyolanu aż dotąd. Na osobę wypada po 99 franków i pół. Dla zaokrąglenia seciny, daliśmy po pół franka ubogim.

Godzina 1.

A to dobrodziej nasz, ten pan młody Runke! Furmana nigdzie nie dostał, ale umówił się z kuryerem, wiozącym ztąd listy, że nas obu za 10 franków zabierze na swoją dwukołową *biédkę*, czyli, jak on ją zowie, kabriolet. Nie pyszny więc odprawim wjazd do Genewy! Ale gorsza byłaby biéda, gdyby tu przyszło nocować. O 5-ej mamy stanąć w Genewie, gdzie uprzedzeni listem Klustinowie czekają nas pewnie z obiadem. Na pamiątkę zaś téj podróży z kuryerem, list ten ztąd jeszcze przez niego wyprawię, ale następny z Genewy będzie także adressowany do ciebie. A więc na dzisiaj, *Vale!*

XV.

Do t e g o ż.

Genewa, 12 Sierpnia, 1830 r.

Traf nie zamiar to zrządza, że drugi list do ciebie od powinszowania imienin zaczynam, gdy może owo pierwsze, podług nowego kalendarza, na rzeczywisty dziś ich obchód, podług starego, odbierasz. Ale od pierwszej chwili przyjazdu do Genewy, wrażenia, które tu nas na wstępie spotkały, tak mię jakoś oderwały od siebie, i od tego, co nas otacza: że straciwszy w ten sposób właściwy przedmiot moich listów, nie miałem o czém ich pisać; to zaś, co mnie zajmowało wyłącznie, (a i teraz głównie zajmuje), nie kwalifikowało się do pisania przez pocztę, tém bardziej, że to sam sobie pewnie dokładniej i lepiej w *Kurjerze Litewskim* wyczytasz. My nie czytając wcale żadnych gazet po drodze, nie wiedzieliśmy też nic o Bożym świecie, co się na nim tymczasem stało. Dopiero gdy wysiadłszy z kuryerskiej *biędzy*, weszliśmy na próg domu państwa Klustinów—panna Anastazy, spostrzegłszy Adama, zamiast witać go, jakby się może spodziewał, porwała ze stołu arkusz jakiejś francuzkiej gazety, i rozłożywszy go oburącz, przyklękła przed nim, wołając:

„*Gloire au Prophète!*“ W ten sposób dowiedzieliśmy się po raz pierwszy o tém, co się stało w Paryżu w ostatnich dnia Lipca, a co w istocie było jakby dośłowném ziszczeniem tego, co Adam już od roku ciągle przepowiadał, sam doznając najczęściej przytém losu Kassandry, to jest, że zaczawszy od Davida w Wejmarze, nikt mu nigdy, prócz Włochów, (to im przyznać muszę), nie wierzył. Nie dziw więc, że ta wiadomość spadła na nas jak piorun—i to który nie kończy, ale owszem zwiastuje i zaczyna burzę, która, podług dalszych prorocstw Adama, rozszerzy się po całym świecie. To téż nie możesz mieć wyobrażenia, co to się dzieje w Genewie. Godzina, w której dyliżans przychodzi z Paryża, całe zdaje się miasto wywołuje na ulicę. Konie ledwo mogą postąpić śród tłumu. Konduktor, stojąc na koźle, rozpowiada w głos na prawo i na lewo przywiezione nowiny, a czasem téż rozrzuca drukowane świstki, albo numera gazet. Pierwszy, co je pochwyci, staje się celem ciekawości ogólnej. Wspina się więc na pierwsze lepsze podniesienie, i odegrywa rolę oratora, czytając słowo w słowo, albo opowiadając pokrótce, co sam okiem naprędce przeczytał, i co wnet drudzy, w tenże sposób, powtarzają wzdłuż dalszych ulic, podobnie tłoczącym się massom. Adam widzi w tém obraz dawnego *Forum Romanum* i Romy, gdy przychodziły wieści o walkach Maryusza z Syllą, albo Cezara z Pompejuszem. Ruch ten uliczny i zajęcie ogólne trwa tu zresztą dzień cały, i przedłuża się nawet w nocy, na przechadzkach i miejscach publicznych.

W obec więc takiego wezbrania uczuć i myśli ludzkich, pisać o samym sobie, o powszednich szczegółach zabaw, czy zajęć własnych, w pierwszych dniach naszego tu przybycia, byłoby istotnie wstydjakoś, i było niepodobieństwo moralne. Ale że przecież człowiek nie przestaje nigdy być sobą, i że po największym wrazeniu, myśl i dusza, jak woda po burzy, do równowagi nakoniec powraca: więc i ja, zostawiając politykę gazetom, które wiem że prenumerujesz, wracam do relacji o osobistym swoim atomie; tém bardziej, iż śmiem przypuszczać, że dłuższa zwłoka wiadomości o nim, mogłaby może sprawić wam podobnyż niepokój, jaki nam tu sprawuje milczenie państwa Ankwiczów. Pojechali oni, jak wiesz, do Paryża; byli tam wśród tych wszystkich rozruchów, i pomimo solennej obietnicy, ni razu jeszcze ztamtąd do nas nie pisali. Nie wiemy więc nawet adresu, jakby do nich samym napisać. Niepokój ten tak dalece udręcza Adama, że zdrowie nawet jego ucierpiało widocznie, i przez dni kilka był formalnie chory. To téż jest główna przyczyna, że tak długo siedzimy w Genewie. Mielśmy bowiem tą razą zabawić tylko dni parę, a po zwiedzeniu dopióro Oberlandu, to jest Alp Berneńskich, na dłużej się tutaj rozgościć. Ale i na ten terażniejszy nasz pobyt, pod żadnym względem uskarżać się nie możemy. Owszem, gdyby nie brak listów z Paryża, byłby on dla nas sam przez się tak miłym, że może i bez choroby Adama radziłyśmy go byli przedłużyć. Samo miasto, z powodu zwłaszcza czarownych swoich okolic i najpiękniejszego zapewne ze wszystkich jezior

tego świata, Lemanu, miałoby już dosyć powabów, ażeby samotnego w niém nawet cudzoziemca, serdeczném upodobaniem przywiązać, i na dłużej w sobie zatrzymać. A cóż dopiero gdy się komu zdarzy, spotkać takich przyjaciół, jakich myśmy tutaj spotkali, i znaleźć taką uprzejmość, jakiej za ich pomocą od miejscowych mieszkańców doznajem? Tę ostatnią zawdzięczamy głównie pośrednictwu i wpływowi panny Anastazyi, która w towarzystwie tutejszém odegrywa formalnie rolę Muzy, to jest, której wszyscy uczni hołdują, a nieuczeni dziwią się i admirują. Jak więc w Wejmarze pani Ottilia Göthe, tak tu ona, przodkując przed nami, otwiera nam uprzejme podwoje i serca. Czcigodny także staruszek Bonstetten zaszczyca nas swoją opieką, a pp. *De Luc* i *Douby*, w imię wspólnych wycieczek i wspomnień Rzymskich, przyjmują nas tu w Genewie, jakby gości we własnym swym domu. Najmilszém wszakże dla mnie, jest towarzystwo dwóch dawnych młodych przyjaciół z Warszawy: Augusta Zamoyskiego i Krasińskiego Zygmunta. Z pierwszym, wiesz, że przez dwa lata mieszkałem razem w Warszawie, a całe zaprzeszłe lato przepolowaliśmy na wsi w ordynackich dobrach jego ojca. Jest to najszlachetniejszy, najzaczniejszy młodzian, mogący ująć za ideał rozwagi i roztropności praktycznej, połączonej z surowém poczuciem i sumienném pełnieniem wszelkich powinności moralnych. Kontrast najdoskonalszy z Krasińskim! który, przy najwznioślejszój także szlachetności uczuć i myśli, ma je wszystkie takie skrzydlate, że ciągle tylko bujają

nad ziemią, i są wiecznie w usposobieniu owego sokoła w Wallenrodzie Adama, który:

„Skoro wzniesie się w chmury, skoro pociągnie oczyma
Po niezmierzonych obszarach swojej błękitnej ojczyzny,
Wolném odetchnie powietrzem, szelest swych skrzydeł

(usłyszysz—

Idź myśliwcze do domu, z klatką nie czekaj sokoła!“

O tej klatce dla siebie mógłby on dziś chyba powiedzieć, co niegdyś młody Bonaparte o kuli, kiedy go ostrzegano, aby się nazbyt nie narażał w bitwie: „*La balle, qui me tuera, n'est pas encore fondue.*“— A kto wie, do jakiej wysokości wznieść go mogą te skrzydła, gdy ich burza, da Bóg, nie złamie, albo wicher w bok nie uniesie! Rok ledwo jak go po raz ostatni widziałem w Warszawie, a cóż to już w nim za różnica! Rychtyk jak między panienką w krótkiej a długiej sukience. Tam, był to jeszcze tylko bystry, sprytny, przenikliwy studencik; teraz, choć ma za ledwo rok 18-ty, jest to już pełen siły i zapału młodzieniec, i genialny—jeżeli może jeszcze nie myśliciel, to przynajmniej marzyciel-poeta; chociaż wierszy zgoła pisać nie umie, i w prozie tylko próbuje sił swoich. Prawda, że jest on też tu właśnie jak kwiat czy owoc dojrzewający na słońcu, to jest, rozwija się i dojrzewa nie przez to tylko że się uczy i myśli, lecz i że po raz pierwszy kocha się na dobre—jak młodzieniec, po poetycku. Miał on już i w Warszawie wielki zawsze ku temu pochop i ochotę, i przedmiotem studenckich jego westchnień i uwielbień była, nie wiedząca może

o nich, pełna rozumu i uroku, wychowana prawie z nim razem, ale starsza od niego kuzynka, pani hrabina Z..., która czasowo potem w domu Generała, jako opiekuna swojego, mieszkała. Ja o tém wiedziałem przez to, że po każdym czwartkowym obiedzie, na których on jeszcze nie bywał, a ona prezydowała zwykle, jako jedyna dama i gospodyni domu: musiałem mu zdawać sprawę ze wszystkich jej słów u stołu, istotnie nieraz bardzo trafnych albo dowcipnych, a których on był ciekawszy, niż literackich dysput z klasykami. Ale i o tych zwykle dowiadywał się on odemnie w swoim pokoju, podczas gdy inni goście, w gabinecie Generała, palili przy kawie cygara, a Julian Ursyn, siedzący przed kominkiem, fajczkę.— Za toż teraz, jakby przez wdzięczność, obsypuje mnie konfidencyjami o téj swojej nowéj miłostce, którą sam za prawdziwą już miłość uważa, i nie daje się wcale nawrócić na *promionkową* naszą teorią Wileńską, którą ja mu wszakże wykładałem. Jest to obecnie węzeł, który nas tu łączy najściślej, tak jak w Warszawie niegdyś poezya łączyła. Ale co dziwna, to że zimny, rozważny i surowy pan August, jest dlań także w tym względzie Halbanem, to jest „i duszy jego spowiednikiem, i serca jego powiernikiem,” chociaż on sam i tę jego iskrzysto-gorącą, i tę moję obłocznotęczową, teorią miłości, zarówno głupstwem, bez ceremonii, nazywa, a tylko jedną sakramentalną za prawdziwą i świętą uważa. Ta wszakże różnica w poglądach nie tylko źle nie wpływa na ich wzajemny stosunek, ale owszem tworzy pomiędzy nimi tę praw-

dziwie „szczęśliwą przyjaźń,“ przez którą jeden drugiego ożywia, i jeden drugiego hamuje. Pierwsza miłośna konfidencya przedemną, wtajemniczyła mię téż od razu i w ten rodzaj łączącój ich spójni. W dzień przyjazdu, zaraz po obiedzie u Klustinów, przeniósłszy się na własne mieszkanie, które już dla nas pan Symon był najał, (*Place Mqlard*), poszedłem do p. Augusta, którego adres wiedziałem, i z nim razem do Krasińskiego. Zastałem go na wyborze w podróż do Chamouny, dokąd nazajutrz rano rzeczywiście wyjechał, i onegdaj dopiero powrócił. Podróż ta miała się odbyć już pierwój, ale opóźnił ją mój list przez Klustinów, to jest wiadomość o przybyciu Adama, którego chciał przedtém doczekać. Tymczasem pierwszy ten wieczór Adam przepędził u Klustinów; i przeto ledwo onegdaj, po powrocie z Chamouny, mogłem ich między sobą zapoznać ¹⁾. My zaś we trzech, cały ów

¹⁾ W trzecim tomie „*Rysu Dziejów Literatury Polskiej*,“ kontynuator Zdanowicza, p. Leonard Sowiński, w przypisku do życiorysu Zygmunta Krasińskiego, przytacza następujące opowiadanie „jednego z jego biografów,“ o pierwszym jakoby poznaniu się jego z Mickiewiczem.

„Zdarzyło się jednego razu (w Genewie), że Krasiński siadł do fortepianu i zaczął grać ulubioną nutę swoją: „*Ostatnia myśl Webera*.“ Stanowiła ona cały jego zapas muzyczny, ale umiał ją oddać dokładnie i z czuciem. Owóż muzyką swą przywabił jednego z gości do sali wspólnej hotelu, gdzie stał fortepian. Nieznajomy wszedłszy, zaczął się przysłuchiwać. Powstał Zygmunt, i skłonił się. Przemówili do siebie, i po krótkiej chwili poznali się rodakami. Gość dowiedział się,

wieczór przepędziliśmy razem, chodząc najprzód po mieście, które mi pokazywali, a potem, ponieważ czas był cichy i sięgł świateł prześlicznie, Zygmunt zaproponował żeglugę po jeziorze. Ma on własną swoją łódkę, jakby jeźdnego konia, której strażnikiem jest przewoźnik w porcie. On sam tylko i p. August byli wiosłarzami. Pływaliśmy prawie do dziesiątej. I jezioro i brzegi precudne! Płynąc około okien jakiegoś nadbrzeżnego domu, Zygmunt powitał je zdjęciem kapelusza. Rozumiałem, że to był dom zamieszkiwany tu niegdyś przez Byrona, ale się dowiedziałem, że z tych to właśnie okien patrzyły piękne oczki *Miss Harry* (Henryetty), terażniejszej bogdanki Zygmunta, a pod które on, nie tylko łódką, ale nawet i konno po wodzie podjeżdżał, a p. August wyznaje

że mówi z Zygmuntem Krasińskim, Zygmunt, że gościem był Adam Mickiewicz. Tak więc pierwszą znajomość między dwoma znamienitymi wieszczami, zawiązała ostatnia nuta Webera, którą obaj szczególnie lubili, i która była wyrazem smutku i tęsknoty, wielce odpowiednim ich usposobieniu.“

Otóż czuję się w obowiązku dodać, że w całym tém opowiadaniu nie ma ani pół słowa prawdy, a jest tylko jakby drugi tom wiadomój bajki o pierwszym jakoby spotkaniu się Mickiewicza z Puszkinem w Odessie. Znajomość, o której tu mowa, nastąpiła w najzwyczajniejszy sposób. Krasiński, po powrocie z Chamouny, przyszedł do nas z p. Augustem, a tegoż dnia Adam, wraz ze mną, był u niego dla poznania się z p. Jakubowskim. O owym zaś *walcu Webera*, o którym wiadać *biograf* coś zasłyszał, czytelnicy znajdą wzmiankę w następnym liście z Interlaken. (P. A.)

ze wstydem, że mu w téj donkiszotowskiej wyprawie, wbrew swemu przekonaniu i woli, przez słabość serca dla niego towarzyszył.

I tu zaczął się szereg opowiadań o początku i całym ciągu téj miłości: poetycznie i patetycznie z jednej, analitycznie i krytycznie z drugiej strony. Ja to mam być niby *synteza*, między *tezą* tą i *antitezą*; a w rzeczy jestem tylko jak *epodon* w odzie, pomiędzy *strofą* i *antistrofą*. Widzę jasno, że z téj miłostki nic nie będzie, bo być nie może, i przeto radzę nie kochać się bardzo; ale za nic na świecie nie mogę się zgodzić z panem Augustem, aby już przeto nie kochać się wcale. I to jest główny wątek dalszych naszych rozmów i dysput, podobnych bardzo do tkanin Penelopy.

Miss Harry już od miesiąca wyjechała z powrotem do Londynu, i pan Zygmunt o niczem więcej nie myśli i nie marzy, jak żeby mógł téż co rychléj stolicę Albionu oglądać. Bięda tylko, że jak Telemak w gościnie u Kalipsy, ma i on tu obok siebie Mentora, w osobie bardzo światłego i zacnego człowieka, p. Jakubowskiego, który tu z nim razem przyjechał, i któremu go ojciec porучzył w opiekę. Co tu więc myśleć o podróży do Londynu, kiedy właśnie z powodu jego oporu, nie możemy być pewni rzeczy, nad którą już od wczoraj wspólnie pracujemy, a za którą wszystko przemawia. Jest to prawdziwie cały dramat psychiczny, który nie wiem na czém się skończy, ale którego głównym aktorem jestem ja, i który przeto tak mocno i wyłącznie w téj chwili mię zajmuje, że chcę

was wprowadzić na parter, abyście w ostatniej scenie mogli cieszyć się lub smucić wraz ze mną. Rzecz idzie o odbycie razem podróży w góry Berneńskie, którą oni w też same miejsca, i w tymże samym czasie, co my, odbyć zamierzają; przeciwko czemu nikt nic nie ma, i czego owszem wszyscy albo gorąco pragną, albo życzą. A więc?... A jednak... różne czynniki psychiczne tak tę prostą na pozór akcją wikłają, że chyba jakiś *Deus ex machina* dopomoże mi w pomyslném jej rozwiązaniu. Historia tego jest taka. Zygmunt już w końcu Lipca, wraz ze swoim Mentorem, gotowali się odbyć wycieczkę w góry Berneńskie, której plan p. Jakubowski ułożył i zakommunikował go Generałowi. Opóźnił ją, jak już wspomniałem, mój list przez Klustinów, i Zygmunt, jak powiada, wtedy zaczął już marzyć, czybyśmy téj podróży nie mogli odprawić razem. Ale my, nie wiedząc nic o tém, za radą p. Custance w Chamouny, ułożyliśmy téż sobie plan téjże saméj wycieczki, ale trzebaż, że tak wręcz sprzeczny z planem p. Jakubowskiego, iż co u nas miało być *Alfą*, u niego właśnie stanowiło *Omegę*, i przeciwnie; to jest, że mieliśmy przebieść jak raz téż samą drogę, zaczynając ją tylko z przeciwnego końca. Cóż przeto zda się łatwiejszego, jak żeby jedna albo druga strona kierunku swego planu zmieniła? Zygmunt i ja niczego nie pragniemy więcej, jak żeby od swojego odstąpić. Ale z naszymi Mentorami bięda! A i tu z nich żadnego o prosty upór posadzać nie można. Nasz plan jest praktyczniejszy, bo oparty na doświadczeniu tego, co sam już

tę podróż odbywał, i sam nawet p. Jakubowski za taki go uznaje. A więc dla czegoż Adam miałby odstępować od niego? Ale tymczasem plan p. Jakubowskiego zyskał już zatwierdzenie Generała. Bez zgodynia się więc jego na zmianę, sam on dowolnie zmieniać go nie chce, czyli, jak mówi, nie może; a zaś czekać na to zgodzenie się, nie mamy już dosyć czasu. Wprawdzie, gdyby Adam usilniej nalegał, pan Jakubowski łatwiej może dałby się zmiękczyć; ale Adam właśnie dla tego, powolności téj dla siebie żądać nie chce. Wprawdzie i nalegania Zygmunta mogłyby może mieć tenże sam skutek, ale i on się od nich wstrzymuje z obawy, ażeby czy to w razie niedobrowolnego ustępstwa, czy w razie twardéj odmowy, dalszego swego stosunku z Mentorem na przykry szwank nie narazić. Na mnie więc, jak na Atlasie, polega cała ta sprawa, i wyteżam téż wszystkie moje dyplomatyczne zdolności, aby ją do dobrego końca doprowadzić. Czy mi się uda? dotąd z pewnością nie wiem. Pan Jakubowski wprawdzie, jak widzę, jest bardzo na mnie łaskaw, i zdaje się nawet że mię lubi. Na tém cała moja nadzieja. Jedynym zaś moim pomocnikiem, i nawet mądrym doradcą, jest ich kamerdyner, który się téż wraz z nimi na tę podróż wybiera. Jest to wcale niepospolity człowiek, i dla tego téż względem Zygmunta nie gra on prostéj roli służącego, ale jest raczej jak stary kapral przy młodym oficerze. Jest on z famillii niemieckiej, (nazywa się Lintner); ma postać poważnego Flamanda, ale bystry i przebiegły jak Francuz, a dowcipny i jowialny w guście

polskim, bo się urodził w Polsce i wychował. Kocha on bardzo Zygmunta, a i mnie też względami swojemi zaszczyca. Chce więc szczerze, iżbyśmy podróżowali razem, i wskazuję mi jakim sposobem najlepiej mozem trafić do serca p. Jakubowskiego. „Bo to, panie, (powiada), żeby twardy korek wyciągnąć, trzeba grajcar najprzód dobrze wśrubować.“ Śrubujemy więc jak umiemy, i jutro musi się rozstrzygnąć, z jakim skutkiem. Pojutrze bowiem rano wyjeżdżamy, czy raczej wypływamy, w każdym razie zawsze razem do Vevay. A czy ztamtąd pójdziemy w jedną, czy tylko zaśpiewamy sobie nawzajem: „Idźmy każdy w swoje drogi!“ o tém dowiesz się chyba z następnego listu, który, w formie dzienniczka, codziennie w podróży téj pisać do was, t. j. razem do ciebie i do Juljana, zamierzam.

Ale co by wam w tym jeszcze naprędcie o Genewie powiedzieć? Że mi się podobała, to już powiedziałem. Że leży nad Lemanem i nad Rodanem, który tu z niego wypływa, o tém wiecie pewno z geografii. Dodam więc chyba, że woda w jeziorze wydaje się błękitna jak szafir, a taż sama w rzece, zielona jak szmaragd. Że jezioro zazwyczaj jest ciche i gładkie, a rzeka zeń wypada z impetem i szumem, jak kaskada albo fontanna. Nurt jéj dzieli miasto na dwoje, a dzieląc się sam na dwie gałęzie, tworzy pomiędzy niemi śliczną małą, zieloną wysepkę, poświęconą pamięci Jana Jakóba Rousseau, i od imienia jego nazwaną. Wkrótce ma tam stanąć podobno kolosalny posąg jego ze spiżu. Teraz jest tylko ztamtąd jeden z najpiękniejszych widoków: na jezioro, na malownicze, wesołe jego

brzegi, i na otaczające je góry, bliższe i dalsze: *Saleve*, *Mole*, *Buet*, etc. etc. i na koniec na całe pasmo Mont-blanu. Jako miasto, Genewa nie ma się czém tak bardzo pochlubić. Część zwana *Miastem Starém*, na górze, oprócz trzech ulic szerszych, wszystkie inne ma wąskie, kręte, spadziste. W częściach nowych, nie brak wielkich i pięknych domów i gmachów publicznych, w których wiele ma być do widzenia. Myśmy jednak prócz dwóch kościołów: katedralnego (Św. Piotra) i katolickiego (N. Panny), nic dotąd nie oglądali, zostawując to sobie na potem. Żyliśmy tylko z naturą i z ludźmi. Z tych ostatnich, oprócz wyżej wspomnianych, wymienię wam tu jeszcze jako sławnych: pp. *de Sismondi*, (historyka i filozofa-publicysty), *Simon'a* (autora podróży po Anglii i po Włoszech), i *de Candolle'a*, (naturalistę, botanika, profesora w uniwersytecie tutejszym). Wszyscy, przez wzgląd na pannę Anastazję, przyjęli nas tak uprzejmie, że oprócz pierwszej wizyty, u każdego już po raz byliśmy na herbacie wieczorem z nią razem. P. de Sismondi, lat około 60, żywy, grzeczny, gładki jak Francuz; p. Simon, stary, brzydki, zimny i obojętny jak Niemiec; pan de Candolle, poważny, przyzwoity, powolny, jak na uczonego profesora i obywatela Genewskiego przystoi. Ale prawdziwie wesoły wieczorek to mieliśmy tylko u Bonstetтена. Jest on admiratorem i protektorem wszystkich młodych tutejszych pańienek, które go też wszystkie nawzajem jak wspólnego dziadzię kochają, i odwiedzają. Na tym wieczorze było ich aż sześć. Cztery ładne Genewki, panna Anastazya i Amerykan-

ka, *Miss Garner*. Ta ostatnia, istny „dragan w spodnicy“, jak powiada Trembecki, zapamiętała demokratka i republikanka, wypowiedziała formalną wojnę zwyczajom i obyczajom całej naszej półkuli, pod względem stanowiska kobiet w społeczeństwie. Europejki broniły się wspólnie; i była to prawdziwa walka Amazonek, w której, oprócz niekiedy staruszka Bonstetтена, młodszy mężczyźni nie brali prawie udziału. Ja tylko adjutantowałem czasami bystrzej, żywiej, a ładniej, dwudziestoletniej może pannie *de Silvestri*, admirując najczęściej pocichu, (to jest przed nią samą do ucha), trafne jej lub dowcipne frazesa, które, jak ostre groty, na Amerykankę ciskała. Dodawało to jej zapału i meztwa, a i mnie także łaskę jej jednało. Gdyby wszystkie za-Atlantyckie panienki miały być do tej *Miss Garner* podobne, to chyba wszyscy ich kawalerowie muszą mieć siłę i śmiałość Peleja, (w Zofiówce Trembeckiego), który miał chęć jednakże uściśnić Tetydę, chociaż mu się zdawała: „to lampartką, to hydrą.“

O! dzięki Panu Bogu,
(Codzień gotowem wzdychać),
Że o takim rarogu
Jeszcze u nas nie słyhać!

A jest też ona przytém—czyli raczej, jest może taką przeto, że jest najzapaleńszą wielbicielką Woltera. Lecz tu już nie panienki, ale sam Bonstetten, wystąpił z nią do dysputy; i wszystkich, oprócz chyba jej samą, o zgubnych wpływach jego na świat i na ludz-

kość przekonał. My dzielając w pełni ten sąd i zdanie prawdziwego mędrca, a cnotliwego i doświadczonego człowieka, jakim jest czcigodny, osiemdziesięcioletni Bonstetten, chodziliśmy jednak onegdaj, razem z p. Augustem, aby widzieć to sławne Ferney czy Fernex, stolicę niegdyś Woltera, o którym też Trembecki powiada:

„Straci grubsze przesady i rozumu przetrze,
Kto ma szczęście Ferneyskie oddychać powietrze.“

Ale czy to było powietrze zdrowe, czy morowe—mianowicie dla nas? o tém Adam szeroko przez drogę przed młodym naszym towarzyszem rozprawiał, i zdaje się, że to, co mówił, głęboko w polskie serce jego zapadło.—Ferney leży o małą milkę naszą od Genewy, ale już we francuzkich granicach. Wolnym krokiem nie szliśmy więcej nad godzinę. Miasteczko małe i nędzne; o tak zwanym *pałacu* Woltera, toż samoby można powiedzieć. Siedem tylko okien ma z frontu i jedno nie wysokie piąterko. Głównym przedmiotem ciekawości jest salon i gabinet, który był razem i sypialnią Woltera. W obu te same sprzęty, co były za jego życia. W salonie zwraca głównie uwagę ogromny, ale brzydki obraz *al fresco*, wykonany jakoby według pomysłu samegoż Woltera, a wyobrażający własny jego tryumf, to jest wstęp tryumfalny do świątyni Sławy. Widać ją w głębi obrazu. Na przodzie sam Apollo spotyka Woltera. Muzy niosą biust jego, uwieńczony laurem. Potwór jakiś ćwiczy miotłą zwalonych na kupę przeciwników, por-

tretowanych jakoby i oznaczonych tytułami dzieł, przez nich przeciwko niemu napisanych. Z drugiej strony, grono jego przyjaciół, cześć i uwielbienie wyraża. Jędza zawiści kona u stóp jego. Patrząc na to, przyszedł mi na myśl własny wiersz Woltera, tłumaczony przez Trembeckiego w „Synu Marnotrawnym:

„Że to jest rzecz bezecna samemu się chwalić.“

Ale nie na tém koniec tego samochwalstwa. W sypialni widzisz drugi jego pomnik. Jest to urna na piedestale, przygotowana też przez samego Woltera, w której chciał, ażeby serce jego było złożone po śmierci, i sam taki ułożył napis: „*Son esprit est partout, son coeur reste ici.*“ (Duch jego jest wszędzie, serce zostaje tutaj). A cóż dopiero mówić o sławnym napisie nad kaplicą przy bramie: „*Deo erexit Voltarius.*“ (Bogu wystawił Wolter). Czyż to nie brzmi jak gdyby tonem dedykacji dzieła, pomiędzy autorami równej sobie sławy? albo czyliż nie przypomina napisu na pomniku Piotra W. w Petersburgu, który też Wolter Cesarzowej Katarzynie doradził?—Koniec końców, oprócz zaspokojenia ciekawości turystów, nie wynieśliśmy z Ferney żadnego głębszego wrażenia. Owszem, z tego cośmy tam widzieli, przekonaliśmy się niejako sami, że Bonstetten, który znał osobiście Woltera, i wie dokładnie całe jego życie prywatne, miał zupełną racją mówić: „że był to pisarz potężny, ale człowiek mały.“—Zwracając zatem

myślą do dnia twoich imienin, kończę dodaniem życzeń jako autorowi:

Pisz, jakbyś siał
Ziarno na rolę,
Chcąc, byś z niej miał
Plon, nie kłakole.
Najprzód zaś dbaj,
By świat i kraj
Z dzieł twoich rzekł:
„Pocziwy człek.“

Bądź zdrow!

XVI.

Do Juljana Korsaka i Ignacego Chodźki.

14 Sierpnia, 1830. Montreux, (godzina 11 wieczorem).

Tryumf! Klaskajcie i cieszcie się wraz ze mną! Jedziemy wszyscy razem. A ja—ja miałbym wszelkie prawo wykrzyknąć z Wallenrodem:

„Ja to sprawilem! jakżem silny, dumny!”

gdyby téj dumy nie kruszyła ta okoliczność, że tryumf ten dyplomacyi mojej, nie sile jej albo zręczności, ale zawdzięczam raczej litości nad sobą. Ale zkądże znowu ta litość? spytacie. Posłuchajcie!

„A jak się stało, opowiem.”

Przez cały dzień wczorajszy podkopywałem się i szturmowałem jak mogłem do serca p. Jakubowskiego—napróżno! Zaciął się—więc i ja w końcu dałem za wygraną. Dziś rano o pół do dziewiątej zeszliśmy się na statku parowym „Leman,” na którym mieliśmy razem płynąć aż do Vevay. Adam, po wzięciu biletów, poszedł jeszcze na pocztę, azali listów z Paryża nie znajdzie. Ja zajęty zdaniem pakunku, a potem rozmową z Zygmuntem, nie dostrzegłem jak wrócił i zszedł do kajuty. Tymczasem dzwonią raz—dzwoni

nią drugi—za pięć minut dziewiąta—jego nie ma! Szukamy go z Zygmuntem wśród ciżby na pokładzie—napróżno! Rozpacz mię ogarnęła—sam nie wiem co począć? Czy go iść szukać, czy płynąć bez niego? Machinalnie wybiegłem na brzeg—i w téjże chwili zadzwoniono raz trzeci. Oglądałem się—aż tu i Adam blady wyłazi z kajuty, i Zygmunt bieży ku mnie, aby mi to oznajmić. Chcę wracać—ale już statek poruszać się zaczął, i co gorsza, ściągnięto deski, które go z brzegiem łączyły. Prawdziwie odszedłem od zmysłów. Szczęściem Zygmunt znał kapitana, który na prośbę jego kazał zwiesić z pokładu jakieś drewniane wschodki, czy raczej drabinkę, o płaskich wprawdzie ale wązkich szczeblach, na którą ja wprost z mostku przybrzeżnego skoczyłem, i za pomocą podanej mi ręki Zygmunta i jego kamerdynera, szczęśliwie jakoś dostałem się na pokład. Ale dość było uchybić szczebelka lub się pośliznąć w tym skoku, aby wpaść do jeziora pod statek. Widok tego niebezpieczeństwa, którego ja sam nawet w téj chwili nie czułem, i ślad może poprzednich wrażeń w mojej twarzy, wzruszyły widać żywo moich towarzyszy. I gdy sprawca wszystkiego złego, zamiast uznać swą winę, mnie owszem tylko o nieroztropność strofował: sprawiedliwszy p. Jakubowski wziął stanowczo moję obronę, i tyle mi czułości okazał, że ujęty nawzajem i ośmielony tą jego dobrocią, ochłonawszy powoli z rozpacz, przeszedłem nagle w stan podniesionego ferworu, i przypuściwszy raz jeszcze ostatni szturm do jego serca, w przedmiocie wspólnej podróży, tyle dokaza-

łem nakoniec, że zaczął radzić wraz z nami, w jakiby sposób dało się to zrobić. Zygmunt więc przyjął na siebie odpowiedzialność przed ojcem; ja także obiecałem napisać do Generała, a Adam do Waleryana Krasińskiego, aby też w jego imieniu całą tę sprawę Generałowi przedstawił. Poczciwy staruszek zmienił; a ja z Zygmuntem, ściskając go i całując z obu stron, wykrzyknęliśmy zań ostatnie słowo: „jedziemy razem!” które on uśmiechając się milczeniem potwierdził. Scena ta trwała dobre półgodziny, a patrzący na nią z boku jowialny Lintner, oświadczył mi też swoją radość, mówiąc: „No, panie! udało się panu! Warto kota pociągnąć za uszy!”—Ciekawiście zapewne co to ma znaczyć? To znaczy, że warto jest wypić na wiwat. Najlepsze bowiem wino tutejsze nazywa się „*vin de la cote*”, co on z polską przechrzcił na *kota*, i lubi pono czasem go pogłaskać.

Szczęśliwe to rozwiązanie dramatu usposobiło nas wszystkich do wesołego używania podróży, której właściwy dyaryusz zaczynam, prosząc Boga, abym go równie szczęśliwie mógł skończyć.

Po siedmiogodzinnéj żegludze, przy najpiękniejszej pogodzie, admirując nadbrzeżne równiny i góry; sami jak „w otchłani błękitu,” pomiędzy niebem a wodą; ciałem kołysząc się na falach, a myślami bujając na wiatrach—o godz. 4 z południa wylądowaliśmy szczęśliwie w Vevay. Śliczne małe miasteczko, tuż nad brzegiem jeziora. Tu jest, jak wiacie pewnie, teatr miłośnych dziejów „Nowéj Heloizy” Roussa. *Clarens, Villeneuve*, ujście Rodanu, skały *Meillerie*

i *St. Gingoulph*, (tuż nad wodą na brzegu przeciwnym), wszystko to widać z okien i z ganku oberży, gdzieśmy w sam czas trafili na obiad, i wnet po nim, nie tracąc czasu, wyruszyli dalej piechotą do *Montreux*, (pół mili naszej od Vevay), gdzie właśnie noclegujemy. P. Jakubowski zapowiedział z góry, że nam w infanteryi towarzyszyć nie będzie. Więc i tą razą szedł tylko jako ochotnik, gdyż dwa muły, dla niego i pod rzeczy, najęte w Vevay na dziś i na jutro, szły luzem z tyłu za nami. Bagaż składa się z dwóch mantelzaków, dwóch naszych tornistrów, i torby podróżnej Lintnera, który ma straż nad tym obozem. Jest jeszcze i futerał z pistoletami Zygmunta, z których on strzela już biegle, i mnie w drodze uczyć obiecał. Za toż ja mam nawzajem być jego instruktorem w „sztuce *niebezpiecznej*” odlewania wierszy”, jak ją, nie wiem czy sam Horacy, czy tylko tłómacz jego „*Sztuki Rymotwórczej*” nazywa. Dziwna rzecz bowiem, jak Zygmunt, który jest z natury poetą i pisze ciągle poetycką prozą, wierszy zgoła pisać nie umie, i dopiero w ciągu téj swojej ostatniej podróży do Chamouny, pierwsze wiersze w życiu, jak mówi, z nudy jadąc na mule ułożył; a uczynił to, jak téż mówi, jedynie w tym celu, aby mi je za powrót do Genewy pokazać i zdania mojego zasięgnąć. Koszlawe dość i chropawe, tak, żeśmy się z nich obaj uśmieli. Zaklął mię na wszystkie świętości, aby o nich Adamowi nie mówić. A jednak w treści jest myśl poetycka, i zapał, i barwność; tylko że forma niezgrabna; brak zwłaszcza poczucia

miary i muzykalności rytmu. Przedmiotem, ma się rozumieć, jest Miss Harry. I rzecz szczególna, jak to samo imię, (Henryetta), w dwóch tak różnych osobach, nad Tamizą i nad Sekwaną, jednostajnie w tej chwili obu moich towarzyszy zajmuje. Jest to jak gdyby nowa *Henryada*, na scenie *Nowej Heloizy*.

Wieś Montreux uchodzi za najpiękniejszą z tych wszystkich, które tu w górach, nad brzegiem jeziora, zamieszkiwane są w lecie przez tłumy cudzoziemców, i słynie nadto tak ciepłym klimatem, z powodu gór od północy, że cierpiący na piersi zimę nawet tu przepędzają, a laury, figi, migdały, rosną na prostym gruncie jak we Włoszech. Używamy też w pełni czarodziejskich widoków: gór śnieżystych, skał nających, i jeziora przy świetle księżyca; tak, jak korzystaliśmy z zachodu słońca, aby zwiedzić zamek *Chillonu*, o ćwierć mili naszej odległy, który w tej porze dnia właśnie najlepiej się wydaje.

Dla tłumacza „*Więźnia Chillonu*,” spodziewam się, że i najdłuższy jego opis powinienby być zajmującym. Powiem jednak pokrótce, że się wznosi na stromiej skale, dokoła jeziorem oblaną, tuż przy brzegu, z którym łączy się mostem. Ponury zewnątrz i wewnątrz, nie dziw, że jak dziś Spielberg, służył za miejsce kary więźniom politycznym, których tam niegdyś xiążęta Sabaudzcy, jak dziś Metternich Włochów, pakowali. Wielu z nich pewno pomarło bez śladu, a ten szczęśliwy, co się żyw wydostał, i długo jeszcze potem używał swobody i chwały, (*Bonnivard*), on jeden w potomności zbiera laury za wszystkich,

dzięki zwłaszcza poematowi Byrona. Tak to i piękność kobiet, i meztwo bohaterów, i wytrwałość męczenników na ziemi, w poezyi jedynie mają na niej swą nieśmiertelność. Posągi i mauzolea, chociażby nawet takie, jak piramidy egipskie, same z czasem kruszą się w gruzy, lub trupieją tak w ludzkiej pamięci, że nawet ich znaczenia przyszłe wieki nie zgadną, i chyba tylko archeologiczni pedanci pocałoby pod biletami, aby je każdy inaczej, każdy po swojemu tłómaczył. Rozmawialiśmy o tém szeroko w podwodnych lochach zamku, gdzie czerwone promienie zachodniego słońca, wpadając przez wąskie strzelnice, krwawe światło rzucały na białe kolumny, wspierające mroczne sklepienia. Na jednej z nich imię BYRON, przez niegoż samego wyryte, niemniej zwabia ciekawość widzów, co żelazne ogniwo u drugiej, do którego łańcuchem był przykuty Bonnivard, i przez ciąg całych lat sześciu mogąc tylko chodzić koło niej, ślady swoje na kamieniach wydeptał. Wyszliśmy pod wrażeniem okrucieństwa ludzkiej przemocy i potężniejszej nad nią siły ducha ludzkiego, którą Bóg tylko dać może i daje, podobnie jak wszelkie natchnienia. Zygmunt słyszał raz pierwszy mówiącego w ten sposób Adama, i mówił mi, że słuchając, o Byronie i o Bonnivarze zapomniał.—Wróciliśmy już o zmroku do Montreux, a ja resztę wieczoru po herbacie użyłem na pisanie do was, z mocnym postanowieniem czynić codzień toż samo. Na dziś—dobranoc!

15 Sierpnia (Niedziela), Chateau d'Oex, (godzina 11 wieczorem).

Dent de Jaman, pierwszy cel dzisiejszej naszej pielgrzymki, jest to szczyt skały górujący nad pasmem gór tegoż imienia (*Col de Jaman*), wznoszących się nad brzegiem Lemanu, (5,600 stóp nad jego powierzchnią), i rozdzielających kantony: *Fryburg* i *de Vaud* (Waadtlandzki). Przejście przez nie Lord Byron zowie „piękném jak sen” (*beautiful as a dream*). Myśmy sen nawet poświęcili dla niego, będąc już o piątój rano na nogach, a przed szóstą ruszyliśmy w drogę. We trzy godziny byliśmy u celu. Obraz, a raczej panorama, rzeczywiście cudowne! Wzrok ogarnia cały kanton Waadtlandzki, ze stolicą jego Lozanną; południowy łańcuch gór Jura; olbrzymie Alpy Sabaudzkie, Walezyjskie, i śnieżne szczyty Ś. Bernarda. U stóp jezioro Genewskie, w oddaleniu Neufszatelskie i Morat, błyszczą jak zwierciadła od słońca. Niebo za pasmem gór Jura zdaje się być dalszym ciągiem jeziora, przedzielonego tylko siniejącym ich pasem. Jezioro to jest może najpiękniejszą częścią widoku. Środkiem jasno błękitne, wzdłuż brzegów lazurowe. Skały ostremi klinami wpierają się w wodę; płaszczyzny, zieloném na nią półkolem zachodzące, zdają się być jak malowane. Mnóstwo żaglowych łodzi na jeziorze, mnóstwo szaletów bieje po górach, jak zielonym kobiercem, murawą i winnicami okrytych, a przepasanych jak złotym galonem, drogą pocztową, wysadzaną drzewami. Mroczne jodły, w oddzielnych gruppach, czernią się jak bukie-

ty po stokach, albo się jeżą po wierzchołkach gór. Wszystko to notowałem prozaicznie w dzienniczku, aby kiedyś tém łatwiej obraz ten sobie przypomnieć. Ale Zygmunt wrzał poetyckim zapałem, a nie mogąc go wydać inaczej, w tym też moim dzienniczku, ołówkiem, siedząc na ziemi na szczycie Jamanu, cały rapsod o nim napisał. Przytaczam tu z niego wyjątek, dotyczący się samego jeziora, jako do dalszej mojej narracyi potrzebny.

„Jezioro tak spokojne i ciche, jak w pierwszym dniu stworzenia. W przezroczystej jego powierzchni odbija się sklepienie niebios. Błękity górnej, powietrznej, i dolnej, wodnej przestrzeni, stykają się w niém razem. Tu płynie barka z srebrzystemi żaglami, tam płynie obłok łabędziej białości. Zdaje się ono brzemienne i własnym i cudzym lazurem. Cała piękność przyrodzenia w jego piersiach zamknięta. Wszystko, co nad brzegami stoi, wszystko, co nad falami się wzbija, po raz drugi istnieje w jego toniach. Ono jedno jest sobą samém i całą naturą zarazem. W niém i wód kryształ, i niebios obszary, i skał wierzchołki, razem się malują. Ono zda się być duszą całej okolicy. Każdy jój ruch, uczucie, działanie, musi na jego licach odbić się koniecznie. Wodospad w niém po raz drugi spada z urwisk góry; chmura powtórna drogę przelatuje; każdy promień słońca w jego łonie na błyskawicę się zamienia i górne swe ognisko odzyskuje. W pozostałej naturze wszystko jest raz tylko piękném; w niém i przez niego wszystko

dwa razy jest wzniosłem; i dzięki jego przezroczystym falom, serce z podwójną siłą bije tém samém uczuciem na szczycie zielonego Jamanu.”

Ustęp ten, najlepszy zresztą ze wszystkich, niezmienne się Adamowi podobał, i ztąd wywiązała się rozmowa o malarstwie w poezyi, to jest, w jaki sposób i do jakiego stopnia malownictwo obrazów zewnętrznych, a zwłaszcza obrazów natury, miejsce w niej mieć może, i powinno. Obrazowość w poezyi starożytnej miała raczej naturę rzeźby, niż malarstwa; jak w ogólności sama rzeźba górowała po nad malarstwem, i jak ten sam odcień różnicy dałby się téż łatwo dopatrzeć w umysłach i charakterach ludzi owych czasów. Kontury były jasne i wyraźne, o koloryt i cieniowanie mniej dbano. Średniowieczna sentymentalność w uczuciach, jak w przewadze malarstwa nad rzeźbą, tak téż odbiła się zarówno w rodzaju obrazowości w poezyi, aż i ją samą nakoniec pociągnęła za sobą w przesadę. Jak więc utrzymać przyzwoity środek, ówo *justum medium* błogosławionych? Prawda, jak zawsze i wszędzie, jest i tu jużciż najpewniejszą podstawą i prawidłem. Ale czy tylko prawda samą rzecz, czy i odbieranego od niej wrażenia? Sama wierność np. szczegółów w krajo-brazie, które słowo koleją może tylko przedstawiać, łatwo robi go raczej mappą niż obrazem; ale téż opis samych tylko wrażeń, choćby nawet zachował koloryt, niemniej łatwo może kontury, lub i sam kształt przedmiotu, zatrzeć lub zaciemnić. Otóż Adam w tym ustępie Zygmunta chwalił bardzo a bardzo to żywe

połączenie widoku z wrażeniem w umyśle patrzącego, i to z całą naturalnością i prostotą, bez żadnej sentymentalnej tendencyjnej pretensyi. Pochwała ta, ma się rozumieć, rozpromieniła i ośmieliła niejako Zygmunta, który dotąd w obec Adama czuł się jak gdyby żenowanym, a teraz zaczął się przed nim ze zwykłą obfitością myśli swoich wywnętrzać. Zauważyłem téż, że i Adam słucha go bardzo uważnie, i stara się wyrozumieć cierpliwie, ażeby czy to zdanie jego potwierdzić, czy je przekonywająco sprostować; w czém zwykle nie zadaje sobie pracy ze swoimi, których albo z góry wyłaje, albo milczeniem tylko *veto* swoje wyraża. Ale i mnie téż przy téj rozmowie spotkała miła niespodzianka. Adam jako wzór *doskonałego* (*sic!* tak się wyraził!!!) obrazku, zacytował na pamięć ustęp z mojej „*Góry*,” o spotkaniu się pastuszki z kochankiem i o zaganianiu przez psów trzód ich do gromady. Pisał był wprawdzie kiedyś do mnie, że jest to ustęp „*omni modo* piękny,” ale nigdy nie przypuszczałem, żeby go miał umieć na pamięć. Tym sposobem, na szczycie Jamanu, byliśmy wszyscy w poetyckim nastroju i doskonałym humorze, a pocziwy p. Jakubowski, widziałem że był kontent wyraźnie, iż prośby mojej usłuchał: to jest słysząc co mówił Adam, i widząc jaki to wpływ miało na Zygmunta. A i Adam jest téż dla niego z wielką względnością i poważaniem. Zchodząc już z góry szedł ciągle z nim obok, rozmawiając o polityce, podczas gdy my z Zygmuntem, pożegnawszy pistoletową salwą górę Jaman, kontynuowaliśmy poetyckie przedmioty. Zygmunt wścieka się

zwłaszcza na klasyków i krytyków warszawskich, za głupie ich uprzedzenia i płytkie sądy o Adamie, od którego, (jak się wyraził), posłyszał w jednej godzinie więcej nowych i rozumnych rzeczy, niż od nich w całym ciągu obcowania z nimi. Jeden tylko szanowny pan Lintner nie bardzo dotąd widać podobał Adama. Posądza go widocznie o dumę, i puszcza czasem z boku dowcipne szmermelki. „Bo to, panie, (powiada), wielki rozum jest często jak indyk; jak rozpuści skrzydła i ogon, to już nie obok siebie nie widzi, a tylko bołboce swoje.”—Dokuczamy mu też za to z Zygmuntem, idąc po obu stronach muła, na którym jedzie w miejscu p. Jakubowskiego, i tą szermierką z nim na koncepta urozmaicamy sobie monotonna dość drogę z góry do wsi *Montbovon*, gdzieśmy o samą 12 na śniadanie stanęli. „Bo to, panie, ten *zab Żaman*, (jak mówi Lintner), zaostrzył bardzo zęby człowiekowi na *żambon*, a choćby i na chleb suchy, byle tylko miękniejszy od skały.”—„Spodzielam się jednak, rzekłem, że pan Lintner, choć sam tak głodny, chętnie przyjmie *kota* do spółki”—„O! tak, tak, panie! Kot, to dobre stworzenie! on się do wszystkiego przymili.”—„Byle tylko śpiąc sobie mru-zał, a nie wyciągał pazurów na jawie”—dodaje śmiejąc się pan Zygmunt—z widoczną alluzją do czegoś.

Boję się, moi kochani, czy was te drobiazgowo-ści nie nudzą. Ale chciałbym iżbyście czytając, byli jak gdyby ze mną w każdym miejscu i w każdej chwili, o których mówić wam będę. Zresztą na dzisiaj już koniec. Miła drogi z *Montbovon* do

Chateau d'Oex, małej wioski, gdzie nocujemy, nie ma w sobie nic ciekawego. Idzie ciągle wąską doliną, nad brzegiem szumiącej *Sariny*, w ciasnym i skalistym korycie. My we trzech szliśmy ciągle piechotą, rozmawiając tak sobie, o wszystkiem i o niczym. P. Jakubowski wsiadł znowu na muła, a Lintner na drugiego między mantelzaki. Dwie strome, olbrzymie skały, nagie zda się całkiem, bez ziemi, a jednak tu i ówdzie lasem jodłowym po bokach porośłe, stanowią jedyną osobliwość miejsca, gdzie jesteśmy, i w którym wam powiadam — Dobranoc!

16 Sierpnia, godz. 10 w wieczór. Weissenburg.

Dzień dzisiejszy wcale nieosobliwy. Najprzód obudził nas niemiłe plusk deszczu, którego nam wczorajszy wieczór nie rokował. O piechotnej podróży ani myśleć. A że muły odeszły do Vevay, najeliśmy dwa małe, ciasne powoziki, dobrze że przynajmniej choć płótnem i ceratą przykryte, i w jednym Adam z p. Jakubowskim, a w drugim ja z Zygmuntem i z Lintnerem na koźle, a raczej na mantelzakach w kształt kozła ułożonych i rogożą okrytych, puściliśmy się w mgły i chmury, zakrywające drogę i widoki. Ciągły szum *Sariny* wzdłuż drogi, wtórował smutnie z dołu szelestowi kropel deszczowych, uderzających z góry o wierzch naszej budy; ale rozmowa

w niej o Miss Harry, o wierszach, a niekiedy koncepta Lintnera, nie dopuszczały jakoś nudy ni tęsknoty.—„Bo to, panie, te czarne czy błękitne oczka, świecą nawet w ciemności jak kocie.”—„Zwłaszcza kiedy *kot* patrzy przez zielone szkiełko. Nie prawdaż, panie Lintner?”— spytałem.—„Ej, panie! *kot* zawsze dobry, choć i w pociemku chwycisz go za szyjkę.” (Alluzya do nieprzezroczystych butelek, w których się to wino sprzedaje, i do zielonych kieliszków, które doń zwykle podają w oberżach). My zaś z Zygmuntem uchwaliliśmy axioma, które mamy sobie obydwu na pamiątkę zapisać, to jest: że człowiek wtedy tylko może się nazwać szczęśliwym, kiedy rozumie i czuje poezyą swojego położenia lub chwili, choćby ją sam sobie uroił.

W *Rougemont* wjechaliśmy w kanton Berneński, a więc w granice Szwajcaryi Niemieckiej. Fizyognomie ludu i strój całkiem odmienny. Niemiectwo technie tu we wszystkiem, jak w obrazie szkoły Flamandzkiej. Mężczyzni w szerokich jakichś kurtkach, czy kaftanach, bez rękawów; kobiety w czarnych wysokich gorsetach, z płaską deską, jak puklerzem na piersiach, mają także na szyi także same czarne halsztuszki. *Rougemont* słynie z piękności swoich kobiet; i rzeczywiście *Stubmädchen*, podająca nam kawę w oberży, zwróciła naszą uwagę, a Lintner szepnął mi zcicha: „Oj, panie! co za tą gemzą, to wartoby choć karku nadkreścić.”

Popasywaliśmy i obiadowali w *Zweysimmen*, (od spławu dwóch rzek: Wielkiej i Małej *Simme*), mia-

steczku o trzy nasze mile od noclegu, a o dwie od Weissenburga, małej wioszczyny, gdzieśmy także stanęli na nocleg. Droga idzie śliczną i żyzną doliną *Simmenthal*, pomiędzy wysokimi górami, pełną wiosek, szaletów, ogrodów, a przerzniętą wzdłuż rzeką *Simme*, hałaśliwą jak wszystkie rzeki tutejsze. Domy, któreśmy zbliżka w *Boltigen* zwłaszcza oglądali, mają swoje osobną architekturę. Budowane są z drewna, o piętrze, i ozdobione po wierzchu rzeźbą i balkonami, albo galeryami. Na niektórych wypisane imiona całej rodziny właściciela, albo sentencje moralne z Pisma Ś-go.—Dalej nieco, na połowie drogi między Zweysimmen i Weissenburgiem, dwie długie olbrzymie skały zdają się ją całkiem zagradzać, i tworzą między sobą sławny wąwóz *Simmeneck* albo *Simmenenge*.—Tu jest także stolica wyrobu sławnego sera *Gruyer-Käse*, któryśmy wszakże wszyscy, oprócz Lintnera, za zbyt ostry i niesmaczny uznali. Wieczór zszedł bardzo przyjemnie na rozmowie o głównych cechach i różnicach plemion Romańskich i Germańskich, i o ile na te ostatnie wpłynąć mogą prawdopodobnie terażniejsze wypadki Paryżkie. Zygmunt coraz to bardziej zachwycony Adamem, i Adam, widzę, że go bardzo lubi. Dobranoc!

17 Sierpnia, godz. 11 wieczór. Thun.

Dzień i dzisiaj mglisty i dżdżysty; tylko że deszcz drobniejszy, z przerwami. Wyjechaliśmy z noclegu

dopiero o godz. 9, temiż samemi wózkami i w tymże samym porządku co wczoraj, i o południu stanęliśmy w *Thun*. Droga i okolice byłyby prześliczne, ale cóż, kiedy wciąż we mgle, jak piękność zakwefiona. Wąwóz zwłaszcza od *Wimmis*, (*Wimmisthal*), byłby zachwycający. Rzeka *Kander* łączy się tu z *Simma*. Most drewniany, o jednej arkadzie, lekkim łukiem przerzuca się przez nią, i zadziwia i przeraża zarazem. Przy wyjeździe z wąwozu ukazuje się jezioro, i w końcu jego, z pomiędzy drzew na górze, sterczą wieże kościoła w *Thun*. Samo miasto nie wielkie, ale bardzo porządne i czyste, (3,000 m.), leży nad rzeką *Aara*, strasznie szumiącą i błękitną, wypływającą z jeziora, a biorącą źródło gdzieś w górach. Główna ulica zdaje się być dwupiętrową, tak balkony przy domach stykają się prawie jedno z drugimi. Tu się zaczyna właściwy *Oberland*. *Thun* sławne jest mianowicie przez to, że zawiera Wojenną Szkołę Związkową, i że tu odbywają się co rok ćwiczenia artyleryjskie. I myśmy też tu z Zygmuntem rozpoczęli nasze puszkarstwo, to jest, przez parę godzin po obiedzie strzelaliśmy z pistoletów za miastem. Pierwsza lekcya moja udała się nieźle, podobnie jak i pierwsza wieczorem lekcya wierszowania. Sam Zygmunt strzela po mistrzowsku, a i ja na dziewięć strzałów, trzy razy trafiłem w kartę, a raz tuż pod oczkiem asa. Lintner radził mi myśleć, że to jest serduszko pannieńskie, aby dobrze mierzyć i trafić.—„Ależ ja nie chcę tych serduszek zabijać,” rzekłem.—„Nie bój się pan, nie zabijesz. Żywuszcze to, żywuszcze, paniel

jak gadzina. Potniesz na dziesięć kawałków, a każdy jeszcze rusza się i skacze.”—„Co? może i kąsa?”—spytałem.—„Nie, nie, pani! żądło jest tylko jedno—dla męża.”—Przyznajcie, że ten Lintner, to rodzaj Sanszo-Panszy. A i brak tylko osła zamiast muła, do tém większego dalej podobieństwa. Ja i Zygmunt dzielimy między sobą rolę Don Kiszota. Dzisiejsza nasza lekcya wierszowania bardzo go nam przypominała. Zygmunt ma z sobą angielskie poezye Shelley’a, odznaczające się zwłaszcza rozmaitością i harmonią miary wierszowój. Radzę mu więc próbować tłómaczenia, z zachowaniem tych miar i rytmu, nie troszcząc się bynajmniej o zachowanie sensu. Wynikły z tego takie dziwolągi, że aż kładliśmy się od śmiechu, a słysząc go p. Jakubowski, przyszedł zajrzeć do pokoju Zygmunta, czy może kogo trzeciego do tak wesołej kompanii nie mamy. Za toż przy wspólnj herbacie, rozmowa była tak poważna, że już nie można więcej, a powód do niej dała śliczna tęcza, którąśmy przy zachodzie słońca pomiędzy dwiema olbrzymiemi górami podziwiali. Po niej, jak po drodze Irydy, zaszliśmy aż do przybytków niebieskich, rozprawiając o obcowaniu Świętych i o stosunku dusz zmarłych z żyjącymi. Jeden tylko p. Jakubowski zdaje się temu nie wierzyć, a przytaczane przez nas niezaprzeczalne fakta, chce po ludzku rozumem tłómaczyć. Ale Zygmunt aż skakał prawie z radości, że Adam w głównych punktach przekonania jego podzielał, i także je po swojemu, to jest podług praw ducha tłómaczył. Po téj rozmowie, nie bardzo byłbym rad spać sam

jeden w pokoju. Ale że Adam leżąc pali jeszcze fajkę, więc i ja śmielój zabieram się do snu. Dobranoc!

18 Sierpnia, godz. 11 w nocy. Interlaken.

Oj, dzisiejsze jezioro Thun! Przypominać mi ono zawsze będzie Morze Lodów, i w Interlaken, jak w Chamouny, cieszę się równie szczerze i dziękuję Bogu, żeśmy już znowu na lądzie.

Obudziwszy się rano przed szóstą, ujrzelśmy wierzchołki gór okryte śniegiem rażącej białości, spadłym w nocy, i oświecone promieniami słońca. A że przytém i przenikliwe zimno zdawało się rokować pogodę: więc ja z Zygmuntem, na biędę, namówiliśmy naszych starszych panów, aby dalej płynąć jeziorem. Wskok zatém najeliśmy łódź, czyli barkę, ze czterema wiosłarzami, wąską, długą, pokrytą przez pół w obłęk malowaném płótnem, ze stolikiem i kanapą we środku, po 1½ franka od osoby do *Neuhaus*. Alić nim nawet doszliśmy do portu na rzece, nowe chmury ukazywać się zaczęły, i czepiając się po urwiskach skał, rozciągnęły się wkrótce wzdłuż nich i nad niemi. Szum téż i kołysanie się wierzchołków drzew, świadczyły o sile wiatru, chociaż on do nas samych, zasłoniętych górami, nie dochodził. Wszystko to nie czyniło miłego wrażenia; ale nie czas już było się cofać. Dwie jakieś damy wsiadły razem z nami. Żegluga w górę Aary, trwająca przeszło kwadrans, udała się

jako tako; ale gdyśmy się przybliżali do ujścia ję z jeziora, pienne jego bałwany, tłocząc się między brzegami i wznosząc się wysoko nad powierzchnią rzeki, zaraz na wstępie zdawały się nam grozić zalewem. A i dalsza przestrzeń jeziora, widna nam jak przez bramę, przez szerokość koryta rzeki, nie lepszą czyniła otuchę, bieląc się cała od piany, coraz wyżej piętrzących się wałów. Być bardzo może, że dla jakiegoś malarza, lub amatora obrazów morskich, byłby to widok wielce zajmujący; ja wszakże dopływając zamrużyłem oczy, aby zmówić „*Pod Twoję obro-
nę.*”—Albowiem jezioro Thun, jak nawet *Guide du Voyageur* ostrzega, jest jednym z najniebezpieczniejszych jezior Szwajcarskich, jużto z powodu nadbrzeżnych wąwozów, z których wypadające wichry spotykają się i kręcą po jeziorze, jak czarownice w walcu na szatańskim weselu; jużto że w razie burzy, skaliste i strome jego brzegi nie obiecują łatwego schronienia. Wiedząc to, i porwani już na wzburzone fale, nie byliśmy w dobrym humorze. Gdybyż przynajmniej dwie te panie szwajcarskie z Neuhaus, były młodsze, piękniejsze i nieco szczuplejsze, możebym pocieszając z nich którą, i sam się jakoś pocieszył i ośmielił. Ale ani trzpiotania się Zygmunta, który chciał przez to udać, że się nic nie boi; ani zły humor nasepionego Adama; ani podobne mojemu zakłopotanie p. Jakubowskiego, nie sprawiały na mnie tego efektu. Lintner zaś, który, jak sam powiada, „nie będąc ani wielorybem, ani śledziem,” wody w ogólności nie lubi: podwajał owszem moje niespokojność swoją wcale nie

żartobliwą miną. Zwróciłem się więc do wiosłarzy, i dla nabrania otuchy, zapytałem jednego z nich niby żartem: „No, cóż myślicie? Czy dopłyniem szczęśliwie?“—„Ha! jeżeli przepłyniem szczęśliwie koło *no-sa!*“—odpowiedział najobojętniej, wyżejając ramiona do robienia wiosłem. (Nosem, *Nase*, zowie się skalisty przylądek, utworzony przez górę *Wandflue*, daleko zachodzącą w jezioro).—„Bodajeś się udławił tém twojém *jeżeli!*“ pomyślałem ze złością w duchu; i wszyscy w niemikłym milczeniu oczekiwaliśmy na to przejście, czyli, (jak się Lintner wyraził), „czy ten *nos* na nas nie czmychnie.“ Jakoż w istocie była to chwila krytyczna. Wiatr z za przylądka tak silnie uderzył w żagiel, że trzeba było go zwinąć. Łódź zdała się podskakiwać na falach, jak powóz w pędzie na chropawym gruncie; a szum wody, rozbijającej się o skały, i świst wiatru wzdłuż ich krawędzi, były jakby muzyką do tego jój tańca. Był to jakby rodzaj przejścia przez ową rozpadlinę na Morzu Lodów, przez którą właśnie przejść nie mieliśmy odwagi. Ale tutaj nie było co innego robić, jak „podać się w opiekę Panu swemu,“ i czekać. Ale za toż z jaką rozkoszą zawinęliśmy do portu w Neuhaus, po trzech godzinach żeglugi, i ztamtąd już dopiero swobodnie rozpatrywaliśmy się wstecz po brzegach jeziora!

Na długości półtory mili naszej, ma ono pół mili szerokości. Skaliste, strome, ostre, piramidalne góry, jak *Niesen*, *Blümlisalp*, *Stockhorn*, i inne *horny*, otaczają je dookoła. Za niemi, w oddaleniu, rozciąga się i piętrzy łańcuch najwyższych Alp Ber-

neńskich, ale te dzisiaj przez mgłę tylko widziane, same zda się jak mgła przed nami coraz kształty swoje zmieniały. Znamy więc je dotąd istotnie nie w ich właściwych postaciach, ale chyba jako panienki z za gazy żywych obrazów na scenie.

Z Neuhaus, porządny powozem na cztery osoby, dostaliśmy się do *Interlaken*, przejechawszy po drodze *Unterseen* i *Aarmühle*, dwa miasteczka łączące się prawie z sobą, a służące za pobyt letni niezliczonej massie Anglików. Ze wszystkich okien i ganków spoglądały na nas ciekawie modre oczęta z pod lnianych i złocistych loków; a i my też z Zygmuntem, jako siedzący na przedzie, wychylając się na obie strony z powozu, odpłacaliśmy im tą samą monetą. Dla niego zwłaszcza, jak mówi, każda Angielka ma podwójny urok; bo wszystkie one z pozoru zdają się być podobne do siebie, tak z figury, jak ze sposobu noszenia włosów; nie dziw więc, że mu każda przypomina Miss Henryette. W Interlaken też miły ten spektakl uradował do syta oczy nasze, gdy wszedłszy do jadalnej sali w oberży, ujrzeliśmy długi stół *gospodarski* (*table d'hote*), ugarniowany z obu stron szeregiem płowych główek w lokach, czepkach, czepeczkach, nie mówiąc już o siwych i łysych, które pomiędzy niemi, jak badyle wśród maków sterczały. Na trzydzieści kilka osób u stołu, my tylko byliśmy nie-Anglicy, a brzmienie naszej, całkiem im nieznamomiej mowy, ścierało widać na nas ogólną ich uwagę. Mnie to owszem bawiło, a zaś Zygmunta, nie wiem za co, gniewało. Mówi, że znieść nie może

spójrzeń kobiecych, wlepionych w niego, ale obojętnych. To też wnet po obiedzie poszliśmy sobie znowu strzelać z pistoletów, zostawiwszy naszych starszych panów zatopionych w czytaniu gazet.

Wieczorem, taż sama sala inny wcale przedstawiała widok. Stół obiadowy był zdjęty, a natomiast wkrąg ściany stały osobne stoliczki, większe i mniejsze, przy których też same Angielki, albo piły i nalewały herbatę, albo siedziały z książką lub robótką w rękę, przy świetle dwóch ogromnych żyrandolów, oświetlających rzeźbiście ściany, pomalowane *al fresco* w różne ładne pejzaże włoskie i szwajcarskie. Wszystko to, przypominające raczej salon i przepych wielkiego miasta, dziwnie jakoś kontrastowało z dzikością okolicy i ubóstwem samego Interlaken, gdzie oprócz tego wspaniałego hotelu, kilka tylko znajduje się domów, zajętych także przez gości; a i my w jednym z nich mieszkamy. Ono samo leży w wąwozie pomiędzy jeziorami Thun i Brienz, (zkuąd téż bierze swoje nazwisko), połączonych z sobą rzeką Aarą.

Na wszystkich stolikach, pomiędzy przyborem do herbaty, obok świeżego masła na zielonych liściach, stały szklanne miseczki z miodem, a łączenie razem tych przysmaków, tak mi się z razu wydawało dziwném, jak Warszawianom widok naszych ogórków z miodem. Za namową wszakże Zygmunta przekonałem się, że to jest bardzo smaczne amalgame, i radzę wam go próbować, byleby miód był świeży, a masło nie słone. Dowcipniś nasz zaś Lintner powiada: „że to jest bardzo dobrze dobrane małżeństwo. Masło

nie słone—to mąż bogaty, a głupi; miód—to żona, słodka a lipka, która jest zawsze na wierzchu”.

Ale najmilszém wspomnieniem dzisiejszego wieczoru, pozostaną zapewne dla nas wszystkich narodowe szwajcarskie śpiewy, wykonywane przez czterech ślepych śpiewaków z Unterseen. Sam już widok tych nieszczęśliwych, połączonych pomiędzy sobą wspólnością kalectwa i talentu, a pracujących na chleb dla zabawy drugich, sprawiał rozrzewniające wrażenie. Śpiewali różne piosnki szwajcarskie i tyrolskie, a między innemi *Ranz des vaches*. We wszystkich w gruncie tchnie niby wesołość; ale łagodne, wolne, ciągnące się tony, mają w sobie coś tak rzewnego, że ogólne wrażenie jest raczej tęskne, niż ożywiające. Śpiewając „Chór Strzelców“ z Freyschütza, z dziwną prawdą naśladowali głosem dźwięki instrumentów, a zwłaszcza trąbek myśliwskich. Zygmunt tak był wzruszony losem i głosem tych biednych wirtuozów, iż dał im całego tutejszego talara. Inni dawali według woli i możliwości; zawsze jednak rozumiem, że się około 50 franków zebrało. Dziękowali też bardzo czule, i pożegnali nas jakąś piosnką na dobranoc, którą ja i do was stosuję.

19 Sierpnia, w wieczór, jeszcze Interlaken.

Niepewna i co chwila grożąca deszczem atmosfera, zatrzymała tu nas dziś jeszcze dzień cały, tém bardziej, że wiegarz w Aarmühle, bardzo jakiś po-

rządny i światły człowiek, zapewnił nas, podług obserwacyj miejscowych, o niezawodnej już na jutro pogodzie. A pogoda potrzebna nam koniecznie do zwiedzenia tych właśnie okolic, które nie już wstępem tylko, jak dotąd, ale są integralną częścią Oberlandu, a więc i cyklu naszej w nim podróży. Nie nudziliśmy się przecież ani chwili. Zaraz po kawie rano ruszyliśmy we dwóch z Zygmuntem do Aarmühle i do Unterseen, aby znów poczłkować trochę z Angielkami, i doszliśmy aż do brzegów jeziora Thun, gdzieśmy na wiwat z pistoletów strzelali. Nie ubliżyło to jednak poobiedniej lekcyi strzału, nad brzegiem jeziora Brienz, w której i Adam wziął tą razą udział. Na trzy strzały, raz trafił, i poprzestał na tém. U nas normalna liczba jest trzy razy trzy. Wystrzeliłem dwa średnie oczka w trójce i siódemce. Zygmunt w lekcyi wierszowania doszedł do poczucia uchem, bez liczenia na palcach, różnicy w ośmioletkowym wierszu, między średniówką na czwartej, a na piątej syllabie. On to zaraz przemienia na miary łacińskie, które umie doskonale na pamięć; do czego ja ani w szkołach, ani potem, dojść nigdy nie mogłem i nie mogę. Co nauczę się dzisiaj, to zapominam jutro;— podobnie jak i chronologii historycznej. A co najgorsza, to że wprost uchem bezwzględnie nigdy nie wiem z pewnością, która *krótka*, a która *długa*. Zygmunt jednak ma ucho bardzo muzykalne i gra ślicznie walca Webera; ale też nic więcej. Jest to owoc nauki i pamiątka pani Amelii Z. Adamowi ten walec także coś przypomina, a gra Zygmunta tak mu się

podobała, że go prosił o *bis*. Działo się to w salonie hotelowym, gdzie jest mały fortepianik, na którym każdy z gości grać może, i gdzieśmy przed obiadem byli tylko sami. A muszę też nie zapomnieć, że nasz faworyt Lintner pojednał się z Adamem. Jak to przyszło, ja nie wiem. Dość że wracając z Aarmühle, zastaliśmy ich gadających z sobą przed domem. Teraz Lintner powiada, że „to dobry pan; much w nosie nie ma, ale tylko żyje jak przez sen.“—Adam zaś, któremu już przedtém o konceptach jego mówiłem, przyznaje, że to „rozumny człowiek.“—Tak tedy dzień dzisiejszy zszedł tu nam całkiem na domowym pożyciu. A nadto jeszcze Zygmunt namachał po swojemu, od razu, sążnisty rapsod filozoficzno-poetyczny, o spotykaniu się po śmierci dusz kochających się za życia. Jest tam wiele tych samych myśli, które wyszły już na jaw w onegdajszej rozmowie w Thun; i pewny jestem, że Zygmunt umyślnie ją wtedy wywołał; bo mówi, że go ten przedmiot zajmował od dawna. Adamowi jednakże pokazać go nie chce, i prosił, żeby o tém nie mówić. Ja też chciałem, i nawet postanowiłem był nie mówić wam nic dzisiaj o zewnętrznych widokach. Ale czuję, że niepodobna choć nie wspomnieć przynajmniej o *Jungfrau*, którą ztąd, była chwila, żeśmy doskonale widzieli. Wszystko dokoła było we mgle i w chmurach; nad nią jedną świecił błękit pogodny. Na tém tle, jój okrągły, gładki, śniegiem okryty wierzchołek, połyskujący od promieni słońca, zdawał się jak ze srebra ulany. Jest ona właśnie królową *Lauterbrunu*, dokąd jutro

na noc dójść mamy. Na dziś zatém w Interlaken—
dobranoc!

20 Sierpnia, godz. 6 rano, jeszcze Interlaken.

Niech żyje xięgarz z Aarmühle!
Pogoda śmieje się mile.
Na górach odblask słonecznych łun,
Wietrzyk łagodny, ciepły—a więc,
Choć nam pamiętne jezioro Thun,
Znów się puszczamy dziś na Brienz.
I gdy wy śpicie w najlepsze w izbach,
My płyniem widzieć wodospad *Giessbach*,
Grzmiący, gdzieś w górach echem piorunu.
Napiszę o nim już z *Lauterbrunu*.

Godzina 11 w wieczór. Lauterbrunnen.

Cały dzień śliczny i ślicznie użyty. O 7-ój jużesmy się kołysali na lekkich falach Brienzu, krótszego, chociaż nieco szerszego od jeziora Thun, ale również jak ono otoczonego górami, wśród których śnieżysty *Susten* i skalisty *Triften* królują. Wieś *Iseltwald*, na nagich, pietrzących się skałach; malownicze ruiny zamku *Ringgenberg*; zapieniona *Lüczina*, wpadająca z boku w jezioro, i schludne miasteczko *Brienz*, na równinie w końcu jego leżące: oto i wszystkie ciekawości nadbrzeżne, na które zresztą nikt bardzo nie zważa, płynąc wprost na widzenie *Giessbachu*. Ze

wszystkich kaskad, jakie dotąd widziałem, ta istotnie jest najpiękniejsza. Z czeluści czarnej, niebotycznej skały (*Schwarzhörn*), o 8,600 stóp nad powierzchnią morza, a o tysiąc kilkaset nad poziom jeziora wzniesionej, szumiący, gwałtowny potok wypada nagle szerokiém korytem, i spadłszy najprzód stromo z wysokości 400 stóp, roztrąca się o najeżone głązy, i tuż zaraz w dalszą otchłań zapada. Takie jest pierwsze piętro kaskady. A pięter podobnych jest siedem, nim się od szczytu do jeziora dostanie. Przy spływie z drugiego na trzecie, spad w całej swojej szerokości tak się jakoś w obłęk zagina, że można pod nim bezpiecznie przejść z jednej strony na drugą, i jak przez szklaną szybę czy zasłonę, patrzeć przezeń na okolice, co stanowi prawdziwie czarodziejski widok. Na dalszych piętrach lasy, lub zielone łąki, tworzą jakby ramy kaskady, wśród których ona sama, to pieniać się i hucząc w kamienistém łóżysku; to prac się i przedzierając przez ciasne otwory w skałach; to rozpryskując się o nie w krople brylantowego deszczu, lub w mgłę białą, umalowaną tęczmami: coraz to w inny sposób oczy patrzących dziwi i zachwyca; aż nakoniec wielu strugami, z łoskotem do jeziora się wlewa. Wdzieliśmy to wszystko i z góry i z dołu; i upojeni tém duchowém wrażeniem, dla pokrzepienia téż sił mdłego ciała, znowuśmy tą samą drogą, to jest płynąc jeziorem, na obiad do Interlaken wrócili.

Ale nie długi był tu odpoczynek. Wprost od stołu, o trzeciej z południa, puściliśmy się znów na lądową, niemniej cudną od wodnej, pielgrzymkę do wsi

Lauterbrunnen, przez wąwóz tegoż imienia: p. Jakubowski i Lintner powozem, a my we trzech *per pedes Apostolorum*. Droga ta, wynosząca dobrą milę naszą, zabrała nam trzy godziny czasu; nie żebyśmy odpoczywali, ale że trzeba było zatrzymywać się prawie co chwila, dla admiracyi albo podziwu nad zgrozą, okropnością, dzikością, a jednak zawsze malowniczą pięknnością widoków, któremi to przejście jest sławne. Ogromne, nagie, stromo ścięte skały, od 400 do 500 stóp wysokości mające, zalegają je cieniem z obu stron, a że przytém jodłami porośłe, wpośród dnia nawet szerzą zmierzch wieczorny. Niezliczona ilość potoków, źrójów, strumieni, strumyków, to z wierzchu, to z pod spodu gór, huczy, szemrze lub bełkoce jak w garnku, łącząc się z głośnym szumem płynącej śródkiem *Lücziny*, do której wszystkie wpadają, i nad którą droga wciąż idzie. Od tej to mnogości tych wód samo miejsce bierze nazwisko; *Lauterbrunnen* bowiem po niemiecku, znaczy: *same źródła*. Piękniejszej okropności trudno znaleźć na świecie; do fizycznego zaś od niej wrażenia, zaraz na wstępie usposabia moralne. Kamień zwany „kamieniem złym, czy złego,” (*Boesenstein*), nosi napis, że w tém miejscu Freyherr, v. *Rothenflue* zamordowany został przez własnego brata. Wypadek ten, i sam pozór doliny, nasunęły mi jakoś myśl przyrównania jój do ballady, a to słowo bez myśli rzucone, stało się jakby ziarnem dalszej, nadzwyczaj interessującej rozmowy. Rzecz od ballady przeszła na romantyczność, a od niej, do poezyi w ogólności. Zygmunt był w osłupieniu; a ja

nie mogłem nieraz wstrzymać się od śmiechu, słysząc jak koryfeusz romantyczności naszej, wyśmiewał albo gromił to właśnie, o co jego samego klassycy Warszawscy posądzali i oskarżali najbardziej. Czułem dobrze, że się to wszystko mówi pod adresem Zygmunta, aby mu dać wyobrażenie prawdziwe o naszym romantyzmie Wileńskim, z którego, tak stronnicy jak i przeciwnicy Warszawscy, wytworzyli sobie zarówno dziwoląga: jedni swawolę biorąc za swobodę, a drudzy w téj właśnie swawoli upatrując główną zasadę szkoły romantycznej ¹⁾). Otóż Adam mówił szeroko, że wyzwolenie się z pod ciasnych formułek pedantów, albo z dowolnych więzów narzuconych przez modę, nie znaczy wcale pogardy odwiecznych praw zdrowego rozsądku, dobrego smaku i przyzwoitości, tak w myślach, jak wysłowieniu; ale tylko, że istotną zasadę romantyzmu stanowi możność i wolność studyowania prawdy nagięj, z odrzuceniem jęj draperyj czasowych; jak rzeźbiarz z nagiego modelu uczy się budowy ciała, nim je potém sam w dziełach swoich sto-

¹⁾ Jak dalece pod tym względem dotychczas, po upływie połowy wieku, wyobrażenia te jeszcze nie dojrzały, dowiódł niedawno głośny w swoim czasie artykuł, p. t. „*Romantyzm i jego skutki*,” umieszczony w *Ateneum* z m. Kwietnia 1876 roku. Miał on wszakże dobry ten skutek, że wywołana przezeń polemika, musiała się jużciż przyczynić do rozjaśnienia prawdy w tym przedmiocie. W tym téż celu przytaczamy tutaj w przypisie i w skróceniu, jedną z tych polemicznych odpowiedzi, umieszczoną w *Kronice Rodzinnej*, z m. Lipca tegoż roku 1876.

(P. A.)

sowną draperyą okryje. Jeżeli zaś tak zwany *klasyczny* ideał, możnaby sprawiedliwie przyrównać do *manekina*, na którym krawcy i modniarki przymierzają nowo zrobione suknie i kapelusze; to tém mniej można brać za ideał, żywych *maniaków*, którzyby gwałtowne gesta lub kontorsye w twarzy, chcieli udawać za dowód większej siły uczucia. W ogóle, całe to balladyczno-romantyczne przejście w literaturze naszej, Adam téż przyrównywał do tego Lauterbruńskiego wąwozu, pod tym względem, że jak on, choć sam chaotyczny i dziki, prowadzi przecież do widniejszej na końcu najpiękniejszej z Alp góry Jungfrau: tak i obecna poezya romantyczna u nas, ma również w perspektywie poezya narodową, jaką była w starożytności poezya grecka, a jaką w wiekach średnich wstrzymało lub skrzywiło ślepe naśladownictwo poezyi starożytnej. Zygmunt porwał to porównanie, i przedłużając je dalej, a mianowicie Jungfrau uważając za Parnas, w słowach pełnych szczerego zapału *Wallenroda* na szczycie jego postawił. Tu znowu nastąpiła osobiwsza scena. Adam bez cienia fałszywej skromności, bronił się na seryo od tego zaszczytu, i sam wykazywał usterki, które w dziele swém upatruje. Zygmunt jednakże nie dał się przekonać; a potem przede mną wieczorem, strzelając z pistoletów, nie miał dość słów na uwielbienie Adama, nie tylko już jako poety, ale jako człowieka. Smutnie przytém zaprawdę wyglądała cała galerya klasyków i literatów Warszawskich, którąśmy także myślą przebiegali z kolei, nie żałując jużciż farb i przycisku pę-

dzła, na malowanie ich portretów z natury. Alić kiedy znów przy herbacie Zygmunt wszczął ten przedmiot rozmowy, Adam raptem wystąpił w ich obronie, usprawiedliwiając—nie sądy, ale powody ich sądów. Pan Jakubowski podzielał toż zdanie, nie tając przytém admiracyi swojej dla téj bezstronnej, jak ją nazywał, sprawiedliwości Adama. A że mnie to niecierpliwiło, i śmiało także wyrażałem co myślę: skończyło się nareszcie na tém, że na mnie spadła rola ofiarnego kozła, to jest, że jak tyle razy w Warszawie klassycy łajali mię za Adama, tak on teraz wyłajał mię za nich. Pożałujcież mnie wy przynajmniej! Miałem wprawdzie nieodstępного sprzymierzeńca i obrońcę w Zygmuncie, i nawet sam p. Jakubowski stanął w końcu po mojej stronie. Cała zaś ta dysputa była tego rodzaju, żeśmy się wszyscy do rozpuku naśmiali.—Dobranoc!

21 Sierpnia, godz. 11 w wieczór. Lauterbrunnen.

Dziś z téj strony wąwozu odegrała się w Lauterbrunnen scena, którą gdyby na jakim kamieniu napisać, kamień ten słusznie nazwaćby można było *dobrym* (*Gutenstein*), i postawić go jako *pendant* i kontrast z owym *złym* (*Boesenstein*), od strony Interlaken. Tam brat przez zazdrość zabił brata-rywala; tu dwaj obcy, przez wspólną admiracyą dla *jednej*, u stóp jej braterską sobie wzajem ślubowali przyjaźń. Nie prawdaż, że rzecz warta napisu? i zapewne ciekawi

jesteście, do czego to się stosuje. Otóż tymi bohaterami byliśmy ja i Zygmunt, a tą wspólną kochanką—Jungfrau. Opowiem to z kolei, bo rzecz się działa dopiero o zachodzie słońca.

Tymczasem, zaledwie weszło, (a wschód był dziwnie pogodny), poszliśmy widzieć zblizka sławną tu-tejszą kaskadę *Staubbach*, widną nam już z ganku oberży, a leżącą w dalszym ciągu Lauterbruńskiego wąwozu, któryśmy aż do końca przebiegli. Nazwisko swoje *Staub*, (kurz, pył), bierze od podobieństwa do białej mgły albo pary, w którą się woda na powietrzu rozprasza, spadając zda się leniwo z wysokości 800 stóp. Widziana z przodu, podobna jest do powiewnej muślinowej zasłony, którą lada wiatr w różne strony kołysze; a jeśli jest nieco silniejszy, deszczem uniesionych jęj kropel skrapia szeroko pola okoliczne.

Dalszy ciąg tego wąwozu, lubo nie mniej dziki i malowniczy niż początek, nie miał już dla nas dzisiaj tego powabu nowości, co wczoraj; i kiedy zwłaszcza przyszło wracać tą samą drogą, jak z polowania do domu: sądzę, że każdy z nas, jak ja w duchu, zazdrościł p. Jukubowskiemu, który jechał konno na mule. Był wprawdzie i muł drugi, najęty jużciż dla Zygmunta, ale który, (t. j. muł), gdy ani on, (t. j. Zygmunt), ani z nas żaden, (ja wprost dla wstydu), wsiąść na niego nie chciał, szedł sobie większą część drogi luzem; aż nakoniec spocony i zadyszany Lintner, zrobiwszy najprzód uwagę, iż się ludzie będą z nas śmieli, że muł idzie bezużytecznie, dosiadł go, za ogólném upoważnieniem naszym, i sam przez to

w dobrym humorze, bawił nas w drodze swemi konceptami. — Cała ta wycieczka zabrała nam siedem godzin czasu. Celem jój ostatecznym była wioska *Trachsel-lavinen*, w samym końcu wąwozu, sławna widokiem na Jungfrau i na całe dalsze pasmo Alp, których szczyty i kształty, przy dzisiejszej pogodzie, rysowały się jasno na tle przeczystego błękitu. Po drodze widzieliśmy zdaleka dwie jeszcze wielkie kaskady, oprócz niezliczonych pomniejszych: *Murrenbach* i *Schmadribach*; obie w rodzaju Staubbachu, ale że pewnie nie piękniejsze od niego, nie było po co fatygować się do nich bliżej.

Zygmunt tak jest oczarowany wczorajszą zwłaszcza rozmową Adama, że o niczem inném, (wyjawszy, ma się rozumieć, Miss Harry), przez dzień cały ze mną nie mówi; a tak się czuje, (jak mówi), „rozpoetyzowanym“ w duszy, że omal nie śmiałby powtórzyć sam o sobie z Correggiem: „*Anch'io*.“ Ja z głębi przekonania zapewniam go, że się nie myli; chociaż z dotychczasowych lekcyj wierszowania nie mogę z pewnością zaręczyć, czy poezya jego będzie w rymach i miarach wierszowych ¹⁾. Ale po takim przez dzień cały usposobieniu myśli i serca, nie dziw, że ich poezya wewnętrzna ogarnęła go widać całkiem; i kiedy

¹⁾ To też nie mogę tu nie wspomnieć, z jak radosnym podziwem, o wiele lat później, czytałem pierwszy utwór rymowany autora „*Nieboskiej*“, który nawet pod względem harmonii wiersza, liczy się słusznie do arcydzieł poezyi naszej.

(P. A.)

wypocząwszy po dziennéj wycieczce i po odbytej wesoło lekcyi strzelania, poszliśmy we dwóch tylko pa-trzeć z okna na zachód słońca na Jungfrau, objawiła się nagle wylewem, a raczej wyznaniem uczuć jego dla mnie: od piérwszój chwili poznania w Warszawie, kiedy był jeszcze wpół dzieckiem, a zawsze mógł śmiało przede mną mówić wszystko, co myślał; aż do chwili dzisiejszój, w którój głównie pośrednictwu mo-jemu wspólną tę naszą podróż i bliższe poznanie się z Adamem zawdzięcza. Wszystko to było wypowie-dziane tonem raczej poetycznéj improwizacyi, niżeli zwyczajnéj rozmowy, i przeto téż i na mnie nie po-wszednie zrobiło wrażenie. Stanęła mi przytém w pa-mięci tyloletnia, a więcéj niż uprzejma dobroć jego ojca, z jaką mnie nieznanego od razu w Warszawie przygarnął i przez cały ciąg mego pobytu nigdy mi jój okazywać nie przestał. Uczucie to wdzięczności dla ojca, którego on namiętnie kocha, podnieciło go jeszcze bardziéj; i koniec końców nareszcie, ściskając się jak kochankowie, ślubowaliśmy sobie formalnie w obec Jungfrau, przyjaźń wzajemną „aż do śmier-ci.“—Dotąd jeszcze tak tém jestem wzruszony, że jak o wyznaniu kochanki, Adamowi nic nawet nie mówi-łem o tém, i wam tylko piszę zdaleka.

Ależ bo i sam ten zachód na Jungfrau, bez za-dnych nawet usposobień poprzednich, mógłby łatwo wywołać z serca każde lepsze uczucie, skoroby ono w niém było. Nad całym pasmem Alp niebo jasne; jój tylko jednéj wierzchołek okryty, czy uwieńczony, jakby złotym obłokiem. Obłok ten rzednieje powo-

li—i szczyt jój przezroczystej białości, najprzód jak srebrny sierp nowiu, i wnet potem jak sam xieżyc u wschodu, wznosi się i rośnie nad nim, purpurowym blaskiem słońca oblany. Tak na Horebie, w krzaku gorejącym, objawiła się snąć oczom śmiertelnym obecność Mocy Bożej. I nie jako czyzy frazes, myślę, czyję i piszę w tój chwili: Cześć i dzięki niech będą Panu, za wszystkie cuda świata, i za dzień dzisiejszy!—

22 Sierpnia. Niedziela, godz. 9 w wieczór. Grindelwald.

Odczytując ostatnie słowa wczorajsze, widzę, że musiałbym chyba z gruntu nastrój myśli przemienić, ażeby się stosował do *dzisiaj*. Miejsce extazy zajęłaby w nich rezygnacya. Mielśmy widzieć najpiękniejszą panoramą Oberlandu, opłacające trud długiej, uciążliwej podróży pieszej, z Lauterbrunnen do Grindelwald, przez *Wengern-Alp* i *Mały Scheideck*, (około 4 mil naszych, a przeszło 8 godzin drogi); tymczasem, z powodu coraz gęstszej mgły i chmur, chociaż bez deszczu, niceśmy prawie nie widzieli. O 8 rano, wstąpiwszy najprzód do kościoła w Lauterbrunnen, puściliśmy się w drogę zwykłym naszym taborem: p. Jakubowski i Lintner na mułach, my zaś we trzech piechotą. Droga stroma i przykra pod górę, idzie najprzód wśród pastwisk i szaletów pasterskich, panując

nad całą doliną Lauterbruńską. Góry, których z niej zgoła dójrzyć nie można, wznoszą się tu do ogromnej wysokości, i widać na nich wyższe spadki *Staubbachu*, nim się zrzuci z ostatniej skały. Tu właśnie ma się zaczynać owa najpiękniejsza część drogi, i tu właśnie spotkała nas i owiała dokoła gęstą, białą chmurą, w której nic dalej nad sto kroków nie widząc, doszliśmy we cztery godziny do szczytu góry Wengern-Alp. Zawiedzione *rendez-vous* nie mogłoby nas boleć więcej, jak że będąc tuż prawie naprzeciw Jungfrau, i z kąda ona podobno najlepiej się wydaje, widzieliśmy ją tylko niekiedy, jak mniszkę za kratą w welonie; aż nakoniec, jak w klasztorze *Trenta Trè* w Neapolu, z za mgły tylko słyszeliśmy jej głosy, to jest, rozlegające się głucho w powietrzu echo spadającej tu i ówdzie lawiny. Dobrze, że przecież na pociechę w obozisku mieliśmy towarzystwo dwóch jakichś młodych i ładnych Angielek, które z ojcem i z młodszym bratem, z Grindelwald do Lauterbrunnen konno na mułach jechały. Bawiliśmy je, jak mogli, z Zygmuntem, a i nas samych dość to zajmowało. Ojciec zaś, bardzo jakiś poważny *gentleman*, ze starszymi naszymi rozmawiał. Po godzinnym spoczynku i po wspólnym śniadaniu w szalecie, zwanym oberżą, rozstaliśmy się z niemi bardzo życzliwie, i przy odjeździe, jak odpływające okręty, pożegnaliśmy je salwą z pistoletów; sami zaś, pnąc się ciągle pod górę, za godzinę byliśmy na szczycie *Małego Scheideku*, z kąda już droga zaczyna iść na dół. Samo jego nazwisko wskazuje, że musi coś oddzielać od czegoś.

Otóż dzieli on państwo *Mnicha* i *Dziewicy*, (*Mönch* i *Jungfrau*), królujących w Lauterbrunnen, od państwa Trzech Olbrzymów, (*Eiger, Mettenberg, Wetterhorn*), panujących nad doliną Grindelwaldzką, i sięgających aż do niej ramionami dwóch ogromnych swoich *gleczerów*. Zimny i przenikający wiatr od nich, rozwiewając mgły na dolinie, dał już nam ją widzieć z *Scheideku*. Podłużna, okrągława, szersza od Lauterbruńskiej, ale niemniej pusta i dzika, nie dorównywa jej wszakże w malowniczości i piękności widoków. Wieś *Grindelwald*, gdzieśmy we dwie godziny z góry, o 5 już na noc stanęli, ma być najwyższym w Europie przez ludzi zamieszkanym punktem, (1525 stóp nad powierzchnią morza). Oberża wcale niezła, pod *Niedźwiedziem*. (Dolina ma dwie mile naszej długości, a $\frac{3}{4}$ mili szerokości).

Do partykularności dzisiejszej podróży naszej należy jeszcze dodać: że jako na wielkim trakcie turystów, zwiedzających Alpy Berneńskie, spotykaliśmy w przeróżnych kształtach przemysł i chciwość Szwajcarską, wyzyskujące kieszeń cudzoziemców. Od starców i małych dzieci, głośnym krzykiem żebrzących jałmużny, do młodych dziewcząt i chłopców, podających w milczeniu jagody, kwiaty, lub pokazujących bobaki; od kobiet wcale nieźle ubranych, śpiewających przy dźwięku gitary, do ślepych i nieslepych grajków na fletach, trąbach, kobzach i dudach pastuszych; wszystko to, jak słupy wiorstowe, garniruje całą tę drogę, i częściej swoim natręctwem wstręt i złość raczej, niż litość obudza. My dawaliśmy tylko ślepych,

albo *które* się naszym oczom podobały; uszy bowiem, po większej części, nie miały być za co wdzięczne. Humor sprzyjał nam doskonale, tak, że prawie znużenia nie czujem. Prawda, żeśmy się trochę przespali po obiedzie; a teraz idę na wspólną herbatę. NB. Kellner w oberży zapowiedział nam patetycznie, że podług obserwacyj miejscowych: „wiatr dżdżysty walczy właśnie o jutro z pogodnym; *mais que l'issue du combat* waży się jeszcze na dwoje.“—Życząc więc całém sercem zwycięstwa pogodnemu, życzę zarazem i wam dobrej nocy.

23 Sierpnia, godz. 11 w wieczór. Meyringen,
(Ober-Hasli).

Dyaryusz dzisiejszy, czuję, że będzie dla mnie nie mniej trudny jak droga, po której jednak chcę was przeprowadzić. Wiatr *pogodny* zwyciężył w nocy, i obudził nas w Grindelwald rażący blask słońca. Obejrzawszy przy nim dolinę, ruszyliśmy na jeden z gleczerów, zwany *większym*, i mieliśmy tam cudowne, nigdy niezapomniane: widok i wrażenie. Tworzy je najprzód sam gleczer, najeżony piramidami lodów olbrzymich, połamanych w najdziwniejsze kształty, a błyszczących, jak gdyby gorejących od słońca. Jest to gałąź największej w całej Szwajcaryi przestrzeni lodów, zwanój i tutaj, jak w Chamouny, *Morzem*, a mającej 13 mil naszych kwadratowych

powierzchni, która się od stóp Wetterhornu, śród gór różnych, aż do Grimsel rozciąga. Ale w głębi to tego gleczeru jest dopiero widok nad widokami. Najprzód ogromna przepaść, jakby grota w lodzie wykuta, na dnie której szumi wezbrany potok; potem, niedojrzana wzdłuż okiem, jak wąwóz między czystym lodem szczelina, (gdzie równie jak do groty bez niebezpieczeństwa zejść można), przenoszą wyobraźnię w jakiś świat zaklęty, w jakieś zaczarowane gmachy z kryształu i drogich kamieni. Wyszliśmy też z nich jak oczarowani, i żadne *nadziemskie* ogromy gór i skał, śród których szliśmy dalej dzień cały, nie odjęły już pierwszeństwa temu, cośmy, jak *Nurek* Szyllera, w głębi *Morza Lodów* ujrzeli. Dopiero, gdy już przy końcu drogi ukazała się nam od razu prześliczna dolina Hasli, uśmiechnięta, zielona, kwitnąca; pełna kwiatów, drzew, gajów, strumieni; tchnąca wiosną, świeżością i wonią; prawdziwa córka ziemi, porwana tylko zda się i strzeżona przez dzikich Alpejskich olbrzymów; dopiero i my wtedy poczuliliśmy się znów synami ziemi, i przez braterskie współczucie dla téj jednéj, przypomnieliśmy też sobie i o innych pięknych siostrzyczkach. Cały zaś wieczór przegadawszy o nich, mam nadzieję, że ja i Zygmunt zaśniemy dziś marząc mile—nie koniecznie o zimnych lodach, lub o skałach twardych.

Ale nimeśmy doszli do doliny *Hasli* i do jéj stolicy *Meyringen*, gdzie właśnie noclegujemy, a co nam osiem godzin czasu zabrało; potrzeba było wdrapać się najprzód i przejść przez *Wielki Scheideck*, *Oślim*

Grzbietem inaczej zwany. Jest to wazki a długi grzbiet skalistego pasma, z kąd widok sięga wstecz aż do Lauterbrunnen, a naprzód aż do *Grimsel*, i gdzieśmy odbywając popas, odbyli też i lekcya strzelania; przyczém Zygmunt, jak drugi Tell, jabłko na powietrzu rozstrzelił; a ja, nie chwaląc się, nieźle już trafiam w serduszka.

Schodząc już na dół z Scheideku, we trzy godziny doszliśmy do *Rosenlaui*, gdzie są lecznicze kąpiele Alpejskie, sławny gleczer tegoż imienia, i godne widzenia kaskady *Reichenbachu*. Dalej i coraz niżej, idąc wzdłuż i z biegiem téj rzeki, we dwie godziny ledwie dosięgliśmy nakoniec ziemi obiecanéj, to jest doliny Ober-Hasli, cośmy już, jak Izrael na puszczy, z wyższych gór przedtém widzieli. Mamy tu zabawić przez jutro, a więc i reszta o niej do jutra! Na dziś—dobranoc!

24 Sierpnia, godz. 9 w wieczór. Jeszcze Meyringen.

Aaa.... ach! To znaczy, że tak strasznie poziewam biorąc pióro do ręki, iż przewidując możliwy magnetyczny wpływ tego na was choć zdaleka, wolę o tém sam najprzód powiedzieć. Że zaś nie jest to ani skutek senności, ani fizycznego znużenia; gdyż dzisiejsze wycieczki nasze były tylko właściwie spacerem, a nie officyalném zwiedzaniem okolic; przeto nie mogę przypisać tego czemu innemu, jak chyba czytaniu z Zy-

gmuntem „*Queen Maab*“ Shelleya, a potem nader poważnej przez cały wieczór rozmowie, o krytyce i o moralności. A jednak były w niej rzeczy godne zanotowania, zwłaszcza dla nas, którym krytyka pewno nieraz dokuczy;—bo żeby dotąd bardzo dokuczyła, nie powiem. Zresztą ten rodzaj krytyki, jak ją Adam nazwał, *rogatkowej*, nie jest jeszcze najgorszą jej częścią. Bo chociaż recenzenci, jak strażnicy z żelaznemi prętami, poturbują, albo i pokolą, czasem nowe dzieło, jak furę wjeżdżającą do miasta, i krwi nieco autorowi napsują: to przecież, koniec końców, towar już gotowy znajdzie na rynku zawsze odbyty podług rzeczywistej wartości. Ale najgorsza i najniebezpieczniejsza sprawa jest z tą krytyką, niby mądrą, teoretyczną czy filozoficzną, za jaką się sama udaje, choć w gruncie rzeczy najczęściej jest tylko córką pychy i zarozumiałości pedanckiej. Ona to bowiem, nie mając pojęcia o tajemnicach natchnienia i twórczości autorskiej, wnioski swoje, z dzieł już dokonanych wysnute, spleta jakby w żelazny łańcuch formułek i prawidełek, i chce go, jako prawo, wszystkim na przyszłość narzucić. Dla ogółu jest ona bardzo pożądaną, bo uwalnia go od pracy myślenia, i gotowy już materiał do jęczycznej szermierki podaje. Ale dla wszystkich autorów czy artystów, dla natchnienia ich i twórczości, jest ona rzeczywiście zabójczą; bo albo je w zarodzie narzuconym z góry ideałem przygniata, albo przykuwa ich, jak jeńców, do tryumfalnego wozu ulubionego swego wybrańca, i każe im na zawsze naśladownikami tylko jego pozostać. Takim krytykiem

w przedmiocie rzeźbiarstwa, był np. sławny Winckelmann; i przeto największy z nowożytnych rzeźbiarzy, Kanowa, tak go serdecznie niecierpiał, że nie tylko dzieł jego nigdy nie wziął do ręki, ale i towarzystwa jego samego znieść nie mógł, tak, że podczas wspólnego pobytu w Rzymie, skoro go wchodzącego gdzie ujrzał, gotów był, choćby bez czapki, uciec przed nim drugimi drzwiami, byle go mówiącego o sztuce nie słyszeć. Zwykłą bowiem metodą krytyki tego rodzaju jest, uwielbiając bezwarunkowie jedno, poniewierać podobnież wszystkiém, co niém nie jest, albo co się różni od niego, a tém samém, odbierać przyszłym artystom wszelką śmiałość i otuchę, ażeby mogli inaczej, coś równie dobrego utworzyć. Jest to coś nakształt tego, jak gdyby kto za ideał świętości, bez uwzględnienia wpływu i stopniowego działania łaski Bożej w człowieku, postawił od razu największego jakiego ascetę, np. Symeona Słupnika, a wszelkie, nie dorównywające mu objawy pobożności, miał za nic. Komużby nie odpadła ochota być świętym, lub ktoby zamiast nadziei, coby go pokrzepiała w drodze do doskonałości, od razu już w zwątpienie i rozpacz nie popadł? A pięknażby to była wiara w narodzie, gdyby wszyscy, admirując Słupnika, sami pacierzy nawet mówić zaprzestali? Otóż poezya i pod tym względem ma podobieństwo do wiary. Skoro jest szczerą i żywą, w każdym, choćby najdrobniejszym objawie, zasługuje na równe współczucie; jak każdy, choćby najmniejszy obrazek, słusznie jednak nazywa się *świętym*, skoro tylko w modlących się przed nim,

uczucia pobożności rozbudza; jak każdy, choćby najmniejszy kwiatek, skoro kwitnie i pachnie, lepiej może dać poczuć wiosnę, niż najpiękniejsza róża z papieru lub wosku.— Słuchając téj pocieszającej dla nas teoryi Adama, posłyszałem zarazem u okna brzęk jakiegoś owadu, nakształt czmiela, i złapawszy go, (NB. przez rękawiczkę, bo się bałem inaczej), wykrzyknąłem, jak Gustaw w *Dziadach*: „A tuś mi, panie krytyku!” i przyniosłszy go do stolika, improwizowałem dalej, z myślą o Osińskim:

Patrzcie! ten czarny, kosmaty,
Z żądłem z pyska wysuniętém,
Możeż i on był przed laty
Krytykiem, czy recenzentem.
Na każdą sławę się dąsał,
Każdego, kogo mógł, kąsał,
Ze wszystkiego drwił,
Sam miód, wino pił,
I umarł jak żył.

No! a więc czego wart?

Niech go tam łowi czart,

Jaskółka, czy mysz!

Ja okno otworzę—

„Precz od nas, nieboże!

A kysz, a kysz!”

I otworzywszy lufcik, wypuściłem go na wolne powietrze. Śmiech wywołany przez to *Intermezzo*, ośmielił mnie i zachęcił, iż wyłożyłem i ja też Zygmuntowi teorią moję o kształceniu się poetyckiem, opartą całkiem na słowach Adama. A najprzód: „Miej serce i patrzaj w serce!” — to znaczy, w istotę i prawdę

wszech rzeczy. A przez cóż, jeśli nie przez oczy, mogę tylko zajrzeć w głąb serca ludzi? A przez cóż, jeśli nie w słowach przez usta, możemy się o ich myślach dowiedzieć? A że poezya, prócz Prawdy, ma jeszcze na celu i Piękność:—a więc wniosek najspawiedliwszy, że patrzeć w piękne oczki, a „*śłuchać, słuchać, słuchać*,” co mówią piękne usteczka, korzystniej jest dla poety, niż studyować Estetykę Buterwecka; i że warto im przeto najczuliej jak można: *dziękować, dziękować, dziękować*. Adam za tę moję teorią chciał mię zaraz pokrećić za ucho; ale co Zygmuntowi, to tak się podobała, że aż pan Jakubowski przestraszył się widocznie, aby jój na seryo praktykować nie zechciał. I ztąd wywiązała się znowu rozmowa o moralności, którą szanowny Mentor Zygmunta sam mianowicie zagajał; i kto wie, zali nie jój to właśnie skutkiem było to straszne ziewanie, od którego list dzisiejszy zacząłm. Żeby się więc nie powtórzyło, śpieszę was wyprowadzić na świeże powietrze.

Dolina Hasli, dziś przy wschodzie słońca, podobała nam się jeszcze więcej, niż wczoraj przy zachodzie. Cała jak w brylantach od rosy, rozlegała się śpiewem ptasząt, (co w górach nie często się zdarza). Ryki, beki, brzęk dzwonek, krów i owiec pędzonych na paszę, zlewały się z ciągłym szumem Aary, przerzynającej wzdłuż całą dolinę, i mnóstwa kaskad spadających do niej. Najpiękniejszą z nich jest ostatni spad *Reichenbachu*, mogący iść o lepsze z *Giessbachem*. Cały potok, zabelony pianą, wypada z ciasnego otworu skały, i lecąc w przepaść, roztrąca się

z łoskotem o sterczące dokoła głazy. Skaliste pasmo góry *Kirchet*, przelegające wszerek całą dolinę, dzieli ją na dwie połowy: *Ober* i *Unter Hasli*, i tworzy w środku dziki, malowniczy wąwóz, zwany *Finstere Schlauche*, w którym Aara, w głębokości 150 stóp, wre i pieni się w ciasnym, skalistym łożysku. Z wierzchu tych skał, wzrok ogarnia całą dolinę, otoczoną dokoła górami, z miasteczkiem Meyringen w środku, i gęsto zasianą domkami, których płoty, podobne do naszych, szkodzą nieco ogólnej malowniczości widoku. Ubiór kobiet przypomina nasze żydówki, a „kot“, jak mówi Lintner, „bardzo łagodny, i gardła nie drapie;“— i ztąd też bodaj, że go dziś sobie do poduszki przylaskał.— *A propos* kota:— Szukając stosownego miejsca dla naszych ćwiczyj puszkarskich, chodziliśmy długo z Zygmuntem; a jakieś małe kozłatko przyplątało się do nas, i biegło w ślad za nami jak piesek, nie dając się wszakże pogłaskać. Dopiero gdyśmy rozpoczęli strzelanie, uciekło od nas, becząc przeraźliwie.—Nic więcej ciekawego do dodania nie mam. Jutro rano ruszamy dalej—a więc tymczasem, dobranoc!—

25 Sierpnia, g. 10 w wieczór. Grimsel, (*Hospitium*).

Dwa najsprzeczniesze bieguny: raj i pustynia, życie i śmierć—oto są, w porównaniu z sobą, dolina Hasli i góra Grimsel, zkad wyszliśmy dziś rano o ósmój, a dowlekliśmy się tu ledwo o szóstój, po dziesięciogodzinnej pielgrzymce. Opisywać jój krok

w krok nie myślę. Dość, że minawszy ostatnią wieś w Hasli (*Guttanen*), weszliśmy, jak Adam z raju, w świat nowy: świat pokuty, dzikości, zgrozy, to jest od razu w wąwóz ciasny, mroczny, ponury, między nagimi, ostremi skałami; ogłuszający łoskotem, nie już tylko szumem Aary, wracając i pieniącej się gdzieś w głębi otchłani, a przez którą po razy kilka z brzegu na brzeg przechodzić trzeba, (ma się rozumieć, po mostach), aby albo bezdenną przepaść, albo niedostępną górę ominąć. Sama droga, wijąca się po stoku gór, i wciąż pod górę, a brukowana niby kamieniami, w kształcie wschodów, wymaga największej baczności, aby z niej gdzie karku nie skreślić. Uprzyjemnialiśmy więc ją sobie jak mogąc, to konceptując z Lintnerem, jadącym równie jak p. Jakubowski na mule; to strzelaniem z pistoletów dla echa; bo o porządną rozmowę ani myśleć nie można było. Tym sposobem, około trzeciej po południu, doszliśmy i dojechali do *Handeck*. Jest to góra z nędzną oberżą, a raczej prostym szaletem, sławna kataraktą rzeki Aary, porównywaną w „Przewodniku Podróżnych,” z kataraktą Renu w Szaffuzie. Od opisu jej uwalnia mię Zygmunt, który tamże na miejscu, ołówkiem w moim dzienniczku, napisał co następuje:

Spadek Aary.

„W potrójną przepaść połamana skała, dźwiga na sobie sypiące się Aary potoki. W około dzika pustynia; nagie skały, ciemne sosny, mech szary. Fale rzeki skaczą po urwiskach, łamią się na ostrzach,

i zaokrąglenie wody płynnej straciwszy, w zdruzgoną zamienione pianę, ulatują w powietrze, opadają z szumem, przedzierają się przez zapory z rykiem, i z niezmiernej wysokości lecą w głąb czarnej otchłani, gdzie błyszczące z tęcz śmigają wieńce i wiązki z światła igrają. Zdaje się patrzącemu, że ogrom spadającej wody wszystko za sobą porywa; że twarde łono góry, po której płynie, drży pod jej popędem. Huk piorunu, przemijający na niebie, tu trwa ciągle i w każdej panuje chwili. Krople, oderwane od bałwanów Aary, kołują po przestrzeni, to raz zamglewają powietrze, to znów w lśniącej się chmurze uciekają z korytem. Trzy mosty, zawieszone nad trzema przepaściami, zaginają się w wątle łuki, i drżą od gwałtowności i szumu potoków. W głębi para, z roztrzaskującej się rzeki, snuje się po jarze i po ścianach skały, jak kłęby dymu. Zewsząd sterczą głazy o rozmaitych kształtach; wiją się po nich krzewy i rośliny; a burza nieustanna, pokrapia je mgłą świeżą. I tak płynie straszliwa Aara — z łoskotem piorunu i szybkością awalanszy.“

Przypatrzywszy się temu wszystkiemu z góry i z dołu, i dodawszy do tego łoskotu kilka pistoletowych wystrzałów, puściliśmy się dalej coraz dzikszą drogą. Wszelka wegetacya ustaje powoli. Gdzie nigdzie tylko karłowate sosny, nakszałt naszych jałowców, albo plamy mchu, nie murawy, czerwienią się po nagich skałach, a tak gładkich i pozaokrąglanych, jakby je kiedyś spadek wód oszlifował. Na

jednej z nich po nad drogą, szerszej od innych, i mającej kształt głowy kapusty, postrzeegliśmy parę krzaków dzikich róż alpejskich, (*rododendronów*), i lichopokusiło mnie i Zygmunta, aby je zerwać, dla posłania do Londynu i do Dziewiętni. Wdrapaliśmy się więc jako tako, chwytając się za gałęzie sosenek, a wyszukując mchu, albo szczeliny, dla bezpiecznego postawienia nogi. Ale gdy przyszło schodzić z drugiej strony—ani sposób! Dowiedzieliśmy się potem, że miejsce to jest powszechnie znajome, i nawet sławne, najprzód temi swemi różami, a potem tém fatalnym zejściem, które się przeto „złą stroną“ (*böse Seite*) nazywa. Cały zaś ten pagórek, z gładkiego granitu, nosi nazwę „ślizkiego“ (*hähle Platte*). Ślizkość ta i okrągłość są tego rodzaju, że najzręczniejszy akrobata, sam nawet ów *człowiek-mucha*, co chodził w Wilnie do góry nogami po suficie w teatrze, tuby się pewnie na łeb na szyję do góry nogami przewrócił. Zaczęliśmy więc wołać o pomoc jadących dołem towarzyszków naszych, którzy, co prawda, odradzali nam tę wyprawę. Nie miło nam to było—ale wstyd musiał ustąpić potrzebie. Oni także nie wiedzieli co począć. Szczęściem, że był z nimi właściciel mułów, służący nam razem i za przewodnika w tej drodze. On więc, współ z Lintnerem, wdrapawszy się póki można było od dołu, kazał nam ześlizgać się w postawie siedzącej, opierając się i jakby wiosłując rękami, a sterując się nogami w ten sposób, iżby się gdzieś o jakiś krzak sośniny zahaczyć. Żegluga ta z odpoczynkami trwała przynajmniej minut z dziesięć, aż nas oni sami na koniec

w objęcia swoje przyjęli, i już pionowo dalej sprowadzili na dół. Oczekujący tam p. Jakubowski z Adamem, nie mniej, a może i więcej jeszcze niż my przestraszeni, spotkali nas—nie z radością, ale wcale nie z żartobliwą reprimandą, którą musieliśmy przyjąć z pokorą, poczuwając się rzeczywiście do winy. Później dopiero Zygmunt pocieszył się tą myślą, że sama ta awantura doda wartości kwiatom, gdy je wraz z jej opisem Miss Harry kiedyś odbierze. Spodziewam się, że i wy także przyjmiecie je z wdzięcznością, kiedy je w tym liście załączę; bo każdy dla każdego i każdej z osobną myślą zrywałem.

Około dwóch godzin jeszcze szliśmy najdzikszym z dzikich, wąwozem *Roeterichsboden*, nimeśmy stanęli u celu, to jest tu, gdzie jesteśmy i gdzie nocujemy. Nie jest to jeszcze sam szczyt góry Grimsel, ale tylko wśród jej skał nagich nędzna, drewniana oberża, nosząca szumny tytuł *Hospitium*. Wyobraźcie więc sobie kontrast i nasze wrażenie, gdy po takich bezludnych pustyniach i dzikościach, jakieśmy przez dzień cały przebywali, ujrzeliśmy się nagle w sali jadalnej, gdzie za stołem, porządnie nakrytym i zastawionym obficie, (bośmy właśnie na obiad trafili), siedziało grono gości: Niemców, Francuzów, Anglików, rozmawiających wszystkimi temi językami, o politycznych wypadkach Paryzkich. Osób było w ogóle 14, a między niemi dwie damy, Angielki. Wszyscy powitali nas bardzo grzecznie, a dwaj moi najbliżsi sąsiedzi u stołu, jakiś Anglik i Niderlandczyk, weszli zaraz z nami w rozmowę. Ten ostatni

powiedział nam właśnie, że i on na *hähle Platte* doznał podobnej przygody, jak nasza, i ztąd zawiązała się bardzo miła znajomość, tak, że chce jutro być towarzyszem naszym w dalszej drodze do Andermatt. Teraz zaś biedujemy wspólnie nad smutną perspektywą noclegu. Wszystkie lepsze izby zajęte. My wszyscy czterej mieścimy się w jednej, ciasnej, brzydkiej i zadusznój, ale co robić? Trzeba i w takiej powiedzieć przecież choć dla formy—Dobranoc!

26 Sierpnia, godz. 7 wieczorem. Andermatt.

Noc nie mogła być gorsza, z różnych przyczyn, martwych i żywych; ależ ranek dziś za to był tak śliczny, cichy, pogodny, a przytém nie gorący, że wszyscy w jak najlepszym humorze ruszyliśmy w dalszą drogę o 8-ój. Karawanę naszą, oprócz Niderlandczyka, powiększyło jeszcze trzech młodych Anglików, którzy téż wczoraj poznali się z nami. A że droga, zazwyczaj wązka, nie zawsze pozwalała iść obok: tworzyliśmy więc niekiedy nie lada szereg infanteryi, i to jakby pod uniformem, (w bluzach szarych, kapeluszach słomianych, i z białemi kijami w ręku), poprzedzony na czele kawalerją, w osobie p. Jakubowskiego na koniu, a zakończony obozem, w osobie Lintnera na mule, obwieszonym z obu stron tornistrami piechurów. W takim szyku, w ciągu godziny doszliśmy

do szczytu góry *Grimsef*, stanowiącej granicę pomiędzy kantonami Bernu i Walezyi; a w drugie tyle czasu, z większym nierównie trudem, i nieraz z niebezpieczeństwem usliznięcia się w przepaść, zeszliśmy z niej do źródła Rodanu. Źródłem tém jest jeden z najogromniejszych gleczerów Alpejskich, mający trzy mile nasze długości, od imienia rzeki nazwany. Był to najpiękniejszy i najinteresowniejszy punkt całej naszej drogi dzisiejszej. Olbrzymi gleczer, podobny do lecącej z gór katarakty, nagle w spadku na powietrzu zamarzłej, ściśniony jest z obu stron podniebnymi skałami: *Gelmerhorn*, *Gersthorn* i *Galenstock*, i sam do ich wysokości dochodzi. W dole jego wykuta w żywym lodzie grota, kilkaset stóp przestrzeni i głębokości mająca, jest jakby kolebką Rodanu, który w niej bystrym i rwącym potokiem najprzód z pod gleczeru wypływa, i jak orzeł wprost z gniazda skrzydłami, zaczyna zaraz szumieć po dolinie. Wypiliśmy tu na cześć jego po lampeczce pierwszej wody, która nieco ze śniegiem zmieszana, nie ma jeszcze téj przezroczystości, ani tego szmaragdowego koloru, jakim się po przepływie Lemanu odznacza. Trzy jakieś nędzne chaty, z kamieni wprost ułożone (nie zmurowane), i kamieniami zamiast dachu pokryte, stanowią tu jedyne schronienie dla spoczynku podróżnych; widać jednak tuż obok zrobione już fundamenta do budowy obszerniejszej gospody. Dostaliśmy tu séra i kartofli z masłem, i dzięki manierkom, któreśmy wszyscy napełnili w *Grimsef* i częstowaliśmy się niemi nawzajem, śniadanie było bardzo wesołe,

a bohaterem rozmowy był Zygmunt, dysputujący z żarciem z Anglikami o charakterystyce i przewadze duchowej rasy: Romańskiej, Germańskiej i Słowiańskiej. Wpływ ostatniej przeważał tu widocznie, bo dysputa nie pogniewała, ale owszem zbliżyła dysputantów. Punkt zjednoczenia zaś stanowiły Polki i Angielki, które obie strony zarówno za najbardziej urocze uznały, i na ich cześć przy końcu wysuszyliśmy do dna resztę manierek, przy nader czynnej pomocy Lintnera.

Po dwugodzinném drapaniu się znowu pod górę, stanęliśmy na grzbiecie *Furki*, to jest pasma skał dzikich, nagich, którego dwa poboczne wierzchołki mają podobieństwo do wideł, zkład i nazwa „*Furka*“ pochodzi. Widok ogarnia cały łańcuch Alp Oberlandu, i jest jedyną nagrodą trudu wejścia i zejścia w gzygzak, gorszego i niebezpieczniejszego nawet niż z Grimsel. Zygmunt udęczył mię i zdenerwował niewypowiedzianie umyślném zbliżaniem się do brzegów przepaści, co na patrzących zdaleka dziwnie przerażający wpływ wywierać zwykło; kiedy zaś ani prośby, ani gniewy nie skutkowały: zakląłem się na wszystkie świętości, że ani gadać, ani słuchać o Miss Harry nie będę. Upokorzył się więc, przeprosił — i zgoda.

Od *Furki* rozpoczyna się kanton *Uri*, i wkrótce z wysokości *Fuchseck*, ujrzelśmy długą, dziką, zieloną dolinę *Urseren*, otoczoną nagiemi i śnieżystymi skałami, a przerzniętą wzdłuż rzeką *Reuss*, krętą, bystrą i szumną, przez którą razy kilka z brzegu na

brzeg przechodzić trzeba. Stolicą téj doliny jest właśnie *Andermatt*, gdzie to piszę, małe, liche miasteczko, ale z dobrą oberżą pod „Trzema Królami,“ która nam obiecuje nocleg prawdziwie królewski, w porównaniu z wczorajszym w Grimsel. Wprzód jednak idziemy zaraz, we dwóch tylko z Zygmuntem, widzieć przy zmierzchu sławny *Most Djabelski*, o kwadrans drogi ztąd tylko odległy, który starsi nasi panowie jutro chcą dopiero oglądać. Tymczasem dodam jeszcze, że przed dójściem do *Andermatt*, z nędznej wioszczyny *Hospenthal*, widzieliśmy zdaleka przez wąwóz dwugłówną górę Ś-go Gotarda, i wiążącą się po niej sławną drogę szosę, która się właśnie od *Hospenthal* zaczyna.

Godzina 10 wieczorem.

Przed kwadransem wróciliśmy z *Djabelgo Mostu*, a że nie widzieliśmy diabła *in persona*, przypisuję to jedynie temu, że nie dałem Zygmunтови dokończyć zaklęć z „*Manfreda*,“ które już zaczął był deklamować, mając wystrzelić z pistoletu. W istocie, diabła tylko samego brakowało do kompletu pandemonicznych wrażeń. Jest to most na arkadach, budowany z kamienia, wznoszący się na sto stóp wysokości, po nad kaskadą, a raczej kataraktą rzeki Reussy, która z przerażającym szumem, rykiem, łoskotem, spada tu w głąb otchłani, najeżonej skałami.

Dookoła téż po nad mostem, ostre, urwiste, niebotyczne skały. Dodajcież do tego ciemność, samotność, przerażający świst wiatru, i nakoniec sam tytuł miejsca, a nie będziecie się dziwili, gdy powiem, żeśmy w istocie doznawali uczucia jakiegoś zgrozy i okropności nie ziemskiej, co nam wszakże zamiast przestachu, dziwną owszem sprawiało przyjemność. Rozmowa téż była tylko o duchach. Biédni ludzie, co w nie nie wierzą! I nie umieliśmy zdecydować, kto głupszy: czy ten, co się ich tylko boi, jako strachów; czy ten, co im filozoficznie *ex cathedra* zaprzecza? Ciekawa rzecz, co on kocha w swoich przyjaciółach za życia, albo gdzie myślą szuka ich po śmierci?

NB. Sama droga do mostu, warta nosić jego przydomek. Tunel zwłaszcza, czyli galerya, wykuta w skale, bez mała sto kroków długości, mogłaby ujęć wybornie za korytarz Erebu. Ciemność w niej choć oko wykół. Rozjaśnialiśmy ją tylko tam idąc machaniem rozpalonych cygarów, a wracając, strzałami z pistoletów, których echo grzmiało jak piorun. Anglicy zachęcani naszym opowiadaniem, w téj chwili jeszcze tam się wybierają. Niderlandczyk, z naszą starszyzną, woli iść spać po bezsennéj nocy, co i ja téż uczynić zamierzam. W Andermatt kończy się właściwy Oberland. Jutro już ztąd jedziemy powozem do *Altorf*, a raczéj do *Fluelen*, nad jeziorem „Czterech Kantonów,” którem dalej żeglować mamy. Dobranoc!

27 Sierpnia, godz. 10 w wieczór. Brunnen.

Program na dzisiaj spełniliśmy *stricte*. Obejrzawszy raz jeszcze przy świetle dzienném *Most Djabli*, który nie przez to na dzikości nie stracił, i pożegnawszy z żalem towarzyszków wczorajszych, puściliśmy się w drogę powozem otwartym, z Lintnerem obok furmana na koźle. Droga pomiędzy wysokimi skałami, idzie wciąż na dół po nad brzegiem Reussy, co krok nową tworzącą kaskadę, i nadającą swą nazwę dolinie (Wyższej i Niższej Reussy), na której popasawszy w *Amstaeg*, wjechaliśmy na pole czynów *Telliady*, to jest dziejowej epopei Wilhelma Tella. Niedaleko od Altorf leży rodzinna wieś jego *Bürglen*, a samo miasteczko Altorf, lubo jest stolicą kantonu Uri, jego tylko wspomnieniom zawdzięcza, iż warte jest, by je oglądać. Tu odbył się akt pierwszy najdzikszej, a przytém po niemiecku wyrafinowanej, feudalnej tyranii Niemców, przeciw której, w osobie Tella, ludzkość się obruszyła, a Pan Bóg dopomógł. W miejscu, gdzie ojciec z łuku musiał zbić strzałą jabłko z głowy swego dziecka, wznosi się teraz wieżyczka, z malowanym na ścianach obrazem téj sceny i innych. Stała ona nam żywiej w pamięci, z powodu tragedyi Szyllera, tém bardziej, że ja tę scenę tłómaczyłem kiedyś, jak wiecie, i chociaż nie dokończoną, przedklamowałem ją prawie całkiem towarzyszom. O pół godziny od Altorf, leży wieś i port nad jeziorem, *Fluelen*, zkąd Gessler okutego w kajdany Tella uprowadził z sobą na statku, i zkąd my także dzisiaj puści-

liśmy się wielką łodzią do *Brunnen*, o dwie i pół godziny żeglugi.

Jeziro „Czterech Kantonów,” (*Vierwaldstättersee*), jest obok Genewskiego, (choć całkiem od niego różne), największym i najpiękniejszym jeziorem w Szwajcaryi; ma około pięciu mil naszych długości, (od Fluelen do Lucerny), ale szerokość nie przechodzi nigdzie pół mili, a niekiedy znacznie jest mniejszą. Część, cośmy przepłynęli, otoczona jest z obu stron wysokimi skałami, najczęściej prostopadle ściętymi, naksztalt wież lub ścian murowanych. W pół drogi, nad samym brzegiem, a raczej na skale zachodzącej w jezioro, w miejscu, gdzie podczas burzy uwolniony z okowów Tell z łodzi Gesslera wyskoczył, stoi śród drzew mała kapliczka, ze ścianą od jeziora otwartą, od imienia jego nazwana, i w niezgrabnych malowaniach *al fresco* wyobrażająca tę jego przygodę. Myśmy w niej także szukali schronienia przed wiatrem, który po razy kilka zrywał się gwałtownie, ale też i wnet się uciszał, zwiastując tylko, jak mówili nasi wioślarze, niewątpliwą burzę na wieczór. Dalej nieco, na drugim brzegu, widzieliśmy zdaleka zieleniejącą na pochyłości wzgórza, sławną łąkę *Grüttli*, gdzie trzej pierwsi założyciele Szwajcarskiego Związku, na czele trzydziestu swoich, wykonali uroczystą przysięgę, wzajemnego braterstwa i wspólnej obrony, (8 Listopada 1307 r.). Legenda mówi, że w miejscu, na którym stali, wytrysnęły trzy nowe źródła, do dziś dnia jeszcze płynące, nad którymi też stoi kapliczka.

W sam czas, już prawie o zmroku, zawinęliśmy

szczęśliwie do Brunnen, (wsi i portu w kantonie Schwytz), bo jeszcześmy siedzieli u stołu, gdy świst wiatru i rozlegające się echo grzmotów sprawdziły przepowiednie rybaków. Rozkosznieby nam było spotkać się z temi gośćmi na jeziorze! Ale co z brzegu, i to jeszcze z pod dachu, to rzeczywiście zachwycał nas widok téj burzy, która tak miotła jeziorem, że wzdymało się i huczało jak morze; i choć burza od godziny minęła, fale się dotąd uspokoić nie mogły, a oświecone światłem księżycowym, smugami tylko padającym przez chmury, prawdziwie Rembrandtowski przedstawiają obraz. Patrzyliśmy nań godzin ze dwie, admirując go, lub filozofując nad pięknością dzikości i zgrozy, tak w naturze, jak w sztuce. Jutro, jeśli Bóg da szczęśliwie, będziemy już o téj porze na Rigi. Na Rigi!!! Myśleć nawet boję się o tém, żeby się ze snu nie wybić.— Dobranoc!

28 Sierpnia, godz. 1 po południu. Goldau.

Requiescant in pace! ci, na których grobie to pi-szę. A kto oni byli?—Słuchajcie!

Dnia 2 Września, 1806 roku, po nadzwyczaj dżdżystém lecie, najpiękniejsza jesienna pogoda świe-ciła nad prześliczną doliną Goldau i nad czterema najbogatszymi jój wsiami, po nad brzegiem jeziora *Loverz*. Mieszkańcy ich obchodzili w dniu tym we-sele najpiękniejszój ze swoich dziewcząt, z wybranym

jój serca kochankiem. Nad doliną, z przeciwnéj strony jeziora, wznosiła się skalista góra, *Rufi* albo *Rossberg*, (2,000 stóp nad jój powierzchnią), odwiecznym borem u szczytu porosła. Nagle o godzinie 5 z południa, sztraszliwy łoskot rozległ się w powietrzu. Drzewa na górze zaczęły się poruszać same, bez wiatru, i raptem cała wierzchnia część góry, 500 przeszło stóp wysokości i tyleż szerokości mająca, zsunęła się i runęła na dolinę, zagrzebując w swych gruzach cztery te wsie, z 500 mieszkańcami, i zasypując część jeziora Loverz. Woda nagle wyparta z łożyska, zalała całkiem obie jego wyspy, i uszkodziła osady, na przeciwnym brzegu leżące. Opis téj strasznej katastrofy, skreślony przez naocznego jój świadka z przeciwnego brzegu jeziora, sprzedaje się tu w drukowanej broszurce. Cała dolina ma dziś pozór olbrzymiego cmentarza, lub miasta rozwalonego w gruzy. Ale już i na tych gruzach roślinność zielenieć zaczyna, i wkrótce może, jak nad Stabią i Herkulanum, nowe wsie staną na mogile dawnych. Dotąd wszakże jest to obraz zniszczenia, i tylko droga prowadząca tędy na Rigi, czyni to miejsce przedmiotem ciekawości turystów, i przypomina jeszcze ludziom los dawnych jego mieszkańców.

Starsi nasi, z Lintnerem, przyjechali tu z Brunnen powozem, ale Zygmunt i ja uparliśmy się i poszliśmy piechotą, i nic się nam złego nie stało. Byliśmy w najdoskonalszym humorze; nagadaliśmy się do syta o poezyi i o Miss Harry; wystrzelaliśmy cały rożek prochu, i po drodze zwiedziliśmy miasteczko

Schwytz, stolicę kantonu. Leży w malowniczym położeniu, u stóp dwójzębną skałę *Mythen*, nad brzostrą, ale wąską rzeczulką *Muotta*. Wewnątrz porządne i czyste, liczy około 6,000 mieszkańców. W środku, piękny parafialny kościół katolicki, otoczony jest dokoła cmentarzem, pokrytym niezliczoną mnogością krzyżów brązowych. Ze Schwytz, ścieżką przez ogrody, doszliśmy do małego jeziora *Loverz*, któreśmy przepłynęli na łódce, i wylądowaliśmy pod Goldau, gdzie na nas towarzysze ze śniadaniem czekali. Pielgrzymka nasza trwała trzy godziny i kwadrans. Jadący uprzedzili nas tylko o godzinę. Ztąd Adam idzie z nami piechotą, a p. Jakubowski z Lintnerem wsiadają na konie. Droga iść zaczyna pod górę. Czas pochmurny, ale deszcz przecież nie pada.

Godzina 10 w wieczór. Rigi-Culm.

Otożem już na Rigi! Od godziny jesteśmy u celu; ale cośmy wycierpieli w przechodzie! Ofiarowaliśmy to za grzechy nasze, przechodząc właśnie około *Kalwaryi*, urządzonej na stoku góry i będącej celem pobożnych pielgrzymek z katolickich okolic Szwajcaryi, jak u nas w Litwie, Kalwarya Wileńska. A jest tu także i cudowny obraz *Najświętszej M. P. Śnieżnej*, w *Kloesterli*, przy którym mieszkają Kapucyni, i utrzymują przytułek (*hospitium*) dla podróżnych,

w którym i my też odetchnęliśmy nieco. Droga od Goldau, stroma i uciążliwa z początku, po godzinie staje się łatwiejszą. Ziemia wszędzie pokryta murawą. Widoki coraz obszerniejsze. Ale cóż, kiedy coraz gęściej gromadzące się chmury nas samych zaczynają otaczać, i na koniec deszczem oblewać. Trzeba było rozpiąć parasol, nie wypuszczając z drugiej ręki kija, który wejście pod górę ułatwiał. Ale gdybyśmy mieli trzecią rękę i płaszcz, ta bodaj byłaby najczynniejszą, aby nas niemi otulać. Wiatr stopniowo stał się tak zimny, że właśnie z braku tych płaszców ogarniał nas higieniczny przestrich, aby z chłodu gorączki nie dostać. Biędne więc nogi musiały się wyteżać, nie już by gwoli oczom, donieść je przed zachodem słońca na szczyt Rigi, lecz aby pod dach jakkolwiek unieść przecież zdrowie i życie. Pośpiech ten, acz najprzykrzejszy w całej dotychczasowej podróży, okazał się jednak zbawiennym; gdyż parę minut ledwo brakowało, aby ostatnie dwie nędzne izdebki, któreśmy szczęściem w oberży dostali, nie zostały zajęte przez innych gości, którzy od strony Lucerny jednocześnie z nami przybyli, i będą już musieli spać pokotem w sali jadalnej. Ale wszystkie te trudy i niepokoje, osłodziło nam, a zwłaszcza Adamowi—nie tak samo niespodziane spotkanie z p. Symonem Klustinem, co udzielona nam przezeń wiadomość, że państwo Ankwiczowie, żywi i zdrowi, są już i czekają na nas w Genewie, i że listy ich do nas z Paryża, przez pannę Anastazyą z poczty Genewskiej odebrane, odesłane przez nią zostały *poste restante* do Bernu. Adam

jakby się narodził nanowo. A i mnie wielki ciężar spadł z serca, który czułem, widząc jego ciągły niepokój. To też cały ten wieczór przeszedł nam dziwnie rozkosznie, i postanowiliśmy najmocniej siedzieć tu choćby cały tydzień, dopóki nie doczekamy pogody, aby widok z Rigi obaczyć. Tymczasem miejcie tu o niej choć topograficzną wiadomość.

Góra *Rigi* nie jest bynajmniej jednolitą, ale składa się z grupy, mającej około pięciu mil naszych obwodu u dołu, i oblaną prawie dokoła przez trzy jeziora: *Vierwaldstätter*, *Zug* i *Loverz*. Szczyt jej najwyższy, *Rigi-Culm*, na którym właśnie jesteśmy, (2,700 stóp nad pow. morza), światową sławę swoją zawdzięcza szczególnemu swemu położeniu, które czyni go jakby środkowym punktem najpiękniejszej na świecie panoramy, na przestrzeni 50-ciu mil naszych wokoło, ogarniającej cały łańcuch Alp Szwajcarskich, (oprócz Montblanu), wszystkie jeziora (w liczbie 14), kilka stołecznych miast kantonalnych, i cały kraj od Włoch do Niemiec, z pasmami gór Jura, Wogezów i Czarnego Lasu w oddali.

Ty tylko, Febiel pogodnym obliczem

Błyśnij nam z twojej kwadrygi,

Byśmy zmuszeni powrócić ztąd z niczém,

Na Rigi, nie wzięli figi!

29 Sierpnia, w wieczór.

Pięknie Febus wysłuchał apostrofy mojej! Przez calutki dzień, bez przesady i literalnie, nie tylko nie

widzieliśmy słońca, ale ani krzty nieba, a nawet ani ziemi, prócz chyba miejsca, na którémśmy stali. Same chmury, chmury i chmury, to raz białe, to czarne, oblewały nas ciągle wkoło, to jak mlekiem, to jak atramentem. Zkąd ta różnica kolorów? ja nie wiem, i nikt mi wytłómaczyć nie umiał. Bo gdyby miała być od blasku słońca, toć przecie słońce z wysoka musi świecić równo na wszystkie. Za toż przynajmniej wiem teraz dokładnie, co to jest obłok i chmura. Jedno i drugie: zbiorowisko pary; tylko że w białym obłoku jest ona jakoś lekka, lotna, delikatna, a w chmurze gęsta, ciężka, wilgotna, i zapewne zlewająca się na dół w krople deszczu; ale się tego w środku jój nie czuje. Wystrzał pistoletowy w czarnej, zdaje się mniej głośniejszym, niż w białej. Wszystkie te obserwacye meteorologiczne odbywaliśmy z Zygmuntem w ciągu dnia na dworze, a zaś wewnątrz oberży, urozmaicaliśmy sobie czas jak mogąc: lekturą, graniem w billard, w karty, i nakoniec konwersacją. Przeczytaliśmy całego prawie *Wilhelma Tella* Szyllera, który się znalazł w bibliotece oberżysty; ograliśmy Adama w kixa, a przegraliśmy po pięć franków w faraona, do banku jakiegoś Francuza, który nim przez cały wieczór większą część towarzystwa zabawiał. Towarzystwo to, złożone z 34 osób, rozmaitych narodowości, (między niemi trzy damy, Angielki), skupione razem w niezbyt wielkiej sali jadalnej, z pałającym kominkiem: tworzyło samo wcale zajmujący obraz; tém bardziej, że po obiedzie, wieczorem, wszyscy już byli nawzajem jakby dawni znajomi, (od

rana), i rozmowa szła wszędzie ożywiona i gwarna. Zygmunt i ja przed innymi assistowaliśmy damom, które też były bardzo uprzejme i wdzięczne. Pan Jakubowski, zrażony niewygodą noclegu i nie wierząc w jutrzejszą pogodę, (którą nam wszakże przepowiada gospodarz), korzystał z powracających do Lucerny przewodników z końmi, którzy tu gości wczorajszych przywieźli, i pojechał czekać tam na nas, zostawiwszy nam wszakże Lintnera, dla assistencyi Zygmuntowi. Baraszkowanie z nim także dopomagało nam do skrócenia czasu. Teraz idziemy spać wcześnie, w miłej nadziei, że nas jutro trąba góralska, jako zwiastunka pogody, przed wschodem słońca obudzi. Dobranoc!

30 Sierpnia, godz. 10 rano.

Widziałem tedy, widziałem, widziałem — najprześliczniejszy wschód słońca, najcudowniejszy widok, najpoetyczniejszy krajobraz! Ale już o tém wszystkiém napiszę chyba w Lucernie, dokąd się za godzinę udaję. Teraz idziemy znów jeszcze patrzeć, patrzeć i patrzeć; i te słów kilka piszę tylko dla tego, aby was niemi pożegnać na Rigi.

31 Sierpnia, rano. Lucerna.

Zamiast opisu prozą, macie wiersz o wschodzie słońca na Rigi. Wyklepałem go wczoraj w myśli,

idąc i płynąc do Lucerny, a przez cały wieczór szlifując, na nic więcéj czasu nie miałem. Nie deklamowałem go nawet jeszcze towarzyszom, którym jest poświęcony, bo chcę w przepisywaniu ostatecznie wygładzić, abym się w deklamacyi nie jękał.

WSCHÓD SŁOŃCA NA RIGI.

Do Towarzyszów podróży:

ADAMA MICKIEWICZA I ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

Mgła jak morze zalewa ziemię—a nad ziemią,
Na tle przezrocza niebios ciemnego lazuru,
Szczyty Alp, jak olbrzymy z białego marmuru,
Podnoszą się, bieleją—i snąć jeszcze drzemią.
Istny obraz szeregu Patryarchów, którzy,
Wzrósłszy duchem ku Niebu, po nad świat poziomy,
Czekają jeszcze światła, co im duch ten wróży—
I u stóp ich świat jeszcze we mgle nieruchomój.

Lecz patrzcie!—jak cudowna jasność na Horebie,
Wschód się zatlił;—i oto, jak piorun z obłoków,
Błask ognisty wytrysnął—rozbłysł się po niebie—
I szczyty gór już iskrzą—jak myśli Proroków.
Ale słońca nie widać—i świat w mroku jeszcze.

Wtém, patrzcie! istny wybuch wulkanu!—to słońce!
Weszło—i jak w kaskadach potoki iskrzące,
Światło z gór spływa na dół—i góry, jak Wieszcze,
Budzą świat!—

Mgła się rusza, podnosi się, kłębi.
I wtém wiatr—jak zbudzonych tchnienie gór, z ich wierzchu
Powionął.—Mgła u góry rzednie, lśni—lecz w głębi
Skupia się i czernieje, jak sklepienie zmierzchu.

Marna walka!—O! słońce! o! wy góry białe!
Śnieżne same, lecz jego ogniem gorejące!
Odblask wasz najpiękniejszą słońcu daje chwałę,
Jak najpiękniejszym blaskiem was uwieńcza—słońce.

O! Prawdo! o! Wieszczowie! oto wasze wzory!—
Lecz patrzcie!—ta najwyższa w tych olbrzymów gronie,
Ta, tak dziewiczo-kształtna, tak piękna!—na której,
Każda gra światła najprzód mieni się i płonie,
Nim ją powtórzą szczyty niższe, i nim z onych
Spłynę niżej i niżej—aż zejdzie do ziemi!
To Jungfrau!—to Geniusz, pomiędzy ziemskiem
Wysokościami ducha!—To blask prawd natchnionych!

O! przyjaciele moi! towarzysze mili!
Bracia z serca i z pieśni! Ty, coś już w téj chwili,
Śród wieszczów ludu twego, jest jak ta dziewicza
Góra między siostrami! O! i ty, któremu,
Tęczą młodzieńczych ogniów, z oczu i z oblicza
Świeci niemylna wróżba, że wzrośniesz ku niemu!
Przyjmcie mię w pośród siebie!—i wszyscy zarazem,
Tu, przed tym najwspanialszym natury obrazem,
Po nad zamgloną ziemią, przed niebem bez chmury,
Ślubujmy Ojcu Prawdy, a Stwórcy Natury,
Prawdę w pieśni, i miłość, i cześć—o! i wspólne
Służby wspólnej Rodzicy!—A jeśli powolne
Natchnieniu Jego stróny, Pański duch obudzi—
Jemu chwała!—W Nim tylko moc i światłość ludzi.

Nie ma próby straszniejszej dla wierszy, jak przepisywanie na czysto! Jedna chyba korekta druku może być Scyllą obok téj Charybdy. Nie narzucam więc wam bynajmniej roli Gwebrow w obec tego mojego *Wschodu Słońca*; a tylko zamawiam sobie ten wniosek: jak musiał być wspaniały i wielki ów rzeczywisty wschód słońca na Rigi, kiedy prosty i skromny mój bardon na taki ton dytyrambiczny nastroił. Nie wiem, czy będę śmiał nawet wydeklować go na seryo moim towarzyszom, aby, broń Boże, nie pozo-
wać na wieszczą, jak tylu innych braci-romantyków; albowiem:

Przed tą pretensją śmieszna
Bóg strzegł mię dotąd, i wierzę,
Że przez wzgląd nad duszą grzeszną
I nadal może ustrzeże.

Ale czuję, że sam już widok górnych tych wierszy na papierze, mógłby mi odjąć śmiałość albo wenę do pisania wciąż dalej *fraszek* czy *figlików*, któremi was zazwyczaj częstuję—jak makiem. I przeto kończę na tém dyaryusz podróży w górach, jak rzeczywiście ją samą skończyliśmy na Rigi. List ten dziś jeszcze oddam tu na pocztę, aby w następnym zejść znów na płaszczyznę, jak wczoraj sami rzeczywiście zeszliśmy z Rigi do *Weggis*, nad jeziorem „Czterech Kantonów,” (godzin 3), zkąd po spokojnej dwugodzinnéj węgludze, zawinęliśmy szczęśliwie do Lucerny—o której w liście następnym. A tymczasem, bywajcie zdrowi!—

XVII.

Do Juljana Korsaka i Ignacego Chodźki.

1 Września, 1830 r. Bern.

Lucerna, zkąd wczoraj do was list sążnisty wysłałem, i w nim o niej napisać przyrzekłem, jest stolicą kantonu tegoż imienia i jednym z pierwszorzędných miast Szwajcaryi. Mniejsze, ale weselsze od Genewy, (12,000 mieszk.), leży w amfiteatr na wzgórzach, nad jeziorem „Czterech Kantonów“, w środku prawie między dwiema górami: *Rigi* i *Pilatem*, odróżniającemi się zielonością od innych gór skalistych lub śnieżnych, które wraz z gleczerami *Uri* i *Ehrenbergu*, a także i w połączeniu z jeziorem, składają śliczny, malowniczy widok, jeden z główných powabów Lucerny. Rzeka *Reuss*, bystra, a zielona jak szmaragd, z impetem wypływając z jeziora, dzieli miasto na dwie połowy, połączone nawzajem trzema pięknymi krytymi mostami, których dachy składają się z obrazów. Dwa piękne katolickie kościoły, i jeden protestancki, należą téż do ozdób miasta. Najgłówniejszym wszakże przedmiotem ciekawości podróżnych, jest pomnik na cześć Szwajcarów gwardyi Ludwika XVI, poległych w jego obronie, d. 10 Sierp-

nia 1792 roku, w Paryżu. Było ich 760 żołnierzy i 26 oficerów. Pomnik ten stanowi olbrzymi lew, podług modelu Thorwaldsena, w ścianie skały wypukło (*en relief*) wykuty, przeszity złamaną włócznią i broniący jeszcze w skonaniu tarczy z herbem Bourbonów. Znajduje się on w głębi groty, 20 stóp długości a 13 wysokości mającej, i odbija się jak we zwierciadle, w sadzawce, która całą prawie jej przestrzeń zapełnia. Przewodnikiem i stróżem groty i pomnika, jest właśnie jeden z owych gwardzistów, którzy szczęśliwie uniknęli śmierci, w liczbie zaledwo 16, co także napis po nad grotą wyraża. *Ciceronem* zaś naszym ogólnym po Lucernie, był p. Jakubowski, który, jako dniem pierwój przybyły, już się był z jej osobliwościami zapoznał.

Wczoraj około południa, wyjechawszy powozem z Lucerny, popasaliśmy w *Sursee*, nocowaliśmy w *Herzogenbuchsee* (miasteczkach), a dziś o drugiej po południu stanęliśmy w *Bernie*, (o 10 mil naszych od Lucerny). Podróż równie przyjemna wewnątrz, jak zewnątrz powozu. Zielone wzgórza, łąki i sosnowe lasy, przypominały nam okolice nasze, oprócz skał, gór i gleczerów. Przejeżdżaliśmy rzeki: *Reuss*, *Emme* i *Aare*; widzieliśmy jezioro *Sempach*, pamiętne bitwą i zwycięstwem Szwajcarów, dzięki poświęceniu się Arnolda Winkelrieda, i sławny agronomiczny zakład *Fallenberga* w *Hofwyl*. Dom piękny, otoczony ogrodami. Wy, jako gospodarze, bylibyście może ciekawi jakich nowych narzędzi czy machin.

Ale nie mój to interess.

Co ma do mnie Mars lub Ceres,

Albo co ja do nich?

Pegaz owszem z równą trwogą

Drży przed jarzmem i ostrogą,

I nie myśli o nich.

Ale za toż, wprzód nawet niż o samym Bernie, muszę wam opowiedzieć przygódkę, która już dziś nas w Bernie spotkała. Zaraz po obiedzie, puściliśmy się z Zygmuntem na oglądanie miasta, to jest, nie tylko samych ulic i gmachów, ale i narodowych kostiumów, któremi się Bern właśnie odznacza;—ma się rozumieć, nie na brzydkiej połowie ludności. Jakoż na zakręcie ulicy, spotykamy się z jedną—w czarnym, z białymi rękawkami gorseciku; w kolorowej, krótkiej po kostki, czerwono bramowanej spodniczce; młodziutką, i z twarzyczką ładniejszą od tych wszystkich, cośmy już przedtém z pod szerokich, okrągłych kapelusików dojrzeli. Spotkaliśmy się tuż oko w oko, i jakby na komendę, zatrzymaliśmy się, i my, i ona. Zarumieniła się nagle, i jakby chciała coś mówić.— „*Wünschen Sie was?*“ — spytałem więc piérwszy. Zmieszała się jeszcze bardziej nieboga, i spuściwszy oczy nieśmiało, wyjąkała zaledwo zcicha: że jest bardzo nieszczęśliwą (*unglücklich*); że ma umierającą babkę, a nie ma dla niej na lekarstwo. Było w tém coś wzruszającego, ale téż i coś podejrzanego zarazem. Spójrzeliśmy więc po sobie z Zygmuntem— i poszliśmy z nią razem do babki. W drodze dowiedzieliśmy się

jeszcze, że ma także i matkę wdowę, która zajmuje się praniem; ona zaś sama pracuje w jakimś magazynie szycia bielizny; ale praca zaledwie na chleb im wystarcza. Jakoż w ubogiej, ciasnej, ale czystej izdebce z alkierzem, znaleźliśmy istotnie chorą, leżącą staruszkę; ale w twarzy i w tuszy siedzącej przy łóżku kobiety, śladów głodu widać nie było. Wizyta nasza nie zdała się jój dziwić; ale za toż zadziwiła się strasznie, kiedyśmy obaj z kolei, z kaznodziejską werwą, zaczęli jój przedstawiać całą nieprzyzwoitość wysyłania na zebranie takiej młodej osoby, jak *Frau-lein Betty*, (bo to jest jój imię—Elżbieta). I w słowach naszych, nie chwając się, musiała być elokwencya nie lada, kiedy wzruszona staruszka, wyciągając ku nam wychudłą swą rękę, odezwała się tonem wyrzutu do córki: „*Das hab ich doch immer gesagt*,“ a biedna Betty zalała się łzami. Nakoniec i sama matka, nie wiem czy z dobrej woli, czy z przymusu, zaczęła nam także dziękować, i obiecała, że już tego więcej nie będzie. Gdyśmy zaś wychodzili, zostawiwszy coś na lekarstwo, staruszka pożegnała nas błogosławieństwem, a Betty, łkając głośno, chciała nas po rękach całować. Nie dopuściliśmy tego, ma się rozumieć, i tylko radziliśmy jeszcze, *wie die Brüder und Freunde*, aby i sama czuwała nad sobą. Wyszliśmy poruszeni, ale radzi z siebie, i nie mieliśmy nic pilniejszego, jak opowiedzieć o tém naszym starszym panom. Alić tu, zamiast spodziewanej pochwały, i nas samych spotkało kazanie. Adam wpół żartem, ale p. Jakubowski na seryo starał się nas prze-

konać, (choć nie przekonał), że wcale niewłaściwie wdawaliśmy się w tę rolę katechetów, i że bezpieczniej jest w ogólności nie ufać zbyt samym sobie, i nie narażać się na awanturę, w którą, w innym podobnym razie, łatwo można byłoby popaść. Nie wiem, czy nie straciłem co przez to w opinii p. Jakubowskiego; ale ufam, że w waszej nie stracę, i dla tego opowiedziałem wam o tém.

O mieście Bernie na jutro; bo w niem jeszcze całe jutro zabawim. Teraz dodaję tylko, że znaleźliśmy tu na poczcie list od państwa Ankwiczów z Genewy. Trzebaż, że przyjechali tam właśnie w godzin kilka po naszym wyjeździe (14 Sierpnia); i ja widzę w tém szczęśliwe zrządzenie. Bo czyż moglibyśmy wyjechać, po doczekaniu ich z takim niepokojem? a gdybyśmy nie wyjechali wtedy, przeszłaby pora zwiedzenia Oberlandu. Teraz mamy jeszcze przed sobą cały miesiąc pobytu razem w Genewie, dokąd téż tém bardziej tęsknimy.—Dobranoc! bo jest już godzina 11 w nocy, a cały wieczór przegawędziliśmy bardzo rozkosznie „o wszystkich rzeczach, i o wielu innych.“—

2 Września, godz. 10 w wieczór. Jeszcze Bern.

Bern, jako stolica Szwajcarskiego Związku, zasługuje zwłaszcza na tę godność przez wydatniejszą tu, niż gdzieindziej, cechy narodowości Szwajcarskiej. Widne to wszędzie i we wszystkiém: w ludziach

i w rzeczach; w ubiorach i w architekturze; w położeniu i w widokach z miasta. Oblane z trzech stron rzeką *Aarą*, (dobrą naszą znajomą z Interlaken i z Handeck), ma domy na arkadach, pod którymi przechodzą chodniki. Ulice w ogólności szerokie. Najdłuższa i najpiękniejsza, przerywnąca wzdłuż całe miasto, nosi rozmaite nazwiska, jak główna ulica w Wilnie, pomiędzy Ostrą Bramą a katedrą. Wiele starych, ogromnych gmachów, nadaje miastu cechę starożytną. Na wszystkich prawie placach fontanny, ozdobione posągami, które zdają się być charakterystycznym znamię gustu i upodobania mieszkańców w *groteskach*; co znów natrąca mimowolnie myśl i aluzję do herbu miasta, którym jest, jak może wiecie, niedźwiedź (*Bär*); podobnie jak np. w Warszawie, widząc ruch, albo słysząc głosik Warszawianek, trudno o Syrenie nie wspomnieć. To też tu wizerunek niedźwiedzia spotykasz wszędzie, gdziebądź się obrócisz, jak w Paryżu podobno wizerunek diabła. Na tak zwaną np. „Fontannie Dzieciożercy,” (*Kindlifresser Brunnen*), widzisz olbrzymią postać jakiegoś potwora, wkładającą już w usta dzieciaka, jak rzodkiewkę, podczas gdy główki innych, na tenże cel przeznaczonych, z przestrachem wyglądają z kieszeni. Obok stoją niedźwiadki pod bronią. Na fontannie zwaną „Niedźwiedzia,” on sam „w całej postaci, wedle przyrodzenia,” (jak mówi nasz Kryształowicz), stoi uzbrojony jak rycerz, z mieczem, tarczą, chorągwią, i w szyszaku, w kształcie kagańca. Pod nogami mały niedźwiadek. Dwa ogromne niedźwie-

dzie z granitu, zdają się trzymać straż przy jednej bramie. Ale dopiero na zegarowej wieży, całe stado małych niedźwiedziąt, wyprowia najciekawsze widowisko, jak gdyby taniec popisowy za czasów akademii w Smorgoniach. Przed uderzeniem każdej godziny, kogut drewniany krzyczy i łopocze skrzydłami. Na to hasło, niedźwiadki defilują rzędem, przed siedzącą figurą starca-brodacza, (zapewne Saturna), który na pierwszy dźwięk zegaru, przewraca w rękę klepsydrę, i za każdym uderzeniem dzwonu, kiwa głową i berłem, które ma w drugiej ręce, i przytém rozdziawia gębę, a raczój paszczę. Obok niedźwiedź, stojący na tylnych łapach, powtarza też same gesta. Arlekin wybija godziny. Cogodzinne te jasełka na wieży, od wieków już pono trwające, zawsze jednak ściągają widzów, a ja zwłaszcza i Zygmunt, powielekroć już wczoraj i dzisiaj, dzieliliśmy szczerze ciekawość gapiących się na nie uliczników. W *Muzeum Historyi Naturalnej*, zawierającem okazy wszystkich gatunków zwierząt w Szwajcaryi, niedźwiedź także gra pierwszą rolę; a po nad fossą, murowaną w ziemi, gdzie się żywe chowają i spacerują sobie swobodnie, tłum ciekawych o każdej porze, świadczy również o szczególniejszém upodobaniu Berneńczyków w niedźwiedziu—od którego i miasto wzięło swe nazwisko.

O innych osobliwościach Bernu nie ma wiele do powiedzenia; widoków zaś, stanowiących główną jego ozdobę, po szczególe opisywać nie myślę. Dość, że te z różnych punktów ogarniają cały Oberland i wiele innych gór i okolic. Ale nie mogę pominąć feno-

menuświatła, mającego osobną swą nazwę: *Alpglühen* (błyszczzenie Alp), i ponawiającego się tu w téj porze roku, przy każdym prawie zachodzie pogodnego słońca. Gdy już zaszło, i ciemność osiadła doliny, znajdujące się w nich gleczery, zaczynają się same przez się rumienić od dołu, i blask ten, coraz żywszy i coraz czerwieńszy, rozszerza się powoli ku górze, jak gdyby lekka łuna od ognia, tlejącego gdzieś w ich wnętrzu. Zkąd to pochodzi, ja nie wiem; ale widok śliczny.—Jutro rano jedziemy do Lozanny, a pojutrze już ztamtąd do Genewy. Dobranoc!

3 Września, godz. 12 w nocy. Lozanna.

Piszę dla tego tylko te słów kilka, aby zadatować z Lozanny. Cały dzień w drodze, w zamkniętym powozie, po deszczu, znużył i znudził nas niemiłosiernie. Stanęliśmy tu o 9 wieczorem. Po drodze, na popasie w Morat, (po niemiecku *Murten*), nad jeziorem tegoż imienia, zwiedziliśmy pole sławnej bitwy i klęski Karola Zuchwałego, księcia Burgundyi (1476 roku). Mgły i chmury nie dały nam widzieć nic więcej; szczęściem, że nic też bardzo do widzenia nie było. Tu także deszcz i ciemność odjęły nam ochotę do wycieczki po mieście, którą odkładamy na jutro. Za toż mieszkamy w hotelu, tak zwanym „Gibbona,” który był niegdyś własnością prywatną tego sławnego historyka, i gdzie on, w ogrodowej altanie, jak

sam w epilogu powiada, napisał ostatnie słowa swego dzieła „*O Upadku Państwa Rzymskiego*.” Jako świeży jego czytelnik, miałem w żywej pamięci i powtórzyłem towarzyszom to opowiadanie autora, o rodzaju uczuć i wrażeń, jakich przytém w téj chwili doświadczył. To posłużyło za temat do nader zajmującej rozmowy, która nam cały wieczór zajęła, o powołaniu i celach autorstwa w ogólności. Adam był prawdziwie w natchnieniu, a zachwycony Zygmunt dziękował mu i ślubował uroczyscie, że zdań i uwag jego nie zapomni nigdy. Ekwintessencya téj rozmowy jest taka: że jakkolwiek osobistość autora jest, i musi być zawsze bodźcem do pisania: istotna wartość jego moralna przedewszystkiém polega na tém, aby ta osobistość nie była dlań ostatecznym celem. Służba w duchu i prawdzie Bogu i ludzkości, to kapłaństwo nauki i sztuki; to źródło prawdziwego natchnienia, to rękojmia prawdziwej chwały. Sama pycha czy próżność, choćby przy wrodzonym talencie i stosowném wykształceniu, mogły nawet pozyskać popularność chwilową; będzie to tylko tryumf zwoźdźciela, który przelotną jego rozkosz zawsze w końcu goryczą opłaci.— Sam błąd najjawniejszy w autorze, skoro go on bez względu na siebie, ze szczerego, chociaż mylnego, przekonania ogłasza: mniej jest szkodliwy w skutkach swoich, od fałszywego schlebiania błędnym ideom lub namiętnościom chwili. Błąd taki, jak zuchwała herezya w wierze, zawsze nakoniec wywołuje walkę, w której prawda zawsze zwycięży. Fałsz taki, jak nikczemna hipokryzya, prawdę tylko

coraz bardziej zaćmiewa, i tryumf jój przez to opóźnia.—Koniec końców, obowiązkiem pisarza jest: pisać prawdę, jak ją sam pojmuje i czuje; obowiązkiem zaś człowieka w autorze, jest najpierw starać się o to, ażeby sam tę prawdę pojął i poczuł najjaśniej.—Życząc tego najmocniej i wam i sobie, kończę życzeniem na dziś — dobrej nocy.

4 Września, godz. 11 w nocy. Genewa.

Finis coronat opus!—a koniec naszej podróży wartby istotnie zwać się jój koroną. Było nim bowiem właściwie: nasamprzód, otrzymanie listów od was, z domu, z Warszawy; potem, spotkanie się z pp. Ankwicami i najserdeczniejsze powitanie z ich strony; наконец, jakby dobry prognostyk, wiadomość, że panna Anastazyja jest już zaręczoną. Opowiem po kolei wszystko, jak co było; ale wierny metodzie mojej, zaczynam najprzód od Lozanny, gdzieśmy dzień dzisiejszy zaczęli.

O 5-jej byliśmy już na nogach, i do 9-jej, korzystając z pogody, obejrzelśmy wszystko, co było do widzenia po wierzchu. Nie ma o tém wiele co mówić. Miasto leży na pochyłości wzgórza. Ma 20,000 mieszkańców. Część stara, brzydka; a i nowa niczém się nadzwyczajném nie odznacza. Plac Ś-go Franciszka i ulica zwana *Bourg*, są najpiękniejsze. Położenie i piękne widoki, na jezioro Leman i góry, sta-

nowią główną zaletę Lozanny. Dla nas były one stracone. Mgły i chmury, resztki słoty wczorajszej, zakrywały je do połowy. Pośpieszyliśmy zatem do *Ouchy*, nad brzegiem jeziora, z kąd po sześciogodzinnej żegludze, na parowym statku *Winkelried*, zawinęliśmy szczęśliwie do Genewy.

Pierwsza wizyta u Klustinów, bo tam był skład naszych rzeczy. Adam przed samym wyjazdem obstał sobie u krawca nowe ubranie, które już w pogotowiu na nasz powrót czekało. Wysztafirował się więc godowo i elegancko, idąc do państwa Ankwiczów, tak, że to obudziło uwagę panienek. Winszowano nam obu dobrego wyglądu z podróży, w czém, niestety, nie mogliśmy się sumiennie wzajemnością wypłacić. Panienki pomizerniały i pobladły, a czarny strój żałobny jeszcze bardziej tę zmianę uwydatnia. Oprócz bowiem żalu po dziadziu, ciągłe wstrząśnienia i niepokój w Paryżu, podczas *dni Lipcowych* i potem, niekorzystnie wpłynęły na zdrowie. Ze słów zaś panny Henryetty można się było domyśleć, że i przybycie do Genewy w kilka godzin po naszym wyjeździe, nie miało na nią pocieszającego wpływu, któryby jęj zdrowie pokrzepił. Sama pani owszem mówiła nam otwarcie, że ich ta okoliczność tak dalece zmartwiła, iż dla rozerwania tęsknoty, nie odpoczywszy prawie po uciążliwej podróży z Paryża, (3 dni i 3 nocy), puścili się na zwiedzanie okolic, i to tych właśnie, w których myśmy już byli, (o czém im panna Anastazyja mówiła), aby dalsze zwiedzać już razem. Sam też pan Ankwicz serdecznie zapraszał nas

ku temu; i przeto wszystko zdaje się nam wróżyć, że ten wspólny pobyt w Genewie wznowi nam i powtórzy miłe czasy Rzymskie. Trwać on tu ma do końca Września; poczem znów jadą na zimę do Rzymu. Cieszy mię to niezmiernie, i nawet w pewnym względzie osładza myśl o rozstaniu z Adamem, który także na zimę powraca. Możeż da Bóg, że i ztamtąd przyjdzie kiedyś także wiadomość, jaka tu nas zaraz na wstępie o pannie Anastazyi spotkała. Jest ona już zaręczoną, jak wyżej wspomniałem. Ale z kim? Oto z p. hrabią *De Circourt*, blizkim krewnym i piérwszym sekretarzem xięcia Polignac'a. Ona, taka nieprzyjaciółka systemu tego ministra; tak radująca się niedawno z jego upadku; taka entuzyastka dla wypadków i zwycięstw Lipcowych!... Zgadnijże tu serce kobiéc!... Teraz, jak sądzę, nie będzie już między nami mowy o polityce; ale jestem strasznie ciekawy wiedzieć: czy miłość przemieniła zdania polityczne? lub téż, czy i przy ich sprzeczności istnieć jednak może? A wreszcie i ta miłość przyszła błyskawicą. Pan *Circourt*, jak mówi matka, był tylko prostym znajomym i nawet nie zbyt częstym gościem ich w Paryżu. Że więc jako emigrant w Genewie, wyparty z politycznej areny i pozbawiony nadziei świetnej kariery, mógł się raptem w bogatej dziedzicze zakochać: nie zadziwia to wcale w biegłym dyplomacie. Ale że i poetyczna panna Anastazyja mogła mu téż tak przedko wzajemnością odplacić: wnosimy, że być to musi Don Żuan nie lada;—bośmy go dzisiaj jeszcze nie poznali. Ma to nastąpić jutro przy obiedzie, na który

zaproszeni jesteśmy. Cały dziś wieczór przebyliśmy u państwa Ankwiczów. Zajmują pyszny lokal na jednej z pierwszych ulic dolnego miasta, (*de la Corra-terrie*, Nr. 3). Adam był w najdoskonalszym humorze. Opowiadania o wypadkach Paryzkich zajmowały go w najwyższym stopniu. Nawzajem wzbudził ciekawość w panienkach poznania Zygmunta, o którym, chociaż w tonie niby żartobliwym, ale mówił bardzo serdecznie, opowiadając o naszej podróży. ¹⁾ Jutro mamy go z nimi zapoznać. My mieszkamy w tém samém mieszkaniu co przedtém, które szczęściem znaleźliśmy wolne.—Tak więc tedy, moi kochani! skończyłem rzeczywiście cykl podróży Szwajcarskiej, z której codziennie zdawałem wam sprawę. Teraz zamawiam sobie dłuższy odpoczynek;—chyba, że się co ciekawego przydarzy. Tymczasem, bywajcie zdrowi!—Na listy wasze odpiszę osobno, żeby okoliczności domowych z relacją o podróży nie mieszać.

¹⁾ Własne wspomnienia Zygmunta Krasińskiego o téjże podróży, zawarte w listach jego do ojca, a ogłoszone niegdyś w *Kronice Rodzinnej*, czytelnicy znajdą tu w przypisach. Przytaczamy je dla uzupełnienia obrazu: tego pierwszego spotkania się i stosunku dwóch największych poetów naszych, a o którego wpływie na przyszłego autora: *Nieboskiej* i *Irydiona*, on sam w liście swoim powiada. (Przyp. Wyd.)

XVIII.

Do Tychże.

18 Września 1830. Genewa.

Przez całe dwa tygodnie ani tknąłem pióra; i wiecież? że to jest może ostatni już list tego rodzaju, jakie do was dotychczas pisałem. Sama myśl o rozstaniu z Adamem, wisząc ciągle nademną, jak miecz Damoklesa, chmurzy w głowie i boli w sercu. A cóż będzie, gdy miecz ten spadnie?... Zkąd zaczerpnę humoru i werwy, by i z wami, jak z panienkami, paplać i swiergotać o niczym, a jednak i samemu się bawić, i czuć, że się swych słuchaczy nie nudzi? Jużciż dopóki chyba nie odejdę do krain:

„Gdzie już na pocztę listów nie dają,
Ani też piszą, jak się tam mają;“

nie zaniedbam, w pewnych odstępach czasu, dać wam przecież znaku że żyję; ale wy już tych listów nie wiążcie w jeden fascykuł z poprzedniemi; a czy to ten niniejszy, czy może drugi następny, dość, że w którym wam o odjeździe Adama doniosę, uważajcie za ostatni z podróży. Dotąd nawet nie wiem na pe-

wno, jak długo się ta podróż przeciągnie, i jaki ztąd weźmie kierunek. Gdybym był panem czasu i pieniędzy, to jest, nie musiał się z nimi rachować: wróciłbym niezawodnie z Adamem do Rzymu. Teraz ciekawość ciągnie do Paryża i do Londynu, ale nie wiem czy paszport i finanse pozwolą. Tymczasem, jestem tutaj jak człowiek na starość, który wie, że „śmierć tuż za plecami,” i żyje, jakby uciekał nie oglądając się; a przecież gotów zawsze, jak zdzieciniały dziadunio, zasiąść z wnukami do zabawy w cacka. Takiem cackiem był dzień wczorajszy, który mię znowu do pisania pobudził.

Po długich codziennych chłodach i słotach, od trzech dni mamy znowu pogodę i ciepło. Korzystając z tego p. Ankiewicz, urządził nam na wczoraj przypomnienie majówek Rzymskich, zaprosiwszy do uczestnictwa p. Jakubowskiego z Zygmuntem. Ten ostatni, od pierwszej chwili poznania, jest wraz z nami codziennym gościem w tym domu; rozmiłowany zwłaszcza w samą pani, której oryginalny charakter ma rzeczywiście w sobie coś dziwnie pociągającego, co podnieca i ożywia rozmowę. Przy wykształconym umyśle i doświadczeniu życia, dziecinna prawdziwie naiwność, z jaką interesuje się wszystkiem, i najosobliwsza otwartość, z jaką każdą myśl wnet wypowiada, zachęca mimowolnie interlokutora i wzajemną ufność obudza. Zygmunt zapuszcza się z nią zwłaszcza w kazuistykę uczuć niewieścich; i ja go przyrównyвам do wodza, który sposobiąc się do wojny, bada grunt, na którym ją prowadzić zamierza, i wkrada się w obóz

przeciwny, aby słabe jego strony zmiarkować. Że zaś panienki czują to widzieć instynktowo, i bojąc się zbyt otwartości matki, bronią same tajemnic płci swojej: wywiązują się ztąd zwykle nieskończone, gwarne dysputy, w których i Adam czasem bierze żywy udział, pobudzony fajerwerkową fantazją Zygmunta. W ogólności, wieczorki nasze na *rue de la Corraterie*, nie tylko przypominają nam Rzymskie, na *Via Mercede*, ale można powiedzieć, że są od nich weselsze. A przyczynia się ku temu wiele rzeczy. Najprzód, co do mnie, większa bez porównania swoboda panny Marcelliny, która tam była zwykle skrzepowana obecnością pocziwego Strzeleckiego, o którego uczuciach już ciż pewno wiedziała, a mając dlań prawdziwy szacunek i przyjaźń, uczuć tych przecież podzielać nie mogła. Powtóre, polityczne wypadki Paryżkie rozruszały niezmiernie samego pana Ankwicza, a że je Adam przepowiedział prawie dosłownie, podniosły w nim wyraźnie respekt i uprzejmość dla wieszczą. Ztąd potrzecie, jak we mnie, tak zapewne i w drugich, choć o tém nie mówimy, rodzi się lepsza otucha na przyszłość, która tymczasem wpływa ożywiająco na obecne usposobienie nas wszystkich. Jednym słowem, czas nam schodzi rozkosznie—szkoda tylko, że upływa—w Genewie, i czynimy prawdziwą ofiarę, ile razy wypadnie koniecznie gdzieindziej wieczór przepędzić. Stosuje się to najczęściej do domu pp. Klustynów. Uprzejmość wprawdzie dla nas jest w nim zawsze też sama, ale obecność nowo-narzeczonego w wielu względach postać rzeczy zmieniała. Najprzód, są

już przedmioty, które wszystkich w téj chwili najmocniej zajmują, a których przez delikatność dotykać tam nie możemy, ażeby politycznych uczuć jego nie razić. Powtóre, sama jego osobistość jest już tego rodzaju, że mimowolnie swobodę w obcowaniu odbiera. Jest to człowiek wielkiej nauki, gładki w obejściu, interessujący w rozmowie, ale dyplomata do szpiku kości. Wszystko u niego pod miarą i wagą. Każde słowo, jak policzone ziarno; żadnego na wiatr nie rzuci. Adama to niecierpliwi i nudzi. Panna Anastazyja to czuje; i nieraz nieboraczka wysila się widocznie, aby tę sztywność stosunku między nimi złagodzić, i harmonię jako tako utrzymać. Trudniej to jéj przychodzi z bratem, który na punkcie zwłaszcza polityki jest wręcz przeciwnych opinii z przyszłym swoim szwagrem, i chociaż wprost o tém nie mówi, w uboczny wszakże sposób nie zadaje sobie zbyt wiele pracy, aby się z tém przeciwieństwem ukrywać. Ztąd dla obcych wywiązuje się niekiedy nader żenująca pozycja; skutkiem czego, dom ten, prócz towarzystwa samej matki, najlepszej, najzacniejszej osoby, nie ma już dla nas tego samego uroku co pierwój, i mimowolnie, nieznacznie, zchodzimy w nim z poufałej, na stopę ceremonialną. W towarzystwach nawet tutejszych, do których nas panna Anastazyja wprowadziła, i gdzie z nią razem zapraszani bywamy: wpływ tego jéj *przybólkowca* (*ad latus*), zmienia całkiem dawny nasz z nią stosunek. Widać, że dość jest zostać *narzeczoną*, nie *żoną*, aby już być dla drugich, przez pół przynajmniej „*żywcem pogrzebioną*”. — Za toż ja w zamian dla siebie

wynalazłem tu dwie *całkiem żywe*, które przez dzień z kolei regularnie odwiedzam. Jedną jest owa panna *De Silvestri*, która mi się od razu podobała kiedyś na wieczorze u Bonstetтена. Ale zdziwicie się zapewne, kiedy wam powiem, kto druga. Ze wstydem bowiem i skruchą wyznaję, że jest nią nie kto inny, jak właśnie ta sama antagonistka pierwszej, na którą — pamiętam, niestety! — nawymyślałem tyle przed wami, w liście moim przed wyjazdem z Genewy. Słyszając ją wtenczas deklamującą w dyspucie, w której byłem wręcz przeciwnego zdania: nie zważałem na jej osobę, i wytworzyłem ją sobie, pisząc do was, stosownie do wygłaszanych przez nią zasad i idei. Tymczasem, nazajutrz po powrocie, spotykam na ulicy jakąś kształtną, wysmukłą blondynkę, której białe, rumiane liczko, z pod złotych loków, i dziwnie jakoś żywe, ale zgrabne ruchy, zwróciły moją uwagę. Wyobraźcież więc moje zdziwienie, gdy ona nagle, z drugiej strony ulicy, zachodzi mi sama drogę, i wita mnie jak znajomego, dodając przytém komplement, tyczący się moich wierszydeł. Rozumiałem z początku, że bierze mnie za Adama. Ale jakże się zawstydziłem, przekonawszy się, że się nie myli, i poznając w niej wreszcie Amerykankę, Miss Garner, której istotnie byłem przedstawiony. Pewny więc, że musiała czytać artykuł Zygmunta w *Bibliothèque Universelle*, pośpieszyłem wywieść ją z błędu, oświadczając, że pochlebna w nim o mnie wzmianka, była jedynie skutkiem osobistej przyjaźni autora. Ale nie! — nie z tego źródła spłynął na mnie ten zaszczyt. Adam, w Neapolu jesz-

cze, na żądanie panny Anastazyi, przetłómaczył dla niej po francuzku, prozą, mój "*Odjazd z Rzymu*," ta zaś, przez przyjaźń dla mnie, pokazywała go znajomym swoim w Genewie, a z kolei i pannie Garner. Zawstydzwszy się więc powtórnie, przez skromność, musiałem przyjąć za dobrą monetę ów wyżej rzeczony komplement, i dowiedziałem się przytém z podziwieniem, że racjonalna demokratka jest przecież wielką amatorką poezyi, a mianowicie ciekawą osobistego poznania poetów. Rzecz zatém naturalna, że się wnet dyskurs zaczął o Adamie, i nie myłę się pewnie sądząc, że ta obcesowa znajomość ze mną, miała jój tylko służyć za wstęp do znajomości jego. Prosta grzeczność jużciż kazała, aby jój to przyobiecąć. Bojąc się wszakże kaprysów Adama, a więc i kompromitacyi własnej, wywijałem się jak wąż od stanowczego zobowiązania się w tym względzie. Że zaś rozmowa, stojąc na ulicy, przeciągała się za długo: pozwoliłem sobie zapytać, dokąd idzie? aby ją tam przeprowadzić. Szła na spacer, i towarzystwo moje przyjęła uprzejmie. Starałem się więc okazać wdzięczność za uprzejmość. Filozofka i realistka umieć wszakże spoglądać i uśmięchać się po panieńsku. Mnie nadto jeszcze uśmięchała się idea, że spaceruję pod rękę z Amerykanką, i chciałem jużciż być z nią przynajmniej, jak niegdyś z Hiszpanką w Weronie, albo jak w Rzymie z Greczynką. Jakoż jesteśmy odtąd w dobrej komitywie. Adam także, na prośby moje, dał się nakoniec zaprowadzić do niej, i podobali się sobie nawzajem. Podróżuje i mieszka z ciotką, jak panna

De Silvestri przy matce, wdowie po urzędniku tutejszym. To są dwie jedyne wizyty, które bez przymusu oddaje, odrywając się od towarzystwa pp. Ankwiczów, Zygmunta i p. Augusta. Z tymi ostatnimi, zwiedziliśmy w tych czasach wiele okolic, to piechotą, to łódką; wczoraj zaś wszyscy razem wybraliśmy się na całodzienną wycieczkę za miasto, jako goście państwa Ankwiczów.

„*Schön war dieser Tag vollbracht!*“

To jest, cudny był dzień ten!
Jak wiosennéj nocy sen,
Jak kwiecistych tęcza barw,
Jak eolskich koncert arf;
Jak być musi—gdy się znijdą
Wenus, Febus i Kupido,
A w dodatku, Irys z Florą,
Na ich schadzkę dom ubiorą.

Domem tym był wczoraj namiot, rozbity umyślnie dla nas, w rozkosznej dolinie *Arwy*, przy spływie téj rzeki z Rodanem. Miejsce ciche, samotne, malownicze, urocze—o pół mili drogi od miasta. Byliśmy już tam nieraz piechotą, i pochwały to Adama sprawiły, że je wybrano za *centrum* naszej wczorajszej *wrześniówki*. Pod namiotem czekało na nas obozowe śniadanie, na któreśmy zaledwo po południu zdążyli. Ranek zszedł na zwiedzaniu różnych willi albo okolic, słynnych z pięknego urządzenia swego lub widoków, (*Carouge, Delices, Sacconex*, etc. etc.). *Pejzaż* zresztą był tu rzeczą podrzędną; grunt stanowił żywy dramat z nas

samych: dyalog zwłaszcza przy herbacie wieczorem, a nadewszystko urocze *à parte*, gdy po śniadaniu poszedłszy nad rzeki, podzieliliśmy się jakoś na pary. Szum wody, przeszkadzając rozmowie ogólnej, dziwnie za to sprzyjał sąsiedzkiej. Z gestów Zygmunta i pani hrabiny znać było, że szła pomiędzy nimi żywo i gorąco. Ale bodaj czy nie ważniejszą była dla par: drugiej i trzeciej. Ja przynajmniej z całą pewnością mogę to powiedzieć o sobie. Nigdy dotychczas panna Marcellina nie była ze mną tak swobodną, tak szczerą, tak przyjacielską; a i cześć moja dla niej wzrosła w takiej mierze, jak gdybyś wieżę na kościele postawił. To, co mi powiedziała o mnie samym, o moich przymiotach i wadach; o powinnościach w zawodzie pisarskim, względem Boga i duszy swojej; względem kraju i społeczeństwa; pozostanie na zawsze we wdzięcznym sercu mojem i w sumieniu. I gdybyśmy mogli być niewidzialni, jak byliśmy *niéstyszalni* w tej chwili: podziękowałbym jój może po bratersku, albobym ukląkł przed nią jak przed Świętą. W istocie wydała mi się być taką ¹⁾. Przychodziły mi na myśl słowa, w wierszu Adama do niej:

¹⁾ Wrażenie to i przekonanie, po upływie pół wieku, nie tylko się nie osłabiło, ale owszem wzmogło; i to nie-mniej przez porównywanie, jak przez sam dalszy ciąg i koniec tego prawdziwie świątobliwego żywota. Sądząc więc, że dla czytelników tych wspomnień, nie obojętnym być może krótki biograficzny rys o nim: umieszczamy go tutaj,

„Jak ty mię swoją przerażasz pokorą!
„Święta, a skromna!..“

O! gdybyż na mnie sprawdziły się drugie:

„Świętym jest na ziemi,
„Kto umiał przyjaźń zabrać ze Świętymi!“—

A co się tyczy tego, który to powiedział, a teraz
szedł w drugiej parze przed nami: nie wiem, o czém

skreślony podług notat, udzielonych nam uprzejmie przez
najbliżej świadome go osoby.

Ś. p. Marcellina Łempicka, była córką Konstantego, obywatela ziemskiego, w obwodzie Rzeszowskim, w Galicyi, i Antoniny z Chrzastowskich. Urodzona w roku 1809, i w niemowlęctwie osierocona po ojcu, w dziewiątym roku życia oddaną została na wychowanie, wraz z dwiema starszemi siostrami, do klasztoru Panien Sakramentek we Lwowie. Tam, przy niepospolitych zdolnościach, żądzę nauki, i nader żywój wyobraźni, rozwinął się w niej najprzód ów ascetyczny pierwiastek duchowy, który był odtąd główną cechą jój życia. Wzmogła go jeszcze bardziej tęsknota po śmierci ulubionėj siostry, Felicji, i ciągnęła myśl o połączeniu się z nią w wieczności. To melancholijne usposobienie skłoniło matkę, która weszła w powtórne śluby, iż ją odebrała z klasztoru, i tak dla zdrowia, jak i dla rozrywki, udała się z nią na lato w Karpaty, do Czorsztyna. Ale tu dwunasto-letnia czytelniczka „Żywotów Świętych,“ zapragnęła naśladować sama pustelniczy żywot Maryi Egipcjanki, i uciekając w góry, po całych dniach o głodzie, zmusiła znowu matkę, że po kilku tygodniach wróciła z nią do domu, w Jasielskie. Starania około młodszego rodzeństwa, i praca nad kształceniem się własném, uspokoiły na czas młody umysł i serce; ale wnet

w nią toczyła się rozmowa. Ale wstawszy dziś rano, kiedy Adam spał jeszcze, postrzegłem z podziwieniem na palcu jego pierścioneczek z węzłem gordyjskim, którego wiem, że przedtém nie miał. Że go jednak, jak widać, zdjął sam z palca przy obudzeniu, więc téż

niebezpieczna choroba i nakoniec śmierć matki, którą namiętnie kochała, zwróciły je na dawne tory. Wtedy to uczyniła *votum* poświęcenia się służbie Bożej w zakonie; nie piérwój wszakże, jak po wywiązaniu się dostateczném z obowiązków względem rodziny. Z poczucia tego to obowiązku, nie mniej jak i przez przyjaźń dla swojej kuzynki, panny Henryetty A., towarzyszyła jój w podróży do Włoch, którą rodzice dla zdrowia jój przedsięwzięli, w roku 1827. Gdy jednak stan tego zdrowia polepszył się o tyle, że przestał być niebezpiecznym; w Rzymie już chciała wstąpić do klasztoru Panien Wizytek, na *Trinità dei Monti*, i tylko wzgląd na żal towarzyszki i na odpowiedzialność samych państwa Ankwiczków w obec jój własnej rodziny, wstrzymał ją od tego kroku. Odtąd wszakże, pracując gorliwie w naukach, i ulegając przez posłuszeństwo wymaganiom towarzyskich stosunków, nie przestała się już uważać za związaną ślubem zakonnym, chociaż o tém nikt z obcych nie wiedział. Powodzenie atoli, jakie miała u świata, a które, obok rzadkiej urody i wdzięku, zjednywał jój powszechnie umysł i charakter, było dla niej ciągłym źródłem goryczy, i każdy jego widoczniejszy objaw opłacała skrytymi łzami, lub podwojeniem dobrowolnych umartwień. Sławny portugalski malarz *Siguera*, który ją poznał w Rzymie, błagał jako o największą łaskę, aby mu pozwoliła zdjąć swój portret do obrazu Zwiastowania N. Panny. Ale wszelkie namowy i nalegania rozbiły się o opór pokory. L'abbé Lamennais, gość codzienny w domu państwa Ankwiczków w Rzymie, w roku 1832, powia-

przed wami tylko o nim tutaj wspominam, pewny, że szczerze podzielicie życzenie, ażeby się ten węzeł ani zerwał, ani rozwiązał. Z tego zaś wszystkiego wnioskuje, jak uroczym był dzień wczorajszy.—Za parę dni mamy znowu projekt wycieczki na górę *Saleve*,

dał o niej: „że jest stworzoną na Rzymiankę, lub Świętą,“ (*Elle est crée pour être Romaine, ou Sainte*). X. Lacordaire, L'abbé Gerbet, Montalembert, a z Polaków: x. Stanisław Chołoniewski i x. Ożarowski, otaczali ją szczególniejszym szacunkiem i przyjaźnią; nie mówiąc już o uczuciach ludzi świeckich, które ona wpływem swym i powagą trzymać zawsze na wodzy i uświęcać umiała; przebacząc z dobrocią i pobłażaniem płochości i lekkości niektórych, niewiedzących i nieumiejących odgadnąć, ile jój przez to przyczyniali przykrości.

Po powrocie do kraju, w r. 1833, chciała zaraz swój zamiar przyprowadzić do skutku, i zamknąć się w klasztorze najsurowszej reguły w Krakowie. Ale w tym właśnie czasie, boleść jój starszej siostry, Teofili Marynowskiej, po stracie ukochanego męża, skłoniła ją, iż zamieszkała przy niej. Wpływ jój był tego rodzaju, że młoda i piękna wdowa, najmocniej z razu powołaniu siostry przeciwna, sama w końcu poszła w jój ślady; i obie postanowiły razem wstąpić do zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia we Lwowie, Teofila spełniła wnet zamiar; ale nowa powinność rodzinna wstrzymała jeszcze na czas Marcellinę. Młodsza siostra. (Józefa Garlicka), złożona chorobą, powierzyła jój pieczy jedyną swą małą córeczkę, a zaś słynna z dzieł pobożnych i dobroczynnych, dostojna xiężna Teressa (Henrykowa) Lubomirska, z domu xiężniczka Czartoryska, fundatorka i opiekunka klasztoru Sióstr Miłosierdzia w Przeworsku, wezwła ją do pomocy przy zakładaniu szpitalów i ochronek dla dzieci, w obszernych dobrach swoich w Galicyi

a dziś jeszcze płyniemy łódką do *Coppet*, niegdys miejsca pobytu sławnéj pani *de Stael*; gdzie wszakże, prócz domu i ogrodu, żadnych innych, jak słyszę, nie ma po niéj pamiątek.

i na Wołyniu. Za powrotem atoli ztamtąd, żadne względy, ani namowy, nie mogły już jéj dłużej zatrzymać na świecie. W dzień professyi siostry, w r. 1840, przywdziała sama we Lwowie suknię nowicyuszki, i w pół roku, za szczególném upoważnieniem zwierzchności duchownéj, wykonała dozgonne śluby. Gorliwość jéj i poświęcenie w usłudze chorych, uczyniły ją wnet przedmiotem ogólnéj ich czci i miłości. Umierający błagali jako o łaskę, aby była przy ich skonaniu. Ale wkrótce zbyteczna praca wyczerpała własne jéj siły. Przełożona we Lwowie wysłała ją więc do Przeworska, aby tam zamiast chorych, zajęła się pielęgowaniem i nauką dzieci. Obowiązek ten i przyjaźń xiężny Lubomirskiéj, tak jéj ten pobyt uczyniły miłym, iż właśnie z tego powodu nie chciała pozostać w nim dłużej, i pokrzepiona na zdrowiu, znowu gwałtem do Lwowa, i do posługi chorych wróciła. Wybierając zaś umyślnie dla siebie oddział chorób najcięższych i najzaraźliwszych, padła sama ofiarą tyfusu, w Lutym 1843 r. Pamięć jéj życia i śmierci w klasztorze, legendarnie utrzymuje się w nim dotąd. W chwili skonania, odzyskawszy zupełną przytomność, mówiła do otaczających ją Sióstr Zgromadzenia: „Ach! siostry! wy nie wiecie, jak jest słodko umierać, kiedy wiem, że idę do Boga.“—Pocém wznosząc ręce do góry, zawołała głośno z radością: „O! Jezu mój! już mię wołasz!—Idę, Panie mój, idę! Dzięki, dzięki!“ i z temi słowy Bogu ducha oddała.—Siostra jéj Teofila przeżyła ją o lat 12, i podczas kampanii Krymskiéj, wysłana na własne żądanie do Krymu, dla pielęgowania rannych i chorych w szpitalach wojskowych w Bałakławie, umarła tamże w r. 1855.

(P. A.)

23 Września, godz. 12 w nocy.

Zamiast wracać, jak był projekt na dzisiaj:

„Ze szczytów sterczących dumnie”
Gór i skał dzikich *Salewskich*,

wróciliśmy właśnie przed chwilą:

Z salonów błyszczących tłumnie
Zbiorem piękności *Genewskich*;

to jest, z panińskiego balu, czy raczej *rautu*, u Bonstetтена, który dla przyjaciółki swojej, panny Anastazyi, jako nowo-zaręczonój, ten prawdziwy *Dzień-wieczór* wyprawił. Samych pańienek było 14, (licząc w to i obie nasze), z rodzicami lub opiekunkami, i wszyscy starzy uczeni Genewscy. Biedny Adam musiał rad nie rad utrzymywać konwersacyą z nimi; ale za toż ja z Zygmuntem byliśmy literalnie jak motyle, których skrzydła, jak mówi Byron:

„ *opressed with perfume*
Wax faint oer the gardens of Gul in her bloom.“

(. od ciężaru woni
Mdleją, z kwiatów na kwiaty bujając po błoni.)“

Mnie nawet było trudniej niż jemu; bo musiałem wciąż lawirować, nie tylko między swojemi a cudzoziemkami, ale nadto i między Miss Garner i panną De Silvestri, które dość jakoś krzywo spoglądają na siebie, a mnie jużciż szło bardzo o to, aby żadna z nich na mnie nie spójrzała podobnie. Zygmunt miał większą swobodę wyboru; choć się wszystkie.

jedna przed drugą, uśmiechały uprzejmie „*au jeune comte polonais*,” jak go tu nazywają powszechnie. Ale i „siwe, mądre Matuzele,” nie mniej dlań okazują względności. Sismondi, mówiąc ze mną o artykułach jego i panny Anastazyi w *Bibliothèque Universelle*, powiedział: „U was Słowian, talenta nie potrzebują dojrzewać, (*n'ont pas besoin de mûrir*); dzieci piszą, jak ludzie dojrzały.”—Ale dziś Zygmunt i między panienkami złożył jakby *examen maturitatis*, t. j. dojrzałości młodzieńczej. Amerykance zwłaszcza tak się podobał, iż dowiedziawszy się ode mnie, że jest przytém poetą, nie wahała się rokować mu sławy Byrona, o którym z nią właśnie rozmawiał, sypiąc iskrami, jak młynek w fajerwerku. A był téż z nami razem i młody poeta angielski, *Reeve*, przyjaciel Miss Harry i Zygmunta, którego codzień prawie spotykam u niego, i który téż z nim czasem odwiedza Adama. Dopomagał on nam gorliwie w wywiązaniu się z obowiązku „grzecznych kawalerów,” który na nas trzech dzisiaj właściwie polegał, a przynajmniej myśmy się tylko poczuwali do niego. Prawda, że byliśmy najmłodszy; ale mało starsi od nas, jak np. pan Symon i kilku Genewczyków, nie zadawali sobie wcale pracy około bawienia płci pięknej, i woleli dysputować między sobą o polityce, o ile pozwalała na to obecność pana *De Circourt*, jako ofiary ostatnich wypadków i współbohatera fety. Ale co mnie zajmowało najwięcej, to sam gospodarz domu, nieoszaczany staruszek Bonstetten. Pisałem już wam kiedyś o nim obszernie z Rzymu, i odtąd jest on zawsze

ideałem myśli moich i życzeń na starość. W połowie dziewiątego krzyżyka, taka świeżość—nie czerstwość tylko—umysłu, czucia, wyobraźni! Znać, że nie z mózgu tylko i cielesnego serca, ale z duszy nieśmiertelnej pochodzą. Z czcią i rozkoszą patrzałem na niego, otoczonego ciągle panienkami, jak się wszystkie wdzięczyły ku niemu, lub jak on je po ojcowsku całował. Przypominały mi się obrazki Świętych, którym leśne ptaszątka w pustyni śmiało na ramionach siadały. Gdyby Pelej miał taką starość, nie skwierczałby tak pewnie na swoją nieśmiertelność, którą jego małżonka, Tetys, wyjednała mu u Jowisza, zapomniawszy zarazem i wiecznej młodości wyjednać. A wiecie, że znudzony tém skwierczeniem Jowisz, przemienił go nakoniec w pełnego konika. Najciekawszą zaś rzeczą jest dla mnie, w czém talizman takiiej starości, albo raczej, takiiej młodości na starość? Szyller wprawdzie powiedział już coś o tém w dystychu, który ja przetłómaczyłem:

„Wierz mi, nie w bajce tylko, lecz jest i na świecie
Źródło wiecznej młodości. Spytasz, gdzie?—W poecie.“

Bajka zaś pospolicie szuka siły odmładzającój:

W cudownych źródłach, ziołach, albo w czarnoxięzkich
Gusłach, zaklęciach, czy trunkach.
Lecz cóż, jeśli Bonstetten znalazł je w panięńskich
Oczkach, ustkach, pocałunkach;

co tak słodko spoglądają ku niemu; tak się wdzięcznie uśmiechają do niego; i tak się same wreszcie pozwalają całować, jak oswojone turkawki albo sar-

neczki? Bądź co bądź, ja postanawiam odtąd, ilekroć będę kiedy łamał z wami opłatek, albo ilekroć kichniecie: aby zamiast „*Dosiego wieku*,” lub prostych „*stu lat zdrowia*,” życzyć wam—a przytém i sam sobie—starości Bonstetтена. Tymczasem zaś życzę—dobrej nocy!

30 Września, rano.

WYCIECZKA NA SALEW.

Wczoraj ledwo przyszła do skutku; a to z powodu albo deszczu, albo kolejnych wieczorków na cześć panny Anastazyi, o których wszakże nic ciekawego do powiedzenia nie mam. Ostatni przedonegdaj był u państwa Ankwiczów, na którym byli wszyscy bawiący tu Polacy, (jest ich około 20); a między innymi, pan kasztelan Ostrowski (Antoni), z rodziną. Największą mi wszakże pod tym względem przyjemność, sprawiło niespodziane spotkanie się z p. Romualdem Hube. Julian zna go z Warszawy. Zaczny, miły, rozumny człowiek! Stanał mi żywo w pamięci salon czcigodnych państwa Węgrzeckich, i nasze w nim niedzielne zebrania w Warszawie: (jak ów ogródek w bajce: „*o trzech siostrach, trzech kwiatkach*)“; z panną Anną, jak różą królową; z uprzejmą, gospodarzą, fijołkowej skromności Marynią, i z Misią, kształtną i widną jak narcyz; choć właśnie ujśćby mogła za najdoskonalszy kontrast mitologicznego Narcyza;

tak niezajęta sobą, i tak zapominająca o sobie, gdy idzie zwłaszcza o uczynność dla drugih. Mój Boże! jak to wszystko jak sen przeminęło! Ale czyż i wczorajsza nasza wycieczka, oprócz rzeczywistego jeszcze bolu w nogach, nie liczy się już do sennych widzeń przy ocknieniu; tém bardziej, że i same widoki były w tym rodzaju, i myśl, że to już raz ostatni patrzymy tak z gór na góry, trzymała nas jak w rozmarzeniu senném. Odbyliśmy ją tylko we czterech, to jest, my, Zygmunt, i fundator jój, pan Ankwicz. P. Jakubowski nie chciał się fatygować; a panienki, choć chciały, nie mogły jechać bez matki, którą nagły ból zębów zatrzymał.

Salew, olbrzymia skała w Sabaudyi, (o $\frac{3}{4}$ mili naszej od Genewy), ma kształt podłużnej ściany, o dwóch szczytach. (*Mały i Wielki Salew*). Z jednej strony, na zachód, naga, stroma, i prawie prostopadła, z drugiej ma pochyłość łagodną, zielonemi pastwiskami i dość gęstemi domkami pokrytą. Celem wyprawy są widoki z obu tych szczytów: zamknięte z jednej strony czarném pasmem gór Jura, z drugiej śniegami Montblanu, a ogarniające: całe jezioro Lemman, cały kanton Genewski, Waatlandzki, Sabaudyą i część Francyi, z ich wszystkiemi miastami, wsiami, rzekami, górami, jedném słowem, wdziękami i osobliwościami. Wyliczać wam ich wszakże ani opisywać nie myślę, a powiem chyba tylko o nas samych, żeśmy tego wszystkiego używali wesoło; mając zwłaszcza na celu ubawić pana Ankwicza, aby mu i trud drapania się z nami po górach osłodzić, i jużciż odwdzięczyć

się za to, żeśmy na jego wózku przyjechali. Czuł on to, i był téż wdzięczny i czuły nawzajem—ku serdecznej mojej pociesze, którą widocznie podzielały i damy, gdy im sam za powrotem wszystko opowiadał.—Podróż jazdą, przez wieś *Chene*, do wsi *Mornex*, trwała półtóry godziny; ztamtąd zaś piesza, przez *Maty* na szczyt *Wielkiego Salewu*, godzin trzy. Zejście zmordowało nas więcej, niż wejście. Zeszliśmy bowiem inną, bliższą drogą, tak zwaną „*pas d'échelle*“, to jest wykutą w skale jak drabina, nad którą cała naga, granitowa ściana Salewu, prostopadle prawie się wznosi, i zkąd widok jest przeto jak z wieży.—Wróciliśmy do Genewy o siódmiej, wprost na obiad do państwa Ankwiczów; ja z wierszem do stambucha panny Henryetty, skleconym w drodze, podczas gdy drudzy drzémali, i który wam tu zaraz przepiszę. Powód zaś do niego jest taki. Panna Henryetta przetłómaczyła dla panny Anastazyi, wierszem białym po włosku, mój „*Wschód Słońca na Rigi*“, który się i jój, i Miss Garner, i pannie De Silvestri podobał. Że zaś dla mnie pochwała w głosiku z ustek panieńskich, miłsza jest niż trąba Sławy: chciałem więc *traduktorce* wdzięczność moję okazać, i ztąd poszło to:

ECHO W ALPACH.

Alpejski pasterz, gdy pieśń nieuczoną
Na prostym flecie zanuci:
Wiatry jój dźwiękiem po dolinach wioną,
Aż z gór dalekich, cichszą, złagodzoną,
Echo ku niemu powróci.

Brzmiący z powietrza ton, chociaż znajomy,
Tyle nowego ma wdzięku:
Iż mu się zdaje: Anioł niewidomy,
Nad skał dzikimi przelatując złomy,
Głos swój przyłączył do dźwięku.

„Możaż to piosnka?—czy echo mię ludzi?“
Zawoła pasterz z pociechą.
„O! niech mych pieśni nie słyszy nikt z ludzi,
„Niech tylko każda—niech jedna obudzi
„Raz jeszcze, lube tak echo!“

3 Października. Niedziela, północ.

Nie sądziłem, abym co więcej miał już dodać do tego listu, prócz chyba wiadomości o wyjeździe Adama; na czém mam całą tę moję z wami korespondencyą zakończyć; tak już dziś do dalszego jęj ciągu, ani weny, ani ochoty nie czuję. Ale muszę wam opowiedzieć dzisiejszą naszą przygodę, która mogła się łatwo stać straszną katastrofą, i zakończyć w sposób tragiczny wesołą, poetyczną fetę, urządzoną na cześć i na pożegnanie państwa Ankwiczów, którzy już wyjeżdżają pojutrze. Stanowił ją fajerwerk na jeziorze, wyprawiony przez Krasieńskiego, z pomocą pana Augusta, który choć go z początku odradzał, nie mógł się w końcu oprzeć prośbom przyjaciela, i sam przyjął czynny w nim udział.—O zachodzie więc słońca, przy najpiękniejszej pogodzie, po ostatnim pożegnalnym obiedzie u państwa Ankwiczów, puściliśmy się:

“Oer the glad waters of the dark blue sea,”

Listy Odyńca, Tom IV.

24

to jest, na gładkie fale modrego Lemanu, w dwóch dużych barkach, płynących tak obok siebie, że można było rozmawiać nawzajem. Do jednej z nich, na długim sznurze, przywiązana była łódka Zygmunta, mieszcząca w sobie pirotechniczne przyrządy. Towarzystwo, oprócz zwyczajnego naszego, składało się i z obcych, zaproszonych gości: państwa Klustinów, pp. *De Circourt*, *De Luc*, *Douby*, poety *Reeve*, i t. d. Pływaliśmy około dwóch godzin, lubując się widokiem jeziora, cichego i gładkiego jak szyba zwierciadła, i okolic przy świetle księżyca. Dopiero gdy już dobrze ściemniało, pirotechnicy nasi przesiedli się do łódki Zygmunta, i odpłynawszy na stosowną odległość, rozpoczęli spektakl. Kilka rac wyleciało wspaniale; kilka *świeć rzymskich*, z gwiazdami, dopaliło się szczęśliwie do końca; kiedy wtém niefortunny młynek zatrzzął iskry do środka łódki, i zapalił złożoną w niej na dnie resztę fajerwerkowych zapasów. Szczęściem, nie wszystkie zajęły się od razu, a masa fajerwerkowa paliła się bez gwałtownych wybuchów. Zawsze jednak płomień i iskry buchały kłębami z dna łódki, a na ich tle, obaj puszkarze, czerniąc się w oczach naszych, jak wódz Gwebrow przed stosem, w *Czycielach Ognia* u Moora, i podskakując co chwila do góry, bo gorąco parzyło im nogi: porywali gołemi rękami i wyrzucali do wody zatłone już race i świece; przyczém wkrótce p. August musiał także rzucić na wodę zwierchnie swoje ubranie, które już na nim palić się zaczęło. Niebezpieczeństwo było widoczne; tém bardziej, że między fajerwerkami był *burak*, to jest puszka z blachy że-

lawniej, zawierająca szmermele, mające tworzyć przy końcu tak zwany *bukiet*, koronę widowiska. Gdyby ogień dosięgł buraka, wybuch jego niechybnie rozszalałby łódkę. Wiedząc o tém i ja i Adam, wołaliśmy co siły zdaleka: „burak, burak!” nagłąc przytém wszyscy naszych wiosłarzy, aby co rychlój śpieszyli z pomocą. Pan August czuł téż równie to samo niebezpieczeństwo, i najpiérwój chciał utopić buraka. Ale Zygmunt stanął w obronie, zabezpieczywszy go tylko od ognia przykryciem swego zwierzchniego odzienia. Koniec końców, nim się nasze łodzie zbliżyły, nieustraszeni bohaterowie téj sceny, jakkolwiek z popaleniem nieco rąk i odzieży, powrzucałi już sami do wody wszystkie sztuki ogniem zajęte. Burak tylko pozostał nietknięty. Łatwo pojąć, z jakim przestachem damy, a z jakim naleganiem my wszyscy, a zwłaszcza pan Jakubowski, radziliśmy i błagali, aby już dalszych z nim experymentów zaniechać. Ale gdzie tam! Zygmunt, za całą odpowiedź, wziął się sam czynnie do wiosła, aby uciec od natrętnych doradców; — i wnet płomienisty wybuch szmermelów i bengalskich ogniów z buraka, oświecił, jak meteor, obie nasze łodzie, i strach widzów przemienił w oklaski.— „*Finis coronat opus!*” wykrzyknął tryumfujący Zygmunt, gdy go damy, razem z p. Augustem, w braku laurów, okrywały szalami, w zastępstwie popalonej odzieży.

W téj chwili, mając już kończyć, spójrzałem na zegarek—i muszę wam jeszcze *à propos* zegarka, opowiedzieć pocieszną anegdotę.—NB. Zegarek, na

który spójrzałem, jest to nowy zegarek Adama, który tu kupił sam sobie za 230 franków. (Genewa bowiem słynie fabrykami zegarków, i w ogólności wyrobów złotniczych). Chciał kazać wyryć na nim swoją cyfrę, albo monograf; ale za radą panny Anastazyi, stanęło na herbie *Poraj*, podług stariej pieczętki, którą ma na pamiątkę po ojcu. Żałuję, że nie mam za co kupić sobie podobnegoż gościńca. Ale za toż przez towarzyszków zostałem obdarowany sowicie. Zygmunt, na pamiątkę podróży, ofiarował mi szmaragdową szpilkę i śliczne złote guziczki, z emalią turkusową, do zapinania chustki i bielizny; Adam zaś darował mi na własność swój płaszcz hiszpański, w którym zwykle figurowałem przez zimę, kiedy on sam chodził w cieplejszym. Jestto prawdziwie poetyczno-historyczna pamiątka. Sprawił on go sobie w Odessie, wybierając się w podróż do Krymu. W nim to „spoglądał wsparty na Judahu skale;“ choć go Wańkowicz burką na portrecie zastąpił. Raz, jak sam opowiadał, podczas ulewnego deszczu, okrywał się nim razem z Puszkinem, chroniąc się pod pomnikiem Piotra W. w Petersburgu; i była to właśnie chwila, która ich zbliżyła najwięcej. W nim ujrzałem go tamże raz pierwszy, gdy uspięnego mię na łóżku swoim pocałowaniem rozbudził. Nakoniec, nim to właśnie otulał mię tak opiekuńczo na wierzchołku Wezuwiusza!—Kiedyś, po śmierci mojej, testamentem przekaże go do *Swiątyni Sybilli*, gdzie jest mundur Napoleona i burka xięcia Józefa. Płaszcz Mickiewicza będzie

mógł śmiało figurować obok. Szyller przecież powiedział już dawno, że:

„Wieszcz się z królem równać może śmieie;
Obadwaj stoją na ludzkości czele.“— ¹⁾

Ale nie o tém zamierzałem pisać. Mam opowiedzieć anegdotkę z zegarkiem, która się tu przed tygodniem zdarzyła, i była przez dni kilka przedmiotem ogólnego śmiechu w całym mieście. *Gentleman* jakiś, bogacz i oryginał, kupił tu sobie przed rokiem u najpiérwszego zegarmistrza zegarek, za tysiąc talarów, ale pod umową na piśmie, że gdy ten w ciągu roku będzie się różnił choćby o minutę z chronometrem, czy południkiem, nabywca będzie miał prawo zwrócić go fabrykantowi i pieniądze swoje odebrać. Termin roczny właśnie upływał, gdy się Anglik zjawił raptem w Genewie, i w obec kilku osób, znajdujących się w sklepie zegarmistrza, wszedł do niego, i ani słowa nie mówiąc, z dumną miną dobył zegarek, i oddał go w ręce gospodarza. Pokazało się, że się późnił o trzy minuty. Gospodarz nie rzekł téż słowa, ale obejrzawszy zegarek, wyszedł z nim do drugiego pokoju, i powrócił z rulonem złota, który milcząc nawzajem oddał Anglikowi. Po téj nieméj scenie, *gentleman*, z tryumfującym uśmiechem, oświadczył wspaniałomyślnie, że to tylko był żart z jego strony, i że targu wcale nie zrywa. Ale jakże się stropił nieborak, gdy kupiec, odwołując się do świad-

¹⁾ Płaszcz ten w r. 1858 został ofiarowany do Muzeum Archeologicznego w Wilnie.

ków, uznał targ za zerwany prawnie podług umowy, i nawzajem oświadczył stanowczo, że tak wypróbowany zegarek wart jest nie tysiąc, ale dwa tysiące talarów, i że go inaczej nie przeda. Łatwo pojąć miłą siurpryzę, wstyd, gniew, i w końcu upokorzenie Anglika, gdy po daremnych sporach i długich układach, musiał wreszcie, *Krakowskim targiem*, pół tysiąca talarów dopłacić, aby własny już swój przed chwilą, a ulubiony zegarek odzyskać. Wiem, że lubicie anegdoty, a ta, sądzę, że was zabawi.—Dobranoc!

6 Października.

Państwo Ankwiczowie wyjechali wczoraj, jak mieli; a zaś moje usposobienie skutkiem tego jest dzisiaj takie, że nie czekam już na wyjazd Adama, aby list ten skończyć i wysłać. A przecież to pożegnanie wczorajsze nie było bez pewnej pocieszającej perspektywy na przyszłość. Najprzód, o 7-éj rano, byliśmy wszyscy razem na mszy w katolickim kościele, po której szanowny proboszcz, x. *Voisin*, odczytał nad odjeżdżającymi błogosławieństwo podróżne, łącząc do niego przy końcu i własne przyjacielskie życzenia. Każdy z nas z głębi serca dopowiedział *Amen*; a p. Ankwicz, widocznie wzruszony, był dla wszystkich czulszym niż kiedy, i przy śniadaniu zwłaszcza Adamowi oświadczył, że się spodziewa jeszcze doczekać go w Medyolanie, aby razem jechać

do Rzymu. Sama zaś pani, wyraźnie chcąc mię pocieszyć, sygnęła mi téż sporo—nie wiem tylko, czy gwiazdek, czy iskierek nadziei. Kiedy więc biedna panna Henryetta, tłumiąc łzy w oczach i w głosie, zacytowała mi zcicha jakiś wiersz angielski:

„*I knew, i knew, it could not last.*

T'was bright, t'was heavenly—but t'is past!“

pocieszałem ją z przekonania, i zaraz *ex promptu* napisałem jęj ołówkiem tłómaczenie tego wiersza z dodatkiem.

„Wiedziałam ja, wiedziałam, że to trwać nie może.

Było jasno, niebiesko—ale ach! już znikło!“—

Nie skarż się! Życie idzie swą koleją zwykłą:

Po dniu noc—lecz po nocy znowu błysnie zorze.

Adam także, który już przedtém do zbioru jęj podróŜnych pamiątek ofiarował był róŜne przedmioty, zebrane przez się w tym celu u stóp Wezuwiusza i Etny: wczoraj przyniósł jęj jeszcze pieczętkę z górnego kryształu, który sam niby, jak mówi, znalazł u stóp Montblanu; i gdy go prosiła o godło, jakie ma być na nięj wyryte, doradził wyryć oko Opatrzności, z napisem: „Zdajmy wszystko na Pana!“—Słyszając to, powiedziałem do ucha pannie Marcellinie wiersz z pieśni „o BoŜkiej Opatrzności:“

„I gdzie się zdaje rzecz niepodobna,

Tam Twa Opatrzność bywa sposobna.“

Zrozumiała, do czego to stosuję; i lubo odpowiedziała smutnie i poważnie: że podług nięj, najwłaściwszą

dewizą byłoby: „Bądź wola Twoja!”—nie zaprzeczyła wszakże słowom moim, że i w uczuciach, które Pan Bóg zsyła, można przecież uznawać wskazówkę woli Jego i przeznaczenia.—Z tego wszystkiego możecie wnioskować, w jakim usposobieniu rozstaliśmy się wczoraj nawzajem. Adam jednak jest bardzo smutny; i gdy dziś rozgarniając mi po swojemu włosy i wpatrując we mnie długo, powiedział: „Znów będę sam, jak kij na świecie;”—ton głosu był już taki, że wnet odwrócił się nagle i wyszedł. Nie mówię, w jakim ja usposobieniu zostałem. Ale żeby nie mówić, w jakim prawdopodobnie po wyjeździe jego zostanę—wolę już dzisiaj powiedzieć wam—bywajcie zdrowi!—A i on także kazał was pozdrowić i pożegnać serdecznie.

XIX.

Do Juliana Korsaka.

9 Października, 1830 r. Genewa.

Mój najdroższy Julianie! Co za dziwny traf, czy zrządzenie! Wczoraj, gdy już list do was miałem odnieść na pocztę, otrzymałem najniespodziewaniej twój, z okropną wiadomością o sieroctwie twojem, i o powrocie na wieś do domu. Pocieszać ciebie słowy ani śmiem, ani umiem. Sam piszesz, że twój ojciec kochał mię jak syna; wierz téż, że go płaczę jak ojca—i to nie tylko przez braterstwo z tobą. Gdybyśmy mogli być razem, niewątpliwie lżejby nam było. Obecność kochających, to jedyna ziemską pociecha, po rozstaniu się z kochanymi. Zdaleka, o niebieską dla siebie mozem tylko prosić nawzajem. Ale trzebaż, że chociaż tak oddaleni, obydwu w tymże czasie przebywać mamy téż samą próbę i cierpienie. Jutrzejsze rozstanie się z Adamem, będzie téż dla mnie istotném osieroceniem. Widać, że dla ciebie i dla mnie, wyraźnie i jednocześnie, zaczyna się nowa epoka życia. Taką już kiedyś przed laty stanowił dla mnie wyjazd jego z Wilna, w r. 1824. Prócz straty matki, była to wówczas pierwsza, prawdziwa i głęboka boleść, ja-

kięj w życiu doznałem; i pod jęj to wpływem, dzieciństwo, przerodziło się, czy dojrzało w młodość. Teraz i mnie i tobie przyszła widać godzina, że musimy z młokosów zacząć dojrzewać na ludzi. A bodaj, że jak kwiat nocy i rosy, tak serce łez i cierpienia potrzebuje do tego processu. Jasnych, słonecznych promieni mieliśmy, Bogu dzięki, dosyć; ja zwłaszcza w ciągu tęj podróży z Adamem. Teraz kolej na mrok i rosę — bo jeszcze nie na spoczynek. A i ty także, przez cały ten rok prawie, bujałeś sobie swobodnie w nowym świecie, wśród nowych ludzi i wrażeń. Nie mogły one wprawdzie równać się z mojemi, jak Flora strefy północnej z południową. Ale zima i noc polarna zrównają je obie. W przewidywaniu ich dla siebie tylko, po odejździe Adama, jużem wam zapowiedział koniec moich listów z podróży. Teraz powód byłby podwójny. Niechże przynajmniej te, co już nabazgrane, jeśliście ich nie zniszczyli, zostaną wam, i mnie samemu, na miłą pamiątkę tego najszcześniejszego dotąd peryodu życia i przyjaźni naszej. Dałby Bóg, abyśmy odczytując je może kiedyś razem na starość, odmładzali się w duszy ich wspomnieniami, jak Alf u Adama: „czarodziejską wonią kwiatów ojczystych, z któremi igrał dzieckiem, z braćmi, w ogrodzie rodziców.“—Ale co teraz, to powiedzmy sobie z Bohdanem:

Żegnaj, żegnaj, wieku młody!

Śnie na kwiatach, śnie nasz złoty,

Ideale wiary, cnoty,

I miłości, i swobody!

A zabierając się do twardszej, obowiązkowej pracy życia—ty na rodzinnej roli, ja może nad biórowym albo redakcyjnym stolikiem, (jeśli mi i w tém jeszcze los stołka nie podstawi); weźmy sobie za godło nieśmiertelne słowa patryarchy poezyi naszej, tego typu i ideału chrześcijańskiego poety-obywatela: (licząc w to i jego urząd *Wojskiego*, jako opiekuna płci pięknej; i ojcowskie łzy nad Orszulką; i śmierć z żalu po przyjacielu). A wreszcie, czémże godniej, jeżeli nie wspomnieniem i imieniem Jana Kochanowskiego, zamknąć ten cykl wspomnień, acz drobnych, o Adamie Mickiewiczu, który także od pierwszej młodości obrał sobie za dewizę też słowa:

„Służmy pocziwój sławie, a jako kto może,
Niech ku pożytku dobra wspólnego pomoże!”

Co daj Boże!—Amen.

KONIEC TOMU CZWARTEGO I OSTATNIEGO.

PRZYPISY.

PRZYBISY.

LISTY
ZYGmunTA KRASIŃSKIEGO
DO OJCA. ¹⁾

I.

11 Augusta, 1830 r. Genewa.

Kochany Papo!

Piszę do Papy na statku parowym na jeziorze Lemian, wracając do Genewy z podróży odbytej w około Montblanc, wraz z panem Jakubowskim i z Reeveem, który bardzo przyjemnym był dla nas towarzyszem, i śpieszę przesłać papie opis tej ekskursyi.

2-go Augusta, w Poniedziałek, wyjechaliśmy z Genewy rano, i dziką okolicą, pełną skał i lasów, udaliśmy się ku Chamouny, przez Sabaudyą. Tegoż dnia nocowaliśmy w Sallenches, o 10 *lieus* od Genewy, z kąd pyszny widok mieliśmy zachodzącego słońca na szczytach Montblanu. Zapewne nic w przyrodzeniu poważniejszego i piękniejszego nie ma, nad tę ogromną górę, otoczoną śniegami, w której głębiach wrą źródła tysiąca potoków, i na której lodach łamają się

¹⁾ Przypis do str. 350.

w niezliczonych tęczach słońca promienie. Tego samego dnia, po kolacyi, poszedłem na przechadzkę z Reevesem, przy świetle księżyca, i niezawodnie była to najpiękniejsza przechadzka, którą kiedykolwiek odbyłem. Błędny i niepewny widok, nadprzyrodzony miał urok. Zieloność otaczająca szczyty skał, śniegi w oddali, wody igrające ze światłem miesięcznym, składały razem obraz, który nigdy z méj pamięci nie wyjdzie.

3 Aug. Przebywaliśmy okolicę najeżoną skałami, szumiącą wodospadami i nieznośnym gorącą upałem. Z pośrodku gór i urwisk spuściliśmy się do doliny Chamouny, która zasługuje na swą sławę. Rozciąga się ona u stóp Montblanu; z obu stron pasmo gór się otwiera. Kwitną w niej róże, złote pływają żniwa, zieleni się wiosenna murawa, a to wszystko w cieniu, rzuconym przez słupy z lodu i zasy z śniegu. Sama wieś Chamouny jest małą, ale z wyborne mi gospody. Po zjedzeniu obiadu, poszliśmy do źródła *Aveironu*, przez lasy sosnowe i piaski. Niech papawystawi sobie dziki przestwór, napełniony podruzgotanemi skałami, leżącemi głazami i drzewami; pośród tego wznoszący się wzgórek z lodu, okrytego to ziemią, to piaskiem, to śniegiem, a u stóp tego wznórzajaskinię, wykutą w lodzie ręką przyrodzenia, znacznej wysokości i szerokości. Jój sklepienie jest na pół przezroczyste i błękitnawej barwy—a z niej wybucha potok, zwany Aweironem, z ogromną siłą, piorunnym szumem, porywając, niszcząc i łamiąc wszystko co napotyka;—a w około czarne rosną sosny,

szczyty skał w słupy pokrajane się wznoszą, a pod błękitem nieba, leżą śniegi wierzchołka Montblanc.

4 A u g. Wziąwszy przewodników i muły, o czwartej z rana pojechaliśmy na górę *Montanvert*, która przytyka do góry Montblanc, i z kąd rozległy jest widok na Morze Lodów. Tak zowią albowiem *un des glaciers du Mont-Blanc*, który biorąc swój początek przy jego szczycie, spływa zamarzłemi falami aż do doliny Chamouny. Tu zostawiwszy muły, puściliśmy się piechotą pośród skał, ciasnych ścieżek i przepaści;—potém dostaliśmy się na Morze Lodów, i wciąż po nim idąc w górę, przeskakując przerwy liczne w lodzie, szliśmy po nim trzy godziny, w wąwozie utworzonym przez pasmo skał czarnych, podobnych do gotyckich katedr, tak albowiem ostro i lekko połamane i pokrajane są ich szczyty. Następnie wdrapaliśmy się na górę, już nie lodowatą, ale gołą zupełnie i bez murawy (*Couvercle*). Ztąd znowuż weszliśmy na lód i na śniegi, i po godzinie doszliśmy do *Ogrodu (Jardin)*, który był celem naszej drogi tego dnia. Ogrodem zowią przestrzeń zieloną i kwiecistą pośród lodów i śniegów; i prawdziwie zadziwiającą jest rzeczą widzieć murawę i kwiaty, zewsząd otoczone ogromami śniegu i lodu. Tu zerwałem kilka kwiatów na pamiątkę, by je posłać do Anglii, i odpocząwszy godzinę, zacząłem wracać tą samą drogą. Nigdy nie zapomnę tej ekskursyi, i choć mnie okropnie zmęczyła, słodką i miłą mam jój pamiątkę; bo widziałem podczas niej przyrodzenie w całej swój ponurzej chwale lodów i śniegów.

5 A u g. Na mułach pojechaliśmy z Chamouny na szczyt góry *Brevent*, z kądem pyszny całej doliny i całego pasma gór widok rozwinął się przed nami. Ale ta ekskursya podczas upału nader była męczącą. Potem wróciwszy strzelałem z pistoletu po obiedzie, w czym bardzo się wydoskonaliłem; gdyż mówiąc *en passant*, zbijam prawie zawsze kłosa zboża, który mi kto naznaczy. Dodać tu także muszę, że się nauczyłem pływać. Wziąłem w Genewie przed moim wyjazdem kilkanaście lekcyi, ale nic nie umiałem. W tych dniach dopiero, kąpiąc się po drodze w jeziorze *de Chede*, nagle uczułem, że pływam. Było to jedno z najprzyjemniejszych uczuć, których kiedykolwiek doznałem.

6 A u g. Wyjechaliśmy z Chamouny na mułach, i przez górę, *Tete Noire* zwaną, udaliśmy się do *Martigny*, miasteczka o 9 lieus od Chamouny. Ta podróż, choć pełna piękności przyrodzenia, niezmiernie mi przykłą była, bo już monotonność gór, potoków i zawsze potoków, skał i zawsze skał, zaczynała mnie nudzić, a potem chód muła jest rzeczą bardzo nieprzyjemną, i najłatwiej w smutek, czyli raczej w rodzaj złego humoru wprawiającą. Powoli się postępuje, krok za krokiem, i zawsze w każdej chwili toż samo wstrząśnienie, jak gdyby wymierzone się powtarza. Nie wiele też dla tego ten dzień przyniósł mi wrażeń i myśli. Z nudów, wziąłem się do pisania wierszy na mule, i pierwszy raz w życiu udało mi się kilka znośnych napisać. Przeszłem je Gaszyńskiemu, ale pierwój muszę pokazać Odyńcowi, który jest w Genewie, wraz z Mickiewiczem. Przyjechali oba

w wilią mego wyjazdu, i przez chwilę tylko Odyńca widziałem; ale teraz spodziewam się nacieszyć jego towarzystwem przez dni trzy, które będę bawił w Genewie, wprzód nim udamy się do Berna i do Lucerny, zkad wrócimy 1-go Septembra.

7 A u g. Wyjechaliśmy rano z *Martigny*, i oddalając się znów od Rodanu i od Genewy, zagłębiliśmy się pomiędzy pasma gór *du Canton du Valois*, żeby odwiedzić górę Ś-go Bernarda. Mgła gęsta zakrywała nam okolicę dnia tego, ale było coś tajemniczego i błędnego w niej. Słyszeliśmy szum potoków, wałacych się w przepaście, a nie mogliśmy ich dojrzeć. Błado sterczały skały przed nami. Wśród nawały chmur wdzieraliśmy się na górę Św. Bernarda, i zdawało mi się, że już nie jestem na tej ziemi, że przebywam w jakiejś krainie błędu i cienia. Przyjęto nas bardzo gościnnie w klasztorze. Wyborny postny dano obiad, wyborném uczęstowano winem, i szeroką celę na nocleg przeznaczono.

Nazajutrz, 8 Augusta, zwiedziliśmy kościół, gdzie piękny jest pomnik generała Dessaix, a w korytarzu klasztornym stoi marmur czarny, i taki na nim napis, który znalazłem bardzo piękny, i dla tego papie przesyłam.

Napoleoni primo, imperatori Francorum, semper Augusto, Reipub. Valesianaq. Restauratori, Egyptiano, bis Italico, semper invicto, semper optimo, semper memorando in monte Jovis et Sempronii, grata Respublica Valesiana, anno etc. etc.

W wielkiem poszanowaniu jest pamięć Napoleona u tamtejszych zakonników. Co do zamieszkujących klasztor, trzeba im oddać sprawiedliwość, że gościnni, dobrzy i grzeczni.

Pożegnawszy Przeora, pośród pięknego dnia spuszczać zaczęliśmy się ku równinie, a przechodząc odwiedziliśmy *La Morgue*, gdzie składają trupy znalezione pod śniegiem. Dziwnie ten widok uczynił na mnie wrażenie. Zmarzłe ciała stały w szeregu, białemi całunami okryte. Jedne już szkieletami były, drugie zachowały jeszcze nieco więcej materjalności. Ale między niemi zwróciło jedno ciało całą moję uwagę. Była to kobieta, trzymająca w objęciach umarłe dziecko. Już piętno zniszczenia wryło się na jój suchém czole i obnażonej z włosów czaszce, ale w położeniu rąk znać jeszcze miłość macierzyńską, znać że konając cisnęła do marznącój piersi lubą istotę, i uścisk matki przetrwał zgon wszystko niszczący: bo dotąd dziecko zamknięte w jój skrzepłych ramionach; dotąd niemowlęca główka schylona ku sercu, które oddawna bić przestało; i dopóki oba ciała w proch zupełnie się nie rozsypią, dopóty widném będzie patrzącemu, że to matka, a to jój dziecko.

9 A u g. Z Martigny wyjechawszy, po pięknej drodze Simplonu, pojechaliśmy do *Montreux*, nad brzegami jeziora Lemanu.

Montreux, jest to wieś na bokach góry, nad jeziorem stojącój. Naprzeciwko, na drugim brzegu jeziora, sterczą skały *de la Meillerie*, gdzie Rousseau dumał o miłości, którą źle był pojął, i pięknym sty-

lem ozdobił. Trzeba przyznać, że okolica jest czarująca. Zamek Chillonu jest blisko wioski, pamiątka Bonniwara i Byrona, a jezioro tak jest piękne, że raz za kryształową powierzchnię wziąć go można, drugi raz za ocean wzburzony.

10 A u g. Rano wsiedliśmy na statek parowy, i płyniemy do Genewy. Taka nasza podróż męcząca, w wielu miejscach nudna, ale zostawująca niezgasłą pamiątkę w duszy tego, który ją odbywając, poglądał na zimne, ponure czoło Montblanu, wznoszącego się nad Morzem Łodów.

Nie pisałem do papy przed moim wyjazdem, bo wiedziałem, że mój list nie zastanie go w Warszawie, a potem nie miałem o czém donosić, i pan Jakubowski w wilią wyjazdu pisał. Zapewne już wie papa o odmianie nastąpionėj we Francyi. Po trzydniowėj bitwie na ulicach Paryża, Karol X i jego familia ogłoszona za pozbawioną tronu, i książę Orleanu został namiestnikiem królestwa; zapewne za dni kilka królem będzie. Niezmiernie te dziwne zdarzenia zatrudniają tu wszystkie umysły, a ja słysząc o Paryżkich rzeziach, pomyślałem, że dowcipnie powiedział Voltaire, nazywając naród francuzki: *Arlequin Tigre*. Pan Girardot zapewne niespokojny jest o syna; lecz teraz wszystko już spokojne i uciszone w Paryżu.

Dziwną rzecz znalazłem w tłómoku moim podczas podróży. Jeden z jego zakątków nie był otwierany od Warszawy. Teraz szukając czegoś w nim, znajduję pakiet zapieczętowany bardzo starannie i pod moim adresem ręką babuni. Odpieczętowałem pierw-

szą, drugą i trzecią kopertę, a na ostatku znalazłem talię starą i dość brudną kart pikietowych; i nic więcej. Nie wiem co to ma znaczyć: pamiątka, czy wymówka?

Podczas podróży mojej dziwnego doznawałem uczucia; a ponieważ wszystko papie piszę, więc i to napiszę. Dla czegożbym nie miał się takiemu ojcu zwierzyć z sercem mojem? A to uczucie było, że cokolwiek pięknego lub wzniosłego spostrzegłem w przyrodzeniu, to mi przypominało *Henrykę*, tak, jak gdybym ją przed sobą widział; a jednak nie ma żadnego podobieństwa między nią, a skałą okrytą lodem! Ale wszystko co wzniosłe w niebie, co piękne na ziemi, zawsze mi ją przypomina. Jój wyobrażenie połączone u mnie z pięknnością moralną i fizyczną wszędzie. Jeśli patrzę na uśmiechającą się okolicę, widzę ją zaraz przed sobą. Jeśli czytam coś pięknego, zdaje mi się, że czytam jój imię. Smutno mi teraz myśleć, że papa powie: „On szaleje!” bo prawdziwie czuję co piszę, i mocno czuję—i choć wiem, że śmiech wzbudzę, muszę to pisać. To nieco ulgą jest sercu.

Zrobiłem opisanie mojej podróży;—chciałbym je posłać Gaszyńskiemu do jego Pamiętnika—ale nie wiem, jak? Są to ułamki, w których opisuję celniejsze miejsca, które mię uderzyły. Pisałem także do pana Józefa z zapytaniem, czy zechce podjąć się drukowania *Zawiszy*? i czekam jego odpowiedzi. Kosztował on mię tyle pracy, że pragnąłbym, by na świat wyszedł. Gdyby został w pugilaresie, byłby niejako stracony.

Familia Revilliaud cała na wieś wyjechała, oprócz brata; pomimo tego stać będziemy w ich domu przez te trzy dni, przez które pan Jakubowski odpocznie po trudach podróży na męczącym mule.

11 A u g. Jestem w Genewie, i widziałem się z Odyńcem, który mnie prezentował Mickiewiczowi, który bardzo grzecznie mnie przyjął. Ale jest bardzo blady i słaby. Średniego wzrostu, wychudłej twarzy, ale pięknych, spokojnych, melancholicznych rysów.

Towarzystwo Odyńca niezmiernie mi jest miłym; wiele przyjaźni mi okazuje i wdzięczności za dobroć papy. Mickiewicz jest zimny, ponury, wygląda na rozsądnego bardzo człowieka. Ja myślałem, że wcale przeciwnie. Dziwne czasem robimy sobie o ludziach wyobrażenie, które upada za ich poznaniem.

W Sobotę, to jest 14 A u g., wyruszymy do Berna, a potem do Lucerny, i będziemy z powrotem za dwa tygodnie.—Nie mam co więcej donieść papie, oprócz tego, że dusza moja i ciało jemu należy—i że kocham go nadewszystko.

Zygmunt Krasiński.

Odyniec najgłębsze uszanowanie papie przesyła.

II.

Genewa, 5 Septembra, 1830 r.

Kochany Ojczel! Odbyłem podróż po Szwajcaryi, i widziałem okolice, których wpierw się nawet domyślać nie mogłem.

14. A u g. Wyjechaliśmy z panem Jakubowskim z Genewy, na statku parowym, na którym był także Mickiewicz i Odyniec. Oni mieli jedną drogą, a my drugą tę samą podróż odbyć; ale jak to się najczęściej po polsku dzieje, rzeczy już w ostatniej chwili się rozstrzygają. Właśnie przed rozłączeniem się, ułożyliśmy razem jechać; do czego najwięcej przyczyniły się nalegania Odyńca. Własna moja chęć także nie mała; bo pragnąłem bardzo poznać Mickiewicza bliżej, a teraz, kiedym go poznał, prawdziwie nazywam szczęśliwą tę godzinę, w której na statku parowym zdecydowaliśmy, że razem pojedziemy. Tego dnia nocowaliśmy w *Montreux*, najpiękniejszej wiosce Szwajcaryi, nad brzegiem Lemanu, naprzeciwko skał Meillerie, blisko Chillońskiego zamku.

15. A u g. Wyruszyliśmy rano i wdrapaliśmy się na wierzchołek góry, zwany *Dent de Jaman*, to jest wdrapaliśmy się częścią na własnych, częścią na mułowych nogach. Jest to góra wzniesiona bardzo nad jeziorem genewskim. Z niej widok był pyszny: całe jezioro błękitne, całe niebo błękitne, wieniec gór w około, lekkie żagle na jeziorze, srebrne chmury na niebie, i przestrzeń ogromna, uśmiechająca się, ciągnąca się aż do pasma gór Jura, które zdawało się być zagrodą między ziemią a widnokregiem, za który już oko przejść nie może.

Daliej idąc, z gór okrytych sośniną zstąpiliśmy między wąwozy, i kiedy zabrakło nam pięknych widoków, udaliśmy się do wspomnień, i przypominaliśmy sobie z Odyńcem warszawskie dysputy z Koźmianem.

Osińskim, i obiady, na których tak żwawe bywały kłótnie. Droga nam tak przeszła aż do wieczora; nocleg nasz był w *Chateau d'Oex*, wiosce dość nędznej, pomiędzy dwiema skałami.

16 A u g. Obudziliśmy się pośród deszczu bijącego w okna, i nieprzyjemną w malutkich, niewygodnych powozach ciągnęliśmy podróż. Góry daleko więcej są smutne i ponure podczas słoty, niż równiny, bo w górach ogromne massy mgły się gromadzą, a z nich deszcz drobny, ale przenikający aż do kości. A potem w górach zawsze się spodziewamy pięknego widoku, o którym nie myślimy na równinach, i ten piękny widok, wydarty oczom naszym przez mgłę, w smutek wprawia, tak jak lica pięknej kobiety, welonem zakryte. Ale rozmowy, rozprawy z Odyńcem; wiersze; kontemplowanie Mickiewicza — bo mało bardzo, prawie nic w pierwszych dniach nie mówił;—skracali mi nudy niepogodnego dnia.

Nazajutrz, 17 A u g., też sama słota i niepogoda. Przyjechaliśmy do Thun, miasta sławnego w Szwajcarii dla tego, że co rok tam obóz artylleryi się gromadzi. Jest to jakby szkoła wojskowa. Miasto samo przez się mało znaczące, pełne było podróżnych. Najpiękniejszą tęczę widziałem wieczorem przy zachodzie słońca. Na czarném tle z chmur, jakby wymalowana, opierała się dwóma końcami na dwóch skałach, jakby most przez powietrze anielską ręką zarzucony. Zresztą deszcz nie ustawał i wszystkich w spleen wprawiał.

18 A u g. O 9-ej z rana puściliśmy się z Thun, po jeziorze tego samego imienia, które jest najbardziej dzikiem w całej Szwajcaryi, bo otoczone spadzistemi skałami, poprzerawanemi między sobą, co sprawia, że często temi przerwami wpadają wiatry sobie przeciwnie, i krzyżując się burze niebezpieczne wznoszą. A potem te skały są czarne, ostre, rzadko gdzie zielonością obrosłe, kolor wody ciemno zielony. Ogół widoku ponury, osobliwie kiedyśmy płynęli; bo wtenczas mgły wszędzie w około wisały na karkach gór; jedne przeciw drugim biegły, podżegane wichrem, ścierały się z sobą, rozrywały i znów sklejały, by ogromną zasłonę zawiesić między niebem a ziemią.

Po trzygodzinnój przeprawie dostaliśmy się na drugi brzeg, zkąd pojechaliśmy powozem do Interlaken. Tu już zaczyna się sławny Oberland, czyli część górzysta kantonu Bern, najrozleglejszego ze wszystkich kantonów. Interlaken jest to ni wieś, ni miasto, ale coś podobnego i do wsi i do miasta; składa się z szeregu gospód i leży w pięknej dolinie między jeziorem Thun i jeziorem Brienz. Można powiedzieć, że jest to zupełnie angielska kolonia. Anglicy ogólnie zalewają Szwajcaryę tłumami. Dobrze i trafnie to Mickiewicz porównywa do dawnych wypraw krzyżowych; tylko z tą różnicą, że tam był cel religijny, tu światowy; tam bronią pancierz i kopia, tu gwinee i franki. Ależ bo tamte w XII, ta w XIX dzieje się wieku. Jedliśmy tego dnia *à table d'hôte*. Podobno to pierwszy czy drugi raz w mojem życiu mi się zdarzyło, i przyznaję, że wielką mam do

tego odrazę. Nie lubię twarzy nieznajomych; tyle oczu, a żadne nie zwracają się na mnie z wyrazem przyjaźni, znajomości. Cóż mi po tych ludziach, po większej części nonsensa gadających, rozprawiających o lepszości mięsa, o gatunkach wina, lub też najfałszywiej o polityce? Kilka było Angielek. Naród to, który w części swojej żeńskiej miłe ma dla mnie wspomnienia. Zdaleka każda Angielka przyjemne czyni na mnie wrażenie; zbliżka tak mi jest obojętną, jak każda inna jakakolwiek kobieta.—Wieczorem siedziałem zamyślony w salonie oberży, pośród kilkunastu osób pijących herbatę: kiedy z za drzwi sali wzniosły się harmonijne głosy, śpiewające góralskie, helweckie i tyrolskie pieśni. Wyszedłszy, zobaczyłem czterech ślepych, trzymających się za ręce. Przykre i zarazem miłe ich śpiewy robiły na mnie wrażenie. Ci ludzie nieszczęśliwi, nazawsze pozbawieni słońca, jeszcze usiłowali zabawić podobne do siebie istoty, daleko od nich szczęśliwsze, by na chleb zarobić. Wiecznej poświęceni nocy, wzrok utracili, ale zastąpili go głosem; głos melodyjny stał się ich wzrokiem. Zdawało mi się, że widzę człowieka, który wpadłszy w przepaść, czepia się słabych roślin na jej brzegu, z uśmiechem przymilenia na ustach.

19 Aug. Niepogoda przymusiła nas siedzieć całe popołudnie w Interlaken. Dla odpędzenia nudy, napisałem w tym dniu broszurkę po polsku, której treść wyda się dziwaczną ojcu. Jest to rozprawa dowodząca, że dusze osób przywiązanych do siebie za życia, spotkają się po śmierci. Od czterech miesięcy

już mi ciężko na sercu, bym się z tą myślą wypisał, i ten ciężar zrzuciłem w Interlaken.

20 A u g. Z rana, przez jezioro Brienz, udaliśmy się do pięknej kaskady *Giessbach*. Spadające jej potoki, z wysokości na 8,000 stóp góry, pięknie, dyamentowo się wydawały przy promieniach jasnego słońca, a mnóstwo tęcz, jakoby girlandami z kwiatów w okóło ją opasywało. Poszliśmy na sam wierzch z Mickiewiczem, i pamiętam, że z powodu tęczy, która zależy jedynie od położenia oka patrzącego: bardzo pięknie mi mówił o świecie, jakimby się wydał, gdyby w nim człowieka nie było. Jest miejsce w skale, gdzie fale wodospadu tak się w łuk zaginają, spadając z wysokości stu stóp, że można bezpiecznie i bez wielkiego zmoknienia stać pod nimi, a wtenczas patrząc przez nie na okolice, zdaje się, że się patrzy przez ruchomą kratę z roztopionego srebra.

Wróciliśmy przez jezioro Brienz do Interlaken, i zaraz ztamtąd wybraliśmy się do doliny *Lauterbrunnen*, odległej o milę od Interlaken. U wnijscia do doliny Lauterbrunnen jest ułamek skały, sterczący nad strumieniem, z napisem w głazie wyrytym, téj treści: „W tém miejscu, podczas niepogodnej nocy jesienniej, baron z Rutli zabił przed trzystu laty własnego brata.“ Wrażenie sprawione tą legendą, nie znika posuwając się dalej. Owszem cała dolina zgodnie z niém działa na duszę. Wznoszą się w niej połamane w przepaści ogromy skał, zarosłe borami; szumią zewsząd potoki, huczą wodospady; góry krzyżują się w coraz innych kształtach; każda inaczej swój wie-

niec z sosen nosi; każda inaczéj wyciąga ramiona i piersi wydyma. A nad wszystkiemi wznosi się *Jungfrau*, sławna Manfredem Byrona i tém, że nikt jeszcze dziewiczych jéj śniegów nie dotknął stopą. Cała здаje się ze srebra ulana; piękna, kształtna, niebotyczna; leci od ziemi, wzbija się w błękity, a uśmiech natury ustawny na jéj łonie i skroniach. Zapewne Mont-Blanc jest wzniosłym i wielkim; zapewne na jego czołe znać rękę Stwórcy; ale jakoś wyraz jęgo całosci jest mniej powabnym od Jungfrau. On jest bardziej szerokim; wierchołek jęgo cięzszy, nie tak wysmukły; postawa roślejsza, зда się ciężyć ziemi. A ona jest piękniejszą; kibić ma cieńszą nierównie, śniegi jęj srebrniejsze, czoło bardziej zaokrąglone, wszystkie kształty bardziej kobięce, dziewicze. Mont-Blanc, (przypuszczając zawsze możność takiego porównania), niezawodnie jest królem Alpejskim, a ona królową.

21 A u g. Zwiedziliśmy dalsze części Lauterbrunnen, ale nie podobały mi się tyle co piérwsze. Wróciłem niezmiernie zmęczony do Lauterbrunnen, myśląc, że kuropatwy Opinogórskie warte wszystkich gór Szwajcaryi. Mickiewicz nieco się ożywił i z nami lepij zapoznał. O! jakże fałszywe sądy były o nim w Warszawie! Rozległój on jest nauki; umie po polsku, po francuzku, po włosku, po niemiecku, po angielsku, po łacinie i po grecku. Doskonale zna politykę europejską, historiją, filozofię, matematykę, chemię i fizykę. W literaturze nikt może w Polsce tyle nie ma znajomości. Słyszając go mówiącym, здаje się, że każdą książkę czytał. Sądy ma bardzo rozsądne,

poważne o rzeczach. Smutny zwyczajnie i zamyślony; nieszczęścia już mu zmarszczki na trzydziestoletniem czołe wryły. Zawsze spokojny, cichy, ale znać we wzroku, że rzucona iskra zapali śpiący płomień w piersiach. Wydał mi się być ideałem człowieka uczonego i geniuszu pełnego.

Znudzony więc w oberży Lauterbruneńskiej, siedziałem przy oknie z Odyńcem i patrzyłem na Jungfrau, kiedy zachodzące zegnało ją słońce różowemi promieniami. Obłok lekki, bursztynowej barwy, prawie przezroczysty, obwijał się wkoło jęj czoła, a razem przezeń błyszczały śniegi jęj piersi. Nic równego temu widokowi w snach nie marzyłem. Było coś w tym zachodzie religijnego, Boskiego; było coś tak cichego, tak wdzięcznego, że się zdawało co chwila, iż obłok pryśnie i Anioł z niego się ukaże. Następnie razem zakwitło czoło Alpejskiej Dziewicy; chmura się stopiła w błękicie, i Jungfrau, cała oblana czerwonością, ukazała się naszym uwielbiającym oczom. Zdawało się, że od wstydu tak się płoni, zegnając się ze swym kochankiem, słońcem, który w kilka chwil później zniknął z nieba, a ona opuszczona, sama została, i pobladła. Przed chwilą jęj śniegi były kobiercem, ze srebra w różę tkanym; a teraz, szerokim, bladym całunem. Ten widok nie wypadnie nigdy ani z mojęj, ani z Odyńca pamięci. Myślę, że możnaby się zakochać w Jungfrau.

22 A u g. Wyjechaliśmy z Lauterbrunnen, i pośród gęstej mgły przeszliśmy wierzchołek *Wengern-Alp*, góry, z której, mówią, że jest widok najpiękniej-

szy w Szwajcaryi; aleśmy nic nie widzieli. Dopiero kiedyśmy przyszedli do doliny *Grindelwald*, mgła się rozeszła. Jest to dolina dość piękna, zdobna ogromną skałą *Wetterhorn* i dwoma glecerami (*glaciers*), które aż do równiny się spuszczały, ale w żaden sposób nie może iść w porównanie z Lauterbrunnen.

23 A u g. Z Grindelwaldu udaliśmy się do *Meiringen*, wsi leżącej w pięknej dolinie *Oberhasli*. Droga była trudna, męcząca, nad brzegiem przepaści, kręcąca się pomiędzy górami i skałami. Nie może sobie ojciec wyobrazić obrzydłego charakteru pospólstwa szwajcarskiego, tak sławionego w całej Europie dla swojej niby cnoty i prostoty. Wszyscy tylko myślą o zysku, o zarobku; pełno żebraków; dzieci maleńkie, dobrze ubrane, wychodzą na drogi i proszą o jałmużnę; wszelkimi sposobami starają się oszukać cudzoziemców; wszyscy w tym celu trzymają się za ręce, wszyscy ku temu zamiarowi całymi siłami dążą.

Dolina Oberhasli jest położona między dwoma pasmami gór, nie bardzo wzniosłych, ale ponętnych z miłą zielonością; strumyki szmerzą po murawie, wodospady po skałach się rozbijają, wszędzie drzewa się zielenią i kwitną kwiaty. Tuśmy dla odpocznienia dzień przesiedzieli, podczas którego w porządek ułożyłem *Ułamki Podróży Szwajcarskiej*, które chciałbym posłać do Warszawy; ale nie wiem, czy pan Józef zechce je wydrukować? Będzie z nich wszystkich mała broszurka. Są to opisy na miejscach i pod wpływem miejsca pisane. *A propos* tego, p. Girardot pisał mi, że autor podróży po Szwajcaryi-Saskiej, K. wrócił do

Warszawy z za granicy, pod postacią wielkiego *fat'a*. To okropna rzecz, że trwa u nas jeszcze ten zwyczaj wracania z Paryża z chustką dobrze zawiązaną i frakiem nowomodnym, i z niczém więcej; że trwa u nas to srogie przeznaczenie, iż większa część młodzieży, najprzód w uniwersytecie nic się nie uczy, tylko krzyczy, a potem, wyjechawszy do niemieckich, zamorskich krajów, zamiast żeby europejską postać przybrać i europejską kulturę przyjąć miała, jedynie przyjmuje śmieszności i stare zdania, i stare zwyczaje. Bo w teraźniejszym wieku już *fat'em* być się nie godzi: dobrze to było *du temps de la régence*.—Dodam także, *inter parenthesim*, że się podczas drogi wyuczył doskonale strzelać z pistoletu, tak, że jabłka w powietrzu rozbijam. Coby powiedziały kuropatwy Opinogórskie i bekasy Knyszyńskie, gdyby o tém posłyszwały?!

25 A u g. Rano wyszliśmy z Meiringen, i przebywszy śliczną dolinę *Hasli-in-Grund*, wjechaliśmy w dziką okolicę *Grimsel*. Trudno tę dzikość okropną opisać, ten ponury huk potoków; wydać ten grzmot awalanszy (lawin), co chwila padających między górami; tę samotność miejsc pełnych przepaści i czarnych otchłani. Tu skały i góry zupełnie inny kształt przybierają, inną wcale mają charakterystykę. W okolicach już przez nas zwiedzanych, skały po większej części były spiczaste; tu zaś są okrągławe i podobne do fal potoku, które z góry spadające, siłą jakaś nieznaną w gładz zamienia. Widzieliśmy także tego dnia spadek rzeki *Aary*, który, jak mówią, piękniejszy

daleko od Renu w Schaffhouse. Rzeka cała, z ogromnej skały, w potrójną, bezdenną przepaść leci z hukiem piorunu, z tęczami w około, z kłębami piany, podobna do śniegu. Nocowaliśmy na dzikięj, opuszczonej, żadną trawką ani drzewem nie ocienionej górze Grimsel, wysokiej 6 tysięcy stóp, w nędznej gościnie drewnianej, w najsmutniejszym położeniu.

26 A u g. Z trudnością nam przyszło zejść z góry Grimsel, u której stóp odkrywa się z boku największy z gleczerów alpejskich, (po *Mer de glace* w Chamouny), z którego Rodan swoje źródło bierze. Tu piłem pierwszą kroplę Rodanu, wychodzącą z pod jaskini z lodu. Dalej szliśmy pomiędzy dzikimi, ponuremi, nagiemi górami; wdrapaliśmy się z wielkiem znużeniem na wierzchołek *Furki*, po ścieżce zasianej kryształami skalistemi, i ztąd mieliśmy pyszny widok na całe pasmo gleczerów Oberlandu. Monotonna droga zawiodła nas do *Anäermatt*, miasteczka, gdzie się kończy Oberland. Przechodziliśmy jeszcze tego dnia obok góry Św. Gotharda, po której urwiskach zrobiona droga jest arcydziełem pracy ludzkiej i sztuki. Andermatt jest miasteczkiem, odległym o pół mili od *Mostu Djabła*, sławionego w tylu opisach. I w rzeczy samej, nigdzie szatan może na ziemi nie mógłby stosowniejszego wybrać sobie miejsca. Jest to most kamienny o sześciu arkadach, zstępujących aż do dna przepaści, po której huczy i skacze w białawych falach rzeka Reuss; wokoło wieniec ze skał ostrych i jeżących się urwisk. Trzeba do mostu dochodzić przez jaskinię, czyli raczej galeryą, w skale wykutą.

Niezawodnie, jeśli Anioł ciemności przebywa na ziemi, tam jest tron jego pośród czarnej nocy.

27 A u g. Z Andermatt pojechaliśmy już powozem do *Altorf*, a ztamtąd puściliśmy się jeziorem *Vierwaldstätter-see*, i wpłynęliśmy między okolice pełne wspomnień i pamięci Tella. Tu on zbił jabłko z głowy niemowlęcia syna; tam wyskoczył ze statku Gesslera podczas burzy, i wystawiono w tém miejscu kaplicę; tam znowu na brzegu w oddali zieleni się wzgórek *Grütli*, gdzie pierwszy związek przeciw austriackiej przewadze uczyniony. Samo jezioro jest pyszne; zachodzące daleko w niego skały sprawiają, że pływającym po nim coraz nowszy widok się odkrywa. Po kilkogodzinnj żegludze przybiliśmy do portu wsi *Brunnen*. Tu już wieczorem, przy blasku księżyca, zerwała się okropna burza; świsty wiatru, pukającego do okien, wywołały mnie z pokoju, i poszedłem nad brzeg wody. Łamały się z sobą wściekłe fale; czasem bałwan, odrywając się od środka jeziora, suwał się po modrej przestrzeni z szybkością błyskawicy i rozbijał się na głazach u brzegu. Ruch tak wielkiej masy wody był poważny. Rozpryskiwały się promienie księżyca pomiędzy niesfornymi falami. Miło mi było patrzeć na burzę z brzegów jeziora, myśląc: że tak często w duszy walczą uczucia, i jedno drugie rozdziela i szarpie; że promienie światła i religii tak przepadają, giną i łamią się między niemi, jak blask spokojnego księżyca; lecz że to nigdy tak długo nie trwa, bo im większa burza, tém prędza cisza. I w rzeczy samj, na-

zajutrz, kiedym się obudził, niebo już było czyste, wiatr uśpiony, a jeziora tonie zwierciadlane.

28 A u g. Z Brunnen wyjechaliśmy, by dostać się do sławnej góry *Rigi*, z której widok rozciąga się aż daleko za granice Szwajcaryi, do Włoch i Niemiec, i obejmuje wszystkie pasma gór Helweckich z jednej strony, a z drugiej łańcuch Jury. Trzeba nam było do tego przechodzić przez miejsce, gdzie dawniej stało miasteczko *Goldau*, otoczone czterema wsiami, a gdzie teraz leżą piramidy kamieni, skał stosy, a nad nimi rośnie już trawa i młode krzewią się drzewiny. Już przeszło lat dwadzieścia, jak w pośród południa, w dniu pogodnym, wierzchołek góry *Rossberg*, wznoszącej się nad *Goldau*, zaczął się poruszać i drzeć cały, a potem cały upadł i pociągnął za sobą część góry. Z ogromnej wysokości walące się skały zawaliły *Goldau* i wsi cztery. Nie było w ludzkiej mocy odkopać pogniecionych chat i ciał umarłych; leżą one pod nagrobkiem ciężkim z głazów, które im przyrodzenie w swoim gniewie wystawiło. Na przestrzeni mili, cała powierzchnia pokryta zwaliskami *Rossberga*. Pięćset ludzi pod nimi usnęło snem śmierci. Lecz nie zadługo już znowu przyrodzenie uśmiechać się będzie nad własnym spustoszeniem; wkrótce kwiaty, murawa i gaje rozwiną się na pogrobowiskach, i przyszłe pokolenie uprawiać będzie ziemię, ciężącą nad pierściami przeszłego. Opuściwszy tę smutną okolicę, udaliśmy się na wierzchołek *Rigi*, gdzieśmy mgłę ciemną zastali, i cały dzień następujący w gościnie przebyć musieli, tąż mgłą otoczeni.

30 A u g. O czwartej z rana obudził mnie dźwięk pasterskiego rogu, oznajmającego wschód słońca na czystym niebie. Wskoczyłem z łóżka, wybiegłem na wierzch góry, i widok prawie nieziemski, nadprzyrodzony, ujrzałem przed sobą. Słońce jeszcze nie ukazało się, ale złote chmury u wschodu czekały na pana. Ocean z mgły zalegał całą przestrzeń, a wierzchołek Rigi zdawał się wyspą nad nim, równie jak inne wysokich gór szczyty. Pyszny to był obraz! Mgła wisiała niewzruszona między nami a ziemią. Byliśmy nad chmurami, a chmury wydawały się powierzchnią zbitą ze śniegu i lodu. Lecz kiedy weszło słońce, ta powierzchnia rozrywać się zaczęła, i przez otwory w niej, coraz bardziej się rozsuwające, to przebijał błękit jakiego jeziora, to zieloność jakiejś łąki lub lasu. Wreszcie, kiedy mgła zupełnie się rozsypała, ujrzeliśmy krainę wokoło, szeroką, rozmaitą, daleką; czternaście jezior, gór tysiące, i Włochy, i Niemcy w oddali! Nacieszywszy się tym widokiem, opuściliśmy Rigi, i przez jezioro Waldstättersee dostaliśmy się do Lucerny.

Lucerna jest miastem mniejszym, ale weselszym od Genewy; kościołów katolickich dwa; a bardzo lubię katolickie kościoły, po dawnym ich niewidzeniu. Jest w Lucernie sławny pomnik, wystawiony ku pamięci Szwajcarów, którzy zginęli 10-go Augusta. Jest to w skale wykuty lew ogromny, konający nad zdruzgotanymi broni pękami, podług modelu Thorwaldsena. Skała stoi nad stawem, wśród pięknego ogrodu, a żół-

nierz stary, który był w téj rozprawie, mieszka przy pomniku i pokazuje go ciekawym.

31 A u g. Wyjechaliśmy z Lucerny, i już równiną odbywaliśmy podróż.

1-go Septembra stanęliśmy w Bernie. Nazajutrz byliśmy rano u pana Seweryna ¹⁾, który nas bardzo grzecznie przyjął i zaprosił na obiad. Po obiedzie oddał nam nasze paszporta, i pożegnaliśmy go. Pani Sewerynowa bardzo przyjemna osoba. Następnie, nie zatrzymując się nigdzie, wróciliśmy prosto przez Lozannę do Genewy. Tu zastałem listy od pana Girarda, które w głęboki smutek mnie wprawiły. Ale czekam listu od kochanego ojca, a wtenczas odpiszę.

Ogółem podróż ta przyjemną mnie była, a towarzystwo Mickiewicza niezmiernie pożyteczne. Nauczyłem się od niego zimniej, piękniej, bezstronniej rzeczy tego świata uważać; wielu przesądów, uprzedzeń i fałszywych wyobrażeń się pozbyłem, i niezawodnie to wpływ będzie miało na dalsze moje życie, wpływ dobry i szlachetny. Wróciliśmy z p. Jakubowskim do dawnéj pensyi naszej. Miałem teraz polować trochę, ale za smutny na to jestem. Zamknę się w pokoju i będę czytał i uczył się. Żegnam kochanego ojca, i polecam się jego sercu.

Zygmunt Krasiński.

¹⁾ Posel Rossyjski w Bernie.

III.

22 Oktobra 1830 r.

.
. Mickiewicz siedział jeszcze dosyć długo w Genewie, i często go widywałem. Rozmowy z nim miane oświeciły mnie w wielu względach, co do literatury i filozofii. Niechaj ojciec wierzy, że to nie stronność, ale prawda, co powiadam. Jest to człowiek zupełnie na równi z europejską cywilizacją; umiejący dziwnie dobrze godzić realność suchą życia z najwznioślejszemi pomysłami poezyi i filozofii idealnej; mający najczystsze zamiary i chęci; a razem obszernego umysłu, sięgającego do wszystkich nauk i sztuk; wybornego sądu o rzeczach, politycznych i scyentyficznych; rozsądku niezachwianego w rzeczach codziennych; spokojnego, cichego charakteru; widać, że przeszedł przez szkołę nieszczęścia. Zupełnie mi wyperswadował, że szumność jest głupstwem, tak w działaniu, jak w mowach, jak w pisaniu; że prawda, i prawda tylko, może być piękną i ponętną w naszym wieku; że wszystkie ozdóbki, kwiatki stylu są niczém, kiedy myśli nie ma; że wszystko na téj myśli polega, i że chcąc być czémś teraz, trzeba uczyć się, i uczyć, i uczyć, i prawdy wszędzie szukać, nie dając się ułudzić przez błyskotki, które świecą przez czas jakiś, jak robaczki na trawie w Maju, a potem gasną na wieki. Spotkanie się z nim wiele mi dobra przyniosło.

Przed dwóma tygodniami wyjechał ztąd—i prawdziwie było smutném i rozczulającym widzieć, kiedy

się żegnał z Odyńcem. Myśl, że może już nigdy się nie zobaczą, rzuciła barwę boleści na tę chwilę. Ścisnęli się długo. Odyniec ze łzami w oczach, Mickiewicz ze stalszą postawą, ale z twarzą, na której znać było najgłębszy smutek. Tak się rozjechali, i Odyniec żałował go jak gdyby kochanki. Jest on dotąd tutaj i codzień się widzujemy.

W tym momencie właśnie jest u mnie z Recvem, i rozbierają dosyć żwawo talent Byrona i Moora. Reeve bardzo przywiązał się do mnie.

Zygmunt Krasiński.

Odpowiedź na artykuł p. F. K. p. t.

„ROMANTYZM I JEGO SKUTKI.“¹⁾

... Ale autor nie tylko w teorii wypowiedział wojnę tak zwanemu *Romantyzmowi*, ochrzciwszy dowolnie tém imieniem całą nowszą poezją naszą. Cięższym bez porównania zarzutem obarcza on samych poetów i zwolenników tego rodzaju poezyi, których zowie ogólnie *Romantykami*, upatrując w nich główną przyczynę wszystkich następnych wstrząśnięć i klęsk społeczeństwa, a to mianowicie, przez zaszczepione jakoby przez nich: „*lekceważenie i nienawiść rozumu; przez postawienie uczucia w kolidziji z rozsądkiem, i przez bardzo ujemny wpływ na rozwój nauki i bieg spraw społecznych*”. — Otóż o tych to właśnie twierdzeniach autora, my tu chcemy wyłącznie kilka słów powiedzieć.

A najprzód przytaczamy dosłownie, parę dalszych jeszcze w tym względzie ustępów: „*Typem i ideałem poezyi romantycznej, jest zapalenie, fantastyczny marzyciel, na poły bohater, na poły szaleniec, który pragnąłby świat wysadzić z zawias i pchnąć go na nowe tory; który się nie rachuje z rzeczywistością,*

¹⁾ Przypis do Listu XVI. str. 273.

z faktami; w którego mózgu płaczą się najrozmaitsze i najsprzeczniejsze pojęcia“ i t. d. — „Roman-tyk, albo, co jedno znaczy, bohater Romantyzmu, jest mieszaniną pod względem charakteru, tak nie-naturalną, nieprawdopodobną, że gdy się go widzi w czynach lub rozważa jego słowa, trzeba mimo-wolnie powiedzieć sobie: to karykatura człowieka!“

Zaprawdę, trudno dobitniej sformułować zarzutu i rozciągnąć go wyraźniej nie do samych już tylko utworów pisanych, nie do samych już tylko pisarzy, ale i do wszystkich w ogólności zwolenników poezji Romantycznej. Tymczasem, wiadomo jest powszechnie, i nikt temu nie przeczy, że właściwą kolebką tego tak zwanego Romantyzmu u nas, był uniwersytet Wileński, i to w tej epoce właśnie, kiedy się w nim kształcił Mickiewicz. Gdzież więc właściwiej, jeżeli nie w tém pierwszym, najbliższém otoczeniu jego: w kolegach i przyjaciółach, czy to których wpływowi ulegał, czy na których sam wpływ wywierał, należy szukać dowodów na potwierdzenie lub zabicie tak stanowczych orzeczeń autora; na wykazanie w zarodzie ziarn tego zasiewu, z którego, podług jego widzenia, tak zgubne wypływały owoce. Owóż ci przyjaciele i koledzy Mickiewicza, wespół z nim samym, ułożyli pomiędzy sobą i spisali dla pamięci własnej, kilka zasadniczych prawideł, podług których i sami postępować, i w razie danym przewodniczyć drugim, przyjęli sobie za święty obowiązek. Przytaczamy tu je w całości, uważając je za najwłaściwsze akta, podług których każdy myślący i bezstronny czytelnik, sam w tej sprawie

najlepiej wyrokować może. Ułożone są one na wzór obyczajowej dla młodzieży książeczki Galateusza, i brzmią jak następuje:

„Każdego poranku, zaraz po ocknieniu się ze snu, powiedz do siebie: Młody jestem, a więc mam jeszcze porę do nabycia nauki i cnoty, a ztąd do zapewnienia sobie szczęścia. Ale czas szybko i bez powrotu ubiega; nuż tedy co prędzej na to wszystko dobro moje pracować! Ten, co prześpi ranki dni letnich, traci największą dnia rozkosz; ten, co przepędzi w próżniactwie swą młodość, takąż stratę w życiu ponosi.

„Chceszże osiąść naukę? Popracuj najprzód nad odkryciem twoich niewiadomości. Gdy zaś poznasz czego i jak wiele nie umiesz, czego i jak wiele chciałbyś się nauczyć, i czego nieuchronnie do twojej nauki potrzebujesz: natenczas bądź przekonany, że uczyniłeś pierwszy, lecz wielki krok, na drodze doskonalenia twojego umysłu.

„Staraj się nabywać nauki z gruntownością, stosowną do sił twoich i powołania. W tym zamiarze ułóż sobie plan doskonalenia się twojego, abyś wiedział, gdzie jest początek, gdzie środek, gdzie granice twojej nauki. Bez takiego planu, nie nadasz pracy twojej porządku, tak nieuchronnie w całym życiu potrzebnego; bez porządku, nie nabędziesz w nauce gruntowności; a bez téj, bądź przekonany, że nauka twoja stać się może nawet szkodliwą.

„Nie nazywaj nauką wiadomości, usłyszanych z ust obcych, albo wyczytanych z książki; lecz staraj się nadto sam nad wszystkiém, co widzisz, słyszysz i poj-

mujesz, ciekawie i rozumnie zastanawiać się i myśleć, aby nabywane wiadomości przerabiały się w istotny pożytek i własność twojego umysłu, podobnie jako pokarm użyty i przetrawiony zamienia się w posiłek, krew i właściwe części twojego ciała.

„Nie uwielbiam rodzaju twojej nauki, lub powołania, nad inne rodzaje powołania i nauk; ponieważ każda w sobie uważana jest równie użyteczna, potrzebna i godna człowieka. Uprzedzenie takowe, mając źródło w miłości własnej, może łatwo wprowadzić w dumę, przesąd, zagorzałość, a następnie w pewny fanatyzm, którego straszne są skutki.

„Im skromniejszy coraz będziesz się stawał w twoich rozmowach, opiniach, zdaniach, tém większego coraz postępu w doskonaleniu się twojem będziesz miał dowody. Jeżeliby zaś w jakiej twojej sprawie przebiła się pycha, lub wysokie o sobie rozumienie, natenczas uderz się w piersi i zawołaj: „Zgubiony jestem!“ Bieź co rychlej do umiarkowańszego od ciebie; użyj jego rady, albo innych sposobów, do odkrycia twoich niedoskonałości.

„Chceszże być cnotliwym? Zapatruj się na sprawy wielkich cnotami ludzi, ażebyś usposobił się czuć szlachetnie. Gdy zaś uczujesz przywiązanie do ziemi rodzinnej, skłonność do przyjaźni z towarzyszami swego wieku i powołania; miłość ku bliźniemu i troskliwość o samego siebie: natenczas możesz być przeświadczony, że uczyniłeś pierwszy, ale wielki krok, na drodze doskonalenia twojego serca.

„Przywiązanie do ziemi rodzinnej zależy na tém, ażebyś życzył dobrze ziomkom, każdej klasy, i całemu narodowi w ogólności; ażebyś zachowywał zbawienne ojców obyczaje; kochał mowę rodowitą i jej się uczył; rozpamiętywał cnoty i dzieła przodków, i te stosownie do sił swoich i powołania starał się naśladować.

„Słodkich owoców przyjaźni z twoimi towarzyszami możesz być pewny, jeżeli stłumisz w sobie do szczeru samolubstwo, zazdrość; jeżeli będziesz szacował chwalebne postęпки towarzyszków; jeżeli będziesz szczery i otwarty; jeżeli bez żadnej urazy będziesz słuchał wykazania wad swoich, a z pociechą przyjmował rady i przestrogi.

„Miłości bliźniego pokażesz dowody, jeżeli będziesz umiał litować się nad cierpieniem drugich, bez względu na ród, stan, opinie, wiek i płeć cierpiącego społeczeństwa.

„Troskliwość o samego siebie zakładaj na tém, ażebyś wszelkimi siłami doskonalił umysł i serce, tudzież utrzymywał w czerstwości zdrowie, chroniąc się gnuśności i rozpusty.

„Im łagodniejszy coraz będziesz się stawał i prostszy w pożyciu z drugimi, tém większego postępu w moralności będziesz miał dowody. Jeżeli kto naruszy twoją łagodność, bądź spokojny; jeśli cię dotkliwiej obrazi, przebacz mu; jeśli natrętnik dalej się uniesie, ulituj się jeszcze nad jego nierozsądkiem, przebacz mu jeszcze, i proś go jeszcze, i nie używaj gwałto-

wnego odporu, chyba w przypadku napaści i niebezpieczeństwa.

„Nie nazywaj próżnowania zabawą, bo są różne od siebie i wcale przeciwnych skutków. Zabawa twoja niech zależy jedynie na krzepieniu sił ciała i rozweselaniu umysłu, strudzonego nauką i pracą.

„Chceszże być szczęśliwym? Nie obieraj stanu, aż póki nie dopełnisz każdego choć w części z podanych tu prawideł; te albowiem wyjaśnią ci dokładnie twoją skłonność i przeznaczenie. A jeśliś obrał już powołanie, tedy staraj się według sił twoich, wyłożonym tu sposobem, poświęcać się nauce, cnocie, zabawie.

„Cierpliwość i wytrwanie w pięknych przedsięwzięciach, jest najważniejszą cnotą dla człowieka. Światło bez męstwa i dobroci, jest próżną ozdobą; dobroć, bez światła i męstwa, nieużyteczną chęcią; męstwo, bez dobroci i światła, zuchwalstwem, które przedsięwzięcie rzeczy zgubne albo szkodliwe dobru społeczności. Ale dobroć, światło i męstwo, połączone razem, tworzą największą wartość i godność człowieka.“

Cóż więc? panie autorze artykułu w Ateneum! Gdzie jest w tych słowach wzgarda albo nienawiść: rozumu, nauki, pracy? Gdzie ideał, który ci się być zdawał „*karykaturą człowieka*“? Ale odpowiesz może, że *verba volant*; że słowa mogą być literą martwą, i że z czynów dopiero sądzić trzeba ludzi. Zgoda! Rzućmyż więc okiem na dzieła i czyny tych lu-

dzi, którzy to pierwsze, i jedynie prawdziwe grono Romantyków u nas składali. Los ich różnie rozrzucał po świecie. Często nie od woli ich samych zależał wybór pola do działania; ale gdziekolwiek ich postawiła Opatrzność, obaczmy, co jako uczeni dla nauki, a jako ludzie, dla pożytku społeczeństwa ludzkiego uczynili. Zaczynając zaś od samego Mickiewicza — odkładamy na stronę jego poezye, jako będące dla autora artykułu kamieniem obrazu, a tylko przypominamy, że słynął niemniej może jako professor, i to na dwóch różnych katedrach, w dwóch pierwszorzędnych uniwersytetach europejskich. Z dziejów zaś życia jego i z listów do niego pisanych, a składających drugi tom jego *Korrespondencyj*, wiemy i widzimy najjaśniej, jak najuczeńsi, najpoważniejsi i najsławniejsi ludzie tego czasu i krajów, w których przebywał, oceniali w nim i szanowali człowieka; w nim, koryfeuszu właśnie téj szkoły, z której, podług pana autora artykułu, wyjść tylko mogły *karykatury ludzi*.

Jeden z kolegów-romantyków i najbliższych jego przyjaciół, Ignacy Domejko, żyjący dotąd rektor uniwersytetu w San-Jago, w Chili, jest powszechnie uważany tamże jako pierwszy organizator i niezmordowany kierownik średniego i wyższego wychowania; jako pierwszy założyciel i professor kilku katedr w wydziale nauk przyrodniczych, i nakoniec, jako główny twórca nowego systemu gospodarstwa i prawodawstwa górniczego w tym kraju; nie mówiąc już o literackich jego zasługach, jako autora długiego

szeregu dzieł naukowych lub pedagogicznych, po hiszpańsku lub po francuzku pisanych.—Drugi takiż przyjaciel i kolega-romantyk, żyjący także dotąd Józef Kowalewski, niegdyś rektor uniwersytetu w Kazaniu, obecnie dziekan filologicznego wydziału w uniwersytecie warszawskim, członek wszystkich uczonych europejskich towarzystw, mających za cel zbádanie natury krajów, języka i charakteru mieszkańców Azji, uważany jest przez nie wszystkie, jako podróznik, etnograf i filolog, którego słowo i zdanie jest powagą pod każdym z tych względów, a który, jako autor Mandzurskiej grammatyki i dykcyonarza, nie ma dotąd równego sobie. Nie dość na tém:—ten sam „oryentalista-romantyk“, który, podług definicyi pana autora artykułu, powinien być najzaciętszym wrogiem klassycyzmu; za młodu był już u nas pierwszym komentatorem „*Przemian*“ Owidyusza, dla użytku młodzieży szkolnej; pierwszym tłumaczem Longina i Herodota; pierwszym wzorem dla innych téż kolegów-romantyków, z pomiędzy których, Józef Jeżowski komentował dla szkół ody Horacyusza, a zaś Jan Wiernikowski i Felix Kułakowski, pierwszy ody Pindara, drugi komedye Arystofanesa, wprost z greckiego na język polski tłumaczyli. Inny znowu kolega-romantyk, i to nawet poeta, autor pierwszej ballady u nas, Tomasz Zan, jako uczony geolog i mineralog, pierwszy wpłynął kiedyś stanowczo na zmianę dotychczasowego sposobu eksploatacyi min złota w górach Uralskich, a następnie Ałtajskich. Z tychże samych kolegów-romantyków, wyszli tacy matematycy-inży-

nierowie, (następnie Jenerałowie Inżynieryi), jak np. Józef Chodźko, który piérwszy ze szczytów Araratu, gdzie nikt przed nim od czasów Noego nie postał, wykonał pomiar trygonometryczny Kaukazu; jak Kierbedź, budowniczy stałego mostu na Wiśle, będącego dziś chlubą i ozdobą Warszawy; jak Jan Heydattel, który służy na błotach Pińskich i port w Lipawie zbudował; jak Krynicki, Zarzycki, Januszewski, Biergiel, i wielu innych, których każdy z młodszych inżynierów jako mistrzów zna i szanuje. Z tychże samych kolegów-romantyków, wyszli tacy lekarze, jak np. Gałęzowski, Mianowski, Bącewicz, Karol Kaczkowski, i tylu, tylu innych, których imiona w kraju i za krajem, zarówno nauka jak ludzkość, ze czcią i wdzięcznością wspomina. Z tychże samych kolegów-romantyków, wyszli tacy badacze dziejów, zbieracze historycznych pamiątek, jak np. Michał Baliński, Leonard Chodźko, Mikołaj Malinowski; tacy prawnicy, jak np. Daniłowicz Ignacy, Franciszek Malewski, Kazimierz i Maryan Piaseccy, i Alexander Mickiewicz; tacy pedagogowie, jak np. Antoni Odrowąż Kamiński, autor Geografii i Arytmetyki, uznanych za elementarne; x. Joachim Dębiński, (potém prowincyał xx. Pijarów), i Benedykt Turski, którzy całe pokolenie zacnych i światłych ludzi wychowali. Z téjże saméj nakoniec tradycyi i szkoły romantyków, wyszedł, jakby na zamknięcie jój cyklu, Józef Ignacy Kraszewski!—A wspomnieliśmy tu tylko o tych, którzy bądźto w nauce, bądź w praktyczném działaniu, wystąpili na szerszą widownię publiczną. Największa

atoli ich liczba, zamknięta w ciasnych szrankach prywatnego życia, niemniej przeto w obliczu współobywateli przykładem cnót społecznych i rodzinnych świeciła; pracując zwłaszcza nad podniesieniem rolnictwa, oświata ludu, i nawet nad ozdobą domowego swego zakątka, jako cząstki ziemi rodzinnej. Zowie zaś ich *romantykami* dla tego, że w ich to gronie powstał i rozwinął się najprzód ów kierunek myśli i uczuć, który potem nazwano *Romantyzmem*; że to właśnie byli pierwsi adepci tego nowego rodzaju poezyi, którzy *Dziady* ze łzami, a *Grażynę* lub *Świteziankę* z uniesieniem czytali, i z autorem ich śpiewali razem:

„Cyrkle, wagi i miary,
Do martwych stosuj brył;
Mierz siłę na zamiary,
Nie zamiar podług sił!”

Ta to właśnie nieszczęsna piosnka zdaje się irytować najbardziej pana autora artykułu, gdyż w niej to widzi on zwłaszcza najwyraźniejszy dowód „*lekceważenia i pogardy rozumu, głupoty i szaleństwa romantyków*.” Szkoda, że autor nie zapytał kogo, coby go mógł objaśnić, jakie téż to przecież znaczenie przywiązywali do niej ci sami, co ją kiedyś wraz z autorem śpiewali, a jednak, jak się pokazuje, ani głupcami, ani szaleńcami nie byli? Pozwalam więc sobie uczynić to, jako świadomy rzeczy, i sądzę, że się to da najlepiej wyjaśnić przez porównanie. Wzywają np. kogoś do napisania artykułu w przedmiocie, którego on zgoła nie zna i nie umie, ale sam o swoim

rozumie i talencie nie wątpi. Ma więc zamiar ów artykuł napisać, ale stosuje go do miary sił swoich, i pisze śmiało co mu na myśl przyjdzie—ramotę. Ktoś drugi, mający tenże sam zamiar, ale nie ufający swym siłom, zaczyna najprzód od poznania i zgłębienia przedmiotu, to jest, od podniesienia czyli zastosowania sił swoich do jego wagi i miary, i jeżeli to czyni w celu dobrym, spodziewa się i wierzy, że i Pan Bóg dobrej chęci pomoże.

Takie to, a nie inne znaczenie przywiązywali do słów téj piosenki, owi koledzy i przyjaciele autora, co ją kiedyś z nim razem śpiewali;—i co się nawet daje widzieć dość jasno w ostatnim paragrafie prawideł. Że więc może pan autor artykułu spotkał gdzieś ludzi „*mężnych*, ale *bez dobroci i światła*,“ którzy te słowa pojmowali i tłómaczyli inaczej; to za cóż on ich tylko, ich właśnie i wyłącznie, *Romantykami* nazywa? Dla czego nie powstaje po prostu na zuchwalstwo warchołów, butę krzykaczy, zarozumiałość nieuków, płochość i lekkość fanfaronów, które przecież istniały na świecie i u nas, i tyle klęsk i nieszczęść społeczności przyniosły, kiedy o romantyzmie jeszcze ani mowy nigdzie nie było, a przeciw którym właśnie pierwsi prawdziwi romantycy u nas najsilniejszy opór stawili? Wtenczas wprawdzie kryły się one pod maską innych nazwisk czy tytułów. Ale cóż winien człowiek „*dobry i światły*,“ że ktoś pod jego imieniem, albo nawet w jego ubraniu, które sobie samowolnie przywłaszczył, popełnia szaleństwo czy głupstwo? Za co ci pierwsi i prawdziwi romantycy u nas, mają

być poczytani za „*karykatury człowieka*”, że ktoś wcale nie należący do nich, pojęcia ich i myśli skarykaturował? Toć łatwo mogłoby się przydarzyć, że tam, gdzie autor takich romantyków spotykał, mógłby téż spotkać i takich filozofów, coby się sami tém imieniem szczycili, lecz których cała mądrość polegałaby na tém, że deklamując „*o postępie i wiedzy*”, zamiast np. imion: Boga, Stworzyciela, używaliby tylko wyrazów: „*Absolut, Warstat Natury*”, i t. p.; lub coby zamiast czuć się synami Bożymi i starać się o doskonałość Ojca, który jest w Niebiesiech: cieszyliby się owszem i chlubili mniemaniem, że pochodzą od muszli i zwierząt, i za ideał sobie papugę albo małpę obrali. Czyżby więc autor artykułu zniósł cierpliwie i dopuścił bezkarnie, ażeby ktoś, z powodu takich samozwańców, poważne imię filozofa, i wszystkich filozofów ryczałtem, śmiał stawić pod pręgierzem śmieszności? A za cóż on sam podobnie z biednymi romantykami postąpił, czyniąc ich imię w ogólności symbolem i synonimem szaleństwa i głupstwa? Takie twierdzenie z góry, wyrzeczone tonem wyroczni, czyżby nie dozwalało przypuszczać: że autor jego, jak zbyt gorliwy lekarz podczas dżumy, chąc nas radykalnie od razu ze wszelkiego romantyzmu wyleczyć, sam się nakoniec takim romantyzmem zaraził?

Suum cuique. A. E. O.

SPIS RZECZY

w tomie czwartym zawartych.

Strona.

Listy z podróży:

I.	Do Juljana Korsaka, z Neapolu	1
II.	„ Ignacego Chodźki „	15
III.	„ Juljana Korsaka „	36
IV.	„ „ „ „	51
V.	„ „ „ „	68
VI.	„ „ „ „ w drodze do Pestum.	90
VII.	„ „ „ „ z Neapolu	106
VIII.	„ Ignacego Chodźki, z Rzymu	123
IX.	„ Juljana Korsaka, w drodze do Florencyi	145
X.	„ „ „ „ do Genui	168
XI.	„ Ignacego Chodźki „ z Genui	181
XII.	„ Juljana Korsaka, w drodze do Medyolanu.	192
XIII.	„ „ „ „ z Medyolanu do Chamouny,	217
XIV.	„ Ignacego Chodźki, z Chamouny	242
XV.	„ „ „ „ z Genewy	256
XVI.	„ Juljana Korsaka i Ignacego Chodźki, z podróży po Oberlandzie	273
XVII.	„ „ „ „ „	338

	<i>Strona.</i>
XVIII. Do Juliana Korsaka i Ignacego Chodźki, z Genewy.	351
XIX. „, Juliana Korsaka, z Genewy.	377
Przypisy:	
Listy Zygmunta Krasińskiego do Ojca:	
I.	383
II.	391
III.	406
Odpowiedź na artykuł p. F. K. p. t. „Romantyzm i jego skutki“	408

INSTYTUT
 BADAŃ LITERACKICH PAN
 BIBLIOTEKA
 00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
 Tel. 26-68-63



C. 180

1115

